

Dorota Pająk-Puda



DZIECI JAGIELLONÓW

ZYGMUNTA STAREGO I BARBARY ZAPOLYI
LOSY PODŁUG ELŻBIETY JAGIELLONKI
W 1517 ROKU SPISANE



Dorota Pająk-Puda

DZIECI JAGIELLONÓW

ZYGMUNTA STAREGO I BARBARY ZAPOLYI
LOSZY PODŁUG ELŻBIETY JAGIELLONKI
W 1517 ROKU SPISANE



Copyright © 2022, Dorota Pająk-Puda

Copyright © 2022, wydawnictwo MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-831-7

Projekt okładki: Anna Slotorsz

Ilustracje wykorzystane na okładce: shutterstock (© Vector Tradition, © Suwi19) oraz polona.pl (domena publiczna)

Korekta: Dorota Ring

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

1505

Znowu śniłam ten sen...

Z mroku wyłaniają się pochylone nad stołem postaci. Stoję w progu, chcę stamtąd uciec, ale nie mogę się ruszyć. Medyk i biskup przyglądają się, jak aptekarz goli wolno i z namaszczeniem naciera octem martwe ciało króla Olbrachta. Patrzą, jak chirurg rozcina brata mego od szyi do łona. Tnie dalej w poprzek przez piersi i potem przez pępek. Z trzaskiem rozwiera żebra króla i każdy pochylony obaczyć może, że człkiem był. Serce wielkie, ropa, czarna flegma, szerniałe płuca, rozmiękczone trzustka, twarda wątroba, sine jelita, obrzękłe uda, owrzodzony priap¹. Krew szlachetna cicho wypływa na obrus, wsiąka w szlachetną wełnę. Na stole zawsze przecie leży obrus. Gość obrazi się, kiedy przyjmiesz go bez obrusa! Naraz słyszę wrzask mej matki. Rozdzierający, pełen bólu, sprzeciwu, gniewu i żalu. Niesie się po zimnych, martwych sieniach starego zamku, odbija od sklepień i wnika w opustoszałe, ciemne komnaty. Na jej krzyk król otwiera oczy, odwraca do mnie głowę i śmieje się, szczerząc wielkie żółte zęby.

Obudziłam się na krześle oblepiona potem i strachem. Znowu! Od śmierci królowej każdej nocy śniłam o królu zmarłym przed czterema laty. Myślałam, że choć tutaj, w cichej komnatce wyciągającej ku wschodowi, którą każdy Jagiellon miłował i w której choć raz powitał słońce, znajdę krzynę ukojenia i sen bez śnienia!

Dotknęłam mokrego czoła. Jaskrawa, wrześniowa jutrzienka w Kurzej Nodze² kazała zmrużyć mi oczy. Z niechęcią zrzuciłam z siebie ciepłą chustę, podniosłam się ze skrzypiącego krzesła i podeszłam do jednego z ośmiu okienek okalających wykusz. Patrzyłam na pomarańczową łunę przebijającą się przez bure chmury i obiecywałam sobie, że jeśli kto mi tylko na to pozwoli, to dzisiaj się wypłaczę. Wielka królowa umarła tak niedawno, że jeszcze dzwony po egzekwiach nie wybrzmiały, a teraz umierał następny król, kolejny mój brat. Aleksander.

Poranne słońce, jak gorzejące zarzewie na wschodzie, stale wieczny lęk i przestrozę wzbudzało w duszach patrzących na daleki horyzont widoczny z komnatki. Wielkie Księstwo Moskiewskie żądające Witebska, Połocka, Smoleńska i w szaleństwie jakim wszelkich ziem ruskich, sprzymierzone niemal stale z chanem krymskim Girejem, wciąż szarpało Litwę, co ziem żadnych oddać im nie chciała. Krzyżak do tego uznać traktatu zawartego z mym wielkim ojcem nie myślał, a kolejny mistrz kolan w hołdzie zgiąć przed polskim królem nie zamierzał.

Dotknęłam szklanej, nierównej gomółki w oknie.

I z nimi Mołdawia, co spokój mi odbierała... Bogdan Ślepy, pomny na klęskę mego zmarłego brata Olbrachta w lesie bukowińskim, podburzany przez Moskwę, gryzł Pokucie i w swym ambicje chciał Jagiellonki za żonę. Mnie... Tę, co sama ostała...

Opuściłam dłoń.

Umieranie bliskich zjadało mnie od środka, wyżerało w trzewiach dziurę, czyniąc dziwnie lekką. Tak bardzo, że miałam wrażenie, iż uniosę się w górę i wypadnę na bruk przez małe okienko w wąskiej komnatce!

Chowałam nie tylko zmarłych, ale i żywych. Umiłowanego swego Fryderyka zakopać musiałam głęboko na dnie myśli, bo za mąż pójść musiałam za hospodara Bogdana. Ma się rozumieć, dla dobra stosunków

Korony z Mołdawią, a przecie mój Fryderyk był jeno księciem legnickim. Panem bogatym, kształconym, szlachetnym, miłowanym przez wszystkich, ale tylko księciem...

Oparłam gorące czoło o zimną szybkę.

Czy królewna, córka wielkiej Elżbiety Rakuszanki i największego króla, jakiego nosiła ziemia, Kazimierza Jagiellończyka, mogła mieć czarną duszę? A mogła! Oszukiwałam matkę. Dwa lata ją oszukiwałam, ukrywając afekt, listy i spotkania z Fryderykiem. Ile grzechów popełniłam, nie wyznając tego nawet przy łożu jej śmierci? Czułam, że ciągle mam ręce uwalane ziemią z czarnych zakamarków mego żywota.

Dłonie wytarłam w gors, jakby rzeczywiście pokrywało je błoto, i objęłam się ramionami. Odkupić winę muszę. Zapomnieć o Fryderyku. To był grzech, a król Aleksander rad będzie mej powolności.

Słońce nad Krakowem wreszcie wstało. Kragłe i ciepłe. Dziś łaskawe, odsuwające strachy do następnego świtu. Naraz złotem i purpurą zalśniły nowe miedziane dachy kościołów i kałuże po nocnym deszczu. Uniosłam wysoko głowę, jakbym w ciężkim, zmurszałym od wody i ognia, pokrytym sinymi plamami sklepieniu ujrzeć Boga miała.

– Panno najświętsza, miej nas wszystkich w swej opiece... – szepnęłam i zacisnęłam powieki, a w dłoni długi paternoster z czarnych, dużych pereł. Nigdy nie potrafiłam długo się modlić. Owszem, piastunki zawsze mnie o to strofowały, nawet dobra królowa mateczka, póki sama nie zaczęła przysypiać już na samo wejście *capellae regiae*³ do kaplicy.

Uśmiechnęłam się do dobrych, choć bolesnych wspomnień matki skręconej wolą boską jak suchy liść późną jesienią. Ona nie chciała, bym wychodziła za mąż za hospodara Mołdawii. Wszyscy wiedzieli, że dziki to człek i z Jagiellonami równać mu się nie wolno. Aleksander też to wiedział,

może więc nie dopuści? Gdyby królowa żyła, nie odważyłby się sprzeciwić jej woli!

Zauważyłam pierwszy ruch na Kanoniczej. Piekarczyk na czarno odziany, jako wszyscy w Krakowie w czas żałoby po królowej, rażno ciągnął za sobą wózek ze stosem białych bułek dla italskich muratorów i węgierskich cieśli na Wawelu. Jedna bułka upadła na bruk i chłopiec nawet nie zauważył, jak chudy czarny pies porwał ją i uszedł z zadartym wysoko ogonem.

Spojrzałam w dół na swoją aksamitną suknię. Wygładziłam długie rękawy nabijane złotymi nitami. Odpruć je trzeba przed czyszczeniem, by cennej biżuterii od matki nie uszkodzić. Trzeba suknię oczyścić, bo pył z budowy zamku, z wszelkiej czerni szarość⁴ czynił, jakby żałobę chciał wesołością zastąpić. Aleksander burzył i budował z taką zaciętością, jakby zdążyć chciał, zanim sam zemrze... Zygmunt śmiał się, że nowy Wawel dźwiga się na cztery łapy, niczym powalony pierwaj niecelnym ciosem smok.

Przeciągnęłam dłońmi po twarzy i czarnej krótkiej podwice na głowie. Żadnych *sertum*⁵ zakładać nie chciałam, sama umyśliłam, że nosić się będę jak młoda wdowa. Czyż naprawdę nią nie byłam? Czerń otulała mnie spokojem i ciszą, odgradzała od bólu i strachów wszelakich.

Już chciałam zarzucić luźny kaptur szerokiej mante⁶ i wyjść z wąskiej komnatki, kiedy na Grodzkiej ujrzałam Zygmunta. Cofnęłam się od okienka, choć ujrzyć mnie nie mógł. Jechał stępa z Szydłowieckim, skarbnikiem na Zygmuntowym Śląsku, i braćmi Boner. Bracia miłowali pieniądze ze wzajemnością. A przy nich i książę zaczynał je wreszcie mieć. Za łaską króla węgierskiego i czeskiego, brata naszego, zaczął bić półgrosze i grosze polskie, czeskie i wrocławskie, a bracia Boner pokazali mu, jak się to robi. Z Szydłowieckim Zygmunt urodził się niemal tego

samego dnia, niemal o tej samej porze i, jak mawiała królowa, w tym samym łożu. I od dnia narodzin nigdy się nie rozstali, dzieląc się każdą myślą, na barki biorąc po równo wzajem swe złe postęпки, jak i czyny chwalebne.

Jechali strojni, w nadmiar materii lśniącej ubrani, w fałdy, bufy i upięcia, z ufryzowanymi włosami i bujnymi brodami na modę niemiecką krągło strzyżonymi.

Pewnie od niej jadą... Wyciągnęłam szyję za znikającymi za rogiem. Z zazdrością przywołałam z pamięci Telniczankę Zygmunta. Wieku po niej nie poznasz, choć dzieci trójkę księciu urodziła i starsza była ode mnie, a mnie już dwadzieścia trzy lata było. Zacisnęłam dłonie na sukni. Matka moja w tym wieku miała pięcioro, a ja była jej trzynastym, ostatnim dzieckiem.

Zygmuntowi było trzydzieści osiem lat, wiek żaden dla męża, ale roztył się już jak Olbracht, zmarły król ze snów, pijak i oźralec.

Rozpłaszczyłam nos na szybko. Zygmunt nie powinien nosić tych ciasnych czepców, bo i tak ma dużą głowę, a w tych złoconych garneckach wygląda śmiesznie! Ale to najlepszy z braci. Czuły i dobry jak żaden albo jak pan ojciec, którego twarzy już przypomnieć nie mogłam.

Objęłam się. Mateczka i ojciec pomarli, a mnie czas za Bogdana.

Westchnęłam głośno, ostrożnie zesłam po nadpalonych, drewnianych schodach i szybko, przez dziedziniec, przemknęłam do domu naprzeciw katedry, tak by nie natknąć się na robotników ciągnących na zamek i na pytania ochmistrzyni Rabsztyńskiej.

Dom pobudowany dla mej matki teraz był jeno mój. Duży i pusty. Na czas żałoby zdjęto wszelkie noszenia i opony, a łoża, skrzynie, stolki, krzesła i okna przybrano czernią. Weszłam do sieni na piętro i skierowałam

się do moich już teraz jeno komnat. Tutaj miałam dwie duże sale, dwie sypialnie i dwie komory tylko dla siebie, i było mi miejsca aż nadto.

Cisza w środku próbowała zgłuszyć żalobę, ale ta świeżą zbyt była i pulsowała w mym sercu jak czerwona rana za uchem kocura mej matki. Biedak, sypiał na jej grobie, do czasu aż go prawie nie utłukli w świętym przybytku. Barbarzyńcy!

Zdjęłam szubkę⁷, podeszłam do kamchowej⁸ poduchy na miękkim i wysiedzianym krześle ojca, ucałowałam ranne, zaspane zwierzątko. Podniósł bury łebek, nie otwierając oczu. Wyjrzałam przez okno. Zaczęło znowu padać. Widok stąd był żaden, jeno na drugi budynek. Zresztą nawet gdyby domu nie było, wysoki mur i tak nie pozwalał dojrzeć czegokolwiek. Ani Wisły, ani Kazimierza.

– Poza małżeństwem z Bogdanem z Mołdawii – burknęłam do siebie.

Fryderyk... Serce znowu zakłuło mnie boleśnie na wspomnienie umiłowanego. Od dziewięciu dni ani listu ni wieści od niego. Dawniej posyłał co dzień! Mocno zacisnęłam palce na czarnej oponie w oknie. Głupotą było afekt grzeszny do siebie dopuścić, przecie wiedziałam, że on nie dla mnie, a raczej ja dla niego! Przecie ja królowna Jagiellonka, wnuczka cesarskiego rodu i wielkiego Jogajły. Powolna opiekunom podług myśli i oczekiwań wszystkich. Przecie zawód okropny sprawiłabym braciom moim. A tak być nie mogło! Nie mogło!

Postanowiłam. Wyjdę za hospodara Bogdana i zapomnę o Fryderyku, przyjacielu moim i Zygmunta. Powinność ta miła będzie królowi i odpuszczenie wielkiego grzechu.

– Na cóż to dusze przedawać temu, którego więcej nie ujrzę? – szepnęłam do siebie, puściłam oponę i do ręki wzięłam ze stolika malutką, starą, aksamitną jałmużniczkę mej matki. Zważyłam w dłoni pamiątkę,

której nigdy nie widziałam u królowej, a którą znalazłam pod jej poduszką. Pełna była czegoś startego na proch...

Usłyszałam wozy powoli wtaczające się na wawelski dziedziniec, kiedy do komnaty wszedł Zygmunt w tym swoim śmiesznym czepcu. Nie przebrał się nawet, do mnie naprzód wstąpił, przyjemność ogromną mi sprawiając. Zygmunt, pan na Śląsku i Łużycach, jak zwykle wyciągnął do mnie ręce i uśmiechnął się delikatnie. Jakby wychowanie i obyczaj nakazały mu dworność wobec siostry. Albo po prawdzie taki był. Wielki i czuły.

Wyciągnęłam do niego dłonie, by się przywitać i usiedliśmy pod oknem naprzeciw siebie.

Zygmuntowy piesek Bielik najpierw wsparł łapki o moje kolana, ale zauważył starego kompana na fotelu i podreptał do Burego.

– Miała to pod poduszką. – Zdjęłam z małego stolika i podałam bratu purpurową, bardzo starą sakiewkę. – Wiesz, co to?

Zygmunt włożył dłoń do środka i ze zdziwieniem ostrożnie przesywał między palcami bury pył.

– Nie – szepnął zdumiony.

– Widać ważne dla niej było – odpowiedziałam zaskoczonemu.

Odłożyłam sakiewkę. Czułam, że brat mi się przypatruje. W końcu położył dłoń na mej ręce, chciał co powiedzieć, ale przemówiłam pierwsza.

– Wyjdę za Bogdana – oświadczyłam. – Grzech ciężki wobec matki popełniłam, prawdy nie wyznając o Fryderyku. Afekt szczery i czysty może by i zrozumiała, ale nie oszustwo. Dziwne, że prawdy nie odkryła.

– Odkryła. – Uśmiechnął się.

Zygmunt wyjął list z za dubletu pod szeroką szubą i podał mi go uroczyście. List, w którym nasza matka, Elżbieta, królowa Polski, zgadzała się na mój ślub z moim Fryderykiem!

Po raz wtóry czytałam:

Kochany synku nasz!

Jeśli czytasz te słowa, znaczy, że jestem już z twym wielkim ojcem.

Odkryłam wasz sekret. Wiem, że Elżbieta miłuje tego Fryderyka, syna kacerskiego obzartucha, a Fryderyk miłuje ją.

Jako że jestem królową i do tego starą królową, mogę robić, co mi się podoba. Dlatego zezwalam na ślub Elżbiety z księciem czegoś tam. Niechaj siebie miłują i miłują mnie.

Tylko dzięki temu, że byłam miłowana i dawać mogłam miłowanie, miałam bardzo szczęśliwe życie. Naprawdę, Zygmuncie.

I powiedz swej siostrze, że ma teraz nie płakać.

Ja idę usiąść u boku twego ojca, bo czas nam w kolejną podróż...

Przeczytałam list trzy razy, bo uwierzyć mi było trudno. Nie mara to jaka? Nie sen okrutny, po którym obudzę się zaraz? Toż wszystko być może inaczej! Nie pojedę do Mołdawii!

– Prawda to?! Prawda! – Dotykałam ust drżącą dłonią, bojąc się cokolwiek wymówić, by list nie okazał się ułudą.

Zygmunt jeno potakiwał uśmiechnięty.

– Czyż ona nie największa z królowych? – wyszeptałam do brata.

Otarłam spotniałe dłonie w suknie, docisnęłam podwikę do głowy, zrobiłam kilka kroków i zawołałam do Zygmunta rozpromieniona:

– Wyjdźmy! Muszę wyjść!

Zeskakiwałam po dwa stopnie, Zygmunt schodził powoli za mną.

Drżałam, jakbym sen śniła dobry! Wreszcie dobry! Najlepszy! Radość rozpierała moją duszę! Matka, nasza wielka matka, Elżbieta zwana Rakuszanką, przed śmiercią zezwoliła na mój ślub z Fryderykiem! Czy to może być? Czy można być szczęśliwszą?! Miłowanie moje z księciem

legnickim, tajone przed wszystkimi, wreszcie wybaczone zostało i nagrodzone zgodą na małżeństwo! Zgubiłam wdowią podwikę, ale nic to! Kto by teraz o tym zamyślał. Jakże inny był to czas niż jeszcze chwilę temu!

Określiłam się na dziedzińcu, porzuciłam Zygmunta, mówił co do mnie, nowe mury pokazywał, o matkę pytał, a ja chciałam do króla biec! Próbował ze śmiechem mnie wstrzymać, ale po chwili wbiegałam już po starych, wąskich, kamiennych schodach na drewniane, rozeschnięte, trzeszczące krużganki chroniące wejście do jedyńskich ocalałych komnat po rozszalałych płomieniach. Nie zważając na dworaków, duchownych i robotników, załomotałam otwartymi dłońmi w okute żelazem drzwi. Roześmiana jeszcze odwróciłam się i spojrzałam w dół na Zygmunta. Uśmiechnięty uniósł do mnie rękę. Na niego, co raczej milczał, niż mówił, gest ten znaczył wielką radość. To dzięki niemu poznałam Fryderyka i pewnie dzięki niemu matka w końcu dała swą zgodę. Dobry mój!

Pokojowcy otworzyli oba skrzydła drzwi. Wygładziłam suknię i zaczęłam na zapowiedź.

– Królowna Elżbieta, siostra wasza, panie – oznajmił cicho łożny, wybrany zapewne z najlepszego rodu w Koronie.

Weszłam do obszernej sali. Uderzył mnie ciepły zaduch i odbierająca dech ciemność. Przez chwilę mej radości zapomniałam, że noszę czerni, że królową tyle co pochowaliśmy, a król umrze lada dzień.

– Aleksandrze... – odezwałam się cicho i ostrożnie podeszłam do zasłanego futrami i złotogłowiem⁹ łoża.

Mały pacholik usłużnie podał mi świecę. Jej blask oświetlił upiorną twarz brata. Wychudłą, wpół martwą i bladą.

– Halszka... – Próbował się uśmiechnąć.

Przez chwilę pożałowałam, że zakłócam mu spokój, gdy tak cierpiał.

– Raduję się... – Dokończył z trudem: – Za mąż idziesz. – Próbował się unieść. Wysilek wykrzywił mu twarz. Dwóch roślących pokojowców pochwyciło go pod ramiona i bez nijakiego wysiłku podciągnęło odrobinę wyżej, na poduszki.

Przysiadłam u wezgłowia i ucisnęłam mokrą i zimną rękę brata.

– To wiesz już? – zapytałam.

Uniósł tylko prawy, drżący kącik ust.

– Umowę podpisałem – mówił niewyraźnie.

– Już? – Nie mogłam uwierzyć.

– Przed pogrzebem. Mateczki.

Zimna struga spłynęła po mych plecach.

Chwyciłam jego obie ręce.

– Z Fryderykiem legnickim? – wyszeptałam.

Próbował skupić na mnie wzrok.

– Nie. Z Bogdanem. Hospodarem. Mołdawskim.

Zerwałam się z łoża.

– Aleksandrze! – krzyknęłam.

– Sejm radomski. Dla pokoju na Pokuciu. Decyzję podjął... – mówił z trudem.

– Wyjdź, Elżbieto! – zawołała, nie patrząc na mnie, Helena, która wypłynawszy z dusznych ciemności, zjawiała się obok męża. Wielka księżna litewska przypadła do jego boku, uniosła i ucałowała z czułością jego bladą dłoń o długich palcach.

– Aleksandrze, nie pozwól! – zawołałam zrozpaczona.

Próbował co do mnie jeszcze powiedzieć.

– Wyjdź! – syknęła Helena, patrząc na mnie z niechęcią, zasłoniwszy sobą męża.

Świeca drżała w mej ręce. Chciałam krzyknąć, rzucić się na króla, jego małżonkę i rozerwać zębami ich szyje! Odebrali mi życie, odebrali mi głos! Gorące krople wosku, upadając na mą dłoń, sprawiały mi ból, jakby wymierzały mi razy w twarz. Cicho powtórzyłam wierszyk, który do opamiętania niewiasty z mego rodu przywodził.

Jedna grudka, druga grudka, wszystkie grudki do ogródka.

Trzecia grudka, czwarta grudka, znowu grudki do ogródka...

Złapałam oddech, oddałam światło, skłoniłam się i powoli wyszłam z komnaty.

Zeszłam godnie po schodach.

– Stało się co? – zapytał Zygmunt, widząc mą bladość.

– Oddał mnie Mołdawianinowi.

Szedł bez słowa za mną do domu.

Kiedy weszłam, znowu rzuciłam się biegiem po schodach, mijając zaskoczonych dworzan i dwórki. Trzasnęłam drzwiami na piętrze. Za mną po chwili wszedł cicho Zygmunt i starannie zamknął drzwi za sobą, odsyłając odźwiernego.

Chodziłam po pokoju, nie mogłam tchu złapać.

– Nie chcę! Nie chcę! Matka mi wybaczyła i zezwoliła! Zezwoliła! Pojmujesz? – krzyczałam mu w twarz.

– Nie krzycz... Nie krzycz... – Patrzył z niechęcią na mój wybuch. Nie lubił krzyków. Zawsze mówił, że od tego boli go głowa. – Halszko... – Przyciągnął mnie do siebie jednym ruchem i przygarnął do swojej miękkiej i pachnącej cynamonem brody. – Cicho, cicho – szeptał, kiedy rozszlochałam się jak dziecko.

Kiedy uspokoiłam się, usadził mnie na drewnianej skrzyni.

– Już, sestro... Dość. Ja mówić będę z Aleksandrem.

– Wybacz, Zygmuncie – powiedziałam cicho.

Zaczął zgarbiony skubać dolną wargę.

– Jam jest sprawcą twego szczęścia i nieszczęścia.

Złościłam się, ale przecie nie na ukochanego brata. Miłowałam go nad życie. Dziw, że mąż tak potężny, w smutki i melancholię szybko popadał, a każde słowo bolało go nie mniej niż niewiastkę.

– Tyś mi bratem najmilejszym i wdzięczna będę ci po grób za Fryderyka. – Chwyciłam jego dłoń. – Teraz poradź, co zrobić, bym za Mołdawianina nie poszła.

Wstał i zaczął patrzeć niewidzącym wzrokiem w jedyne okno wolne od czarnej zasłony. Znowu poskubał wargę i powiedział, zanim cicho wyszedł:

– A poradzę.

Zaraz po Zygmuncie do komnatki wsunęła się Regina i przed nosem zamknęła drzwi mej ochmistryni Barbarze Rabsztyńskiej.

– Nos jej kiedy przytnę z tej ciekawości... – syknęła stara przyjaciółka. – Cóż tam zaszło w komnatach królewskich? Krzyczałaś, aż cię u ołtarza Świętego Michała¹⁰ słychać było.

– A to pono Rabsztyńska ciekawska, nie ty – odpowiedziałam.

– Ja?! – Dotknęła oburzona nabrzmiąłych piersi i z ulgą przysiadła na skrzyni, na której uprzednio siedział Zygmunt.

– Aleksander umowę ślubną podpisał z Bogdanem Jednookim – powiedziałam głośno. – A nie może to być! – Zaciskałam i prostowałam palce. – Przecie królowa nawet za życia odmówiła Bogdanowi!

– Wiem, słyszałam... – Machnęła ręką. – Aleksander wojnę z Moskwą ma nad głową, to i Mołdawię łatwym sposobem ułagodził.

– Łatwym sposobem?! – Omal nie udusiłam się z oburzenia.

– Idę do domu. – Brzemienna przyjaciółka podniosła się ciężko, nieczuła na me żale.

– Już? Idź, idź! I nie przychodź dzisiaj więcej!

– Wyjdiesz za Fryderyka, wyjdiesz... – powiedziała obojętnie, jakby chciała mnie rozjuszyć na odchodnym, upychając jasne włosy pod obszernym, powietrzem wypełnionym białym czepcem ozdobionym perłami.

Cały dzień niecierpliwie czekałam na wieści od Zygmunta! Mówił z Aleksandrem czy nie mówił? Przełknęłam na późnej cenie¹¹ tylko kawałek ryby w wiśniowej galarecie, upiłam łyk wina i patrzyłam w drzwi naprzeciw mego stołu. Dzień miał się ku zachodowi, a namiestnik Śląska nie śpieszył się z powtórnią wizytą. Pewnie Helena wstrzymuje widzenie! Rozeźlona wrzuciłam nadgryziony kawałek chleba z powrotem do srebrnego kosza. Rabsztyńska spojrzała na mnie z urazą.

Nie mogłam strzymać niepewności.

– Lektykę pod myńcę! – zawołałam, na co mały płowowłosy i czujny pacholik wybiegł z komnaty, by spełnić me życzenie.

Po niedługiej przejażdżce wyskoczyłam przed okazałą, dwupiętrową kamienicą Bara.

– To tutaj być musi... – szepnęłam do siebie.

Zawodząca i rojna ciżba ludzka zastawiała wejście. Kwestarze, zakonnicy, pielgrzymi, mnisi, żacy, kaleki i inni ukrzywdzeni, zwiedziawszy się o tym, że Zygmunt zjechał, dopraszali się łaski dobrego pana. Brat mój jako gorliwy chrześcijanin nikogo bez wsparcia nigdy nie ostawił. To i ciągnęli za nim od Budy, przez Kraków do Głogowa i z powrotem.

Znany mi konny *cubicularius*¹² brata, Potocki, kazał odebrać ode mnie ciepłą szubkę i dał znak innym zbrojnym sługom Zygmunta, by mnie do

niego przeprowadzili. Uniosłam suknię, wspięłam się na mostek nad wysokim, drewnianym przyziemiem i weszłam pod okazałe arkady. Pacholik wprowadził mnie do sypialni Zygmunta. Komnatka była trzy razy mniejsza od mojej, z jedną skrzynią i wąskim łóżem z pękatym siennikiem. Oparte o łóżko stały stary miecz i kusza. Na ścianie wisiał kołczan wypełniony strzałami. Nie było kobierców, szkła, złota, srebra ni kwiatów.

Łożny pomagał królewiczowi przebrać się za aksamitną oponą.

– Elżbieta? – usłyszałam zdziwiony głos brata. – Skąd...

– Och, jakże miałabym nie wiedzieć. – Zgadywałam, o co chce zapytać. – Znaki twoje wiszą z okien, a i tłum imię tve krzyczy głośniejsz niż dzwony. Zresztą cały Kraków mówi, że królewicz nie na zamku mieszka, jeno w kamienicy, jakby miejsca dla niego w domu własnym nie było.

Podeszłam i dotknęłam misternego złotego haftu na grubej zasłonie.

– Zaczekaj, Elżbieto – usłyszałam jego stanowcze życzenie.

Zygmunt nie lubił, kiedy kto go widział nieubranego. Myślałby kto! Żaden z mych braci takich fanaberii nie czynił, a pono nasz dziad Jogajła goły chodzić potrafił cały dzień! No, niechże już kończy! Opadłam niepoczyszona na krzesło z wysokim oparciem.

Wyszedł wreszcie gotowy jak na jaką ucztę wystawną w długiej szubie z zielonego, tłoczonego aksamitu, strojem na pamięć ojca naszego mi przywodząc.

– Wyjeżdżasz? – zapytałam zdziwiona.

– Nie.

Rozejrzałam się ciekawie, szukając niewieścich drobiazgów.

– Nie ma jej?

– Nie ma.

– A gdzie?

– W Głogowie – zgadywał, o kogo pytam. – Przyjechałem sam. Do Jana.

– Do synka? Matka nie chciała go odwiedzić?

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Niezwyczajnym jest u ciebie tyle pytań wyrzucać.

Zniecierpliwiona podeszłam do brata.

– Nie myślałeś przyjść dzisiaj do mnie? Mówiłeś z Aleksandrem?

– Mówiłem.

– Zygmuncie!

– Wybacz, siostrze, Aleksander wyjeżdża na Litwę.

– Wyjeżdża?! Ale co ze mną?

– Obiecał pochylić się nad tym.

Pozwolił zarzucić sobie na ramiona ciężki, czarny futrzany kołnierz do zielonej szuby, a na każdy palec po pierścieniu. Nakładając obszyte granatami rękawice, podszedł do mnie wolno.

– Nie myśl o tym, Halszko. To ja się nad tym pochylę. – Pocałował mnie w czoło.

– Ty? Dlaczego ty?

– Bo ja – odpowiedział i opuścił komnatę.

*

Rano ceniłam sobie ten moment, kiedy jeszcze ponure myśli spały i człek miał siłę wstawać. Rozejrzałam się po komnatce. Oprócz starego wąskiego i wysokiego łóża pod ścianą, na swym miejscu naprzeciw, od zawsze stała skrzynia po babce Sonce z malowaną historią o królu Arturze, przy niej stół dębowy przykryty kobiercem wileńskim, dwa krzesła, mały stolik między dużymi oknami, a pośrodku duże, moszczone, o krótkich

nogach siedzisko, o które spierała się ma siostra Barbara, idąc za męż, ale pamiątka po naszym ojcu ostała się mnie. Prócz nadań i klejnotów po matce.

– Dziesiąty dzień bez listu od Fryderyka. Dlaczego? Stało się co złego? – mówiłam cicho do siebie, tak by służba nie zwiedziała się, żem obudzona i by za szybko do środka nie weszła, odbierając mi chwile, kiedy samą być mogłam. – Tubatores?! – zawołałam na dźwięk królewskich trąb i przysiadłam na łożu.

– Cóż to?! – zawołałam do Rabsztyńskiej chodzącej za drzwiami.

– Cóż to?! – Czujna powtórzyła moje pytanie w głąb korytarza.

– Król wyjeżdża! – zakrzyknął ktoś, nie racząc się nawet pojawić w komnacie.

– Sam?! – Wychylałam się z łoża i wołałam jak przekupka.

– Nie, ale księżna jeszcze nie ruszyła! – odpowiedział męski głos.

Wciągnęłam na siebie śpiesznie dwie koszule, prostą suknię przez głowę i zarzuciłam rańtuch¹³ na ramiona, po czym wyśliznęłam się z domu. Kiedy orszak Aleksandra minął mój dom, uniosłam w geście pozdrowienia dłoń w stronę siedzącego na koniu brata zakutego w zbroję. Nie odwzajemnił gestu. Widać, jak ważna byłam dla niego...

Helena! Musiała wiedzieć, co postanowił! Wiedziona nadzieją, pośpieszyłam w stronę zamku. Minęłam budynek bramny i wspięłam się po starych schodach. Nikt już nie pilnował drzwi. Samotne, czarne zawieszania unosiły się na wietrze, jakby zerwać się chciały znad progu i z wiatrem lecieć za odjeżdżającym.

W ogołoczonej ze sprzętów sypialni królewskiej ujrzałam księżną w szerokiej, ruskiej, podróżnej szubie siedzącą na ostatym małym stołku. Gdyby nie jej zwyczaj przysiadania przed podróżą, pewnie bym jej już nie zastała.

– Nie razem? Czemuż to osobno jedziecie? – zapytałam.

Nie patrzyła nawet w moją stronę i nie poruszała się. Siedziała z dłońmi na kolanach.

– Heleno? – zapytałam niepewnie.

– Nie było go.

– Kogo? Gdzie?

– Aleksandra. Nie było go w orszaku.

Przysiadłam przy niej.

– Co ty mówisz?!

– Wyjechał nocą.

– Dlaczego?

– Nie mógł jechać konno. Musiał jechać na leżąco – wyszeptała i ukryła twarz w wychudłych dłoniach. – Nie chciał, by kto to widział!

Dotknęłam jej ręki.

– Heleno, czy król mówił co o mnie?

– Co? – Odjęła dłonie od twarzy i patrzyła nierozumiejąco. Niegdyś najpiękniejsze czarne oczy na świecie dziś straszły gorączką w chudej, białej twarzy.

– Czy mówił co o moim małżeństwie?

– Nie.

– Nie mówił?

Zerwała się z krzesła.

– Elżbieto, on umiera!

W jednej chwili wszelka nadzieja opuściła mą duszę. Matka nie żyła, jam tylko niewiastą, do tego ostatnią z jej trzynastorga dzieci. Aleksander ma Moskwę na barkach, a ja...

– Heleno, pomóż mi – spróbowałam ostatni raz.

- Nie słuchasz mnie, Elżbieto!
- Robię to dla miłowania!
- Ja też mówię o miłowaniu! – zawołała rozpaczliwie.

Na nic były moje prośby. Skłoniłam się i wyszłam. Kręciło mi się w głowie i tłumiłam w piersi szloch. Wolno schodziłam po schodach, a wrażenie miałam, że z każdym krokiem zanurzam się w jakąś dławiącą głębię i tonę. Toną!

Jedna grudka, druga grudka, wszystkie grudki do ogródka.

Trzecia grudka, czwarta grudka, znowu grudki do ogródka...

Kolebka księżnejomal nie przejechała mi po stopach. To koniec. Czas mi było do Mołdawii.

*

Kolejnego dnia obudził mnie śpiew ptaków. Jedenasty dzień bez listu.

– Teraz *capella*... – szepnęłam, nie otwierając oczu.

Jak na życzenie moje odezwał się w katedrze chór męskich głosów.

– Teraz wóz...

Usłyszałam turkot kół spod budynku bramnego.

– Teraz Regina...

I usłyszałam leciutkie pukanie do drewnianych podwójnych drzwi.

Westchnęłam głośno.

– Wejdz, kochana! – zawołałam i usiadłam na wysokim łożu.

– List – oznajmiła przyjaciółka zaróżowiona od wrześniego wiatru. Ładnie wyglądała w nowej błękitnej sukni pasującej do jej dużych oczu. Brzemienność, jak sama mówiła, nie ciążyła jej w nadmiarze.

– List?! – Chciwie wyciągnęłam dłoń.

Ujrzałam znak Zygmunta na jasnym, złożonym arkusiku. Nie od Fryderyka, ale cieszył równie mocno.

– Pewnie wieści ma od Aleksandra! – Uśmiechnęłam się do Reginy.

– I? – Śledziła moje ruchy, kiedy czytałam. – Mów! – przyjaciółka niecierpliwie dopytywała.

– Zapowiedział się na prandium – odrzekłam smutno. – Nic więcej.

– To pewnie wieści tak ważkie, że w piśmie ująć ich nie można! – pocieszała. – A co może być ważniejsze niż ślub królowej?

– Zależy z kim... Ale nic to! Trza stoły przysposobić. Ludzi zaraz pewnie przywiedzie. Ze setką głów!

Rabsztyńska, jakby rzeczywiście ucho i oko do szczelin w drzwiach przykładła, w przyległej sali jęła wydawać rozkazy obruśnym i leniwemu fraucymerowi. Mojego wieku to była niewiasta, ale nie mniej sroga i milcząca niżli stare matrony, zgaszone wiekiem i chorobami. Może dlatego, że niedawno wdową ostała po marszałku koronnym Rabsztyńskim i dusza poraniona goiła się dopiero? Choć odkąd ją przy matce pamiętam, to zawsze niewiele mówiła i wcale się nie śmiała, czytaniem lub modlitwą gorliwą jeno zajęta.

Regina pomogła mi się ubrać i przeszłam do sali. Kłótnia powstała między obruśnymi i pannami o płachty cennego jedwabiu, które dziewczki rzekomo źle rozłożą i nie daj Panie, podrażnią materię, nim ta trafi na stoły. Lament powstał i tylko różga wysokiej, chudej i czarnowłosej Barbary Rabsztyńskiej rozdająca razy po palcach sług i młodych dam spokój przywróciła. Jedynie bladokóra Zosia Targowicka, obojętna na krzyki, przeglądała się z zadowoleniem w małym zwierciadle pod oknem. Niemal czerwone włosy, dziś z nową modą pożądane na każdym dworze, o dumę ją przyprawiały, a o zazdrość inne dwórki. Pewnie zwiedziła się, że

Szydłowiecki przybędzie z Zygmuntem. Po prawdzie wiadomo było, że panowie wszędzie bywali razem.

Zjechali wreszcie i trzecia to godzina za stołem biegła, a Zygmunt dotąd do mnie nie przemówił. Jeść nie mogłam, patrzyłam na niego przez nietknięty stos czerwonych raków w maśle. Brat, wielki jak góra, siedział bogato odziany, ale zawsze zdało się, że szaty na nim ciasne były, jakby siła jakaś tajona materię na nim rozpierała. Moc nieznana ciągnęła ku niemu niewiasty, jak dzieci do łakoci, a on wierny słowom, że z cudzego nie bierze i innemu wziąć nie pozwoli, jednej był wierny całe życie. Nieważne czy w rozpustnej Budzie siedział, czy na Śląsku, czy bawił w Krakowie.

Za stołem chudy Szydłowiecki, o cienkiej szyi i szerokiej kwadratowej twarzy, mówił coś do namiestnika Śląska, mrużąc oczy za każdym wypowiedzianym słowem, jakby wagę każdemu wyrazowi chciał nadać. Zygmunt marszczył brwi, łowiąc słowa przyjaciela, bo pijany Krzycki wrzeszczał z kolei do drugiego jego ucha. Nigdy nie wiedziałam, czy opilec prawdę mówi, czy kłamie, bo ciemne oczy siostrzeńca Tomickiego, dawnego kanclerza brata mego kardynała Fryderyka, zdawały się zawsze drwić z tego, na którego patrzyły.

Po prawdzie wszyscy już krzyczeli. Pijani do trzeźwych, a trzeźwi do opilców, by zamilkli. Harmider narastał wraz z niezliczoną rzeszą wypitych trunków i wyjedzonych półgęsków.

Bałam się, że sama zaraz krzyczeć zacznę, kiedy pokojowiec medyka Koszyrskiego, najwięcej wrzeszczącego ze wszystkich, szepnął mu co na ucho, a ten wyraźnie ucieszony poderwał się i uderzył w dłonie.

– Muzykant! – zawołał.

Wprowadzono garbatego, chudego chłopca dźwigającego pękata beczkę. Nawet pijańcy zamilkli na widok jego czapki z naszytymi na niej

kocimi uszami i za dużej kamizeli z kociej skórki wiszącej na krzywych plecach.

Młodzian pewnie postawił na jedwabnym obrusie starą baryłkę i przez otwory nad krągłym dnem jął wyciągać ruchliwe kocie ogony barwione w różne kolory.

Koszyrski podskakiwał, klaskał, obnażywszy chude ręce po łokcie pokryte strupami nie wiedzieć od czego i popędzał kociego muzykanta.

Naraz tumult się w beczce uczynił i koci mistrz musiał zanurkować w jej wnętrzu wśród syków i miauknięć, ku uciechu pijanych gości. W końcu chłopak wyprostował się i jął pociągać za wystające kocie ogony! Zwierzęta wewnątrz zaczęły wydawać przeróżne dźwięki w rytm szatańskich szarpnięć. Chłopak coraz szybciej poruszał się przy beczce. Ujrzałam krople potu na jego brudnym czole i krwawe pręgi na równie brudnych rękach! Gawiedź wyła z zachwytem, Zygmunt rechotał razem z innymi.

Już chciałam uciec od stołu, kiedy następny pokojowiec pochylił się do królewicza. Ten zaraz rzucił coś do Szydłowieckiego, na co możny powstał poblądły i zawołał:

– Iwan Srogi, pan Moskwy, nie żyje!

Krzyk i lament, jakby Wasyl, syn Iwana, stał już pod Krakowem, poderwały zebranych. Prawie wszyscy z trwogi wybiegli na podwórzec wołać Boga z uniesionymi dłońmi lub szukać nie wiadomo czego u niego w katedrze. Biskup Lubrański został. Dolał sobie więcej, moszcząc się wygodniej na krześle, a inny Wielkopolanin, wojewoda poznański Andrzej Szamotulski, przypił do niego, westchnąwszy z zadowoleniem. Upojony winem Dantyszek, zdolny pisarz królewski, który nie wiedzieć czemu ostał się w Krakowie, kiwał się nad brudnym talerzem i w końcu zwał się z hukiem pod stół.

Próbowałam przepchnąć się do wyjścia, kiedy drogę zagroził mi pijany Krzycki. Nabrał powietrza, chwiał się przez chwilę, jakby ważył, czy wymiotować, czy przemówić, ale w końcu wybełkotał mi w twarz:

– Jesteś pani zbiorem planet.

Po czym skłonił się i wytoczył na sztywnych nogach za Zygmuntem.

Wyszłam z dusznej sali do rzeźwego i cichego pokoju matki, wolnego od bezeceństw mężów niby to oświeconych! Każdy z nich przecie w Italii kształcony! Każdy jak nie filozof, poeta, to lekarz, jurysta albo wszystko na raz! Nadziwić się nie mogłam, jak ludzie światła dostępujący w plugawe bestie zmieniali się na życzenie własne i za przyzwoleniem innych! Jakby chwając człeka w sobie, za ludzkie mieli pijaństwo, rozpustę i puszczenie gazów przodem. Czy to nie grzech, dostając od Boga i losu wszystko, rzucać się na stos wymiocin i wyziewów? To znaczyło człkiem być wolnym? Gdybyż niewiasta tyle dostać mogła! Naukę pewnie jaką by wybrała, miast jeno litery poznawać albo nici i igły! Ile by pokazać mogła! Chociaż... Siadają niewiasty z nimi. Nie przeszkadza im odór pijaniców. Są takie, co i z nimi piją! Siostry Zagórskie, wdowa Miłoska... Murwa¹⁴ Zygmunta...

Usiadłam, opadłam na oparcie wysokiego krzesła i wsparłam rękę o krawędź stołu. Rozejrzałam się po znanych mi sprzętach. Duże okno z barwionymi na zielono szybkami w kształcie dębowych listków przepuszczało niewiele światła. Sypialnia królowej surowego i prostego była wystroju; dwie stare skrzynie na książki pod krótszą ścianą, dwie pochyłe półki nad nimi i pulpit do czytania bez stołka. Królowej na myśl by nie przyszło, by przy czytaniu siedzieć. Zbytym szacunkiem książki wszelakie obdarzała. Pośrodku komnaty stały dwa krzesła przy stole i jeszcze jedno pod oknem. Suta, zielona opona na dłuższej ścianie wisiała naprzeciw okna i przy wąskim łożu druga, ale złota.

Tu nikt nie upijał się, nie śmiałyby! A czyż człowieka tu nie było? Był! Tu sam człowiek! Dobro, mądrość i miłosierdzie ostało po matce. Wszelkie plugastwo zdychało po przekroczeniu progu komnat królowej.

...A teraz królowej już nie ma...

I Iwan umarł, ojciec Heleny. Teraz nic nie stało na przeszkodzie, żeby wielka księżna katoliczką została i wreszcie królową Polski. Teraz to okazać się może, czy po prawdzie tylko ojciec jej zabraniał wiary prawosławnej się wyrzec, czy to ona sama nie chciała. Czy tylko, jak mówił, w obronie wiary swej córę wojnę wiódł moskwianin? Czy syn jego, po nim, bić się dalej będzie? Pewnym było jedno: że nikt teraz zajmować się moim zamążpójściem nie zamierzał i nie mam prawa nikogo o nic prosić! Wszak król Aleksander dźwigać musi swoje troski... Czy Zygmunt za nim pojechał?

Spojrzałam w sufit.

– Matko, Boże, cóż mnie robić? Po cóż samą mnie ostawiliście?

Matki jako i Boga tam nie ujrzałam.

Przez chwilę patrzyłam na puste, wysokie krzesło za stołem naprzeciw mnie. Zdało mi się, że ona patrzy na mnie swoim szarym, pełnym przekory spojrzeniem, z mocno przekrzywioną głową. Lekko skrzycona, by garbu nie ucisnąć, uśmiecha się delikatnie i zaraz próbuje ściągnąć usta, by ukryć za duże zęby.

Przesunęłam rękę po stole w stronę widma, jakbym chciała pochwycić jej dłoń.

– Nie chciałaś, bym za Bogdana wychodziła. Dałaś przyzwolenie swoje na ślub z Fryderykiem. – Opadłam z powrotem na oparcie i przemówiłam po chwili. – Nie wyjdę za Bogdana. Fryderyk mężem moim zostanie albo nikt – wypowiedziałam na głos.

*

Rankiem znowu przywitała mnie smutna myśl. Dwunasty dzień bez listu od Fryderyka... Otuliłam się ciaśniej miękką kołdrą. Zimny wrześnieowy dzień kusił, by w łożu ostać, ale modlitwa wzywała do kaplicy rodzicieli. List zawsze koił strachy, balsamem słodkim był jako te modlitwy, a że listów nie było, jeno Bóg spokój duszy i radość choć na chwilę mógł przynieść. Westchnęłam, odrzuciłam okrycie i pozwoliłam się ubrać.

Ciepło odziana przeszłam kilka kroków do południowego wejścia katedry i zaraz znalazłam się przy prostej tumbie mej matki, przybranej jeno w złotogłów. Przeżegnałam się, wymówiłam kilka ciepłych słów powitania i odwróciłam się, by dotknąć twarzy mego ojca skamieniałej w cierpieniu. Dziw brał, że wyglądał jak żyw, chociaż po prawdzie musiał tak wyglądać, skoro go mistrz Stwosz rzeźbił.

Uklękałam wreszcie na kamiennej podłodze przy ołtarzu Matki Boskiej Bolesnej, obserwując krzątanicę ośmiu *capellae* przy codziennym oficjum. Palili grube, drogie świece, jedną po drugiej we wszystkich dziewiętnastu złotych i brązowych kandelabrach, pilnując, by gorzały do nocy, zgodnie z wolą matki. W polikandylionie¹⁵ zwisającym z sufitu również wszystkie z dziewiętnastu świec musiały płonąć. Przymknęłam oczy, kiedy duchowny zaczął mszę. Również za wolą królowej ceremonię sprawował „bez pośpiechu, pobieżności, ale i nadmiernej ociążałości”.

Po nabożeństwie wyszłam przed katedrę, by z czuwającą pod murem Rabsztyńską wrócić na prandium. Na piętrze domu ujrzałam w zielonym oknie siedzącego kota mej matki. Przypomniałam sobie wstrętne teatrum Koszyrskiego.

– Tego kociego muzykanta nie waź się puszczać na wzgórze – odezwałam się do ochmistrzyni.

Skinęła posłusznie głową.

– A jak się kiedy pojawi... – Poczułam twardy kamień pod miękkim butem.

– To go każe obić – odpowiedziała.

– Nie, kaź mu te rany opatrzyć. Gotów od nich żywota zakończyć.

– Tak, pani – zgodziła się bez protestu.

W komnatach zastałam fraucymer. Pięć niewiast moich i sześć ostałych po królowej. Panny i matrony stały w rzędzie z dłońmi w małdrzyk¹⁶ i buziami w ciup¹⁷, gotowe na nicnierobienie cały dzień.

*

Kolejnego ranka obudził mnie zapach jabłek. Wiedziałam, co to znaczyło! List! List od Fryderyka!

Poderwałam się, a uśmiech Reginy zaglądającej do sypialni utwierdził mnie tylko w mym szczęściu!

– Kto to widział, żeby ze Śląska wozić jabłka... W Krakowie niedobre? Dziwne to. Stara pani by na to nie zezwoliła... – gderą matrona Ciechanowska w małej sali. Mnie zaś dziwiło, jak niewiasta tak w latach posunięta dźwigać umiała stare, ciężkie spiczaste henniny¹⁸ na drżącej głowie i nielekkie, wełniane houppelande¹⁹ nawet latem.

– W koszyczku! – zdążyła szepnąć mi do ucha Regina.

Pomagała mi się ubrać, służki omiatały kurz, panny szlachetne zmieniały wodę w naczyniach na kwiaty, a ja nie odrywałam wzroku od pachnących owoców.

W końcu wszystkie niewiasty wyszły, a ja rzuciłam się do jabłek. Drżącymi rękami wyjęłam rumiano-żółte owoce, ale listu nie było!

Siły mnie opadły i wróciłam do łoża. Usłyszałam kroki. Jeśli to ochmistrzyni Rabsztyńska, to Pan mi świadkiem, że ją przepędzę i obić psiarcom karzę!

– Leżał w sieni. Dziękuj Panu, że to ja go pochwyciłam – powiedziała mi do ucha matrona Regina. – A zresztą po co to się tak ukrywać... Matce waszej już nikt nie powie.

– Daj! – Nie słuchałam jej.

Z tłukącym sercem przeczytałam słodkie słowa Fryderyka o wiecznej miłości i troskę o mariaż w Mołdawii.

– Miłuj mnie jeszcze! – zawołałam.

– A cóż by to musiało się stać, żeby przez tydzień miłowania miał zaprzestać?

– Przez dwa! – Uniosłam palec. – Dwanaście dni nie pisał.

Niegrzecznie przewróciła oczami. Obruszyłam się.

– Nie przewracaj, nie przewracaj, bo widzę. Tyś męzatka. I to tego, kogo wybrałaś.

– Też żoną być możesz.

– Ale nie tam, gdzie chcę.

– Ale za mąż pójść musisz.

– Muszę albo i nie.

– Niewiasta bez męża? Klasztor ci w głowie?

– Matka mi pozwoliła wybierać.

Roześmiała się obrzydliwie.

– Pozwoliła? Stara królowa?!

– Zapis mam! Pieniądze dostałam i klejnoty. I ziemię!

– Elżbieto!

– Złoto daje niewieście wolność, złoto rozgrzesza, złoto świadków oślepia i czyni niemymi. Nie wiesz? Do panien czas. – Zła zeskoczyłam z pościeli i razem z niewiastami, w kole, w małej sali zasiadłyśmy do haftu. I tak póki kark nie pęknie albo co ciekawego do ceny się nie wydarzy.

Na cenę właśnie szło, panny zaczęły się rozłazić, pokładać po skrzyniach i poduchach, kiedy przyszedł posłaniec od Zygmunta.

Pokłonił się nisko.

– Pan przekazać każe, że wyjeżdża – powiedział z wysoko uniesionym czołem.

– Dokąd? – zapytała w moim imieniu Regina.

Rabsztyńska odłożyła igłę i spojrzała na nią z niechęcią.

– Nie mówił – odpowiedział pokojowiec.

– To nie wiesz gdzie? – dopytywała Regina.

– Nie wiem, pani.

Uśmiechnęłam się do damy mojego małego dworu, wyjęłam małą monetę i wcisnęłam w dłoń posłańcowi.

Uklonił się prawie do ziemi i odrzekł rozpromieniony:

– Do Głogowa.

Odprawiłam chłopca zadowolona.

– Pieniądze niewieście wielce potrzebne. Nie tylko by się co zwiedzieć, ale by plany własne przeprowadzić.

– A jakież to plany ma królowna? – zapytała Regina.

– Wyjść za Fryderyka. Albo wolną ostać.

– I ubić Mołdawianina?

– To najpierwej!

– I kto go ubije?

– Kto? Kto? Bracia moi!

*

Nocą obudziła mnie Rabsztyńska i bicie dzwonów we wszystkich kościołach:

– Zbudź się pani! Wielka woda w Krakowie!

Ubrałam się i całą noc wraz z fraucymerem, pośród modlitwy, nasłuchiwałam huczącej groźnie Rudawy. Na niej to, nie na Wiśle, stały koła zamachowe szlifierni, foluszy²⁰, farbiarni i wszelkiego rzemiosła, które mocy machin potrzebowało do pracy. Gdyby woda zabrała koła, zabrałaby tym ludziom wszystko, niezgorzej niż zaraza!

Od świtu razem ze strwożonymi sługami, dworzanami i dwórkami cisnęłam się na murach, głośno wypowiadając słowa modlitwy do Matki Najświętszej, by w opiece ludzi miała. Wpatrywałyśmy się w mętną, brunatną, grzmiącą rzekę, jakby oczy nasze ochronić miały wielkie i małe drewniane okręgi, drżące i trzeszczące pod siłą wody. Krakowianie po drugiej stronie stali po brzegach, w oknach, siedzieli na dachach, jedni modląc się o pańskie miłosierdzie i zawodząc ze strachu, drudzy krzyżąc o sprawiedliwym sądzie boskim nad bogatymi, a jeszcze inni w ciszy stali jedynie dla widowiska, spokojni o swój dobytek bezpieczny w głębi miasta.

– Ludziom zakazcie stać po brzegach. Zwiedzcie się, czy gdzie zastawy nie porobione. Jak kto potajemnie rzekę grodzi, sądem królewskim straszyć. Uciszcie niewiasty, powiedzcie, że król już wie. Ukrzywdzić nie da – mówiłam spokojnie do burgrabi Milanowskiego, by nie widział mej trwogi i by jego jeszcze nie straszyć. Chociaż stary dworzanin, dawny podskarbi Aleksandra nie tak łatwo pewnie czego się lękał.

– Niżej, za miastem, nie tak dawno w latach, woda osad dziesięć zalała tak, że głód nastał wielki. Ludzie nie tylko psy i koty wyjedli, ale i dzieci

własne – powiedział ponury.

Regina za mną przeżegnała się z trwogą.

Spojrzał na nią z niechęcią.

– A i brzemiennie nic dobrego nie wróżą...

– Idź do domu – powiedziałam cicho do matrony. – Oddech złap. Dziecku nie szkodź.

Skłoniła się i zeszła ostrożnie po ceglanych schodach.

*

Chodziłam wzdłuż murów zamku, póki w południe woda nie zaczęła opadać. Bogu dzięki!

– Dzwony uciszcie. Ludziom każcie do domów wracać – powiedziałam do burgrabi na odchodnym.

Tylko skłonił się, zdjął futrzaną czapę i otarł z ulgą spotniałe czoło.

W końcu oderwałam wzrok od rzeki i spojrzałam w słońce. Pierwszy dzień bez listu od Fryderyka... Wczoraj tyle co do niego napisałam i zapewniłam, że za Mołdawianina nie wyjdę. Do Zygmunta napiszę zaraz, by na Boże Narodzenie zjechał, bo ckni mi się też bez niego.

Ludzi się jednak od razu naszło, tych co za murami mieszkali nad samą rzeką, o wspomóżenie prosić, o modlitwę i o garść zboża, a że sama ich wysłuchać chciałam, grosz rozdać i zapasy, dlatego dopiero wieczorem list do brata ukończyłam i złożyłam.

Nalałam wprawnie wosku i odbiłam swoją niewielką pieczęć. Ostrożnie przesunęłam zwitek na brzeg stołu. Jutro już każę posłać. Spojrzałam w okno. Noc prawie była i cisza trwała w domu, w mieście i na wzgórzu. Ludzie chyba obejrzeli szkody i poszli wreszcie spać z trwożną i dziękczynną modlitwą na ustach. Trzeba mi będzie pójść do miasta,

obaczyć, co tam zaszło dzisiaj, czy czego komu nie brak. I grosz jaki jeszcze rzucić.

Pacholęta spały znużone po kątach komnatki, żadna matrona nie wodziła już dzisiaj za mną wzrokiem. Sięgnęłam ostrożnie pod stos nierówno przyciętego, drogiego papieru. Wysunęłam ostatnie pismo od Fryderyka. Cicho rozłożyłam sztywny pergamin, wstrzymałam oddech, by ni słowa nie uronić z kartki. Znałam na pamięć ten list i każdy poprzedni, ale gdy do nich zaglądałam, zdało mi się, że widzę umiłowanego, że siedzi przy mnie, że twarz swoją zbliża do mojej! Na jedną chwilę przywołałam go, by zaraz obraz jego prysnął sprzed mych oczu jak dziwy alchemika, po to bym jeszcze goręcej pragnąć go widziała! Czarcie sztuczki...

Przeżegnałam się zamasyście, wstałam od stołu, uklękłam na twardym klęczniku i zmówiłam krótką modlitwę. Szybko zrzuciłam ciepłą szubkę z cienkiej koszuli, wskoczyłam do wysokiego łoża i szepnęłam:

– Bóg z tobą, Fryderyku...

Nocą śniłam, że Rudawa brudna, mętna i rycząca spienia się na nowo i dźwigając wielkie bałwany, wyżej i wyżej wspina się pod moje okno! Wdzierała się już brunatnymi strugami do komnaty, kiedy krzyk własny mnie przebudził i ujrzałam młodziutką służkę wlewającą czystą wodę do cebrzyka.

– Dzień piękny dał nam Pan! – zawołała uśmiechnięta.

Rabsztyńska podbiegła i jedną ręką zdzierała mi już w pośpiechu czepek, a drugą próbowała mi nałożyć drugi, jakby wstydem było komu pokazać moje jasne włosy.

– Trza nam do miasta – powiedziałam do niej.

Przestała wreszcie męczyć moją głowę.

– Do miasta?! Stara królowa...

– Trza. I jałmużniczki ze trzy weź. Ciężkie.

Na łożu jeszcze pochwycałam suknię od służki i nim stanęłam na podłodze, sama już wzułam odzienie na siebie. Odwróciłam się tylko do pulchnej dziewczki, by zasnurowała mi tasiemki na plecach.

– Ale po co jałmużniczki? – przemówiła łagodnie Rabsztyńska.

– Jako prawdziwa chrześcijanka, by wspomóc potrzebujących.

– Ale tam błoto... – próbowała mnie odwieść od wyprawy. – Nie jest bezpiecznie. Dziady obleżą i studenci.

– Taki ich przywilej.

Burczała dalej:

– Złodziejom²¹ i innym rzezimieszkom budy drewniane potopiło wczoraj za murem. Wyleżą dzisiaj pod nogi i ani się człek obejrzy, jak bez guzików do domu wróci.

– To głębiej schowam srebro.

Zimno było, ale w drogie szaty przywdziewać się nie chciałam. Włożyłam brunatną, wełnianą mante z kapturem, by na siebie czyjegoś afektu nie zwrócić albo nie dać się obrabować. Bo i przecie nie raz i niejednemu się zdarzyło. Rabsztyńska rację miała.

Wskazałam przed siebie.

– No! Wołaj ze trzech straży²², dwie panny i Łęczyckiego.

– Jego?

– Cóż przeciw niemu masz, Barbaro?

– Człek to dziwny. Szlachcic nie szlachcic... Włosy u niego jakby go matka z Maurem miała... Jak spojrzy...

– Ale posług wiele oddał jeszcze mej matce. A że patrzy... Pewnie ty złe oko mu puszczasz. No, wołać go każ!

Jedni mówili, że Kraków do liry podobny, bo na południu od cienkiej szyjki na północ w pękate brzucho przechodził. Drudzy mówili, że orła przypomina, gdzie szyja wąska od świętego Idziego, z głową jako Wawelem, idzie na północ i w rozłożyste skrzydła się zamienia, obejmując spiętrzone kamienice i wysokie hełmy kościołów podwójnym murem z fosą.

Może i miał skrzydła, ale ja z moją kompanią suchą stopą przeszłam już na Grodzką wypełnioną ogromnymi handlowymi wozami o masywnych kołach żelazem skuwanych. Ciągnęły wolno niczym wielkie, powolne zwierza na plac pod ratuszem, pod skórzanymi płachtami chowając cenny towar. Wyczekaliśmy przerwy między jadącymi i przebiegliśmy do Świętej Anny, potem do Szewskiej. Ulica wąska, wilgotna i cuchnąca mułem, jednym bajorem była, mając na człeka wysoko domy mokrym szlamem umazane. Wyciągano właśnie z głębokiej dziury konia, który pochrapując, ostatkiem sił dźwigał się nad krawędź zdradzieckiej, głębokiej kałuży pośrodku drogi. Bogaty jeździec do cennego pasa oblepiony błotem wściekły smagał zwierzę i lżył sługi ciągnące za uzdę zdychającego konia. Jeden z garbarów omiółł mnie surowym spojrzeniem, kiedy ostatnie kałuże wymiatał do spokojnej już rzeki na końcu ulicy za bramą. Wrócić kazałam, bo oczy bardziej złe niżli ciekawe zewsząd nas otaczać zaczęły. Po połamanych drewnianych dylach²³ zawróciłam do miasta.

– Do Świętego Ducha²⁴ – zarządziłam.

Minęłam gwarny, ciasny i rojny plac z kramami żelaznymi, maślnymi, powroźnymi, targ kurzy i węglowy. Od smatruza²⁵ na piętrze sukiennic doszedł mnie zapach korzeni kichlarskich²⁶, świec i chleba, a od kościoła Marii Panny mdły odór z jatek, oszczekiwanych przez psy stróżujące i mięso kradnące. Służki darły się przy rzapiach²⁷, że znowu wody

w mieście nie ma i na wozy pokrzykiwały wtaczające się na plac, dla których już miejsca nie starczało.

Był dzień targowy i mijane ulice drżały od krzyków, nawoływań, śmiechu kupców flamandzkich, węgierskich, walońskich, niemieckich i jakich kto chciał. Pełno było po ciasnych zakamarkach kramarzy w piwniczkach siedzących, wychylających się z okien albo stojących wprost na treście szkockich handlarzy paciorkami, futerałami i srebrnymi nożykami. Cudem było, że jeszcze gracze w kości, karty i kule jakie skrawki placu dla siebie wyszarpywali.

Bruk przy bramie Sławkowskiej dźwięczał od końskich kopyt, trzął się od brzęków, bicia, syków ognia tłumionego wodą z chatek kowali, ślusarzy, gwoździarzy, mosiężników i ludwisarzy. Uliczki, domki, lepianki, kamienice, piwiarnie, miodosytne i karczmy raczyły, jedna po drugiej, zapachem strawy smakowitej a prostej: kiełbasy smażonej z kapustą, wątroby z cebulą, gzelców²⁸ na palonym maśle, śledzi, słodkich jabłek, bułek, miodu, kwaśnego żuru, ziół, kwiatów, ale i straszyły odorem plugastwa naniesionego rzeką. Ludzkie mrowie przepychało się między sobą we wszystkie strony, roztrącając co słabszych i uboższych. Już dwóch duchownych w akademickich szatach okładało się po twarzach, już dwóch żaków turlało się w błocie, już dwie baby wzajem wzięły się za kudły, za potłuczone jaja w wielkich koszach. Jeny świny spokojnie zalegające pod każdym kościołem patrzyły złym okiem na ludzki żywioł. Na głupich *incolas*²⁹ i rozkrzyczanych *cives*³⁰.

– Mówią, że wyspę tatarską Rudawa zmyła i groby świeże ze sobą wzięła – szepnęła mi do ucha dwórka wystraszona ciasnotą i wrzaskiem na ulicach. – Że rurmus³¹ zatkały te trupy z wyspy!

– Rurmus stary, to się zatkał... – Chciałam jej co jeszcze rzec, kiedy doszedł nas radosny okrzyk białoskórników zza Szewskiej Bramy, którym

udało się postawić i wprawić w ruch na rzece wielkie stare koło górujące nad Krakowem.

Jako się spodziewałam, przy Floriańskiej już tłum sierot, chorych i kalek przez diabła szpetotą i chorobą naznaczonych, przez Boga zachowanych i proszących zmiłowania, grosza, czy jeno strawy, zagradzał dojście do szpitala. Szłam wolno, myśląc, czy kto ze zbierających datki chodzi między ulicami. W ciżbę pod szpitalem odwagi wbić się nie miałam.

Rozglądałam się czujnie, kiedy przede mną wyrósł barbakan – pękaty, rozdęty i śmiały. Zatrzymałam się i ze mną w ciszy cała moja kompanija. Pobudował go mój brat. Król Olbracht. Doszedł mnie zapach skisłego wina od pobliskiej karczmy.

– I pachnie jak Olbracht... – szepnęłam.

Przymknęłam powieki, by odegnąć smutne wspomnienia, kiedy naraz ktoś szarpnął mnie za rękaw szubki!

– Gdzie, hultaju! – ryknął Łęczycki. – Z drogi, bo zgniotę!

– Pani! – Mały jasnowłosy, brudny i chudy chłopiec nie chciał puścić materii i płakał rozdzierająco.

Jeden ze zbrojnych uderzył go mocno po palcach, a ten jakby bólu nie czuł, czerwoną dłoń jeszcze mocniej zacisnął na mym rękawie.

– Ostaw! – zawołałam do męża.

Puścił chłopca, ale niepoczyszony stanął za nim i chwycił go za kark.

– Kimżeś? Czemuż to płaczesz? – zapytałam malca.

Otarł łzy z brudnej twarzy, ale te jakby nie chciały przestać lecieć, zaraz wyrzeźbiły kolejną strugę na zapadniętych policzkach.

– Weź mnie, pani!

– Gdzież mam cię zabrać? Kimżeś pytam?

– Studentem!

Panny roześmiały się na cały głos. Na to ze złością zawołał głośniej:

– A tak! Studentem!

– Toż czemuś po pomoc nie poszedł do Świętego Rocha? Oni dla studentów.

Stał ze spuszczoną głową i wyburczał:

– Jam szlachcic. Baltazar Opeć. O jałmużnę nie proszę.

Zbrojny puścił kark kawalera i głośno wypuścił powietrze.

– A ile ci lat, kawalerze? – zapytałam.

– Dziewięć.

– Studentem jesteś, lat masz dziewięć...

– Czytać umiem! – wrzasnął.

Łęczycki trzepnął go w głowę.

Chudzielec chwycił się za ucho.

– Weź mnie, pani!

– A na co ty mnie?

– Do posługi! Darmo pieniędzy twych nie wezmę!

– Łaskawyś, panie...

Przyjrzałam się znajdzie. Odzienie na nim żywej jeszcze barwy było, niechudopacholskie, i dobre buty. Buzia ładna, spojrzenie zmyślne, nietępe. Kości proste. Pod brudną koszulą nic, jeno żebra. Mały był i trząśł się cały. Objął się rękami, jakby drżączkę chciał zatrzymać.

– To chodź – powiedziałam.

Panny z krzykiem do mnie przystąpiły, jakbym do podłej karczmy się wybierała.

– Weźmiesz?! – zawołał chłopak.

– Rzekłam.

– To czekaj, pani!

Odwrócił się i podbiegł do najbliższej kamienicy, wsunął się w piwniczne okienko i po chwili z czarnego otworu na błoto jakaś siła wyrzuciła dziewczynkę. Wyglądała jak martwa.

– Uciekajmy! Pani! – lamentowały panny i burknął co Łęczycki.

Sama omal nie upadłam, ale dziewczynka poruszyła się. Chłopak zwinnie wyskoczył z piwnicy i umierającą jak piórko uniósł z ziemi. Odwrócił się w moją stronę.

– Siostra. Ją też uratuj.

Skinęłam uroczyście głową.

– Ją też.

Dałam znak strażnikowi. Ten niechętnie, ale wziął małą na ręce.

Taką procesją, ściągając wzrok całego miasta, zaczęliśmy wspinać się na królewskie wzgórze.

– Służką u króla jesteś pani? A może królowy albo królewicza Zygmunta? – pytał stale drepczący obok siostry chłopiec.

– Nie pytaj tyle – powiedziałam, kiedyśmy do mojego domu doszli, a ostałe w domu dwórki i cała służba złożyła przede mną głęboki ukłon. – No i cóż? Wejdiesz waćpan? – Uśmiechnęłam się do pobladłego malca. Odwróciłam się do Rabsztyńskiej. – Dzieweczkę do pańienek służebnych. I medyka wezwać. Co do jedzenia na górę przynieś.

– Królowa by na to nie zezwoliła – odburknęła, kiedy oddałam jej wełnianą mante.

– Ja nie jestem królową, Barbaro – powiedziałam, uniosłam lekko suknię i wspierałam się na górę do komnat.

– Bracie! – zawołałam na widok Zygmunta raczącego się jakimś remedium z maleńkiej flaszeczki.

Gość wyciągnął do mnie ręce, a na jego widok Baltazar wchodzący za mną zemdlał, wydawszy strwożony okrzyk:

– Królewicz!

Zygmunt pochylił się nad chłopcem z uniesionymi ze zdziwienia brwiami i wzniosł małą buteleczkę w moją stronę.

– Syropu mu trza.

*

– Mów, kto wy? Ktoś ty? – pytałam chłopca w małej komnatce dla *iuniores*³² przy kuchni, kiedy już umyty i nakarmiony siedział nad chorą siostrą.

Z przestrachem patrzył na medyka Koszyrskiego w czarnej, lśniącej, drogiej szacie, chodzącego wokół leżącego dziecka.

– Rodziciele z majątku wyzuci, do miasta ruszyli. Robili srebro dla dworu – powiedział.

– Partacze³³... – mruknął jeden ze starszych chłopców wysokiego rodu.

– Do cechu się starali! – Baltazar powstał wzburzony. – Pomarli. Jeszcze brata miałem, ale tyle co też pomarł. A ona nie zemrze? – Spojrzał strwożony w oczy medyka.

– W Panu ufność mieć trzeba... Krwi nie puszczyć... Nie ma z czego... Z głodu spuchnięta... Jedno jajko rzadkie na dzień dawać. Nie więcej.

– Czegóż ona tak? Nie jadałaś z siostrą? – zapytałam.

Spuścił głowę.

– Odpowiedz, Baltazarze – mówiłam łagodnie.

– To nie ja... Stara jej nie dawała.

– Jaka stara? Dlaczego? – zapytałam.

Medyk spojrział na mnie.

– Zamtuzowa. To zamtuzowe dzieci.

Pochwycił rękę Baltazara, nim ją chłopiec zdążył cofnąć, i odsłonił blade i chude ramię, na którym widniało świeże, wypalone piętno.

Cisza nastała w komnacie. Trudno było mi rzec jakie słowo... Jeden z wyrostków od Szafranców burknął coś z pogardą.

Wstałam wzburzona.

– Zamtuzowe? Dzieci?! Trza wykupić! Wykupić niewinne! – Wskazałam palcem trzy ostale jałmużniczki na stole. – Za to pół miasta kupię! Idź! – Pchnęłam pieniądze w stronę Koszyrskiego.

Patrzył nieprzekonany. Drżały mi dłonie, kiedy wkładałam grosze w jego rękę.

– Wykup! Panie... Wykup... Przyprowadź...

Wyjął z jednego woreczka kilka monet. Jakby jeszcze powiedzieć co chciał, ale skłonił się i wyszedł. Panny służebne, kucharz, nawet Rabsztyńska milczały, ale jakby związane tajemnicą, której ja nie dostąpiłam. Panny szlachetne siedziały wtulone w siebie z otwartymi ustami. Kazałam je odesłać na piętro.

– Nie wiedziałam... Że dzieci... – szepnęłam, rozglądając się po poważnych twarzach.

– To i szczęście wasze, pani – powiedziała dziewczka od moich buczków.

Usiadłam i razem z milczącą służbą czekałam na powrót Koszyrskiego. Omal nie upadłam, kiedy medyk przyprowadził dziewięć dziewczynek i dwóch chłopców. Brudnych, barwiczka pomazanych, w ohydnych szatach nie dziecku ani nawet dorosłemu przystających. Patrzyły przed siebie jak martwe, jakby nieważne było, czy je kto ubije, ukrzywdzi czy wolno puści.

– Ta stara... Rzekła co? – zapytałam.

– A tak, rzekła. – Ruszył ku drzwiom, jeszcze sprawdził, czy jaka niewinna dusza z drugiej strony nie słucha, zamknął drzwi na skobel.

Służebne zasiadły za stołem do swojej roboty. Zasiadł i medyk i wreszcie wyrzucił z siebie:

– Co rzekła? Że grosz dobry. Dziewki zdrowe, podniebienia czyste, a jak zechcecie, to na jutro przyprowadzi jeszcze, tylko jej chłopak, co dziewczki sprowadza, gdzie uciekł. – Spojrzał tak, jak bym to ja wszystkiemu winna była.

– Na cóż... Podniebienia czyste? Po cóż?! – mamrotałam i rozglądałam się po twarzach niewiast. Powstały nagle, rozbiegły się do siekania, gotowania, mycia, zamiatania, szycia, rzucając sobie krótkie, porozumiewawcze spojrzenia. Kucharz zasiadł przy ogniu, tyłem do mnie.

Wolno wstałam i zeszywniała przysiadłam przy chorej dziewczynce. Czarne włosy tłuste i brudne przylepiały się do jej krągłego, spotniałego czoła. Nie widziałam jej oczu w opuchniętej buzi. Zimne palce delikatnie dotknęły mojej ręki. Pochwyciłam chudą rączkę.

– Czego byś chciała? – zapytałam.

Wyszeptała coś cichutko.

Pochyliłam się nad opuchniętymi ustami.

– Gwiazdy mierzyć – powtórzyła po rusku.

Wyprostowałam się, przełknęłam ślinę i powiedziałam do Koszyrskiego:

– Powiedz starej, że jak dzieci sprowadzać zacznie, to ją spalę.

– Dom nie jej... – rzekł kucharz, nie odwracając się do ognia. – A ona nie stara, z pięć lat starsza od chłopca.

– Toż mówiłam: Powiedz, że ją spalę. Nie dom. Ją.

Coś chyba szepnął do siebie.

Wstałam.

– Umyć dzieci i opatrzyć. Spać położyć. Jutro co obmyślę – powiedziałam, nim wyszłam do siebie.

Zygmunt czekał na mnie. Siedział na krześle ojca i patrzył surowo spod szerokich brwi.

– Nie tobie zajmować się zamtuzami.

– A dlaczegóż to nie mnie? Pomagać...

– Boś niewinna.

– Skąd wiesz?

– Elżbieto! – Przeraził mnie jego krzyk. – Chociaż nie ty!... Tylko nie ty!

Podszedł bliżej i pochwycił me dłonie.

– To plugastwo. Rajców to zadanie.

– Ale powinnością moją...

– Nie. Nie poradzisz. Nie na umysł twój.

– Ach, Zygmunco! Głupią jestem?

– Ohydy takiej nie dźwigniesz.

– Toż wiem, że dziecięcia na świecie jak kotów. Że dziewczki sprowadzane teraz, rok, dwa przed wiekiem sprawnym do roboty jak dla dorosłego męża. I ukrzywdzić każdy może, jak chce i kiedy chce. Głowę urwać, utopić w worku. Wiem to. A ty chronić mnie chcesz? Mnie?

– Boś niewiasta. Boś królewska córa.

– Przed tym co wszystkie służki wiedzą?

– Gdybyś żoną mi była, ani bym z tobą o tym mówił. Tu ani ty, ani żadna niewiasta nie poradzi. Nie chodź więcej do miasta. – Dźwignął się i wyszedł.

*

Rano tumult się zrobił na dole i krzyki usłyszałam, kiedy do pierwszej modlitwy klękałam. Odwróciłam się w stronę drzwi.

– Cóż tam zaszło?

Regina pobladła pochyliła się do mego ucha.

– Małe małpy uciekły. Dzieweczka zmarła.

Chwyciłam się struchlała za koszulę na piersi.

– Panie litościwy... Umarła? A Baltazar?

– Ranien. A dziewczeczkę ubiły.

Jakby mnie cios, piorun raził! Poderwałam się z klęcznika.

– Jak? Kto?

– Te małe...

– Ale...

– Uduśliły. Za starą na tobie się zemściły. Znaleźli rano dziewczeczkę. Sina już była. Stara uciekła z miasta ze swoim circusem.

Zasłoniłam usta. Regina patrzyła ze złością i syknęła mi do ucha:

– Bo ci się w Pana Boga bawić zachciało. I niebo z piekła czynić.

Dzień przesiedziałam cały w komnacie. Modliłam się, prosząc, by grzech pychy ze mnie zdjęto i wybaczone. Wielka sromota mnie jadła przed Zygmuntem, Baltazarem i sługami. Brat jeno zajrzał i bez słowa uścisnął me ramię. Do chłopca zesłam dopiero nocą. Leżał płasko z zamkniętymi oczami. Skórę na piersi mu jedna panienska zamtuzowa nożem naddarła. Młody Szafraniec spał na ławie, miast czuwać przy chłopcu. Obudziłam go.

– Widziałeś co nocą?

Usiadł i ziewał długo, nim przemówił:

– Nie.

– Ani nic słyszałeś?

– Nic nie słyszałem. Inni też nie. – Spojrzał na mnie hardo. – Awantura nie wiadomo o kogo.

– Wyjdź!

Powstał i wyszedł urażony. Przysiadłam przy Baltazarze.

– Tyś jest ten, co dziewczeczki łapał dla starej?

– Ja – wyszeptał cicho.

– A ona ci siostrą była?

– Nie. Dzieweczkę zawsze jaką dla serca skruszenia brałem. Raz inni, raz ja łapałem. Kraść mieliśmy albo posługę dać...

Zacisnęłam powieki.

– Chora była – powiedziałam.

– Była. Stara brać ją kazała. Mówiła, że woda szła zawczoraj i co czulsze matrony albo panny od Szilingów i Hersteinów³⁴ do miasta wyjdą z jałmużną.

– Czyj żeś?

– Wiecie pani. Nie kłamałem.

– Czemuś mnie nie okradł? Czemuś nie uciekł, a duszę byś jeszcze oddał?

– A nie wyrzucisz?

– Nie, Baltazarze.

– Boś królewna.

Uśmiechnęłam się.

– Uczyć się chcesz?

– Chcę – odpowiedział od razu.

– Na Akademię cię pošlę.

Otworzył oczy.

– Do tych, co po dachach biegają i mierzą gwiazdy?

– Do tych i może do innych.

– Boście królowna?

– Bom królowna.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Zawsze cię będę bronił – powiedział uroczyście.

Rzewność mnie zdjęła, bo teraz zdało mi się, że najwięcej pragnę, by to Fryderyk wypowiedział. By tu był i rzekł, że wszystko, co zrobiłam, było dobre.

Pochyliłam się nad chłopcem, bo dla otuchy dotknąć chciałam jego lica. Szarpnął się ze strachem i niechęcią.

– Wiem, Baltazarze... Wiem... – szepnęłam.

*

W niedzielę na sumę do katedry go zabrałam. Z podziwem patrzył, kiedy przy czytaniu Ewangelii panowie dworzanie z pochew wyjęli sztylety, miecze, by wznieść je na znak, że słowa bożego bronić będą zawsze i dziwował się wielce, gdy na znak pokuty i małości własnej obijali głóśno swe twarze.

Nagle jego buzia pobladła i jak stał, zaczął dygotać tak bardzo, że strużka cuchnąca spłynęła mu po pończochach. Panny, strwożone widokiem i żalem zdjęte, otoczyły kołem chłopca i wyprowadziły niezauważonego do domu.

– Mów... – przemówiłam łagodnie, kiedy przebrany już i smutny siedział na ławie w salce za kuchnią. – Ukrzywdził cię który z tamtych?

Przysiadłam obok. Pochylił się do mego ucha i wypowiedział nazwisko.

– Kto jeszcze? – zapytałam.

Pochylił się znowu. I jeszcze raz.

Teraz ja zaczęłam dygotać.

– Powiem bratu memu. Ukarze ich.

– Nie! – Poderwał się. – Odeślij mnie, pani. Nikogo oglądać nie chcę!
Oni tu przyjdą!

Spojrzałam na dziecko.

– Do bursy pójdziesz. – Otarłam twarz, by grozę odeprzeć sprzed oczu i zapytałam po chwili: – To czego uczyć się lubisz? – Uśmiechnęłam się i osuszyłam szybko ostatnie łzy.

Odezwał się dopiero po chwili.

– Po polsku czytanie mi się podoba.

Wyprostowałam się uradowana.

– Och, toż ja książki mam po polsku! Jeszcze po matce mojej i moje własne. Pokażę ci, kawalerze!

Chwyciłam go za rękaw i pociągnęłam na górę. Pierwszy raz usłyszałam, jak się śmieje. Sama z ciężkiej skrzyni jęłam wyciągać duże książki, pojedyncze karty i małe rulony.

– To kalendarze. Zobacz! Drukowane! – Rozwinęłam jeden. – Miesiące są po polsku.

Patrzył z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Od Hochfedera i Hallera?! Nigdy nie widział! Brudne! – zawołał, kiedy ciemny proszek pobrudził mu palce.

– A to modlitwy – wymówiłam z czcią i ostrożnie rozwinęłam kilka zwitków. – Jeszcze ćwiarteczki z pieśni nabożnymi, modlitewniki rycinowe... – mówiłam cicho wpatrzona w maleńkie śliczności. – Zobacz! – Uniosłam szary papierek. – *Czq̄nstochowam* – odczytałam nie bez trudu. – Spójrz, nawet pod „a” jest ogonek!

Jednak Baltazar już z szelestem przeglądał inne, duże karty. Zmarszczył czoło i czytał z wysiłkiem:

– *Był... w... rzymie... Papyesch... gymyenyem³⁵... Urban...* – To tak się drukuje? Polskimi literami? Można?

Roześmiałam się.

– A można, można!

*

– Po co mu uszy zostawili? – pytał Baltazar którego zimowego dnia, kiedy na podłodze bawił się z Burym. Ciało chłopcu przybyło i urósł trochę.

– Jak to uszy ostawili? – zapytałam i odłożyłam modlitewnik.

– Kotu, żeby z domu nie uciekał, uszy się u nas obcinało.

– Jakże to? – dopytywała Regina.

– No tak to jest: obcina się uszy, czeka na deszcz.

– Baltazarze! – zawołała oburzona Rabsztyńska.

– No tak! Wyjdzie taki na deszcz, do dziur mu napada i ucieknie zaraz do domu. I nigdzie już za drzwi nie pójdzie. Oczywiście! – Rozłożył ramiona i zawołał, jak miał w zwyczaju Zygmunt.

Książę nie kpił z krotochwil Baltazara, chmurny siedział. Odkąd wrócił z Głogowa, zamykał się z kanclerzem Łaskim i pisarzem Dantyszkiem w Kurzej Nodze. Wszyscy mówili, że Dantyszek na wszystkich najszlachetniejszych dworach przyjaciół ma i w każdej najpodlejszej karczmie, jaką wskażesz, od Rzymu do Miasta Konstantyna.

Kiedy wreszcie po wielu dniach brat raczył zawitać i do mnie, zapytałam, gdyśmy zostali sami:

– Do Aleksandra pisałeś w mojej rzeczy?

– Aleksander wie, że Mołdawianina nie chcesz.

Zacisnęłam dłonie na poręczach krzesła.

– Tyle tylko? Nic nie uczyni?

– Cierpliwości, siostró.

Westchnęłam głośno i przyciągnęłam krzesło bliżej niego.

– Leszczyńskiego posyłać chcesz na sejm lubelski. Glińskiego sprowadziłeś z Litwy. Wielkopolan na uczyty sprowadzasz. Szamotulskiego i Lubrańskiego. Znaczący ludzi na elekcję sposobisz? – zapytałam.

Spojrzał zdziwiony.

– Wiesz to?

– Wiem. Na dworze Rakuszanki się chowałam. Wiem, gdzie pytać i gdzie patrzeć. Zresztą wielki Gliński o dzikim wejrzaniu Tatarczuka nigdzie się nie ukryje.

Zygmunt zaśmiał się.

– Każda białka za nim oczami wodzi!

– Ja nie wodzę.

– A ty, Elżbieto, gniewasz się?

– Żeś mi wcześniej o przyjaciółkach w Wielkopolsce i na Litwie nie powiedział? Nie, Zygmunco. Wszyscy wiedzą, a i od niedawna głośno mówią, że Aleksander lada dzień zemrze. Normalna rzecz. Królem chcesz po Aleksandrze być.

– Powinienem. – Wsparł głowę o wysokie oparcie krzesła i przymknął oczy. – I chcę.

*

Popatrywałam w świąteczne dni na milczącego brata, którego żadnych innych planów nie zdradzał. Nie mówił ni co z Mazowszem, ni co ze

Śląskiem jako jego namiestnik uczyni jako król. Zachodził do mnie co wieczór, by w karty grać, ale jeno milczał albo śmiał się, kiedy wygrał.

W końcu to ja sama postanowiłam zwiedzić się, co zamierza.

– Tak... I twój nie tylko Kraków będzie. – Uśmiechnęłam się do brata, kiedy dwór mój mały i jego pacholeta ostawili nas samych. – Mówią, że Śląsk nam wrócisz.

Zmarszczył szerokie czoło, zdało się, że nad kartami zamyśla.

– Śląsk nie mój.

– Cóż to mówisz? Wszyscy wiedzą... I matka mówiła...

– Śląsk nie mój, Elżbieto. Do Władysława należy. Do brata naszego. Jemu nie wydrę. Ani to po chrześcijańsku, ani po rycersku.

– Jakże to? – Odstawiłam karty, odkrywając figury.

– A tak. Do Jagiellonów przecie należy.

– Ale przy tobie może zostać – odpowiedziałam.

– U Jagiellona zostanie.

– Zygmuncie!

– Nie desperuj – powiedział cicho, wyjął małą flaszeczkę z za bursztynowego guzika i upił z niej łyk.

Zerwałam się.

– Opium ci rozum odbiera! Panom i biskupom syropu zadaj, by ci zaś gardła za to zaniechanie nie rozszarpali, a ulegli jak pijańcy ostali!

Też odłożył karty.

– Słuszna rada siostrzana. W moim Głogowie działa.

– Co?

– Każdy w mieście syrop makowy kupić może i namiestnika bardzo za to chwali. – Powiedziawszy to, rozparł się wygodnie i po chwili usłyszałam donośne chrapanie.

Podniosłam się rozzłoszczona.

– Głupiec – szepnęłam i zajrzałam w karty brata. – Wygrałabym! –
Odrzuciłam je na stół i wyszłam.

*

List od mej umiłowanej siostry Zofii dostałam. Nigdy jej nie widziałam, ale dusze nasze zrosły się za sprawą Pana tak, jakbyśmy znały siebie wzajem bardzo dobrze. Była drugą zrodzoną z moich sióstr. Pierwsza, Jadwiga, nie żyła już i Anna, której tylko śliczny śmiech pamiętałam – też.

Zasiadłam w zakątku, lampkę kazałam zapalić, bo mimo że wczesna pora była, to grudniowy zmrok szybko zapadał. Baltazar, ku zgrozie Rabsztyńskiej, bitkę o palenie lampki z silniejszym i starszym pokojowcem wygrał, postawił przy mnie kubek wina i rodzynki, sam pochłaniając kilka.

Wyższy pokojowiec pojękiwał i rozcierał łokieć.

– Barbarus z ciebie, chłopcze... – szepnęłam do Baltazara. – Nie godzi się.

– Wcale nie, on tylko łój rozlewa, co potem cuchnie – powiedział równie cicho i naraz pochwycił się za ucho, bo rzemieniem dostał od ochmistrzyni. Twarz mu nagle pociemniała z gniewu, odwrócił się, pochwycił jej nahajkę i ku zgrozie wszystkich w komnacie wyrwał jej bat z rąk!

Łęczycki rzucił się ku niemu z krzykiem.

– Do lochu! – ryknął.

– Ostaw! – zawołałam. – A ty pani uważaj, gdzie bronią smagasz. Mnie uderzyć mogłaś i nie wiem, kto do lochu mógłby wtedy trafić.

Rabsztyńska, chyba pierwszy raz za swego żywota zbesztana, omal nie upadła. Poczzerwieniała stała, jakby tchu złapać zapomniała. Ktoś jej podał

stołek.

– Ty, Baltazarze, ochmistrzynię o wybaczenie błagaj i kuferek od księżnej Zofii mi podaj – powiedziałam ciągle zła, bo przykrość wszystkim sprawił. – A potem siadaj i się nie ruszaj do nocy najmniej!

Usłużnie pochylił się i ucałował rąbek sukni Rabsztyńskiej, przyniósł kufer i usiadł pod moim stołem. Albo mi się zdało, albo uśmiechał się szelma do pobitego pokojowca, złego Łęczyckiego i obrażonej Rabsztyńskiej. Cisza wreszcie nastąpiła.

Po prawdzie nie raz sama chciałam wstrętną nahajkę z rąk ochmistrzyni wyrwać, jako zrobił to Baltazar... Wyjęłam z kuferka atłasową koszulę od siostry i spojrzałam na podobiznę niewiasty na stoliku.

Ile razy w rękach miałam konterfekt Zofii, to widziała jeno wielkie oczy lękiem wypełnione i skurczone ramiona, jakby gdzie się schować chciała. I listy jej mimo radosnych tonów, zabawnych historyjek, pełne były strachów wiecznych o dzieci, męża pijańca, o mnie, o braci naszych i matkę. Ni od Olbrachta, ni Aleksandra nie dostała sum posażnych, co przykre dla niej było, jej małżonka i osiemnaściora dzieci. Nie wiedziała, jak przypomnieć się miała Zygmuntowi. Oprócz delikatnych i czułych zapytań o zdrowie moje i naszego brata teraz pisała:

Koszulę dla księcia uszyłam. Racz darować mu, jeno by nie próbował mi płacić! To podarek i za miody nadesłane mu podziękuj.

Obejrzałam koszulę pięknie haftowaną w jagiellońską Pogoń i ujrzałam, że rękaw nad mankietem sztukowany! Zbrakło jej atłasu...

– Zofio... – jęknęłam i zaczęłam pisać list.

Haftem urzeczony cały Wawel i tak się wszem rzecz spodobała, że ślę ci trzy bele atłasu i woreczek pereł dla poszycia koszul więcej. I brokatu dwie

*bele dla panienek twoich, w nagrodę za twoją przysługę. Z popielic, co
pierwej do ciebie poszły, napisz rychło, co umyśliłaś. Za to srebro, co
między atłas wrzucę, zamów pannom konfektów. I napisz, czy w Ansbach też
zaraza się szerzy, bo w Krakowie straszy i w płuca bardziej dzieciom
weszła. Guzów nowych ludzie nie mają i dzięki Panu od trzech dni nie ma
nowych chorych, a ci co chorowali, jeno już blizny liczą.*

1 priap – tutaj: penis

2 Kurza Noga – wykusz w narożu północno-wschodnim, wysunięty w kierunku kościoła św. Idziego, dziś określany mianem Kurzej Stopki.

3 *capella regia* (łac.) – kaplica królewska i duchowni w służbie króla

4 Szary kolor symbolizował radość.

5 *sertum* (łac.) – biżuteryjna przepaska na głowę, bramka, vitta, thanka

6 mante – rodzaj luźnego płaszcza, narzutki

7 szuba – rodzaj płaszcza

8 kamcha – jedwabna tkanina, wyszywana najczęściej złotem

9 złotogłów – tkanina przetykana złotem

10 nieistniejący już kościół na wzgórzu wawelskim

11 Cena – posiłek popołudniowy. Na dworze jadano dwa razy. Posiłek poranny to prandium.

12 *Cubicularius* (łac.) – pokojowiec, dworzanin konny. Tutaj: Bernard Potocki, w latach 1512-1519 starosta nieszawski.

13 rańtuch – obszerna chusta

14 murwa – prostytutka

15 polikandylion – świecznik okrągły, podsufitowy, z drewna lub metalu

16 małdrzyk – złożone dłonie

17 ciup – usta złożone w „dziubek”

18 hennin – stożkowy czepek

19 houppelande – strój wierzchni, bez rękawów z pełnego koła, spinany pod piersiami

20 folusz – urządzenie służące do spłśniania (folowania) wełny

21 złodziej – ten co zło czyni

22 Straż, custos, vigil – straż zamkowa, pacholcy – służba o charakterze porządkowym policyjnym. Od XVII wieku piechota zamkowa zabezpieczała większe uroczystości. Żołnierze wielkorządowi pełnili wartę w bramie wjazdowej na wzgórzu wawelskie. Żołnierze starościńscy czuwali nad fortyfikacjami i ich otoczeniem.

23 dyl – gruba deska

24 szpital św. Ducha

25 smatrucz – hala targowa

26 kichlarze wyrabiali pierniki

27 rzap – basen, do którego woda doprowadzana była podziemnymi rurami

28 gzelce – salcesony

29 *incolae* (łac.) – mieszkańcy bez praw miejskich w lepiankach pod murami, wyrobnicy, służba, czeladź

30 *cives* – (łac.) obywatele kupcy, kramarze i rzemieślnicy

31 rurmus – wodociąg

32 *iuniores* (łac.) – młodzi dworzanie

33 partacz – rzemieślnik nieposiadający praw i przywilejów cechowych

34 Hersteinowie i Szilingowie – rodziny patrycjuszowskie

35 K. Krzak-Weiss, K. Meller, W. Wydra, *Drukowane teksty polskie sprzed 1543 roku*, Poznań 2019, s. 8.

Władysław II Jagiellończyk ur. 1 III 1456 zm. 13 III 1516	Jadwiga Jagiellonka ur. 21 IX 1457 zm. 18 II 1502	Święty Kazimierz ur. 3 X 1458 zm. 4 III 1484	Jan I Olbracht ur. 27 XII 1459 zm. 17 VI 1501	Aleksander Jagiellończyk ur. 5 VIII 1461 zm. 19 VIII 1506
---	---	--	---	---

Zofia Jagiellonka ur. 6 V 1464 zm. 5 X 1512	Elżbieta Jagiellonka ur. 9 V 1465 zm. 9 V 1466	Zygmunt I Stary ur. 1 I 1467 zm. 1 IV 1548	Fryderyk Jagiellończyk ur. 27 IV 1468 zm. 14 III 1503	Elżbieta Jagiellonka ur. 13 V 1472 zm. po 19 V 1480, a przed 20 V 1481
---	--	--	---	---

Anna Jagiellonka ur. 12 III 1476 zm. 12 VIII 1503	Barbara Jagiellonka ur. 15 VII 1478 zm. 15 II 1534	Elżbieta Jagiellonka ur. 13 XI 1482 zm. 16 II 1517
---	--	--

Elżbieta Rakuszanka

ur. 1436
zm. 30 VIII 1505
⊙ 10 II 1454

Kazimierz IV Jagiellończyk

ur. 30 XI 1427
zm. 7 VI 1492

– To moneta na wpis na Akademię. – Potrząsnęłam ciężką sakiewką.

Baltazar patrzył na trzos jak urzeczony. Jak obiecałam, zaraz z nowym rokiem posyłałam go, by się uczył. U najlepszych. Zresztą dworacy, pacholiki i służba drwiła z niego, że zamtuzowy dzieciak i przykrym pobyt na dworze mu czynili. Sam w jakie awantury się z nimi stale wdawał albo ciągiem w oknie siedział, jakby miasto go ciągnęło ku sobie, a nie panieńskie zabawy.

– Dzisiaj jeszcze wpisu do metryki własnym nazwiskiem dokonasz. Za cały rok – mówiłam. – Do bursy pójdziesz.

Niepewnie wyciągnął rękę po woreczek i ostrożnie wcisnął go pod nowy, drogi i ciepły kaftan.

– Wolno mi? Mogę iść? – zapytał.

– Toż przecie chciałeś...

Ucałował nagle moją rękę i wybiegł z domu. Wysłałam za nim, wspięłam się na gruzowisko po północnym skrzydle przysypane śniegiem i jeszcze nieuprzątnięte pod budowę nowej auli. Patrzyłam, jak drobny chłopiec biegnie zabłoconą Kanoniczą. Tylem go widziała. Ani się obejrzał.

Nagle mokry malowany kafel ostały po piecu z komnaty królowej osunął się spod moich stóp i omal nie stoczyłam się ze skarpy. Jakaś silna dłoń, bez ceremonii, boleśnie pochwyciła mnie pod królewskie ramię!

– Niechaj królowna uważa... – burknął chudy Kościelecki, zmarszczywszy grube, czarne i sterczące brwi.

Mąż ten ponury, wielce zaufany każdego z mych braci, odbierający zasługi od Jagiellonów nie za pochlebstwa, a za uczciwe wywiązywanie się z każdej z powinności, sprowadził mnie po mokrym śniegu na równy dziedziniec. Zdjął na chwilę rysią czapkę, ukazując pośród długich, siwych włosów łyse kółko na czubku głowy. Nie patrząc na mnie, ni słowa nie powiedziawszy, ostawił mnie, znikając gdzie w dziurze pod zawaliskiem.

Zapatrzona w czarną jamę, rękawiczką strzepnęłam klejące uczucie dotyku, po czym zawróciłam do domu.

*

Na drugi dzień, zaraz z rana, jeszcze przed prandium, wysłałam mojego Łęczyckiego, by sprawdził, czy wpisu Baltazar poprawnie dokonał. Ale dopiero w południe na schodach usłyszałam ciężkie kroki dworzanina. Niecierpliwie powstałam od stolika między oknami i z wyczekiwaniem wpatrywałam się w drzwi. Może trza było kogo z Baltazarem posłać? Toż dziewięć lat dopiero miał. Owszem i siedmiolatki na Akademię wstępują, ale nierzadko z opiekunem posyłani są z domu na czas nauki.

– Nie – powiedział jeno Łęczycki, kiedy wszedł.

– Co nie? Błędny zapis? Mogłam was posłać z nim.

Stał w drzwiach zmęczony, jakby całe miasto zeszedł. Zdjął czapę i usiłował przeczesać palcami mocno kręcone, ciemne włosy.

– Nie jest błędny.

– Toż co się stało?

– Sprawdziłem księgę. Nie ma błędnego zapisu. Nie ma żadnego. Nie wpisał się. Wcale. Nikt go nie widział.

Przysiadłam ciężko. Krzesło wydało niemiły zgrzyt, odjechawszy nieco po podłodze. O, głupia! Prawdę Zygmunt mówił, że to nie na mój umysł! Spojrzałam na swoje dłonie bez rękawiczek uwalane inkaustem. Wstydno mi było spojrzeć na dworzanina.

– Jutro można by... Jutro sprawdź panie, raz drugi – powiedziałam, nie podnosząc oczu.

Chyba skinął głową i wyszedł. A mnie dzień cały ciężki i lepki zdawał się od mej głupoty. Ni haftowanie, ni modlitwa, ni czytanie nie szło. Zdało

mi się, że dworacy i panny szepczą o mym uczynku i głupią nazywają. Jakże przyznać się miałam Zygmuntowi, że pieniądze straciłam i dałam się oszukać? I że była racja po jego stronie! Nocy czekałam, ale kiedy przyszła, jeszcze gorszą się okazała, bo do głowy mi przyszło, że kto przecie mógł chłopca okraść i ubić! Wrzucił w Wisłę i śladu nie ostawił! Przecie ciągle słyszałam, że to tu, to tam dziecię z ukreconym karkiem znaleziono albo gdzie jakie ładne, to jeszcze z poobcinanymi członkami!

– Głupiaś, Elżbieto... – powtórzyłam do siebie.

Usiadłam, zapaliłam małą łożówkę i tak siedziałam w pościeli bez myśli do rana, wpatrzona w trzaskający, niepewny ogienek.

Rano, przed mszą posłałam dworzanina znowu do miasta. *Capellae regiae* już wyszli po nabożeństwie, a ja modliłam się jeszcze w kaplicy rodzicieli. Wyciągnęłam rękę, by zatrzymać wiszącą oliwną lampkę trąconą przez silny podmuch wiatru, kiedy kto stanął za mną. Odwróciłam się. Mały Baltazar patrzył na mnie rozpromieniony!

– Wpisałem się dziś! Wczoraj stancyjki szukałem, bo bursa ciasna, a każdy pan tam ze sługą mieszka, tak że nawet korytarzem przejść nie można, by kogo nie nadeptać, no to po co krzywdę komu robić? Przecie ja szlachcic.

Podniosłam się z klęczek. Za Baltazarem stanął Łęczycki. Uśmiechem i skinieniem potwierdził prawdziwość słów chłopca.

– Toś na co się wpisał, panie uczony? – szepnęłam w świątyni.

– *Artes liberales*³⁶, oczywista. Filozofii każą się uczyć, poezji i wymowy. I po łacińsku każą mówić cały dzień!

– A jak się łaciny wyuczysz, to potem do tych co księżyc mierzą?

– Nie...

– Jakże to?

– Na dachu zimno. A ja przecie...

– Szlachcic! – Roześmiał się tubalnym głosem Łęczycki za nim, budząc zdało mi się przysypiających kamiennych świętych i jednego kleryka w ławie.

*

Trzy dni później Zygmunt u siebie ucztę sposobił i kiedy złote noszenie ze szmaragdami po matce oglądałam, usłyszałam ruch przed domem.

– Anna mazowiecka z Radziwiłłów! – zapowiedział dworski.

Dwórki poderwały się ożywione nieoczekiwanymi odwiedzinami i jęły jazgot czynić jak wróble na wiosnę.

Wrzuciłam z powrotem do kuferka naszyjnik i zamknęłam go z trzaskiem.

Anna? Tutaj? Po co? Uczta jutro... Lenniczka królewska, męża utraciła, dla synów ziemi mazowieckiej się pazurami trzymała. Wszystkim wiadomo było, że opłacała się Aleksandrowi, by jej ostać na regencji pozwolił. Opłacić się przyjechała Zygmuntowi już? Czy jeszcze po co?

Przeszłam do komnat królowej i podeszłam do okna. Widziałam z góry, jak wysiadając z brokatem obitej kolebki na oblepiony śniegiem podjazd, szybko uczyniła znak krzyża na obfitej piersi! Boi się czego? Tuż przed progiem zadarła głowę i spojrzała wprost na mnie. Miała duży i garbaty nos, jasne włosy ciasno upchane pod zgrabną czapeczką i czujne niebieskie oczy. Jeszcze kilka lat do tyłu za piękność uchodziła, dziś, kiedy cenić zaczynano harmonijne kształty, panowie i panie jawnie wyśmiewali jej wygląd. A mnie zdało się, że po prawdzie panowie zazdrościli jej fortuny, a panie męskiego ducha, który pozwalał jej być dworniczką³⁷ na całym księstwie mazowieckim.

Jakby nie mnie spodziewała się ujrzeć, uniosła lekko jasne brwi i rozciągnęła usta w ładnym uśmiechu.

Zygmunt lubił ją i zdało się, że i ona lubi jego. Pono jej konterfekt własny wysłał. Ją na żonę wybrał? Czwórkę dzieci po Konradzie Rudym weźmie? Czy ona spodziewa się czego po Zygmuncie? Zawróciłam szybko do siebie.

– Elżbieto... – Z uśmiechem, poruszona, wyciągnęła do mnie ręce, przekraczając próg dużej sali, górując wzrostem nad swym licznym fraucymerem godnie krocącym parami przed panią.

Ubrana w niebieską suknię z krągłym gronostajowym kołnierzem z perłową zaponą, pięknie wyglądała. Chciała ślubu?

– Zygmunta nie ma – odezwałam się i nagle radość w jej oczach przemieniła się w żal niewysłowiony.

Pewną już byłam, że królową chce zostać.

– Tak? Ale ja nie... – Próbowała się uśmiechać.

Prawie mnie jej żal było. Niewiasta gotowa do krwi walczyć o schedę swych dzieci na słowa „nie ma go” rozpadała się w proch. Anno, Anno, odwagi!

Wskazałam jej najlepsze miejsce na najwyższym krześle pośrodku sali, sama usiadłam obok. Rozdzielał nas mały bursztynowy stolik. Anna położyła białą dłoń na żółto-brunatnym blacie i zdała się podziwiać wzór zamknięty w małym okręgu. Poczekiałam, aż dwór księżnej mazowieckiej zajmie miejsca na poduchach, stołkach i kobiercach. Księżna nie podnosiła wzroku. Pewną była, że Zygmunta zastanie... By ciszę zabić, kazałam grać co muzykantom.

Panny, na znak Rabsztyńskiej, zaczęły podrygiwać i schodzić się na środek sali dla tańców. Zosia Targowicka dosiadła się z lutnią do grajków, a Małgorzata Dzierzowska z bębenkiem malowanym w róże. Wdzięczna byłam, że zajmują gości. Nic do głowy mi nie przychodziło prócz: On się z tobą nie ożeni! On się z tobą nie ożeni! Anna skromnie uśmiechała się do

panien, w rytm bębena delikatnie uderzała przezroczystymi paznokciami w twarde stolik i jeno maleńka żyłka drżąca na skroni świadczyła o jej wzburzeniu.

Panny obce i moje już mówić ze sobą wesoło zaczęły, już gwar narastał, kiedy my nie wiedziałyśmy, co do siebie rzec! Na szczęście do sali wpuszczono gońca od Zygmunta.

Rozłożyłam i odczytałam cicho papierowy arkusik. Uśmiechnęłam się od Anny.

- Zygmunt prosi do siebie jutro.
- Znaczy jest? – Wyprostowała się.
- W Krakowie? Tak.

Odetchnęła, choć pewnie nie chciała tak głośno. Podskoczyła i sama rzuciła się w środek tańczących. Nie pamiętałam, kiedy ja tańczyłam. Obiecał jej co Zygmunt?

*

Rano w katedrze po mszy za duszę zmarłych stałyśmy w kaplicy króla Olbrachta. Słyszała, że piękny grobowiec bracia i królowa Olbrachtowi sprawili, podług nowej mody i nowego kamienia, to go obaczyć chciała. Z zachwytem wpatrywała się w złoty wielki krzyż na ołtarzu świętej Marty, z wielkim szafirem w centrum, diamentami, perłami, rubinami i szmaragdami na krótszych ramionach. Oczu oderwać nie mogła od złotych puszek z relikwiami pod nim i od olbrzymich szafirów wprawionych w miejsce ran cierpiącego Chrystusa na ornacie wyściełającym ołtarz. Leżącą szatę ze złotogłowiu przetykaną brunatnym jedwabiem zdobiły wizerunki świętych, herby Polski, Litwy i Domu Austriackiego, a starannie udrapowaną tkaninę przytrzymały dwa miedziane i dwa srebrne kandelabry.

Wcześniej Anna długo modliła się przy grobie mej matki. Odwiedzała ją za życia i nie raz przypocholebić się chciała. Teraz też protekcji u zmarłej pewnie szukała.

– Czy to nie osobliwe? – zaczęła przyjemnym niskim głosem, bez lęku wodząc po kamiennej twarzy mego brata.

– Co takiego? – zapytałam.

– Ojciec wasz oblicze bólem wykręcone od artysty dostał, a brat wasz z uśmiechem wiecznym pozostał.

– Może co jednego smuciło, drugiego weseliło? Brat mój inszy był od ojca.

Z czułością niemal grzeszną przeciągnęła po kamiennych ustach Olbrachta.

– Z dawna cierpieć wypadało, a teraz człek jeno uciechy taniej szuka – szepnęła.

Spojrzałam na nią ze zrozumieniem.

– Wiadomo, że teraz miłszy w kompaniji ten, co wesoły, a nie ten, co w powadze cnotę widzi – powiedziałam z żalem.

Anna zapaliła świecę i ostrożnie uniosła ją nad kamienną, płaską i zatopioną w fałdach królewskiej szaty pogodną twarzą króla.

– Myślisz, Elżbieto, że kompanija wesoła dziś będzie u księcia Zygmunta?

*

Wieczorem gotowa do drogi byłam w prostej błękitnej sukni srebrem haftowanej i jeno w perłowej przepasce, kiedy czekać mi przyszło na Annę. Sługi do sypialni mej matki od prandium wnosili skrzynię za skrzynią

z szatami, a dwóch, gdy zdało mi się księżna skończyła ubieranie, wniosło jeszcze jeden kufer.

Już jęłam myśleć, że może sama co innego, godniejszego nałożę, kiedy wreszcie Anna wyszła. W królewskiej purpurze! W ciężkiej sukni granatami obsypanej, w złotym noszeniu i księżęcym diademie. Zdało mi się, że matka ma zmartwychwstała, taka godność od księżnej biła! Oczy jej lśniły z zadowolenia, że każdy w niej władczynię, co oczywiste, uvidzi. Poruszona podała mi dłonie i zeszliśmy do kolebki.

Na rozkaz Zygmunta od Wawelu po kamienicę Bara rozstawiono pacholków z pochodniami, by wieczór rozświetlić, a drogę uprzątniętą ze śniegu przyjemną i uroczystą uczynić. Gości dużo się zjechało, kolebka za kolebką stała na bruku i konni nie mniej strojni niżli niewiasty, wśród obłoków pary, czekali na zimnie swej kolei, gdy wreszcie zapowiedzeni i wprowadzeni zostaną.

Zaśmiałyśmy się obie na widok sługi Dantyszka pakującego się z małego wozu za swym panem razem z pierzyną i wielką poduchą dla niego, czym w konfuzję dostojnego gościa wprowadził. Ktoś bystry z dworaków Zygmunta wypatrył dworskich moich i Anny, podprowadził kolebkę na przód przez wąski szpaler gawiedzi i mniej znacznych gości.

– Myślisz, Elżbieto, że Zygmunt kazał nas wypatrywać? – zapytała cicho.

– Nie może być inaczej – odpowiedziałam, kiedyśmy wyszły spod kamiennych arkad wprost na rozświetlony żywym ogniem podwórzec.

Ciasno było i gwarno. Niektórzy pijani już śmiali się głośno. Jeden tylko mąż stał pośród siedzących na moszczonych ławach i patrzył wprost na mnie. Górował nad pijańcami nie tyle wzrostem, ile wejrzeniem dzikim i surowym w twarzy krągłej, pięknej, niemal niewieściej. Gliński Tatarczuk! Przyboczny Aleksandra, w Italii ma się rozumieć kształcony i na

dworze budzińskim. Mówili, że po prawdzie to on pan na Litwie, a nie Aleksander! Podszedł do nas w italskim obcisłym srebrnym sajanie³⁸ z diamentowymi guzami, który chwalić mu się zezwalał bogactwem, silnymi ramionami i cienką talią. Nie spuszczał ze mnie oka i nie mrugając nawet, ukłonił się nisko. Spod spiczastej czapy uwolnił bardzo długie, sztywne, prawie granatowe włosy wygolone po bokach głowy, a na czubku związane w koński ogon. Cisza na chwilę nastąpiła i szmer zaciekawienia rozszedł się wokół dziedzińca.

– Pani... – Podał mi dłoń i lekko skłonił się w stronę Anny.

Wprowadził nas po drewnianych schodach do sali zajmującej całe piętro, z jedną wąską kolumną pośrodku i stołami pełnymi jadła i napitków.

Na nasz widok Zygmunt wyciągnął ręce, ale to my obie strzymałyśmy oddech. Telniczanka! Murwa Zyguntowa nie dość, że śmiała się głośno do wszystkich, obleczona, zdało się, we wszystkie złoto, jakie miała, to jeszcze zasiadała obok mego brata!

Widziałam, że Anna się cofnęła. Chwyciłam ją za rękaw.

– Ani się waż! – syknęłam. – Nie ma jej! Słyszysz? Nie ma!

Godnie uniosła twarz poczerwieniałą od zadanej obelgi.

Zygmunt z wieńcem ze świerkowych szyszek na głowie podszedł do nas. Oczy jego zwyczajnie szare, po matce, teraz były niemal czarne i powieki unosił z wysiłkiem. Ucałował me czoło i z nadmiarem układności skłonił się przed Anną. Telniczanka zaśmiała się głośno. Ukłuło mnie coś delikatnie w serce. Nigdy nie widziałam niewiasty piękniejszej. Twarz miała białą, gładką, doskonałą. Nie za wąską, nie za szeroką, bródkę delikatną, lekko szpiczastą, wąskie karminowe usta i ogromne błękitne oczy przy włosach niemal tak czarnych jak u Tatarczuka.

Niemalże poruszenie uczynił pan kanclerz Łaski, mąż piękny, rumiany i białowłosy. Wystąpił z pieczęcią na szyi na znak, że i podczas zabawy

stale na urzędzie i zbliżył się do Anny, dłoń jej podając, by miejsce godne zajęła. Krok jego i uśmiech, okazanie niewiasty zgromadzonemu, mówiło wszem, że on zwolennik przyłączenia Mazowsza do Korony i panią ową zapewne widzi jako przyszlą królową... Anna patrzyła w podłogę, Zygmunt opadł na oparcie krzesła.

Wdzięczna byłam Glińskiemu, iż on jeden pomyślał, by mnie do stołu odprowadzić. Podszedł do mnie, ale go niechcący Łaski trącił, kiedy Annę trzymał. Gliński spojrzał z twarzą nagle siną z gniewu, jakby kanclerz strasznie go obraził. Tak samo zły do stołu mnie powiódł i uciekł zaraz jakby konfuzji, przecie wcale żadnej, opanować nie mógł.

Sala duszna była, bo z jednym tylko okienkiem pod sklepieniem, ciężkim sufitem. Jazgot rozrywał uszy. Błaznowie dzwonili dzwonkami, psy ujadły, ludzie próbowali przekrzyczeć i psy, i śmieszków, i muzykantów upchanych w kącie sali. Rajcowie i inni godni *cives* Zygmuntowi do elekcji potrzebni, gęby już czerwone mieli od wina, jakby od rana świętowanie zaczęli.

Naraz na znak Zygmunta wszystko ucichło i jeno miła wreszcie dla ucha i duszy lira uderzyła w tony.

– Siostra moja niczym anioł tańczy... – wypowiedział głośno Zygmunt i skłonił się w moją stronę.

Odkłoniłam się, kiedy wszyscy na mnie spojrzeli.

– Jak anioł – powtórzył.

Zamarłam, gdyż zdało mi się, że wiem, czego chce.

– Ja nie... Ja nie mogę, panie – przemówiłam cicho i czułam, jak serce tłucze się we mnie coraz mocniej. Nie chciałam tańczyć! Dopiero dziś czerń zdjęłam i to tylko dla Zygmunta. Nie chciałam! Nie tutaj! Wcale nie chciałam!

– Toż pokaż, jaki talent od Pana dostałaś.

– Nie, panie... Nie mogę...

– Tańcz, Elżbieto.

Nawet lira umilkła. Czułam, że Anna chwyta mą rękę pod stołem. Uniosłam się wolno, na łzy mi się zbierało, ale wyszłam na środek. Tańcz! Tańcz! Tłukło się w mej głowie. Brat prosi... Brat każe... Zamknęłam oczy, by duszę unieść ponad plugawy świat i zapomnieć. Zapomnieć o nich wszystkich!

Kiedy skończyłam, brawa i okrzyki zachwytu przywołały mnie do sali z powrotem. Odańczyłam, czego chcieli, i cieszyli się, wiadomo, jak zawsze po jakim teatrum. Chciałam usiąść, kiedy Zygmunt zszedł z podwyższenia i gorące usta przystawił mi do policzka. Gawiedź zaryczała z uciechy.

Nagle wyrosła przed nami Anna.

– Nadmiar jadła zaszkodził mi, panie, pozwolisz, że siostra twoja towarzyszką mi będzie w odosobnieniu i modlitwie. – Skłoniła się i powiedziała spokojna zupełnie, po czym wyprostowała się i wzrok swój wbiła śmiało, oskarżycielsko w oczy księcia.

– Fryderyk legnicki! – zaryczał nagle herold u drzwi komnaty.

Odwrociłam się gwałtownie w stronę drzwi. Omal nie upadłam. Stał tam! Umilowany mój! Piękny, uśmiechnięty, czarnowłosy, lśniący od złota i klejnotów. Stałam naprzeciw niego spocona i poczerwieniała w bladej, starej sukni.

Minął wszystkich i rzucił się do nóg Zygmunta, ten podniósł go i ramiona swe ucałowali jak bracia. Mnie Fryderyk ledwo się skłonił. Czemuż to mnie przywitać tak nie można, ucałować ramion i stóp jego?

– Idziemy? – zapytała mnie Anna osłupiałą i lekko pociągnęła za rękaw.

Nim wyszłam, spojrzałam jeszcze raz za ukochanym. Mówił co do Telniczanki.

Przez sień przechodząc, uczułam, że kto patrzy na mnie! Z ciemności, z głębi korytarza usłyszałam, że kto co szepcze! Chodzi tam i z powrotem, pazurami orząc ścianę! Nic uwidzieć nie mogłam! Syczał i jęczał! Zgroza mnie zdjęła! Ruszyć się nie mogłam! Kto stanął przy nim i cicho do niego przemawiając, oderwał nieszczęśnika od ściany, w którą począł czym już uderzać mocno! Sługa ciekawski przechodził i świeca na chwile oświetliła koński ogon! Tatarczuk! Gliński odepchnął męża, którego przemawiał do niego łagodnie, spojrzał dziko w moją stronę, ścierając z czoła krew! Warczał niczym wilk! Omal nie krzyknęłam! Szalony? Ten człek był szalony!

Anna pociągnęła mnie silnie.

– Chodź!

Jechałyśmy w ciszy. Księżna patrzyła gdzieś w dal na miasto. Na chwilę uliczne pochodnie Zygmunta oświetliły jej mokre oczy.

Usnąć nie mogłam, żywot we mnie drżał i uwolnić chciał się z ciała. Widok szalonego Tatarczuka niczym był wobec Fryderyka! Rano ujrę go! Rano, rano! Może świta? Usiadłam i z nadzieją popatrzyłam w niebo. W końcu wyszłam do małej sieni, gdzie z miasta dochodził jeszcze głos zabawy. Bosa zeszłam po schodach, nie chcąc budzić pokojowców śpiących skulonych na stopniach. Przeszłam obok sypialni Anny. Usłyszałam jej szloch i zatrzymałam się poruszona. Przyłożyłam ucho do masywnych drzwi, kiedy otworzyły się wolno, nie wydając żadnego dźwięku. Z mroku wyłonił się czarny cień i przemówił głosem Anny:

– Zabierz mnie stąd, Elżbieto. W las. Zaraz.

– Tak... Na bielaki?

– Na bielaki. Na czaple, dziki. Wybieraj. Ruszajmy. Nie ustoję tu ani w środku nie usnę.

Skinęłam.

– Ubiorę się.

Pobiegłam na górę. Rabsztyńska jak zwykle już nie spała i pomogła przywdziać mi wełniane i drugie, skórzane nogawiczki. I zapiąć ciasno skórzaną mante. Pannom służebnym spać jeszcze kazała, kiedy zbiegałam na dół.

Anna przywiodła ze sobą i rarogi, i sokoły, bo i jak Zygmunt wielką miłośnicą polowania była. Nie pytałam, czy przebrać się zechce, bo człek jeśli w las zapragnął, to od razu musiał, i ja to wiedziałam. Czekwała już na mnie w siodle w zwykłej ciepłej szubie.

Jechałyśmy krótko w milczeniu z pięcioma sługami, beczką na zające i cichymi ptakami w klatce. Anna dychała głośno, różowa na twarzy, co raz mówiła do siebie i szarpała wodze swojej klaczy.

Na dużej polanie sługa otworzył klatkę i na nęcące zawołanie swej pani raróg przysiadł na jej ramieniu. Anna zgrabnym ruchem zdjęła kapturek z głowy ptaka, szepnęła coś do niego tonem kochanki i puściła w stronę ośnieżonego lasu. Uniosła się w strzemionach z radosnym okrzykiem, kiedy jeno biała kurzawa w oddali znać nam dała, że ptak co złapał. Raróg zaraz poderwał się i w szponach dźwigając bielaka, u stóp swej pani złożył ofiarę.

– Bierz! – wychrypiała podniecona Anna, na co ptak jął w strzępy rozdzierać pulsujące ciało zająca. – Dość! – zawołała księżna, kiedy ze zwierza jeno kałuża krwi ostała. Głośno i wolno wciągnęła i wypuściła powietrze, po czym odwróciła się do mnie z płonącym wzrokiem.

– Ty nie puszczasz? – zapytała z uśmiechem.

– Dziś nie...

Usłyszawszy to, niewyspany sługa ze złością i hukiem zamknął pustą beczkę, zasiadł na wozie i strzeliwszy z bata, ruszył przed nami, burcząc co o babach na polowaniu.

Raptem głuchy tętent zwierza ciężkiego dało się słyszeć w gęstwinie. Sługa wstrzymał niespokojnego konia i wóz.

– Na nas idzie! – wrzasnął. – Uciekajcie! Pani!

Obieśmy nic zrobić nie zdołały, kiedy kłępa wielka, bestia, na wóz ruszyła. Nagle padła strzałą razona na wąskiej ścieżce z jęzorem na wierzchu i mózgiem rozbitym. Za sobą jeźdźca posłyszałyśmy. Odwróciłam się z myślą, że zaraz zginę. Dreszcz mnie przeszedł. Gliński! Gliński patrzył hardo, jakby wdzięczności czekał.

– Dzięki ci, panie... – rzekła Anna. – Człeka żeś zratował.

Woźnica trząśł się i mamrotał, naciągając na siebie wilcze futro.

Gliński skłonił się tylko i zawrócił bez słowa w las.

Patrzyłyśmy za nim.

– Ubić chciał nas czy chronić przed złym? – zapytała księżna.

Z pokrzyw na ścieżkę wyszedł łoszak na trzęsących się nogach i żałośnie postępując, przyklękł przy zabitej matce, wachając jej rozbitą głowę.

Po powrocie obieśmy przeszły prosto do katedry, bo msza się już zaczęła. Młodziankowie z *capellae* słodkim głosem dusze koili i do przyjęcia świętego sakramentu nastrajali. Obok siebie stali przyjaciele, ksiązę legnicki i głogowski, jednego wzrostu i postawy będąc. Nic z wczorajszej krotchwili na twarzach ich nie było, jeno bladość świadczyła, że spać się nie kładli. Obaj lica gładkie, wygolone już i błyszczące od pomady dodającej urody, wystawiali na łaskę Pana, łaski tej pewni.

Po mszy Fryderyk podał mi dłoń, a kiedy wyszliśmy ze świątyni, ze lśniącymi oczami przemówił do mnie pochyłony:

– A ja druk mam taki, co go nikt nie widział, a niewieście oglądać go nie można.

Poczułam ciepło jego oddechu na skroni.

– Toż go pan niewieście nie pokazuj. Grzech ominie was oboje. –
Uśmiechałam się delikatnie, chłonąc widok jego twarzy.

– Ależ on najbardziej chce, by właśnie paniom pokazywać! – roześmiał się Zygmunt.

– Czy to co tak grzesznego, że oczy, które to uwidzą, wyłupić trza będzie? – pytałam rozbawiona, szczęśliwa bliskością Fryderyka.

– Bardzo! Tak, że bokiem trza patrzeć! – zawołał Fryderyk, gdyśmy już do sali na posiłek wchodzili.

– Jakże to?

– By tylko jedno oko z grzechu stracić, a drugie oszczędzić, pani.

– Nie boję się. Spojrzę. Obojgiem oczu – zdecydowałam.

– Nigdy nie wątpił. – Ustami prawie musnął moje ucho.

Kiedy odurzona miłowaniem próg sali przekraczałam, Anna dotknęła moich palców.

Odwróciłam się do księżnej. Zapomniałam o niej.

– Do domu pragnę wrócić – szepnęła.

*

Kwaśny zapach pirogów z serem roznosił się po dusznej, przegrzanej komnatce w starym zamku, śnieg gęsty wirował za oknem. Sługi zbierały puste misy po ulubionym przysmaku jagiellońskich dzieci i ich druhów. Podczaszy Zygmunta zgrabnie i głośno rozlewał wino do ochotnie nadstawianych kielichów, czarek i srebrnych kubeczków. Kto inny stawiał słodkie ciasta z białej mąki z migdałami.

– Druk! Druk! Druk! – piszczwały panny i skandowali panowie w sali.

– Samiście chcieli! Nie ja winnym grzechu waszego będę! – ryczał Fryderyk, który już zdążył wszystkim ogłosić, że przywiózł co ciekawego.

Skinął na sługę, a ten podał mu brunatny rulon. Księżę wolno rozwijał papier, skupiając na sobie uwagę wszystkich, po czym spojrzenie dał najpierw Zygmuntowi. Ten uniósł brwi i zaśmiał się krótko. Z ciekawością spojrzałam i ja. Na dużej karcie widniał rysunek trupa. Ciało pohańbionego, nie wiedzieć czy torturami, czy czarcim działaniem. Skóra i żebra jego były rozwarte, trzewia wyrzucone nie ku przestrodze od zarazy czy śmierci, ale ułożone wokół głowy, opisane. Dla ciekawości! Na pokaz! Kto go pociął dla ciekawości jak króla Olbrachta! Ohyda, od której oczu oderwać nie można było... Włosy widniały rozrzucone, ni męskie, ni niewieście, piersi obnażone, brzuch! Zakręciło mi się w głowie. Jak w mym śnie! Wszyscy patrzyli na mnie w ciszy, każdy chciał obaczyć, co mnie poruszyło. Podałam kartę Annie. Pobladła podała dalej. Ktoś się zaśmiał, ktoś zaklął, ktoś krzyknął. Ohyda... Jeszcze raz spojrzenie chciałam... Musiałam!

– To niewiasta czy mąż? – zapytał Szydłowiecki, siedząc w lśniącym od diamencików, najszerszym berecie z całej kompanii mężów. – Tej... nie widać...

Dantyszek w skupieniu patrzył na obraz po raz kolejny.

– Nie mąż.

– Skąd to wiecie? – Szydłowiecki wyrwał mu z rąk papier.

Też nie mógł oderwać oczu.

– Jakby był mąż, to jednego żebra by mu brakowało. Jak Adamowi, co je Bóg wyjął dla niewiasty. A jest. – Pochylił się i policzył cicho, poruszając ustami. – Wszędzie ma po równo. – To niewiasta.

– Darujesz mi ją? – szepnęłam do Fryderyka.

– Daruję ci wszystko, czego zapragniesz.

*

Wieczorem Zygmunt jednym słowem zatrzymał Annę w Krakowie i rozpromieniona nagradzała brawami jego strzelanie z łuku w starym hortusie³⁹. Ciągłe ktoś coś mówił, czymś chciał poruszyć zebranych, jakby w tym jeno wartość była. Ni chwili nie stało, by palce moje i Fryderyka na moment złączyć. Wszyscy mówili i mówili. Tańcowali, deklamowali. Występowali, krzyczeli, by choć na chwilę pokazać się przed Zygmuntem. Jakby po prawdzie Aleksandra już nie było na tronie.

Na noc szło, ale Zygmunt nie wracał do siebie, ostał w starym zamku. Wysłałam ze swojej komnaty, by co podsłuchać na dziedzińcu... Nowe północne skrzydło, oświetlone blaskiem z przeciwległych sal, rosło w górę, zachodnie prosiło już tylko o dach i jeno niecki, miski, koryta, cebrzyki na rusztowaniu porzucone za dnia przez majstrów murarskich szpeciły jego mury.

Zawróciłam w mrok, by spojrzeć w stronę Kazimierza. Ktoś za mną mocno pochwycił mnie za ramiona.

– Gliński z oka cię nie spuszcza, pani – szepnął Fryderyk.

Zadrżałam.

– Ani on lubi mnie, ani nie. Pewnie rozważa, czy ożenek ze mną dobry byłby dla niego.

– On żonaty.

– Rozważa jak każdy, kto przy Zygmuncie stać pragnie. Małżeństwo wcześniej zawarte żadną przeszkodą. Puść, panie.

Jakby nie słyszał.

– Mołdawianin też rozważa.

– Nie rozważa, jeno żąda. Ale ja nie wyjdę za niego.

– Nie?

Uwolniłam się z objęć, odwróciłam się do Fryderyka i spojrzałam mu w oczy.

– Przysięgę już jednemu złożyłam.

– Elżbieto, przymuszają cię. – Patrzył niepewnie.

– Wątpisz we mnie?

Wzrokiem chłonał moją postać, włosy, ramiona... W końcu wziął w dłoń moją twarz.

– Od braci twoich zależy nasze szczęście. Czyż to nie rozkoszne?

– Wcale. I nie mów już nic. – Odwróciłam się znowu w stronę zasypiającego miasta. Pochwyciłam jego ręce i objęłam się nimi. – I tylko obejmij mnie. I nie ostawiaj. Nie ostawiaj nigdy.

*

Anna i Fryderyk jednak wyjechali, kiedy na luty szło i zeszedł śnieg. Gorączka i z Glińskiego puściła jako mróz. Jakby już wszystko uładzone było, gotowe, jakby tylko wszyscy śmierci Aleksandra czekali. I się z myślami swemi nie kryli.

Wpatrywałam się w postać darowanej na papierze niewiasty-nieniewiasty. Czyżbyśmy byli tacy jak ona, ono? Z trzewiami, myślami na wierzchu? Czy nam wolno człowieczeństwo swe wystawiać, wyrzucać, bośmy właśnie ludzie? Czy to grzech czy marność? Czy miłowanie to człowiecza słabość, czy grzech? A ciało? Rozkoszy źródło czy grzechu?

Dworski zapowiedział brata, kiedy odłożyłam druk Fryderyka i w świetle lampy przyglądałam się nowym, polskim czcionkom na świeżo wydrukowanej ćwiarteczce.

– Zygmunt! – Poderwałam się uradowana.

Książę ucałował me dłonie.

– Cóż to? Zaczarowała cię? – Tracił papier z ludzką postacią, który stale rozłożony leżał na mym stole i ciągle budził nieustającą ciekawość fraucymeru i sług.

– Zdaje się... że tak! Wszystko wokół staje się inne. Śmiałe. Głośne. Ludzkie?

Uśmiechnął się.

– Ja wiem, że człek ziemię rusza, morza i wody. Że my wszyscy wiedzieć chcemy więcej! – mówił coraz głośniej. – Nie chcesz, Elżbieto? – zapalał się.

Zdjęłam z niskiej półki pisma Ficino, Facio, Mirandoli i położyłam na stole przed Zygmuntem.

Wskazałam palcem księgi.

– Mnie widzi się raz, że Bóg przyzwolenstwo swoje daje na poznanie, a drugi raz, że jeno pycha i ciekawość nami wodzi.

– Pycha? Nie. Tylko Bóg nagle rusza wszelkie nauki. Gdyby przeciwny był, Columbus nie odkryłby nowej ziemi! Matematyka, geografia nagle przed człekiem tajemnice swe odkrywają. Świat jednym się staje! Na próżno by to było? Dla grzechu? Jakże człeka poznać, nie odkrywając jego środka? Jak nie poznać boskiego stworzenia? Nie, Elżbieto. To nie grzech! Człeka poznać można jeno przez jego pragnienia! Człek na podobieństwa Boga powstał! Gdyby Bóg nie chciał, nie dopuściłby do tego! – Podniósł listy Mirandoli. – Mamy być Bogu podobni! Nie ma niczego wspanialszego od człowieka!

– Mówisz jak on. Jeszcze jak jego, ciebie otrują. – Wskazałam głową na listy w ręku brata.

– Czyż nie mówił pięknie?

– Mówił...

– Jako i niejeden z Padwy, Bolonii, nasz i obcy akademik. – Odstawił pisma na półkę. – Nowe to nie grzech, nie grzech!

Podszedł do mnie onieśmiałej jego słowami i wzajem ucałowaliśmy swe dłonie.

– Jeno wiedzieć trza, gdzie człek, a gdzie plugastwo – powiedział.

– Jeśli rozpoznać to potrafisz, to wygnaj je ze swego domu.

Uniósł na mnie zdziwione spojrzenie, kiedy usłyszeliśmy szybkie kroki na schodach. Konny posłaniec wszedł i podał Zygmunutowi list. Ten przeczytał i długo wpatrywał się w pismo.

– Zyguncie? – zapytałam niespokojna.

– Aleksander podpisał z Mołdawianinem twój kontrakt ślubny.

– Zyguncie! – zawołałam przerażona.

Złożył z powrotem pismo i ostawił na moim stole.

– Nic to... Nic... – szeptał.

Wyszedł wolno i cicho zamknął drzwi za sobą.

Stałam odrętwiała, zdało mi się, że wielka woda znowu zalewa moje miasto, że wlewa się do mego gardła, że oddech mi odbiera! Zerwałam się i pobiegłam za bratem. Coś przecie umyślić musi! Wbiegłam do starych komnat, Szydłowiecki i Kościelecki z innymi mężami w sieni zaśmiewali się z jakiej opowieści bezrękiego rotmistrza Stańczyka, zamilkli na chwilę na mój widok i jęli dalej rozprawiać, kiedy weszłam do Kurzej Nogi. Wrzasnęłam, kiedy ujrzałam skurczonego na kamiennej podłodze Zygmunta! Przerażona dopadłam brata, wołając pomocy!

– Głowa... – szepnął z wykrzywioną bólem twarzą.

Szydłowiecki i Kościelecki już pochylali się nad nim.

Za nimi tłoczyli się ciekawscy dworzanie i bezradne sługi.

– Dźwignijmy – powiedział cicho Kościelecki.

Krzysztof Szydłowiecki zrzucił rękawice, szeroką i ciężką od klejnotów szubę, zamknął drzwi przed dworem i pomógł staroście przenieść księcia na ławę.

– Medyka! – zawołałam, nie wiedząc, czy stać, czy siadać i co zrobić.

– Nie – odparł spokojnie Szydłowiecki i z kufra na stole wyjął jedną z małych flaszeczek. – To zawsze pomaga. – Zmieszał trzy krople żółtej cieczy z wodą. Podbiegłam do ławy, zasiadłam i przytrzymałam książęcą głowę na swych kolanach, a Szydłowiecki napoił Zygmunta lekarstwem.

Z troską patrzyliśmy z Kościeleckim na drżącego z bólu wielkiego męża. Podałam bratu dłoń i pochwycił ją tak mocno, że myślałam, iż ją złamię!

Szydłowiecki odstawił flaszeczkę i zamknął kufer.

– Zawsze tak jest, jak co go wzburzy. Od dziecięcia. Przejdzie – odparł już obojętnie. Nagle zmarszczył czoło, bo zauważył, że od książęcej szuby odpadł jeden rubin. Z czią jakowś podniósł go z podłogi, dokładnie oczyścił z niewidocznego pyłu i z namaszczeniem schował w safianowej rękawicy.

– Czujny z was człek – rzekł z drwiną siedzący w oddali Andrzej Kościelecki.

Szydłowiecki spojrział na niego surowo, kiedy Zygmunt usiadł i odezwał się biały jeszcze na twarzy:

– Siostrę mi straszycie. Nic to, Halszko. Nic to. Ostanę teraz sam. – Puścił mą rękę.

Zmartwiała i wystraszona wracałam do domu. Słyszałam, że głowa czasami Zygmunta bolała, że dnie, a nawet miesiące miał takie, że w sufit jeno patrzył smutkiem złamany i dźwignąć się nie mógł. Ale nigdy przecie tego nie widziałam...

– To przeze mnie – powiedziałam do Reginy, kiedy wróciłam i usiadłam na ławie pod piecem w dużej sali.

Przyjaciółka składała moje drobiazgi ze stołu. Rękawiczki, o których stale zapomniałam, kilka modlitw drukowanych i mały naszyjnik z pereł, który nie wiem po co wyjęłam ze szkatułki na stole. Odwróciła papier z niewiastą-nieniewiastą ku sobie i po raz setny przyglądała się z ciekawością.

– A tak. Że Mołdawianin do brata twego dla własnych korzyści zbliżyć się pragnie, twoja to wina – odparła.

– Ja Jagiellonka.

– A to wina, której nijak podważyć nie można. – Uśmiechnęła się.

Podniosła list od Aleksandra, na co porwałam go z jej ręki i czytałam niecierpliwie, uprzednio o nim zapomniawszy.

I obiecał, że siostra nasza, jeśli żoną jego zostanie, to katoliczką pozostać może...

Hańba! Zgroza! Niczem dla brata... Com ja myślała? Jakże głupi ten umysł niewieści! Usiadłam i chwyciłam głowę rękami. Jeden mnie oddać chce bez mej zgody, drugi bóle cierpi przeze mnie. Westchnęłam głośno i wyjęłam kartkę spod stosu papierów. Nie czas to był na desperację. Zaczęłam pisać do Heleny:

Wiesz że co pani o mym zamęściu? Czy Aleksander skłonny ku mnie, czy decyzja jego pod czyimś życzeniem i wolą? Przecie królowa dała zgodę na mój ślub z Fryderykiem. Znałaś go przecie! Miłowałaś jak brata! Heleno, w imię Pana, pomóż mi. Jak niewiasta niewieście! Ufam, że król do zdrowia wraca.

Złożyłam list. Do kogo jeszcze pisać? Może do brata drugiego, może Władysław pan Czech i Węgier nakaże co Aleksandrowi? Jego małżonka drugi raz brzemienną... Może serce czulsze u niego? Pełna dobrych myśli, skreśliłam i do drugiego króla list.

*

Wiosna już przeszła zimna i sucha, ale anim od Władysława, którego po prawdzie nigdy na oczy nie widziałam, odpowiedzi nie dostałam, ani od Heleny. Ona umierającego pielęgnowała, a brat mój świętował narodzenie syna. Władysławowi urodził się syn Ludwik! Wielkie poruszenie nastąpiło w domu Habsburskim, gdzie już schedy po mym najstarszym bracie się spodziewano jako po bezpotomnym, tak samo jak Zygmunt spodziewał się po Aleksandrze... W Krakowie zawrzało, bo nagle Władysław jako pan wielki i dziedzic Jagiellonów pewniejszym się panem Polakom zaczął zdawać niżli najmłodszy Zygmunt. Książę głogowski na wieści owe popędził na Litwę.

*

W las z dworem wyjechałam dla spoczynku na powietrzu świeżym, bo w parnym gorącu, jaki po deszczach nastał, Kraków jął gnić i cuchnąć. Panny i kawalerowie rozłożeni na kobiercach pośród ostatnich konwalii albo spali upałem znużeni, albo co wytrwalsi grali w piłkę czy w gonitwy między drzewami.

– Po cóż to książę Zygmunt wyjechał na Litwę? – pytała leżąca Regina z głową wspartą o kolana małżonka.

Odpowiedziałam, racząc się poziomkami.

– By czem prędzej mitrę wielkoksiążęcą z rąk Aleksandra przejąć, nim zrobi to Władysław albo kto wie, jego syn Ludwik.

– Albo i Gliński... – dopowiedział Jan, jej małżonek.

*

Listów czekałam nadaremno i od Zygmunta, i od Fryderyka, mimo że już lipiec był. Jeden czasu nie mógł znaleźć, drugi pewnie chęci... Ale cóż odmieniło się w duszy umiłowanego? Przecie jeszcze zimą zdało się, że pragnie dobra naszego wspólnego! Czekałam na wieści, czekałam od rana po noc, w godzinie każdej nasłuchując kroków posłańca.

Niepokój i żal musiałam gdzie upchać. I myśli, i ręce zając, więc wstałam spod okna, by kwiecie kolorowe układać w dużej misie, bo gościa mieć miałam.

Niedługo przyszedł i patrzyłam na pana Kościeleckiego, który tyleż co z Węgier wrócił, gdzie jeździł w sprawach handlu z Wrocławiem. Coś z ożywieniem do mnie mówił, częstując się pasztetem ze śliwką.

Dziwny to był człek, któren co mu powierzono, zawsze najlepiej wypełniał. Czy chodziło o wojsk najlepszych do Korony sprowadzenie (pono od raców jego nikogo lepszego Olbracht nie miał), czy o posłowanie do Krzyżaka, czy do Budy. Kardynał Fryderyk marszałkiem go swym uczynił za zasługi mi nieznane. Pieniądze królewskie też umiał liczyć i mnożyć Zygmuntowe. Do tego innym był, niż czasy nakazywały, bo skromny w mowie i w odzieniu.

Odpisaną *Księgę o mieście kobiet* Christine de Pizan mnie przywiózł i chyba rad był ze zdobyczy, bo mówił dużo, przeciwnie do swego zwyczaju.

– Coś już żeś pan z niej wyczytał? – Z ciekawością zajrzałam do środka niewielkiej książeczki.

– Że miasto tam wielkie ma mury, by zło wszelakie się nie przedostało. I nie urodzenie się tam liczy i majątek, jeno szlachetność i dobro niewiasty.

– Pięknie. Szlachetność i dobro... – Spojrzałam w stronę murów za oknem. – Panie Kościelecki, niechaj nie zdziwi was moje pytanie.

Słuchał uważnie. Przeszłam kilka kroków do okna i z powrotem, zanim zapytałam:

– Jakie kary są za ukrzywdzenie dziecka, nim wieku sprawnego dojdzie? Dziewczynki albo chłopca?

Pochylił się do mnie.

– Za takie... ukrzywdzenie?

Nie patrzyłam na niego.

– Tak. Za takie.

Westchnął głośno.

– A są. Drapieżcy ofiara może splunąć w twarz.

Spojrzałam na niego gniewnie, bo zdało mi się, że drwi ze mnie. Patrzył bez uśmiechu.

– Splunąć w twarz? I tyle tylko?! – syknęłam.

– Albo... – Poprawił się w niewygodnym krześle. – Kiedy gwałt kto udowodni, winowajcy trzy lata postu zasądzić można. Zdarzyło się, że by ofierze w wieku jeszcze niesprawnym zadość uczynić, czeka się, aż sprawność osiągnie i wydaje się ją za mąż za złoczyńcę, który grzechu na niej się dopuścił.

– To jest zadośćuczynienie?

– By godne życie od nowa razem zaczęli. – Rozłożył dłonie, jakby się bronił.

– A jeśli to chłopiec?

– Słyszałem, że do klasztoru posyłają. Ale to dawno temu było. Takie rzeczy prawie młodym się nie zdarzają... – Spojrzył uważnie. – A słyszeliście co o kim? Kogo ukrzywdzono? Poradzić trza co?

– Poradziłam chyba... Ale wdzięczna jestem za naukę i pomoc. – Uśmiechnęłam się.

Opadł na oparcie, upił odrobinę wina i chętnie zaczął mówić o czym innym.

– O jednej rzeźbiarce z Bolonii w Budzie usłyszałem, co takie talenta ma, że dla papieża tworzy... – oznajmił głośno, kiedy zapowiedziano pana Tarnowskiego, Amora, syna Amora...

– Toż mnie łaską Pan dzisiaj obdarzył – powiedziałam, gdy ujrzałam drobnego o wielkich wusach męża, wchodzącego do sali.

– Czemuż to? – zapytał gość, ukłon czyniąc.

– Bo mi dwóch znamienitych gości pozwolił widzieć. – Wskazałam ręką Kościeleckiego.

Na widok siedzącego starosty cofnął się, pewnie liczył, że mnie samą zastanie. Mówiono nawet, że to przeciwnik główny koronacji Zygmunta. Tarnowski nie sprzyjał księciu, bo nie był on bogatym panem jako Władysław, nie przynosił widoków na nowe korzyści i znaczniejsze znajomości. I jasnym było, że wybadać mnie przeszedł albo nowiny wyciągnąć.

– Widział pan nową papiernię od klasztoru Duchaków? – Niczego ułatwiać mu nie zamierzałam.

– Nie – burknął, nie siadając.

– A nowe pisma Erazma? – włączył się Kościelecki.

– Też nie. – Gość przestąpił z nogi na nogę.

– A wiersz o miłowaniu? Krzyckiego. Pokazać mogę. – Poderwałam się.

– Kędy indziej przyjdę. Kiedy nastrój do poważnych dysput nastanie na Wawelu. – Pokłon głęboki złożył i ostawił nas samych.

Kościelecki uniósł bujne brwi.

– Dziwne, że ktoś, kto imię Amor nosi, nie chce o miłowaniu mówić. – Wyraźnie dziś był dobrze usposobiony. Zdało mi się, że nawet się uśmiechnął!

Roześmiałam się głośno, otworzyłam szeroko okno, by do sali wpuścić odurzający, nocny zapach maciejki. Kazałam podać nam więcej wina. Pacholik wyjął z *credence* dwa srebrne kubki i zgrabnie wlał do nich biały trunek ze szklanej flaszki. Zosia zasiadła do lutni. Pierwsze przyjemne tomy wybrzmiały, kiedy odezwałam się:

– Niepotrzebnie Tarnowskiego wypuściłam urażonego. Trza było go wysłuchać – zaczęłam.

– Mówią, że król Aleksander skłania się ku księciu Zygmuntowi niby dzięki namowom Glińskiego. – Mąż upił mały łyk wina. Nigdy go pijanego jak innych nie widziała.

– Toż do następstwa Zygmunta po Aleksandrze trza kogo namawiać? Chociaż... Może być to prawda. A Gliński co chce za to? – zapytałam.

– Pewnie wzrostu fortuny przy Zygmuncie upatruje, może nie chce, by król Władysław dostał Węgry, Czechy, Polskę i Litwę. Bo wiadomo, że ten kto Wilno ma, dostanie i Kraków.

– A jam słyszała co jeszcze.

– Co?

– Że Gliński mitrę wielkoksiażęcą pragnie założyć na swoją głowę. Słyszeliście?

– Wszystko być może.

Na drugi dzień z rana czytałam wreszcie list od Zygmunta:

Jeszcze z Głogowa ruszyłem do Poznania, upewnić się, czy poparcie Wielkopolan nadal mam. Przyjaciół zyskawszy i pomoc, do Wilna lecę, bo król mnie wzywa. Z Bogiem zatem przyjmę to, co Aleksander dla mnie ma.

Wstrzymałam oddech i Kraków wraz ze mną na resztę lata. Zdało mi się, że nie tylko ludzie zadzierają głowy w stronę Wawelu, ale i kamienice, i kościoły popatrują ku zamkowi i na wschód. Jakby nie chcąc zburzyć woli Bożej, zamącić myśli umierającego króla, miasto przycupnęło w ciszy, Wisła i Rudawa jeno cichutko szemrały wokół podwójnych murów, czekając wieści o śmierci jednego, a wywyższeniu drugiego.

*

Dnia dziewiętnastego sierpnia tysiąc pięćset szóstego roku duchota wypełniała moje komnaty i stary Wawel. Deszcz nie padał od dwóch miesięcy, jakby sam na znak jaki najmniejszy z Wilna czekał. Musiałam wyjść na rzeźwe nocne powietrze, by oddech głębszy złapać po dniu gorącym.

Stałam na murach, kiedy najpierw drzenie poczułam pod stopami, a potem ogłaszający dźwięk dzwonów. Szedł od miasta do miasta, od osady do osady, aż dotarł do Krakowa i wawelskiej katedry. Żal mnie chwycił, strach jakowyś i boleść. Wiedziałam, co znaczył. Król Aleksander umarł.

Nagle ponury pomruk rozszedł się po niebie i pierwsze ciężkie, zimne krople jęły spadać na mą twarz.

*

Na drugi dzień nie wiedzieć co poruszenie większe wzbudziło wśród Małopolan, czy to, że król Aleksander zmarł, czy to, że bez zgody stanów polskich namaścił Zygmunta na wielkiego księcia. Że Zygmunt był *immediatum et indubitatum et successorem*. Jedynym dziedzicem i sukcesorem...

Kościelecki z Tomickim, jurystą w Bolonii, uczonym i archidiakonem bez święceń, siedzieli w wawelskim hortusie goszczeni jadłem zacnym i trunkiem niezgorszym. Słodkie ciasta korzenne na stole, ciężkie wonie drobnych róż purpurowych i ostatnich lilii białych, obficie kwitnących w ogrodzie, przyciągały osy.

– Wiesz to pani, że Glińskiemu wielki książę zawdzięczać ma kołpak? – zapytał Tomicki, wrzucając rodzynki do białego wina w złożonym kubku.

– Zdaje mi się, że wszyscy już o tym mówią. Listów od brata czekam.

– Michał Gliński rośnie – dodał.

Kościelecki poruszył się.

– A prawda. Jak dla podbicia sławy jego, na drodze umierającego króla stanął Tatar. Michał go zgniótł i odebrał czterdzieści tysięcy dusz jasyru.

– Sława, sława... – Zamyślony Tomicki jął opuchnięte winem rodzynki łowić palcami i wkładać sobie w usta jedna po drugiej.

Dużymi widełkami nałożyłam każdemu z panów po trzy grube plastry dziczyzny na srebrne płaskie talerze.

– Kto oprócz Tarnowskiego gardłuje przeciw memu bratu? – zapytałam archidiakona, oganiającego się od chmury owadów i marszczącego twarz od słońca.

– Spytek też z Tarnowskich i Kmita. Ale nie oni ważni. Łaski na elekcji przemawiać będzie.

– To i dobrze, to dobrze... – Pokiwałam głową i zamilkliśmy wszyscy. Ja strachem jakimś podszyta, a starosta i archidiakon szarpiąc zębami

mięso.

Kłaść się już chciałam, pożegnawszy zacnych gości, kiedy usłyszałam ciche pukanie. Regina wsadziła jeno głowę i wyciągniętą rękę z listem. Znowu była brzemienną.

– Daj! I idź już do domu! – zawołałam zaniepokojona o jej duży brzuch i wyszłam z ciepłej pościeli.

Odeszła, a ja niecierpliwie jęłam nad świecą łamać pieczęć na złożonym pergaminie. Drżącymi rękami otwierałam list od Zygmunta, jeszcze jak na Mazowszu bawił.

Pewnie już słyszała, że Michał Gliński pokonał Tatara! Beczkę wina z radości utoczyć kazałem. Anna dobra, na wieści owe przysłała mi ptaszki, konia i prosięta. Ludzie mówią, że Michał wiele chce. Że on okrutny, chmurny i zły. Za łby się z marszałkiem Zabrzezińskim wzięli, bo marszałek pono dowody ma, że Litwę po Aleksandrze chciał brać i że króla otruł.

*

Listy następne, znowu spóźnione, ale za to na raz dwa, dostałam dopiero, kiedy na listopad szło. W Koronie huczało jako w moim rozgrzanym piecu, a wieści niesprawdzone z Litwy wirowały po miastach, jako te bure jesienne liście, które opaść ni zatrzymać się gdzie na dłużej nie mogą. Dlatego prawie rozszarpałam list, mocno pieczęcią ściśnięty.

...Pod Grodnem Glińskiego zastałem. Ja jazdy miałem dwustu zbrojnych, on po ostatniej bitwie z Tatarem miał siedmiuset. Ale pod zamkiem jeno do nóg padł moich i wielkim mnie nazwał. Do Wilna wjechałem już w cztery tysiące ludzi, po bokach mając Gasztołdów i Radziwiłłów. Poznałem, zdaje mi się, wolę Michała. On chce widzieć we

mnie Aleksandra i jak nim mną rządzić. Brata pochowałem jedenastego października, ale wstydno, że nikt go do Krakowa wieźć nie chciał, mimo że wolę za życia takową wyraził, a i nikt z Krakowa po króla nie zajechał.

Ale nic to siostró, stało się. Od biskupa Tabora odebrałem mitrę wielkokiążęcą, a miecz goły podał mi Gliński. Jam panem Litwy. Jako pradziady nasze, dziad nasz, ojciec i bracia moi. Raduj się, miła moja, jeśli ci Małopolanie zezwolą...

Rozerwałam pieczęć w liście drugim. Pieczęć była inną, większą. Do wielkiego kniazia należała, a i Zygmunt pisał o sobie w mnogiej liczbie, jako mu majestat nakazywał.

(...) Na nic listy Łaskiego, Kraków nie chce nas, bo złamaliśmy pisma mielnickie o wspólnej elekcji, najsamprzód kniazem ostając, bez zgody i głosu Polaków. Wiemy, że panowie senatorowie, panowie koronni zjeżdżają już do Piotrkowa, by w Królestwie Polskim elekcję zacząć.

Schowałam listy i powiedziałam do przysypiającej pod piecem Rabsztyńskiej:

– Trza panów sprosić, by powiedzieli, co w Krakowie się dzieje i co wydarzyć się może w Piotrkowie.

Nim posłała gońców, do sali wszedł Tomicki.

– Wiecie już pani?

Wstałam od stołu wystraszona.

– Cóż mam wiedzieć?

– Bogdan Ślepy Mołdawianin najechał na Pokucie.

Opadłam na krzesło przerażona.

– Jakże? Dlaczego?!

Kościelecki wsunął głowę za archidiakonem.

– Bo ze ślubem zwlekacie.

*

Wszyscy o rychłej elekcji w Piotrkowie mówili, a mnie zdało się, że nurt Wisły wciąga mnie, woła coraz głośniejsze. Cóż mogłam uczynić teraz? Co wobec wojny głos mój sprzeciwu znaczył? Gdzie jest Fryderyk? Listu od niego żadnego. Nie wierzy mi? Oddał mnie już? Cóż Zygmunt? Nie o mnie teraz zamyśla, to pewne! Do tego nadszedł list od Heleny, od której pomocy wyczekiwałam, ale pismo złudzeń nie pozwoliło żadnych snuć:

Dziwnym, żeś królewska córka i powinności swoich nie znasz albo pycha cię wodzi, boś królewska niewiasta właśnie. Ja powinności swe znałam i znam. Brat mój listy do mnie słał, bym mu tron po Aleksandrze zapewniła, ja rzekłam, jak powinność mi kazała, nie po sercu, że tron Zygmuntovi się należy. Za mąż iść powinnaś. Niewiasty po to, by łagodzić dzikie dusze i pokój między rody zaprowadzać. Wojna jeno, choć żal pisać, przez ciebie się dzieje.

Skrzypienie drzwi przerwało mi, schowałam do kuferka list, choć wolałam go w ogień rzucić.

Młoda dwórka oznajmiła bezradnie:

– Pani, deszcz pada. Płótna zdjąć trzeba...

– Toż ja mam zdejmować? Biegnij, bo mokną!

– Już! – Skłoniła się. – Pan Kościelecki idzie tutaj – dodała szeptem.

Nagle zapragnęłam wyjść na powietrze.

– Znajdzie mnie. Chodźmy!

Okazało się, że służba sama wiedzieć miała, co znaczy deszcz i drągi uprzątnęła, póki bielizna cała nie zamokła i ogromne jej stosy zaniesiono do

komór.

Stałam z szubką uniesioną nad głową i patrzyłam z tylnego podwórca spod zmrużonych powiek na wielki dom matki. Teraz należał do mnie i ostanę w nim na wieki, bo żadna wojna do zamążpójścia mnie nie przymusi.

– Panienko! Toż rozchorujecie się! – lamentowała Barbara. – A płótna brudne od pyłu z budowy!

Westchnęłam głośno.

– To każ uprać jeszcze raz!

Budowa! Pył unosił się od lat nad Wawelem i wchodził nawet do jada.

Odwróciłam się na pięcie i niemal wrzasnęłam. Andrzej Kościelecki stał tuż za mną.

– Zaczęło się. W Piotrkowie wybierają króla.

*

Przysypiałyśmy w dużej sali kojone ciepłem z pieca i rzewną balladą wędrownego śpiewaka o złocistych włosach. Regina w zakątku przy mnie siedziała z zamkniętymi oczami, inne matrony przy stole i winie cicho wtórowały mężowi, a haftujące obrus panienci chichotały, nasłuchując chrapania Ciechanowskiej.

Naraz, z drewnianego sufitu, między nas, spadły dwa wielkie, bure szczury, walcząc między sobą wśród obrzydliwego pisku! Zgroza kazała poderwać się niewiastom, skakać po stole, krzesłach i wrzeszczeć w opętańczym strachu, ze śpiewakiem na czele:

– Ratunku! Ohyda! Pomocy! Uciekać! Nie strzymam! Zabić! Zabić!

Co delikatniejsze opadały zemdlone w ramiona siostr i kompanionek. Sama krzyczałam z podkurczonymi nogami, póki pokojowcy nie utłukli

gadziń! Jeno przebudzona Ciechanowska nie pojmowała, o co ten gwałt i siedziała nieporuszona.

– Pełno tego, pełno... – sapała niedługo potem jedna z matron w kuchni, bo żadna z niewiast do sali nie chciała wrócić. – Jedna z moich dziewczek mówiła, że pod Krakowem, jak tak deszcz padał ostatnimi dniami, ludzie w pole wyszli rozmokłe kretowiska rozbijać. Deszcz jeszcze większy naszedł wtedy i nory zalał, i okazało się, że to nie krety, a szczury jęły wylazić z ziemi! Mrowie! I ludziom po nogach się dla ratunku wspinać!

Jęk grozy i obrzydzenia rozszedł się po kuchni.

Odźwierny przysiadł na ławie.

– Dworscy mówią, że królewskie konie pogryzione. Ludzie strażę mają, bo nie dość, że takie plugastwo konia zestrąszy, zepsuje, to jeszcze czym zarazi...

Umilkli wszyscy.

– Będzie co z tego... – ciągnęła matrona. – Miazmaty cuchnące, opary duszne co świt nad Wisłą widzę. Żab i robactwa pod nogami, a przecie zima prawie.

Ja mówić nie chciałam nawet, że siewca zarazy Saturn w koniunkcji z Plutonem. Nie wiadomo, który plugawszy, ale panien i matron straszyć nie chciałam.

*

Każden spodziewał się, że na czas obioru króla w Piotrkowie, przy takich znakach, choroby wyleżą na Kraków. Że kurewnikom od francy gęby powykreca, że lepra zacznie członki odejmować, ale tego, co przyszło, nikt spodziewać się nie mógł...

Najpierw jako zawsze, w brzuchy co niektórym weszło, później kaszel się objawił, ale potem wymierać zaczęli ludzie jeden za drugim tak, że grzebać nie nadążano! Piąty dzień już dzwony były nieustannie, a ludzie bali się z domów wychodzić. Służba skarżyła się, że co noc więcej rzeczy wykradzonych ze wzgórza znika razem z ciurami! Strach coraz większy kazał mi dom zawrzeć przed bandytami i lamentem nieustającym, krzykiem, strachem i gniewem miasta.

– Pani, jechać musimy! Wszyscy znaczni ujechali! W ratuszu nikogo! – lamentował mój ochmistrz Sieklucki. – Człek za człkiem umiera!

– Rowy kopią na trupy! – zapłakała w rękaw Rabsztyńska. – Domy wymierają całe! Jednego dnia człek żywy, drugiego martwy. Kościoły zamknięte, ksiądz co na drągu komunie podawał, martwy. Uciekajmy!

Zła i przerażona zawołałam do obojga:

– Ludzi mam ostawić?!

– Ludzie ciebie, pani, ostawili! Wzgórze puste i bramy rozwarte! – wołał Sieklucki.

– Jakże mi uciekać?! Przecie wozy pokradzione!

Panny co wcześniej nie uciekły z rodzicielami lub bez, uderzyły w płacz. Cóż mnie robić było?

– Każ bramy zamknąć! – rozkazałam.

– Komu?! – zawołał Sieklucki.

W las nie było jak iść, bo jeśli choroba nie zabije, to kto inny dla odzienia, jedzenia albo złota. Już zamyślałam, by na strychu suchym ukryć się z jakimi zapasami, kiedy brzęk metalowych kolczug na schodach, łoskot ciężkich męzowskich butów, gwałtem wdarł się do naszych uszu.

– Zbrojni! – zdążyła zakrzyknąć jedna z panien.

Krzyk, lament i Boga wzywianie ustało, kiedy mężowie ze znakiem Zygmunta wtargnęli do sali.

– Z rozkazu wielkiego księcia siostra jego i dwór jej do Niepołomic mają być wywiezione.

Lament zamienił się w dziękczynne zawodzenie i na słowo zbrojnego w szpiczastym szyszaku: „w dwa pacierze” fraucymer jeno modlitewniki pochwyciwszy, zaraz siedział w dwóch pancernych wozach z uchylnymi okienkami. Sieklucki pognął konno dom własny ratować.

Kiedy wozy ruszyły, radość jakby grzeszna nastąpiła w środku. Jedna panna z uśmiechem szepnęła:

– To są racowie... Usaria!

– Gdzież, z drewnianymi tarczami? – wątpiła druga. – Tarcza z żelaza ma być!

– To by nie dźwignął!

– Żołnierz wszystko dźwignie!

– Tak! A zwłaszcza twój Paweł!

– A byś wiedziała!

Rabsztyńska powstała i swoim rzemieniem uciszyła młódki.

– Nie dość, że głupie, to jeszcze się głośno głupotą chwałą. Cicho, bo w miasto wjeżdżamy.

Wóz toczył się powoli po nierównym trakcie. Nie chciałam nawet zamyślać, po czym przejeżdżał... Uchyliłam okienko, tak by coś uwidzieć. Nie powinnam była... Straż zabijała drzwi domów, za którymi słyszałam lament tych, którzy o wypuszczenie błagali. Jeden pokryty czarnymi guzami chłopiec uciekł, nikt ścigać ni łapać go nie chciał, ubili jedną strzałą i zostawili pośród pomarłych na ulicy, strasznie z gorączki jakiej na wiór zeschniętych. W wielkiej kamienicy śliczna kupcówna krzyczała, kiedy dom jej zabijali:

– Jam zdrowa! Zdrowa! Nie chcę! Nie chcę!

Wspięła się na okno, by uciec, w końcu skoczyła, głowę rozbiwszy na bruku. Oczy przymknęłam na chwilę i przysiadłam z trwogi z powrotem na ławie, by po chwili wrócić do patrzenia. Gdzie indziej, kto chyłkiem dom opuścił i chyba dzieci własne, bo matkę wzywały, zawodząc, na klucz zamknięte! Jęk umierających, płacz porzuconych, krzyk złorzeczących zlewał się w jakąś piekielną pieśń... Ktoś z siłą zamknął mi okienko.

Usiadłam. Niewiasty patrzyły na mnie przerażone. Wszystko co ja widziałam, one słyszeć musiały. Otarłam twarz.

– A bursa? Klasztory? – szepnęłam.

– Pomódlmy się – powiedziała Rabsztyńska.

Posłusznie pochyliłyśmy głowy, dzwony biły i wozy już za murami pędziły ku ocaleniu. Na trakcie co raz słyszałyśmy i czułyśmy, jak kto rzucał się z błaganiem na nasz żelazem obity wóz, by go zabrać.

Udręczona obrazami, trwogą i modłami, usnęłam i zdało mi się nocą, kiedy zatrzymaliśmy się, że kto delikatnie skrobie przy wejściu i drapie przy okienkach!

– Dusze potępione! – rzuciła jedna z dam, a ja nie mogłam zaprzeczyć, ledwo ze strachu ruszyć się mogąc.

– Hej! Kto tam? – wykrztusiłam z siebie.

Nagle, ku naszej grozie, uchyliło się jedno z okienek.

– A nie podusiły się panny? – zapytał jeden żołnierzy i podał mi list od Zygmunta.

Kościelecki doniósł nam, że mór straszny nastał, a ty pani nigdzie nie pojechałaś z miasta. Zbrojnych wysyłamy i do Niepołomic masz się udać bez zwłoki. Niepokój nasz tym większy, że listów słać nie mogę więcej, dla Twojego i naszego bezpieczeństwa. Wracaj do Krakowa wtedy dopiero,

kiedy znak ci pošlemy, że mór minął. Zasmucisz nas wielce, jeśli zwieziemy się, żeś inaczej postąpiła.

– Smucić cię nie mam zamiaru, bracie, i na znak twój poczekam – szepnęłam i rozdając Zygmuntem racom wdzięczne skinienia, wyszłam z wozu.

Zbrojni rozpalili nam w lesie małe ognisko, chleb rozdali i w cichości przesiedziałyśmy do rana.

*

Zaraza odeszła tak szybko, jako przyszła. Jedni mówili, że jako pani wysoka, białowłosa pędziła przez miasta, zagony i parkany, dalej na Małopolskę i Prusy, nagłą śmierć i desperację po sobie ostawiając. Ale insze miasta, ostrzeżone zawczasu, ran takich jako Kraków nie poniosły.

W Niepołomicach czas bezpiecznie przepędziłam i za własnym staraniem zdrów cały dwór utrzymałam. Powietrza mroźnego i rozrywek rzeźwych w pierwszym śniegu zażywać kazałam w lesie i nad Wisłą niedaleką, oko mając na starych i młodych. Temu kto sam oddalił się za dwór, wracać nie zezwalałam, a tego kto sprowadził gościa, za bramę wygnać razem z obcym kazywałam.

Zygmunt, mimo że elekcją zajęty, to o mnie nie zapomniał. Od razu jak zwiedział się, że Mała Polska wolna od zarazy, list mi posłał, gdzie zapisał, jak i kiedy wracać mam do Krakowa. Wracałam zatem za pozwoleniem brata w kolebce futrami moszczonę, po ubitym śniegu, kiedy kościoły już otwarto i lud tłumny wdzierał się do świątyń, teraz dopiero mogąc się poskarżyć Maryi i Panu Bogu na los okrutny. Jęli zaś obietnice składać, dziękować za los ocalonego z zarazy, złorzeczyć albo jeno płakać.

Człek do domu wracał, drzwi zabite odwalał, grabił, co po zmarłych ostało, zalił się drugiemu, śmiać się zaczynał, bawić i świętować. A kto owdowiały, zenił się w pośpiechu.

Tyle co wróciłyśmy dwa dni temu do tyłu i przechadzałyśmy się z ochmistrzą po wzgórzu, licząc puste domy, kiedy Rabsztyńska wskazała mi weselny korowód na Grodzkiej. Muzyka skrzekliwa, jaskrawe suknie, nowe sajany i szuby złote na wychudłych ciałach, czapy przedziwne i śmieszków gromada, jakby zagłuszyć, zdusić chciały żalobę i dawną trwozę.

– Dziś już czwarty ślub – powiedziała Rabsztyńska. – Wczoraj do nocy naliczyłam dziewiętnaście.

– Zapomnieć chcą złe. Duszy drugiej ludzie potrzebują. Matek i ojców dzieciom. Domu.

– Jest co grabić, kupować i zajmować. Ale niektórym jeszcze się blizny pod pachami nie wygoiły.

– Może właśnie dlatego.

Zawróciłyśmy do domu, bo listów od życzliwych Jagiellonom spodziewałam się wreszcie z Piotrkowa. Nic nie wiadomo mi było, by zaraza w obraniu królem brata mego komu przeszkodzić miała. Czekałam ją, czekał Zygmunt cierpliwie...

*

Ósmego grudnia roku pańskiego tysiąc pięćset szóstego obudziło mnie bicie dzwonów i łomotanie do drzwi sypialni.

– Panienko! Pani! – wołał Andrzej Kościelecki.

Zerwałam się z posłania, nie wiedząc, czy koszulę mam zdziewać i suknie nakładać, czy jeno na gieżło co narzucać!

Usłyszałam wzburzony głos Rabsztyńskiej:

– Panie! Na cóż gwałt czynicie! Pannę przelękniecie!

Podbiegłam do drzwi i zawołałam:

– Nie przelękniecie! Niechże pan mówi! Stało się co? Pożar?

– Gdzież pożar! Więcej! – wołał poruszony.

– Co?!

– Wiedźcie to, co wszystkie dzwony głoszą! Księżę Zygmunt Jagiellon został przez panów i trzykrotną zgodą pospólstwa obrany królem Korony Polskiej!

Wzruszenie, radość nagła odebrały mi siły w członkach i szczęśliwa osunęłam się po drzwiach na podłogę. Nareszcie! Najgodniejszy na tronie! Łzy szczęśliwe puściły się po moich licach.

– Pani? Stało się co? – dopytywał Kościelecki. – Powiedzcie co!

– Nic... Jeno tak tylko...

Nagle poczułam uderzenie w plecy. Rabsztyńska usilnie próbowała wejść.

– Pani! Cóż to? Wejść nie mogę – skarżyła się.

– Odejdź, Barbaro. Ostaw mnie samą. Ostawcie – szepnęłam.

Oparłam głowę o drzwi i dłoń uniosłam w pozdrowieniu do stojącego na wprost mnie uśmiechniętego widma starej królowej wspartej o laskę.

*

Pan Stanisław Kościelecki, kasztelan, brat Andrzeja, tyleż co w Piotrkowie podpisał dyplom elekcyjny Zygmunta, siedział u mnie za suto zastawionym stołem i opowiadał mnie i spragnionym wieści pannom, matronom i dworzanom, już przeszło od godziny, jak to w Piotrkowie było.

– Ale kto przeciw miał co? – dopytywałam, dolewając gościowi wina.

Inni zamarli z kielichami i jadłem w dłoniach, czekając odpowiedzi.

Otarł wielką chustką poczerwieniałą od ciężkiego trunku twarz i odparł z zadowoleniem:

– A któż niby? Tarnowscy i Kmita. Że to niby Litwini gwałt zadali mielnickim postanowieniom? – Machnął niedbale ręką. – Kanclerz Łaski w mowie biegły o męstwie i o prawości mnogo króla nowego mówił. Że Glińskiego pan nasz uciszył, że gdyby Zygmunta nie obrano, nie tylko Żmudź, ale Litwa odsunąć się mogła od Krakowa. I insze takie...

– Dobrze mówił... – Pokiwał głową z uznaniem siedzący przy mnie brat Stanisława, a za nim pośród pomruków aprobaty potakiwać jęły matrony i sproszeni panowie.

– Ale! – ryknął pijany już znamienity gość. – Wszystkim chyba zamknął usta poseł króla Władysława, który wszem oświadczył, że król Węgrów i Czechów swoje błogosławieństwo daje bratu i brat mile jest widziany na tronie krakowskim! Na co po mszy do Ducha świętego, co by natchnął panów mądrą radą, wojewoda poznański powstał z klęczek, wznosił ręce i zawołał do inszych panów:

„Skoro nas Duch święty natchnął dnia dzisiejszego do wyboru nowego pana, wybieram Jej Królewską Mość królem Korony Polskiej!”⁴⁰. Na to inni powstali w wielkim uniesieniu i słowa wojewody każdy po trzykroć powtórzył!

Poderwałam się z krzesła.

– Każden? – zapytałam wzruszona.

– Każden!

– Przysięgacie?

– Przysięgam! – Uroczyście uderzył się w piersi Stanisław.

Okrzyki radosne i brawa wypełniły moją salę. Sama śmiałam się, klaskałam z uciechy i poruszenia.

Stanisław wstał i zawołał:

– Grać!

Posłuszni muzycy uderzyli w bębny, cymbały, lutnie i flety. Stanisław Kościelecki, ze lśnącymi oczami, podszedł do mnie i kręcąc srogiego wąsa, wyciągnął ku mnie dłoń z głębokim ukłonem. Tego wieczora tańczyłam z przyjemnością pierwszy raz od bardzo dawna. Od rozgrzanych szyb topniał śnieg za oknem.

*

Do nowego roku o niczym innym Korona nie rozprawiała po karczmach, klasztorach, domach, łóżach prawych i nieprawych, jak o zbliżającej się koronacji Zygmunta. Kraków stroił igliwem ulice, okna, progi i drzwi. Zawieszał kolorowe proporce, a i z okazji owej każdy chyba w mieście łaźnię odwiedził co najmniej raz.

Nie wiem, czy kto o przeszłej niedawno zarazie choć wspominał...

– List – przemówił dworski i obojętnie podał mi mały kwadrat, kiedy inne pismo o tym, co w Krakowie się działo, pisałam do Zofii. Radosną nowinę jej ogłaszałam, bo Zygmunt obiecał, co prawda w ratach, wreszcie wypłacić posag, czego poprzedni królowie bracia wypełnić nie mogli.

Oderwałam się od jednego listu, by przeczytać drugi.

Od Fryderyka pewnie, pomyślałam, ale serce zabolęło mnie z żalu, kiedy ujrzałam, że to od księżnej Anny.

– Tylko jeden list? – zapytałam chłopca.

– Tylko jeden.

– Żadnego posłańca?

– Był posłaniec.

– Tak? – Spojrzałam z nadzieją na pokojowca.

– Od sukiennika.

– Ach, tak... Możesz odejść.

Młodzian skłonił się głęboko i wyszedł.

Z niechęcią, bez ciekawości, złamałam pieczęć.

Siostrą mi jesteś po sercu i po sercu zapytuję o to, co w domu twoim. Radością wielką dla mnie jest, że Zygmunt, którego bratem swoim zwę, obrany został królem. Zapewne wiesz, że niemało mu w tym pomogła.

– Wiem, wiem, Anno... – szepnęłam.

I zapytam ciebie jako siostrę: Czy Zygmunt mówi o mnie? Czy zamyśla? Wstyd mnie zjada, kiedy słowa te piszę, ale nieobca musi ci być myśl, że brat twój w sercu mym gości. Mówią, że głupota w parze ze sromotą chodzą. Zwłaszcza w miłowaniu. Ale wiem też, że owe niecnoty jeno w miłowaniu wybaczyć można.

36 *artes liberales* (łac.) – sztuki wyzwolone

37 dworniczka – kobieta samodzielnie prowadząca gospodarstwo

38 sajan – kaftan obcisły, z baskinką od pasa w kształcie klinów

39 hortus (łac.) – ogród między murami

40 I. Finkel, *Elekcja Zygmunta I na króla Polski*, s. 211.

1507

Dwudziestego stycznia nocne krakowskie niebo raz za razem rozświetlały zielonawe wybuchy kitajskich ogni. Rzeźwe dźwięki muzyki, głośnie okrzyki i strzelanie z moździerzy topiły śnieg pod tysiącami ludzkich stóp. Zjeżdżał właśnie na Wawel wielki kniaź ze zbrojnymi, dworzanami i panami po polską koronę.

Uśmiechałam się, roniąc łzy, kiedym usłyszała, że wjeżdża na brukowany wawelski dziedziniec ustrojony dla króla w wielkie czerwono-złote zawieszania sztywne od mrozu, a lśniące w blasku pochodni niczym diamentami haftowane.

Dla króla ubrałam się w purpurę i mante z orłem. Przy niemilkających dźwiękach trąb i tarabanów Zygmunt zsiadł z białego konia przybranego w złotogłowiowy kropierz z Pogonią i Orłem, stanął przede mną w zbroję srebrną zakuty, w gronostajowej, powłóczystej szubie, uroczysty i wzruszony.

– Tyś jest ten smok, co go matka nasza wyśniła. Co wyśniłeś ty – przemówiłam i podjęłam pod kolana nowego króla.

Tubatores zagrzmieni tonem rzewnym, który z pamięci mej przywołał ojca mego, Olbrachta i Aleksandra. Wszystkich ich ujrzałam teraz, tak samo poruszonych i stojących na dziedzińcu jak Zygmunt. Pomyślałam, że to wszystko tak dawno było, a oni nigdy nie wrócą! Kochany pan ojciec,

śmieszny Olbracht i cichy Aleksander. I oto stoi tu ostatni, który królem nigdy nie miał zostać. Zapłakałam i dźwignąć się nie miałam siły.

Zygmunt uniósł mnie w górę, jakbym nic nie ważyła.

Ryk jeden radosny na widok nasz wydarł się z gardeł wzruszonych ludzi wyczekujących od miesięcy prawdziwego druha i dobrego pana.

– Tyś to jest... – powtórzyłam.

– Prawdę mówisz? – zapytał schrypiałą od wzruszeń.

– Prawdę. Tę, którą wypowiedziałyby nasza matka. I ojciec.

– Nie drwiła ze mnie? – Lśniły mu oczy. – Nie drwisz ty?

– Idź bracie i hołd im złoż.

Puścił me ręce i pokłoniwszy się przed zebrany dworem, zawrócił do katedry. Modlił się długo w kościele w towarzystwie duchownych i dworzan u Świętego Krzyża naszych rodziców. Patrzyłam z okna na pełgające światło w kaplicy, rzucające cienie na dawny dom Konicpolskich. Nocą dopiero Zygmunt do mnie zawitał. Objęliśmy się, żadnych słów nie wypowiadając. W końcu, siąkając nosami, usiedliśmy naprzeciw siebie.

– Nie może ci być dziwne, że o tobie zamyślał – zaczął.

– Zygmunce... – Uścisnęłam mu dłoń.

– Napisać o tym nie mogłem ani posłańca wysłać – mówił cicho. – Bogdan Pokucie najechał, nie by terminy ślubne wymusić, ale by Małopolan wystraszyć wojną i elekcję moją uczynić szybszą. Na prośbę naszego brata Władysława. Zrazu nie wiedziałem.

Wyprostowałam się.

– Tak... by króla szybciej obrać. Widać, że Władysław też doradców miewa, którzy tobie sprzyjają.

– Wiedz to, że kontrakt ślubny podpisany bez dat żadnych. I dat żadnych nie będzie. Nie oddam cię Mołdawianinowi. Wierzysz mi?

– Tobie pytać nie było potrzebne. Wierzę, królu.

Poklepał mnie po dłoni i wyjść miał zamiar.

– Głowa cię nie boli? – zapytałam z troską, kiedy się podniósł.

– Nie, Bóg dla mnie dziś łaskaw. – Uśmiechnął się i wyszedł cicho.

*

Cztery dni potem w katedrze ustrojonej w brokaty drapowane na polerowanych stallach i aksamity rozłożone nad i przed tronem klęczał brat mój w szacie z altembasu⁴¹ zdobionej wizerunkami świętego Stanisława, Zygmunta, Floriana, Wojciecha, Marcina i Wacława. Na dużym, płaskim kapturze lśniła Trójca święta, z koronacją Maryi i Wniebowzięciem, na plecach jego zaś pyszniły się herby Polski i Litwy, i wielki królewski orzeł złotem haftowany. Zygmontowe ramiona okrywał kołnierz z zimowych gronostajów.

– Czy chcesz? – gromkim głosem zapytał elekta arcybiskup Boryszewski, za świadki mając ludzi i chorągwie zdobyte w wielkiej bitwie przez naszego dziada przed stu laty.

– Chcę – równie mocno odpowiedział Zygmunt.

Arcybiskup wolno odwrócił się do zebranych w katedrze.

– Was pytam!

– Radzy! Radzy! Radzy! – po trzykroć odpowiedzieli panowie stłoczeni w ławach, każdy podług ziemi własnej uroczyście przybrany. Byli i Małopolanie w granatowych szubach i amarantowych kołnierzach, Wielkopolanie w szubach jasnoniebieskich i różowych kołnierzach, Sieradzanie z kołnierzami czarnymi do błękitnych płaszczy i inni podług

własnego obyczaju ubrani. Niewiasty ich w czepcach tak szerokich, woalem przybranych, że jeno trzy w ławę wejść mogły. Wszystko to stało jaśniejące i uroczyste dla splendoru własnego i dla króla.

Zygmunt prowadzony przez biskupów zasiadł na tronie, twarzą zwrócony do zebranych, kiedy chorągwie Jogajły zadrżały od dźwięku trąb, strącając z siebie prawie stuletni kurz. Znak to jaki był? Panowie i gawiedź stłoczona pod kolumnami, czepiająca się okien kolorowych, stojąca na schodkach, podestach, ujrzyć mogli wyraźnie twarz mego brata. Mówiono, że włosy wilcze nosi między brwiami, bo wzrok jego przykuwał człeka w miejscu i posłuch wymuszał. Głowa jego kształtna, duża i szeroka siły mu dodawała. Brodę gęstą zgolił i lica jego czerwone, obnażone, o zdrowiu mówiły, a warga dolna, mocno wysunięta, rozwagę na myśl każdemu przywodziła i każdy pokochać musiał króla za sam majestat niespotykany, a oczywisty.

Po koronacji na wielką ucztę zawołano. Parada karłów, linoskoków w barwnych, pstrych szatach przewodziła radosnej procesyji. Liry, bębenki i piszczałki zagłuszały wszelkie rozmowy. Zygmunt szedł daleko przede mną, ale dlatego go widziałam, bo górował wzrostem i odznaczał się purpurą w tłumie. Łyskał koroną, kiedy głowę zadzierał wysoko i śmiał się głośno.

Ciasno było w zamku, któren zdecydować się jeszcze nie mógł, czy starym ma być czy nowym. Dawna wielka sala na biesiadę ciasna była i drżała od dźwięków, brzęków, pomruków jedzących, pijących, strof wypowiedzanych chyba przez dziesięciu błaznów na raz, od krzyków, śmiechów, coraz mocniej i mocniej, jakby raz wypowiedziane słowa po stokroć rosły, a ulecieć nigdzie nie mogły! Co raz kto wychodził i wchodził z okrzykiem i śmiechem. Zdało mi się, że ściany pękną, jeśli kto jeszcze przybędzie! A pochód trwał nieprzerwany biskupów, panów, synów, matron

i panien. Paradnie szli ci, co zdało się im, że za ich sprawą to Zygmunt królem ostał. Szli wolno z ulubionymi ptakami, karłami, własnymi muzykantami, psami i żonami.

Kredensów wielkich cztery rozstawiono zawczasu, by z nich naczynia cenne wybierać i na stół stawiać. Szafy olbrzymie, też cztery, z Gdańska ściągnięto i w sieniach ustawiono, by przybyli podziwiali nowe meble i by przykryć wytarte opony i spękany mur.

Zygmunt siedział z najznaczniejszymi w osobnej, cichszej komnacie, mało do ludzi mówił, świadom, że on po dziadach, ojcu i braciach dźwigać zacznie sprawy habsburskie, mołdawskie, tatarskie, krzyżackie i moskiewskie przy pustym skarbie. Pewnie po temu pochylał się ku Bonerowi i patrzył uważnie, co ten mu rysuje na karcie papieru.

Sługi uwijały się spotniałe w nowym szatach, przy krzesłach, stołach, jadł i gościach. Podsuwali, nakładali, podawali i sprząтали to, co gość zjadł, a brzuch jego już nie zmieściło... Siedział potem taki pan, smętny i pijany, bo zjadłby jeszcze co z dzika, sarny, kuropatwy, sos by wyjadł białym chlebem, pojadłby szpiku... Pachniało wszystko przecie lukrecją, pieprzem, cynamonem! A tu cielsko nie dawało! Ale nic to! Rano Bóg zezwoli z nowa ochotą i trzewiami wolnymi znowu zasiąść.

Przypatrywałam się parze niedawno poślubionej, choć wiekiem niemłodej. Suchy i żylasty, o wielkich wąsach hetman Kamieniecki ożenił się z niewiastą swego wieku, a rok mu pięćdziesiąty szedł! Pani Kamieniecka, posiwała, uśmiechała się łagodnie do męża i do sąsiadów obok.

Regina pochyliła się w moją stronę.

– Wszyscy na nich patrzą. – Zauważyła, że ja też przypatruję się pani hetmanowej.

– Bo szczęśliwi.

– Rzecz niesłychana z nimi! Ona na niego czekała, aż się z nią ożeni.

Sięgnęłam po kielich i długo piłam. W końcu zapytałam:

– Toż czemu się nie żenił?

– Ojciec żył i nie zezwalał.

– Czemuż to? Majątek chyba po dwóch stronach jednaki?

– Ogromny. I u niej, i u niego!

– Zatem?

– Pohańbił ją za młodu jaki pohaniec, gdy narzeczony pod królem Olbrachtem się bił. I ojciec Kamienieckiego nie zezwolił na ślub z pokalaną.

– I hetman nie ożenił się z inną?

– Nie! Do tego zemstę na pohańcach zaprzysiągł!

– I teraz dopiero ślub wzięli?

– Stary ojciec pomarł.

Spojrzałam na roześmianą parę. Troski żadnej w zaróżowionej twarzy pani Kamienieckiej nie ujrzałam, ale czy czekając, nie zwątpiła w umiłowanego? Jakież życie wiodła z piętnem pohańbionej? Mnie też przyjdzie czekać jeszcze? Czy niewiasta zawsze może i musi jeno czekać? Na co? Na kogo? Na razie wypatrywałam tylko listu...

Kiedy siódmego dnia wino wylewane pod stoły zgodnie z obyczajem przez damy niepijące zamieniło kobierce w czerwone błoto, kiedy opilcy dość już mieli łykania trunków z leja prosto z beczki, kiedy larum co drugi podnosił na skradzione cenne guziki i inne klejnoty ze strojów, kiedy niejeden już pianę toczył od nadmiaru wina i oczami przewracał, a drugi już był *exitus*⁴² za stołem, umyślono, że ucztę czas skończyć i zacząć polowanie w Niepołomicach.

Nocą jeszcze, przy głośnej kniejówce ze zwierzyńca puścili wszelkie zwierzę małe, pierzaste, futrzaste i rogate, za nim myśliwych, łowczych, podłowczych, polowników, ptaszników, sokolniczych, bażantników, szczwaczów, woźniców psiarskich razem z psami i osobno psy na smyczach. Dwór, goście, matrony i panny ubrane na zielono, każdy przy sobie dzierżąc, podług sprawności własnej albo jeno łuk ze strzałami, albo dziryty⁴³, oszczep lub kordelas⁴⁴ błyszczący. Niektórzy rohatynę ⁴⁵ do ścierania się z niedźwiedziem wszem okazywali.

Kiedy ścisk już strzytać nie mógł roześmianych panów i panie na podwórku, kiedy konie już posłuch traciły, łaskawa borówka odezwała się brzękliwie i grubo, na co pańskie psy tropowe, brytany, medyolańskie wielkie i w pancerzu, charty, gończe i ogary, jak za sprawą czarów jazgot uczyniły, że ni słowa nie usłyszysz i puściły się przed siebie.

Dzieci trza było z drogi im zabierać i małe zwierza domowe, bo psy jak w amoku jakim, wszystko w drodze do lasu, co w zęby im wpadało, na śmierć zabijały, mordem wiedzione.

Zygmunta gdziekolwiek spojrzeć widziałam, bo skakał na koniu, doglądając wszystkiego. Sieć umyślił rozpuścić na wielkiej polanie z jedną jeno dziurą, przez którą wypadać miały jelenie, zające, trzy stare tury, dziki, wilki i dwa niedźwiedzie!

Na znak z głębi boru wszystkim stanąć kazał daleko, matronom specjalnie dla nich na pobudowaną wieżę leżać kazał, by nie bały się i stamtąd ogląd na łowy miały. Chłopcom i dziewczekom kazał trzymać się rodzicieli.

Naraz ziemia drzeć zaczęła, głuchy tętent lament u niektórych dzieciaków wzbudził, kiedy pierwszy w szczelinę w siatce przebił się jelen, co nawet dwóch skoków nie zrobił, gdy siedem oszczepów powaliło go na ziemię. Za nim dzik wypadł z kwikiem, na co mały Koszyrski z ojcem u boku

w sztywną szczecinę wbił pierwszy dziryt za swego żywota. Ojciec drugim żgnięciem dobił zwierza i na skraj polany ciężar odciągnął. Kazał chłopcu zsiąść z konia i przeciągnąć silnie, a śmiało po szyi dzika. Mały pobladły, z zaciśniętymi ustami uczynił, co mu ojciec nakazał. Na łzy chłopcu się zbierało, ale nie mniej poruszony medyk Koszyrski cichymi słowy coś mu szepcząc, umoczył dłonie w krwi zwierzęcia i pomazał nim twarz syna, na co huknęło wielkie pozdrowienie z ust możnych zebranych wokół polany.

– Niedźwiedź idzie! – nagle wrzasnął ktoś z głębi boru.

Co poniektórzy rozpierzchli się, a inni patrzyli poruszeni przed siebie. Słyszałam, że psy za niedźwiedziem idą, a znaczyło to, że prawie martwy. Strwożony, wściekły i umęczony, z rykiem wpadł na sieci, na zgubę swoją zaplątał się, ale co by go nadmiar nie męczyć, gibki mąż, hetman Kamieniecki, prosto w dzikie serce wbił pięknie dziryt, za co zaraz od króla wieniec świerkowy dostał. Szczęśliwy Kamieniecki wieniec oddał żonie, wielce z tego uradowanej.

Podeszłam do uszczęśliwionej matrony. Zauważyła mnie i spojrzała znużona.

– Czekałam, bo przysięgę złożył. Nigdy nie zwątpiła.

Czułam, jak twarz mi czerwienieje.

– Ale ja...

– Tylko to sprawiło, że m się nożem nie pchnęła. Nie o to chciałaś pani zapytać? Chyba na najbliższym zjeździe piotrkowskim każę małżonkowi to ogłosić, bym już języka do każdego strzępić nie musiała. – Nie mówiła w złości. Uśmiech delikatny błądził w figlarnym spojrzeniu.

– Wybacz pani.

– O, może mnie przyjemnie patrzeć, jak kto miesza się, a ja tą mędrszą się zdawam? I jeśli już przychodzisz do mnie, to do dania rady się poczuwam.

– Wszystkim udzielasz tej samej, zapewne. – Uśmiechnęłam się.

– Bo wszyscy z tym samym przychodzą.

Roześmiałyśmy się obie.

– No, poproś więc o radę pani, bo chcę się mądrą okazać! – zawołała, dociskając do głowy wieniec od męża.

– Proszę zatem.

– Desperacja niepotrzebną. Nie świeca jeno światło daje. – Podała dłoń mężowi, roześmiali się oboje i oddalili do króla. Czułam, że twarz mi płonie.

Kiedy lud łowczy do południa ubił już wszystkie zwierze, odtrąbiono koniec polowania, a początek uczty na polanie dużej. Na małą wylegli osocznicy i kotłowi. Wywlekli koryta do sprawiania, a psiarcy zaczęły opatrywać rany psów pokąsanych przez zwierzęta i zdraдлиwe knieje.

Patrzyłam, jak z czoła wielkiego tura zdzierają skórę, z wilków futro i użynają im łapy na lekarstwa, kiedy podjechał do mnie Zygmunt. Uśmiechał się rumiany i zgrzany, ukazując przerwę między przednimi zębami i dołeczki na licach niczym u dziecięcia.

– Zmachałem się! – zawołał szczęśliwy. – Ubiłaś co?

– Rarogi mam leniwe, a rohatyną nie umiem. – Uśmiechnęłam się.

– Rohatyną bym ci nie zezwolił – powiedział, rozglądając się po gościach. – Zadowoleni?

– Gdzieżby nie! – Wskazałam przed siebie na dumnego i umazanego zaschniętą krwią małego Koszyrskiego i jego ojca bardziej przejętego pierwszym łowczym wyczynem dziecięcia niżli pewnie dawniej jego chrztem w kaplicy. A więcej było takich dzieci oznaczonych zabijaniem. Dziewczynki i chłopcy, co ubili pierwszego w swym życiu zająca czy wiewiórkę, z dumą nosiło krwawy zaschnięty ślad po pierwszym polowaniu

na czole lub licu, póki sam nie odpadł. Sama taki długo pielęgnowałam na swoim czole.

*

– Panie Łęczycki – mówiłam do dworzanina niedługo po koronacji. – Rok nowy nastał, sprawdzić trza, czy Baltazar wpisu dokonał nowego, czy nie. Czy żyw. Dziecię to przecie jeszcze.

– Pewnie w mieście go nie ma nawet. – Podrapał się w głowę pełną czarnych kędziorów sterczących na wszystkie strony.

– Sprawdź i zwiedź się wszystkiego, jeśli ostał. – Sięgnęłam do małego skarbczyka i wyjęłam małą kaletkę⁴⁶. – Wpisu dokonaj.

Wziął pieniądze, osadził czapkę na lokach, pokłonił się i wyszedł.

Baltazara nie widziałam od roku ani o nim słyszałam. Nie dziwnym mi będzie, jeśli zniknął, a smutnym, jeśli gdzie pomarł.

Nie mogłam się doczekać wieści o chłopcu i wyszłam o zachodzie słońca na południowe mury, jakby to wieści przyspieszyć mogło albo Łęczyckiego sprowadziło szybciej. Zmarzłam mocno, śnieg jął migotać już w świetle wieczornych pochodni, kiedy wreszcie usłyszałam skrzypiące na mrozie, powolne kroki Łęczyckiego idącego w moją stronę.

Podszedł i oddał mi pełną sakiewkę.

– Mów! Nie żyje?! – zawołałam wystraszona.

– Dziw bierze, ale żyw i wpisu dokonał.

– Za co? – Spojrzałam na nietknięte pieniądze.

– Po groszu, po dwa. Do bursy się przeniósł.

– Z czego żyje?

– Mówią, że z tego co każdy *studiosus*⁴⁷. Trochę lekcji da młodszym, trochę skradnie tym, co to całymi wozami dobytek na Akademię zwożą dla

wygody własnej, trochę ugra...

– Nie kończ. Widziałeś go?

Skinął głową.

– Chudy i hardy.

Uśmiechnęłam się.

– Pieniądzy nie wziął?

Łęczycki ciasniej owinął się szubą i z ust wypuścił kłęb pary.

– Nie wziął. – Pochylił się do mnie. – Bo rzecze, że swoje już wziął od was, a on przecie... – Wzniósł palec.

– ...Szlachcic – wypowiedzieliśmy razem.

– Zmarnować się gdzie może – powiedziałam smutno. Potarłam zmarznięty nos i spojrzałam w stronę Kazimierza. Po chwili odwróciłam się do Łęczyckiego, który dla rozgrzania postukiwał butem o but. Ładne, żółte i nowe były, ale o cienkiej podeszwie.

– Człeka znajdziesz, co oko na Baltazara mieć będzie. Rzucić ma tak monetę w komnatce, by ją chłopak zawsze znalazł. Przed napaścią ma chronić. I...

Pokiwał głową.

– I sam ma mu dać się okraść. Pojmuję.

*

Zygmunt miał mnie nawiedzić, zaraz jak z nowych łowów wróci, przed ruszeniem na Litwę, by z Moskwą na nowo się układać. Cóż mnie Moskwa i Wasyl obchodzić mogli! Drugą niedzielę go nie było, ale tyle co cuchnące mdło, wozy mięsem wypełnione już zjechały i spodziewałam się, że będzie mnie szukał. Nie chciałam go widzieć, ni nikogo. Nie chciałam jadać ze wszystkimi, pić i nikogo słuchać. Chciałam zostać sama i by nikt na mnie

nie patrzył. Chciałam, by mnie nie było! Wymknęłam się do skarbcza i przycupnęłam między wiszącymi u niskiego sklepienia cennymi sukniami matki. Dotknęłam szorstkiej od złotych nici materii i wtuliłam w nią twarz.

Od czterech lat, odkąd Fryderyk zjechał na Wawel za Zygmuntem, odkąd go ujrzałam, od rana po noc żywot swój jemu w opiekę powierzałam, a jego żywota Bogu! Nie urodą ni mową mnie zjednał, jeno dobrocią. Jakem ujrzała, gdy wodę matce mojej podawał zemdlonej, a kiedy miłowanie mi wyznał, tom wchłonęła to miłowanie jak sucha śliwka wino! Roiałam, śniłam, czekałam, tęskniłam, jakbym odurzona z umysłu zeszała! A teraz jeno sromota mi ostała. Niechaj ostanie, niechaj za karę dźwigam śmiech ludzki i obmowę. Za karę, że niegodnego afektu się dopuściłam.

Usłyszałam ciężkie kroki.

– Nie pytaj o nic – szepnęłam, kiedy poczułam, że Zygmunt stoi w środku. – Przeklęta jestem. Drugi mnie odstąpił. Tamten był dziecięciem jeszcze, a ten umiłowanym. Ten, któremu gotowam była oddać żywota, opuścił mnie. Fryderyk wyprawił się do Ziemi Świętej i zwolnił mnie ze ślubów. Sam! Słyszysz?! Sam darował mnie Mołdawianinowi!

– Mnie nie wiedzieć... – odezwał się skonfundowany Kościelecki.

Przerażona wychynęłam spomiędzy sukien.

– Panie... Wybacz.... – Wstyd kazał schować mi się z powrotem. Serce tłuło się we mnie, jak wtedy gdym się do Fryderyka wymykała.

– Cóż mnie wybaczać? O księciu legnickim wiedzieli wszyscy. Z oczu waszych kaźden by to wyczytał. A jeśli zezwolisz pani, to powiem...

– Co? – zapytałam cichutko.

– Że to głupiec. A wyście cesarskiego rodu, cesarza godna.

Zbliżyłam się do sukni i poskrobałam materię, jakbym odpowiedź gdzie w osnowie miała znaleźć.

– Po prawdzie to mówicie? – wyszeptałam.

Czułam i słyszałam, że podszedł bardzo blisko i przemówił zza tkaniny:

– Po prawdzie. Jak zawsze.

Nie zdążyłam nic wymówić, kiedy nadszedł zgrzany król i ze śmiechem wyłowił poczerwieniałą mnie spomiędzy sukien.

– Cóż to schadzka? Kto jest głupiec? – śmiał się.

– Człek kaźden. – Kościelecki wzruszył ramionami, skłonił się i puścił nas przodem.

*

Głupiec – mówiłam do siebie o Fryderyku. – Głupiec! Głupiec! I ulgi mi to przydawało. Chociaż kto owo miano miał dźwigać? On? To ja dnie przepędzałam, jeno nasłuchując, czy kto ze Śląska nie zjechał, to ja wpatrywałam się w pusty podjazd pod domem, pusty trakt od Wrocławia, to ja jeno w zamian dostawałam posłańców z solą, wozy z mięsem i zapytania kucharza o jedzenie. To ja w zamian za słodki głos wołającego me imię ukochanego dostawałam dźwięk skrzypiących drzwi, gdakanie kur i postękiwanie śpiących matron na mszy...

Zygmunt wiedzieć musiał, co Fryderyk uczynił, ale nie mówił o tym. Jakby czuł, że ból mi sprawi. Dlatego jeno rozmowy o wyprawie, by pokój z Wasylem moskiewskim zawrzeć, całą wiosnę nam zajęły.

Kiedy słońce piękne wreszcie nastało, król w Niepołomicach zaprosił mnie na przejażdżkę pośród lasu. W siodłach już byliśmy, kiedy podał mi bukietik stokrotek. Odjechaliśmy w las, odczekał, aż dworzanie ostaną z tyłu i powiedział:

– Zwiedziałem się, iż Wasyl o pokoju nie zamyśla.

– Nie nowina... – burknęłam.

– Swoim zwyczajem nie omieszkał nadmieniść, że on tylko się broni.

Zaśmiałam się. Zygmunt szarpnął wodze.

– Tak, Halszko. A po prawdzie to ojciec jego pokój zawarł z Aleksandrem, a nie ze mną.

– To obraz jasny masz, bracie. Wojna cię nie minie. Cóż na to Tatar?

– Po naszej stronie. Kiedy jeszcze Gliński pokonał go przed śmiercią Aleksandra, woli nas mieć za przyjaciół. Wprost zapytać Gireja kazałem, czy z synami ruszy na Moskwę? Bo że Moskal grabić zacznie, to pewne.

– Cóż na to Mengli Girej?

– Że do pokoju między trzema panami namawia.

– Obaczym...

Jechaliśmy chwilę, nie odzywając się, pośród świeżej, leśnej zieloności i ptasich odgłosów wiosny.

– Od Anny mazowieckiej kolejny list dostałam – powiedziałam. – A ona pyta o ciebie. Ożenisz się z nią?

– Nie.

– Nie? To po coś konterfekt jej posłał?

– Bo chciała.

– Zygmuncie! Nie mogłeś nie wiedzieć, co to znaczyć dla niej może!

– Wiedziałem. I po prawdzie po głowie mojej kołatał ten ożenek za namową Łaskiego.

– A teraz?

– Wtedy byłem królewiczem, księciem. A teraz jestem królem. I czas mnie nie o księstwie teraz myśleć, jeno o królestwie. Habsburgi głowę do Budy pchają. Czas im przeszkodzić.

– To z kim się ożenisz? Z Habsburżanką? – Żal zrobiło mi się Anny. – Przecie sam żeś układał się dla Władysława z Węgry, że jeno Węgier królem być może, to habsburski ożenek ci na nic.

– Habsburski na nic.

Jechaliśmy przez chwilę w ciszy.

– Węgierski! – syknęłam i uniosłam się w siodle. – Węgierski ożenek ci w głowie. I Węgry! Syn twój przyszły panem byłby po przodkach Węgier i Korony Polskiej. Na tronie budzińskim i praskim by zasiadł.

Uśmiechnął się.

– Zawszem mówił, żeś mądra niewiasta.

– Cóż brat nasz Władysław na to?

– Na wszystko się zgodzi.

– O, tak! Na to co powiedzą mu Habsburgi też?

– Obaczym.

Ścieżka przyjemną była i na tyle wąską pomiędzy jeżynowo-malinowymi wiciami, że nikt koło nas jechać nie mógł.

– A co zrobisz z... matką dzieci swoich?

– Też ożenie – odpowiedział spokojnie.

– Serce twoje wolne?

Spojrzał na mnie przenikliwie.

– A twoje?

Spuściłam wzrok.

– Zjesz co, siostrze? Już polanę z jadłem rozstawionym widać. – Zsiadł z konia i mnie pomógł zejść.

Zjedliśmy, mówiąc przy dworach naszych o sprawach błahych, o ludziach, muzyce, tańcach i strofach nowych, a już drukowanych. Tańczyliśmy, śpiewającym wtórowaliśmy, śmialiśmy się z popisów błazeńskich, wiedząc, że serca nasze przez rozstania z umiłowanymi jednakże krwawią. Ożeni niewiastę, której nigdy nie miał zamiaru porzucić, kiedy księciem był? Dzieci ostawi?

Noc już była, kiedy król jak zawsze odprowadził mnie do domu. Wszedł za mną do sypialni.

– Gdzie je chowasz? – zapytał cicho.

– Co?

– Listy od niego.

Drgnąłam, uniosłam i ostrożnie otworzyłam skrzyneczkę z listami od Fryderyka. Nie wiedziałam, co zrobić chce. Wziął pełną garść i nie zaglądając do nich, rzucił w ogień!

– Nie! – wrzasnęłam. Kufer wypadł mi z rąk i listy wysypały się na podłogę. – Nie! – Zbierałam na kolanach. – Odejdź! Odejdź! – krzyczałam.

Stał, jakby nie wiedział, co ze mną uczynić, kiedy wystraszony pokojowiec zajrzał do komnaty i zawołał do króla:

– Panie! Wasyl pali ziemie! Pod Berezyną go widzieli!

Zygmunt cofnął się do drzwi i wyszedł za chłopakiem. Szlochając w desperacji, rzuciłam się do ognia i wygrzebywałam te listy, co uratować mogłam i jak pies chodziłam na czterech, póki z podłogi, spod stołu i spod *credence* nie wybierałam wszystkich. Kiedy skończyłam, oparłam się o ścianę, zamknęłam skrzynkę i przytuliłam do piersi jak dziecię. W progu stała Rabsztyńska i Regina. Przypatrywały mi się w ciszy. Brudną ręką roztarłam na twarzy sadzę razem ze łzami.

– Czego chcecie? Patrzyć? To patrzcie!

Wyszły cicho, a mały pacholik podbiegł i ukląkł przy mnie, podając mi jeszcze jeden odnaleziony list.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się i uchyliłam wieko kuferka. Zadowolony wrzucił list do innych.

Powstałam i padłam na pościel, by zasnąć od razu.

Pięć dni później Zygmunt ruszył z Krakowa galopem z nadworną rotą w czterysta koni. Nie wiedzieć, czy poruszenie większe u mieszczan wywołała stara wojna, czy nowe, „srogie” szaty u wojska pędzącego za królem. Nie wiedzieli, że za staraniem Bonera i Kościeleckiego wracały dobra zastawione przez ojca i braci, kopalnie soli w Koronie i na Rusi, młyny, stawy i inne sprawy, co poniechane były, a teraz grosz dawać zaczynały.

*

Listów od króla czekałam nie mniej niż od Fryderyka. Od tego drugiego po prawdzie nie powinnam czekać, ale na czekaniu zeszło mi całe lato. Zabawy w hortusie z pannami, z kawalerami na łąkach w piłkę, przyjmowanie gości i bywanie goszczoną miłe było, ale dni pełnych lęku o brata i tęsknoty za tym drugim nie skracało. Przeciwnie, wszelka bezczynność, modlitwy, siedzenie, słuchanie i patrzenie torturą się zdawało, kiedy myśli natrętne z rozumem wygrywały.

Zygmunt dopiero jesienią wieści nadesłał i mimo że do mnie wcześniej jakie gadki docierały, list otwierałam z niecierpliwością.

Mengli Girej, przyjaciele w afekcie przez nas nazwany, co do pokoju namawiał, okazał się fałszywym psem jako Wasyl. Niby puścił syna nam na pomoc, ale ten zawrócił i okazało się, że nic nie uczyni, póki wroga Gireja, Chana Wielkiej Ordy, nie każemy zabić. Pies! Samych nas ochota wzięła, by Gireja i Wasyla pobić. Do Wilna poleciliśmy, bo złość nas podrywała. Do jesieni jeden jeno stał w miejscu, drugi unikał wojny, aż Wasyl straszyc zaczął pod Orszą, Mścislawem i Mohylewem, na co spuściliśmy hetmana Kiskę, co po twardym mrozie przeprowadził się za Soż, na co Wasyla ludzie uciekli. Czekamy w Grodnie, a wojna ni w jedną ni w drugą stronę nie idzie.

Ludzi pchnęliśmy do chana, by wiosną ruszać znowu. Wypatruj nas, siostrze, z końcem roku.

*

Pogodnym, jesiennym popołudniem siedziałam na szerokim murze i patrzyłam w stronę Kazimierza. Panny i pacholęta wyjadały z dużej misy pierwsze orzechy topione w miodzie i zadowolone, głośno oblizywały palce zapatrzone przed siebie. Psy uśpione pogodą ludzi, ziemi i nieba trwały zwinięte albo rozciągnięte na grzbietach u stóp swych panów i pańien.

– Złe idzie... – zaskrzeczała Ciechanowska, dołączywszy do nas na mur przy pomocy dwóch pacholików. Pod ramiona ją trzymali, by spoglądać mogła na Kazimierz.

– Cóż to mówicie... – burknęłam, mocniej otuliwszy się lekką jedwabną szubą lamowaną miękkimi gronostajami.

– Niechaj pańienka spojrzy. – Wskazała sękatym palcem przed siebie. – Oparę żółte na Wiśle. Gęste. – Pociągnęła nosem. – Cuchnące...

Ja nic nie czułam.

– Nie mówcie i dzieci nie straszcie.

– Wojna idzie...

– No idzie. Ale to wszyscy wiedzą bez waszych wróżnień.

– Mrówki dzisiaj widziałam... – ciągnęła złowrogim tonem.

– Gdzie?

– W talerzu...

Regina stanęła obok.

– Boście talerz brudny ostawili, to przyszły.

Urażona matrona zeszła na bruk i bez pomocy niczyjej poszła w stronę domu. Patrzyłam za Ciechanowską. Niechaj Zygmunt wraca, pomyślałam.

*

Król pojawił się wreszcie, ale od powrotu nie był u mnie ni razu. Widziałam, że wyjeżdżał rano ze starego zamku i na noc wracał. U Bara nie mieszkał. Raz z murów światło widziałam w Kurzej Nodze i zobaczyłam stojącego króla razem z Kościeleckim i Szydłowieckim. Pan Andrzej też do mnie nie zachodził. Dlatego prawdziwie ucieszyłam się, kiedy po Bożym Narodzeniu zapowiedziano pana Kościeleckiego, jak słyszałam już żupnika krakowskiego.

Panny na zapowiedź gościa znamienitego i zamożnego bardzo za pomocą nowego nadania jęły kształciki⁴⁸ lekko opuszczać, wdowy zadzierać swoje w górę, czepce układać i suknie do nóg przyklepywać, by kształt ich niby to przypadkiem znaczył się pod tkaniną.

Jednak, kiedy pan żupnik wszedł, ani nie spojrzął po niewiastach, jeno do mnie przemówił cicho:

– Zamróz chwycił, wiatru nie ma. Wyprawa do hortusa miłym będzie... – oznajmił.

Pojęłam, że mówić chciał bez świadków. Zeszliśmy do ogrodu i zasiedliśmy w małej altanie tak, by nikt nas nie słyszał, mimo że fraucymer, oczywista, podążył za nami.

– Król pragnie, bym to ja ożenił się z jego... panią Katarzyną Telniczanką – powiedział do mnie Andrzej, kiedy przysiadł na ławie.

Patrzyłam na jego łąsą głowę i włosy długie nad karkiem. Starszy był od Zygmunta, a dla Telniczanki za stary. Patrzył na mnie tak, jakby winnym czuł się tego, co wydarzyć się miało.

– Stąd nadania? – zapytałam i z trzaskiem złamałam bezlistną gałązkę dzikiej róży.

Uniósł podbródek.

– Tak. Król właśnie od pani Katarzyny wrócił.

Mówił spokojnie, ale desperacja biła z jego twarzy.

– Chcecie tego panie? – zapytałam siedzącego naprzeciw.

– Chcę.

– Z jakiej przyczyny? – Żal mnie zdjął za to, że dziewczka dostanie męża, który nigdy życia swego niczem nie zhańbił! Nie tak jak ona!

– Króla miłuję. I dom jego. Nie o nadania stoję. Ja...

– A uroda pani Katarzyny tutaj niczem? Tak... Wszyscyście jednacy.

– Pani! – Powstał wzburzony.

Któraś z panien biegających między alejami odwróciła się w naszą stronę. Poprawiłam kaptur i patrzyłam na śnieg pod stopami.

– Wybacz, panie, jam jeno chciała rzec, że wielkie szczęście panią Telniczanę spotyka, że męża tak zacnego dostanie. Są niewiasty, które nic nie czyniąc, jeno uśmiechy rozdając, szczęścia dostępują na wieki!

– I ja wam szczęścia życzę. Z serca – powiedział, pochwyciwszy kaftan na piersi. Zdało mi się, że błysk jako żywy ujrzałam w jego oczach przez chwilę.

Skłoniłam się.

– Ufam, że i mnie szczęście nie minie.

Dziwny smutek mnie ogarnął i zapragnęłam brata widzieć. Ostawiłam Kościeleckiego i zastałam króla w starej komnacie przed dużym kominkiem. Siedział tyłem do mnie na wysokim krześle. Siatka na włosy zsunęła mu się z głowy i zwisała smętnie, wczepiona w fałdy szuby. Zygmunt przyjść musiał z miasta dopiero co, bo krople deszczu jeszcze nie zniknęły z futzanego kołnierza, odbijając pomarańczowy blask ognia.

– Mówiłem przecie, że widzieć nikogo nie chcę – powiedział.

Nie usłuchałam i podeszłam cichutko. Spojrzał na mnie, wyprostował się, jakbym go na czym przyłapała i szybko pod futro schował małą srebrną skrzynkę. Listy! Od niej! Przecie od niej wraca! Odda ją. Ożeni ją. Długie, zmierzwiłone i posiwiałe włosy czyniły go niepodobnym do człeka, którego znałam. Naraz nieporadnie zaczął je upychać pod siatką. Przeprosiłam i zawróciłam do siebie. Deszcz miast śniegu zacinał, jakby nie chciał, bym do domu wróciła, a potem bym z niego wyszła. Wbiegłam na piętro i mokrą dłonią ze stołu chwyciłam skrzynkę z pozostałymi listami od Fryderyka. Od dawna jeno ból sprawiały, a i tak wszystko, co w nich było, znałam na pamięć. Wbiegłam z powrotem do starej komnaty i uklękłam przy bracie. Otworzyłam wieko kuferka i wrzuciłam w ogień pierwszy list. Zygmunt uniósł brwi i wysunął dolną wargę, jakby nie był gotów wziąć udziału w procederze albo mu się głupim zdawał. W końcu nie patrząc na mnie, sięgnął do swojego po jeden list pachnący drogimi korzeniami i powierzył go ogniewi. Wyjęłam swój następny i spaliłam. Brat zawahał się przez chwilę i nagle poderwał się z krzesła.

– A niechże to! – wrzasnął, ciskając skrzynkę ze wszystkimi listami w ogień.

Nagle buchnęły zielone płomienie i chciwie, z sykiem wyciągnęły się ku twarzy króla.

Pokojowiec i dwóch pacholików krzyknęło strwożonych.

– Czary! Panie, ratuj się! – wrzeszczał Anton, stary sługa.

– Głupiś... – szepnął niemniej przerażony król. Przeżegnał się, splunął trzy razy i wyszedł.

– Znaczy, w mocy czarów króla *vipera*⁴⁹ trzymała – powiedział Szydłowiecki, który stał w drzwiach nie wiedzieć od kiedy.

– Teraz on wolny, dzięki Panu – powiedział Anton, wznosząc oczy ku sklepieniu.

Moje ostatnie trzy listy schowałam w mokry rękaw i wróciłam do siebie.

41 Altembas – jedwab turecki, grubo przetykany złotem. W altembasie osnowa jest jedwabna, a wątek złoty, w złotogłowie zaś wątek jest jedwabny, a osnowa złota.

42 *exitus* (łac.) – wychodzący, tutaj: w agonii

43 dzirynt – rodzaj włóczni

44 kordelas – długi nóż

45 rohatyna – odmiana włóczni z hakiem przy grocie

46 kaletka – mała, skórzana sakiewka

47 *studiosus* (łac.) – student

48 kształcik – rodzaj gorsetu

49 *vipera* (łac.) – żmija

1508

Lutowego ranka zastałam Zygmunta w nowym, zachodnim skrzydle, na piętrze przy stole w niemal pustej i ogromnej komnacie o dużych jasnych oknach. Drewna na podłodze jeszcze nie było, jeno materie wodą zroszone zaścielały zakurzone klepisko. Przyniosłam mu chrupiące precliki, bo nie chciałam, by do wieczora żył jeno dwoma kuflami grzanego piwa, do tego w zimnie jak na dworze! Wiedziałam, że przyjść ma mistrz, a wtedy ani król, ani Italczyk jeść ni pić nie będą, póki czego nie uzgodnią, naprawią albo czego nowego na planach zamku nie umyślą.

Podziękował i jak nasza matka przełamał circulum na dwoje, by je po kawałku w usta wkładać. Łzy mnie do oczu nadbiegły na wspomnienie królowej, na których widok Zygmunt zapytał zdziwiony:

– Co ci to? Fryderyk?

– Nie. Nie Fryderyk. On... Nie wiem gdzie. Wiedzieć nie chcę. – Uśmiechnęłam się i podeszłam bliżej. – Wiśni chcesz? Matka jadała precliki z wiśniami. Babka pono jako ty je lubiła, bez niczego – powiedziałam i pchnęłam przed siebie chłopca trzymającego miseczkę z purpurowym, słodkim sosem.

Odwróciłam się, bo mistrz nadchodził, a przez puste komnaty głos jego niósł się z daleka. Człek znany, zdało się, że w sobolowej szubie wejdzie, ale zawsze wszystkich dziw brał, bo Franciszek Italus, zamożniejszy od niejednego króla, w prostej koszuli chadzał, do tego z rękawami

podwiniętymi jak terminator u kowala w kuźni. I dziś wszedł z włosy niemytymi, byle związanymi rzemieniem, z rulonem papieru w dłoni już uwalanej jakim żółtym proszkiem.

Na jego widok uradowany Zygmunt kazał zabrać jadło ze stołu i zawołał do mnie:

– Chodź, chodź, obaczysz wielkie novum!

Podeszłam, król jeszcze jaką miskę podał obrusnemu i wyciągnął niecierpliwie ręce po plany, kiedy Szydłowiecki z kilkoma innymi wzburzonymi panami wszedł do komnaty.

– Gliński mord na Zabrzezińskim, wrogu swoim, uczynił – oznajmił. – Człękowi kazał wywlec go z łoża na próg. – Spojrzał na mnie. – I głowę kazał mu urznąć!

– Marszałkowi i panu wojewodzie! – zakrzyknął trzeźwy jeszcze i bardzo błady Koszyrski.

– Szalony, ludzi wycinał, wrogiem, kogo spotkał, nazywał i na koniec zasadził się w Turowie. Niby amok mu minął szaleńczy i ciebie o zmiłowanie prosi. Byś mu wybaczył – dokończył Szydłowiecki.

Przypomniałam sobie, na słowa Szydłowieckiego, Glińskiego w ciemnym korytarzu, tłukącego głową w ścianę. Serce skurczyło się we mnie ze strachu na wspomnienie owej chwili.

– Może być szalony... – szepnęłam.

Wszyscyśmy patrzyli na króla, który jakby z żalem powoli zwinął rulon, postukał nim w wysuniętą wargę, po czym porzucił i bez słowa opuścił wzburzone towarzystwo.

*

Wieczorem sam odnalazł mnie w kaplicy babki naszej Sonki. Modlitwę pod prostą płytą wmurowaną w ścianę dawno skończyłam i podziwiałam cudnej barwy ruskie malowidła, które zawsze zdało mi się na myśl bardziej wielką żywość i radość przywodziły niżli powagę i żal. Ale matka mówiła, że królowa Sonka właśnie taka była: piękna i radosna.

– Wiedziałaś, siostrze, że w kaplicy Hińczów takie same malowidła? – szepnął Zygmunt, przyklękając przed ołtarzem.

– O tak! Osobliwe to wielce. A może wcale nie. Może królewską chcieli mieć kaplicę. Z czystej pychy. Tak jak i teraz.

– Co teraz?

– Co drugi człek zamek buduje dla siebie „na nowy Wawel”.

Uśmiechnął się, jakby wieść owa przyjemność mu sprawiła.

– Niechaj buduje...

– Cóż z Glińskim uczynisz? – zapytałam.

– Ja wiedziałem już zawczoraj, co uczynił, bo mnie listy śle. Warunki daje.

– Gliński Tatarczuk?

– Tak.

– Warunki?

Pokiwał głową.

– Pewnym jestem, że wcześniej chciał zbiec do Wasyla, jeno mu się zdało, że jeszcze tu co ugra. Mnie czas daje.

– Na co?

– Bym go do wiosny w łaski przywrócił.

Pochyliłam się w stronę brata.

– Straszny to człek. Z umysłu dawno zszedł. Zdaje mu się, że on wielki książ albo król. Mówią, że z Zabrzezińskim jako zbiki o wszystko się bili

i skarżyli bez żadnej miary, jeno sromoty rodom własnym przysparzając.

– U Władysława w Budzie nawet poręki szuka po zabójstwie. Nie dostanie. Pewnym jest, że Moskwa pod opiekę go weźmie – dopowiedział.

– Wódz to wielki, Zygmuncie.

– Ale do gwałtu i zdrady skory. Wybaczyć ni przyjąć go nie mogę.

– Oczywiście. Ale innemu panu splendoru przysporzy, a może i niejednego zwycięstwa. Szkoda wodza, szkoda duszy jego.

– Zatem wrogiem moim stanie się za niedługo.

Pomógł mi wstać i pochwycił mnie za rękę.

– Jeszcze o jedno cię proszę, siostró.

– O wszystko, byleby nie o jakie zamążpójście.

– Nowe schody i latyńskie krużganki umyśliłem. Prace dobrze idą. Dom zachodni gotów, a i sale północne prawie pobudowane.

– Przecie pan Kościelecki wszystkiego dogląda...

– A ja bym chciał, co byś niewieścim okiem na komnaty spojrziała. Tak, Kościelecki ciągiem na Wawelu siedzi albo do kopalni jeździ. Jak go nie będzie, ty oko miej na muratorów, kamieniarzy, czy drzwi w okna nie wstawią.

Uśmiechnęłam się.

– Jako chcesz. Dobrze będzie, kiedy myśli czym zajmę, miast...

– Dobrze będzie. – Potrząsnął moją ręką i wyszliśmy prawie na dom królowej Sonki. Do niego przylegał stary dom Hińczów. Stałam jak rażona czym w głowę.

– Zygmuncie, a jeśli oni...

– Kto?

– Babka nasza i Hińcza. Leżą blisko, kaplice niemal takie same, przy sobie, dom w dom stoi...

Zaśmiał się, objął za szyję jak pacholika i odprowadził do domu.

*

W kwietniu dwuletniego syna brata mego Władysława, małego Ludwika, w Székesfehérvárze koronowano na króla Węgier. Mówiono, że starsza siostra chłopca Anna tak płakała na widok ukoronowanego brata, że Władysław sam na chwilę odebrał synkowi koronę, by założyć ją na głowę córki. I dopiero to królową uspokoiło.

– Niepokorna i harda panna! – niosło się uznanie dla Anny wśród niewiast na dworze.

– A z czego cieszyć się, kiedy nawet królewska córka przeciw cnotom niewieścim staje? – zapytał mój spowiednik, co jeszcze wyjść z sali nie zdołał, a usłyszał, o czym panny rozprawiły przy haftowaniu. – Ale cóż to dziwić się... – Rozejrzał się z niechęcią po moich księgach i pismach rozłożonych na stole i leżących na półkach.

– Cud, że jeszcze grzechy mi odpuszcza... – szepnęłam do Zosi i zachichotałyśmy obie, kiedy wyszedł, choć do śmiechu skoro mi nie było w ten czas, bo znowu złe dni na Koronę szły.

Zygmunt nie odpowiedział na listy Glińskiego, na co przystał zdrajca do kompaniji Wasyla, który zapowiedział, że ziemie, które zdobędzie Michał na Litwie, do niego, Glińskiego, należeć będą. Na to czekał jeno Bogdan mołdawski, przyłączając się do moskwian przeciw Królestwu Polskiemu. Mówiono, że Gliński już w maju ruszył na Mińsk. Jako i Zygmunt z bitną, pięcioletnią armią raców lekkich i ciężkich po Aleksandrze i królu Olbrachcie, uposażoną za uchwalone podatki na sejmie w lutym i za pieniądze od Bonera.

Niedługo potem, nim list od brata dostałam, wieści po mieście i dworze krążyć zaczęły, że król wielkie zwycięstwo pod Orszą odniósł. W końcu

dostałam upragnione pismo, na którego czytanie zesła się połowa mieszkańców wzgórza.

– Czytaj, czytaj! – wołała Regina, zasiadając między dwórkami, Koszyrskim, Łęczyckim i Kościeleckim, jako oni wszyscy spragniona dobrych nowin.

– *Naprzeciw brodu, osiemnastego lipca, stanęły tabory polski Firleja i litewski Ostrogskiego, my w trzecim hufie walnym stanęliśmy. Nasi żołnierze w zbroję świetną zakuci taki strach wzbudzili w moskwianach, jeno w skórę i łuki ubranych, że jak Firlej uderzył na ich przeprawę, to jeno proch z nich został. Nikt z naszych ni strzymać się na to potrafił. Przeprawili się i do obozu wroga, z rąk im jadło, zaskoczywszy ich, wytrącając. Siłę ludzi i nas wesołość ogarnęła taka, że z okrzykiem i pieśnią piechotę, co strachu nie zna, porwaliśmy do bitwy. Już nawet widzieliśmy piękną gębę Glińskiego, gdy wściekły gonił między żołnierzy, do walki zestrachanych namawiając, bo wiedzieć musiał, że nas mało, bo wszystkiego szesnaście tysięcy, a moskwian pięćdziesiąt tysięcy było.*

Zmrok zapadał, kiedy do obozu naszego zbrojnych zawróciliśmy, by po nocy na jaką zasadzkę się nie nadziać. W gotowości stać kazaliśmy całą noc, a rano... – Roześmiałam się i zasłoniłam usta. – Moskwian nie było, jeno tabory, konie porzucone i jadło ostało po nich niedokończone! – zawołałam uradowana.

Koszyrski nalał wina sobie i Łęczyckiemu do kubków i sam od razu głośno wychylił swój na raz.

– Pewnie na Smoleńsk pójdą... – powiedział z żalem Kościelecki, jakby żałował, że nie przy Zygmuncie teraz stoi.

Pochyliłam się jeszcze raz nad pismem, by odczytać ostatnie dopisane pośpieszną dłonią zdanie:

Na Smoleńsk ruszamy. Na Moskwę i Siewierszczyznę puszczaemy Firleja i Ostrońskiego.

*

Całe lato Korona czekała na wieści, jedni gadali, że wojska polskie i litewskie rozbite, że król ranien albo że zwycięstwo za zwycięstwem drogę Zygmunta znaczy. W Wiślicy, kiedy bawiłam, inni znowu gadali, że wodzowie Firlej i Ostroński za łby się wzięli, bo żaden pod drugim służyć nie chciał, to znowu w Bieczu mi mówili, że Gasztołd z Radziwiłłem do gardeł sobie skaczą.

Wiedziałam, że wiary dać nie mogę plotkom, póki sama listów od króla nie dostanę, a nic nie przychodziło, póki jesień nie nastąpiła. W Łobzowie, na ostatnich wywczasach przed zimą z dworem będąc, czytałam:

Wasył zasiecznych puszcza, by drogi zawalali drzewami, przeprawy niszczyli przed naszą ciężką jazdą, do tego palili każde miejsce, gdzie oddech konni i piesi znaleźć mogą. Hetmana Kiszkę, starego, a twardego, co go pnie nie zrażą i ni obrażą jak Firleja, puściliśmy, by poszarpał tych, co wokół Wiaźmy tumult najprzykrzejszy czynią. Takież uczynił i na Moskwę wreszcie ruszył, by Wasył wreszcie co zrobił albo przemówił. Przemówił i na Kiszkę ludzi siłę posłał. Kiszka ze swoimi dołączył do jazdy Firleja, co przebić się nie mógł przez lasy gęste i zastawione, puszczając wszem wieści, że armia wielka i połączona na Wasyła rusza. Moskwianie na to zaszyli się w Dorohobużu i w strachu tam siedzą. Czas na układy zatem.

Już w listopadzie, w domu będąc, czytałam kolejny list:

Gliński, zdrajca nasz, wszędzie złe czyni, Mengli Gireja przeciw nam syczy. Trza będzie Girejowi co dać, by ordę swoją wstrzymał. Wszystkich

jako sforę w budach trzymać musimy, układami łagodzić, bo jak ruszą, to nas połkną. Ale nic to. W październiku Wasyl traktat zaprzysiągł i Siewierszczyzna nasza.

*

Po woli króla oko miałam na nowe mury, czy Kościelecki był, czy go nie było. Pieniądze Bonerowe pozwoliły nie tylko dachy wystawić, ale nawet ozdobić je złotymi gałkami. Patrzyłam, oglądałam, dotykałam, pytałam, a nawet niejedno poprawić kazałam. Pisałam przed Bożym Narodzeniem do brata:

Krużganki wasze jako koronka zdobią dwa skrzydła. Cudnie smukłe z budowli nie dom królewski czynią, a rzeźbę kunsztowną, co Jagiellonom splendoru przysparzają. Nie mogę doczekać się, kiedy barwa żywa przyozdobi sklepienia, ściany i kolumny. Złotem już kryją rozety po niewieścich salach, co z błękitem zakątków harmonijny widok zapewni. Pan Kościelecki, zdaje mi się, do domu nawet nie wraca, jeno kiedy z Wieliczki wróci, ciągiem na budowie siedzi. Zawczoraj, kiedy kamień zwieźli i jedną płytę stłukli, taka go złość wzięła, że z niemocy jakiej na ziemię upadł. Teraz go spać odesłałam, bo blady chodzi i za ramię się chwyta, jakby go uwierało...

– Pani! Pan Kościelecki na placu leży bez ducha! – zawołał wystraszony pacholik, kiedy pismo kończyłam.

Zerwałam się równie wystraszona i zadarłszy wysoko suknię, zbiegałam po schodach za zapłakanyim sługą Kościeleckiego. Mnie też strach chwycił taki, jakby mi kto bliski miał pomrzeć!

– Wnieście go! Wnieście go do jego izby! Medyka szukać! – wołałam z dala do zebranych robotników i niewolnych Tatarów, zebranych wokół

leżącego.

Czterech, jak martwego, zaniósło go do małej salki bez okien w starych murach. Przysiadłam przy nim i rozpięłam mu koszulę na chudej piersi. Oddech łapał, Bogu dzięki! Przyszedł medyk i ustąpiłam mu miejsca. Objęłam ciągle zawodzącego małego sługę.

– Toż nie płacz... Pan zdrow będzie.

– Będzie? Do „soli” obiecał mnie zabrać. – Rozmazywał łzy na brudnej twarzy.

– Zabierze, jeno nie płacz. Ciszy panu trzeba.

– Mam co mu przynieść?

– Jak medyk czego będzie chciał, to leć. Służ.

– Tak, pani.

Przysiadłam w kącie i rozejrzałam się po loszku. Pan wielkorządca, starosta na wielu miastach, żupnik krakowski, w ciemnicy mieszkał z jednym krzesłem, wąską kawalerską ławą do spania i małym stołem, na którym jeno gomółka sera leżała, trochę czarnego chleba i brudny nóż. Podniosłam się cicho, by chorego nie drażnić, i wyszłam.

Kiedy do domu weszłam, do Rabsztyńskiej i Siekluckiego rzekłam:

– Pana Kościeleckiego każcie przenieść do domu mojego. Komnatę na dole każ, Barbaro, przysposobić i medyka do niego przykuj na moje życzenie.

Stali, nie poruszając się nawet.

– Cóż to? – zapytałam. – Stało się co?

Sieklucki mruknął co pod nosem.

– Mów, panie! – Złość już mnie ogarniała.

– Pani...

– Cóż się stało?!

– Toż kawaler! Nie godzi się! – wyrzuciła z siebie Rabsztyńska purpurowa na twarzy.

Spojrzałam na nią umęczona.

– Kto? Jaki kawaler?

– Pan Kościelecki. Kawaler.

Nabrałam głośno powietrza.

– Na języki nas wezmą? – zapytałam spokojnie.

Oboje pokiwali głowami.

– Mnie?

Znowu przytaknęli.

– Po prawdzie?

– Tak, pani – szepnęła Barbara, wpatrując się we mnie z nadzieją, że może odwołam postanowienie.

Odwrociłam się od nich i zaczęłam się wolno wspinać po schodach.

– Pani... cóż nam robić? – odezwał się ochmistrz.

– Mówcie, jeśli kto pytał będzie, że pan Kościelecki u mnie z rozkazu króla. I dość o tem.

*

Siedem dni potem, jak każdego poprzedniego dnia, zajrzałam do Kościeleckiego. Siedział już i z pokorą zjadał wszystko, co wpychała w niego owdowiała ochmistrzyni Rabsztyńska.

– Wolski na budowie siedzi, pani? – zapytał mnie.

– Z waszego rozkazu, jako podrządca – odparłam.

– Nie zepsuł nic?

– Zamek bez was nie zawali się, panie. Spoczywać macie. Król nakazał. Troska się. Dom prosił dla was nająć.

– Po co? – zachnął się.

– Byście nie jako rab w lochu mieszkali – odpowiedziała za mnie Rabsztyńska, przywdziana w nową suknię, wnosząc do komnaty parujące kluski oblane masłem.

– Burzą wasz loszek pod dalszą budowę. – Uśmiechnęłam się do niego. – Ciągną już pod Kurzą Nogę.

– Zamówić trza szyby. Gomółki miałem...

– Zamówić kazałam Wolskiemu – odpowiedziałam. – I barwniki wszelakie.

– A podłoga w auli⁵⁰? Śpieszyć się trza przed śniegami.

– Równo wyłożona szarym kamieniem.

– A w zachodnim domu?

– Z palonych płytek.

Opadł na poduszkę zrezygnowany. Rabsztyńska wcisnęła mu w jedną rękę miskę, a w drugą srebrną łyżkę.

*

Zygmunt zjechał wreszcie i widzieć mnie pragnął w Kurzej Nodze nietkniętej nową zabudową zgodnie z wolą naszej matki.

Czegóż chce, myślałam, przechodząc przez dziedziniec pełen dopiero co zwiezonego myślenickiego kamienia. Franciszek Italus, którego król darzył wielkim uznaniem, przy dużym zachodnim wykuszu co robiąc, spojrzał na mnie z niestosownym uśmiechem i zawołał coś w dół, do Niemców przy oknach i do jednego Węgra stojącego przy kolumnie krużganka. Ten niespiesznie malując ochrą czerwoną smukły filar na piętrze, zaryczał jak osioł ubawiony słowem Włocha. Szybko wspierałam się po nowych schodach i przez niepomalowane krużganki chciałam przejść do

Stopki, unikając spojrzeń mężów. Jednak zawróciłam. Młodzian przy kolumnie, w miarę jak się do niego zbliżałam, truchlał i kurczył się, bo królewską siostrę we mnie rozpoznał. Malował coraz wolniej powietrze miast kolumny, wpatrzony ze strachem w moją twarz. Spuścił wzrok, kiedy podeszłam. Wyjęłam mu z dłoni szeroki pędzel i na filarze, tak by Italczyk z góry widział, czerwoną farbą napisałam wielkimi literami: *Stupido Italiano*⁵¹.

Najpierw parsknął śmiechem Węgier, potem rechotać zaczęli Niemcy i jak fala na rzece śmiech poniósł się pośród mężów po krużgankach i dziedzińcu, aż na drugie piętro. Italczyka już nie było.

Kiedy weszłam do Kurzej Nogi, zdziwił mnie widok Szydłowieckiego i Łaskiego rozpartych za stołem. Zygmunt podał mi pięknie pachnący, bielony pergamin.

– Od brata mego Władysława? – zapytałam zdziwiona. – Czegóż ode mnie chce?

– Męża wam szuka – odpowiedział z ukłonem Łaski, kanclerz wielki, mąż o gładko wygolonym licu i tym razem krótko przyciętych, białych włosach.

Szybko odczytałam pergamin.

– Jaki książę włoski i drugi niemiecki? – zapytałam zdziwiona.

Zygmunt rozłożył ręce.

– Mnie też zdaje się, że oni nie dla siostry mojej. Mam kogo lepszego.

Milczałam. W końcu znowu odezwał się król:

– Królewicz duński Chrystian puka do naszego domu. Najpierw wybadać kazałem Duńczyków.

Zamilkł i jak pozostali wpatrywał się we mnie, oczekując odpowiedzi. Szydłowiecki przestał ciągać koszulę przez rozcięcia w nowej szubie, Łaski delikatnie się do mnie uśmiechał, jak do dziecięcia. Czego spodziewali się?

Wygladziłam suknię i złożyłam dłonie w małdrzyk.

– Ależ bracie, ja nie wyjdę za mąż. Ani za księcia niemieckiego, ani włoskiego, ani królewicza duńskiego.

– Jakże to? Nie? Jak? – wydukał z siebie Łaski, ten, któremu pono nigdy słów nie brakowało.

– Nie. Król wie. – Skłoniłam się i wyszłam.

Jeszcze zdążyłam usłyszeć siwego kanclerza:

– Jako rzeczce Erazm: *Małpa pozostanie zawsze małpą, choćby się w purpurę przystroiła*⁵². Wybacz, panie...

Chciałam odejść, ale zawróciłam. Na mój widok Łaski powstał, Szydłowiecki zachichotał, król patrzył zaciekawiony. Stałam i dokończyłam słowa Erazma:

– *Tak i niewiasta zostanie zawsze niewiastą, choćby tam nie wiem jaką maskę przybrać musiała.*

Skłoniłam się pięknie i wyszłam. Zygmunt i Szydłowiecki roześmiali się na całe gardło. Dziś dwa razy zawróciłam z drogi. Szatan to czynił, Bóg czy własna wola?

⁵⁰ aula – skrzydło północne

⁵¹ *stupido Italiano* – głupi Włoch

⁵² Małpa... Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*, Wrocław 1953, s. 35.

1509

W lutym Ludwik Jagiellończyk został jeszcze królem Czech. Nikt już nie donosił o jakim niegodnym zachowaniu jego starszej, sześćoletniej siostry.

Wieczorem, w przyjemnie ogrzanej i rozświetlonej sali, pośród nowych i barwnych tapiserii szyłyśmy koszule. Regina dla małżonka, ja dla brata, matrony dla synów, mężów i ubogich. Panny Rabsztyńska odesłała na dół, skąd teraz dochodziły nas stłumione piski i śmiechy bawiących się w „cztery kąty”.

– Pewnie kto nauczył już Annę Jagiellonkę – mówiła Regina, zerwawszy nić przy rękawie – że niewiasta albo oglądaną być może, albo jej jeno patrzeć wolno. Ale nie odzywać się.

– Pewnie mój spowiednik do Budy pojechał i wyłuszczył zagubionej duszy cnoty niewiasty powolnej – burknęłam.

Jedna z matron, w ciasnym czepeczku, przerwała szycie i spojrzała na mnie.

– Dzieci króla Władysława sieroty?

– Tak. Anna de Foix zmarła, ostawiając dwoje dzieci po narodzeniu Ludwika.

Damy siedzące z nami w kręgu westchnęły ze zrozumieniem i współczuciem.

– To Ludwik jej nie zna, a córka nie pamięta... – powiedziała posmutniała Regina. – Ileż to dzieci matką nie ma kogo nazwać. Nawet królewskich los taki nie mija. Tylko starą królową Bóg łaską i zdrowiem obdarzył, nie zabierając jej przy którym dziecięciu. Trzynaścioro... – mruknęła z uznaniem, odłożyła koszule do koszyka i upiła spory łyk wina.

– Moja siostra ma osiemnaścioro dzieci – powiedziałam.

– A tę to już Bóg chyba sobie upatrzył... – szepnęła Regina. – Tylko nie wiem, czy siostra ma cieszyć się z tego czy Bogu złorzeczyć.

– Ale! – przypomniałam sobie. – Małego Ludwika od śmierci świnię ocaliły! – zawołałam.

Niewiasty zaciekawione porzuciły szycie i patrzyły na mnie z uwagą.

– Narodził się, o czym doniesiono z okazji kolejnej koronacji, bez skóry!

Zawołały razem ze zgrozą.

Zerwałam się i podbiegłam do stołu. Przeszukałam druki, papiery i papierki i uniosłam zdobny druczek przed koronacją rozsyłany po dworach i miastach, mówiący o życiu i cnotach trzylatka.

– Owszem! – przytaknęłam. – Bez skóry, na osiem tygodni przed rozwiązaniem! I wyżył ten najważniejszy Jagiellon!

– Ale jak?! – zakrzyknęła Regina.

– Kiedy zrodził się, jaki wielce mądry i zuchwały medyk kazał świnię za świnią zabijać i w jej ciepłe trzewia wkładać nagie dziecię. – Pochyliłam się do kręgu i zaczęłam wyliczać na palcach. – W śluzie leżał, co ciała mu nie drażnił, w ciepłe i w miękkości!

– A jak świnia wystygła? – zapytała niepewnie jedna z matron.

Wzruszyłam ramionami.

– Cięli drugą!

– I długo tak ze świni do świni dziecię przekładali? – zapytała inna.

– Pewnie te osiem tygodni, co zbrakło... – domyślała się inna.

Siedziałyśmy bez ruchu odurzone historią, póki dzwon nie wyrwał naszych myśli z królewskiej komnatki w Budzie.

Na dźwięk dzwonu z miasta Rabsztyńska powstała i odłożyła drogą materię.

– Na modlitwę czas – powiedziała, na co matrony wyjęły modlitewniki z ukrytych kieszeni wszytych w fałdy szerokich sukien, zawsze będąc gotowe na Słowo Boże. Na to samo upomnienie dzwonu panny z dołu wbiegły do komnaty zgrzane i roześmiane jeszcze. Uklękły za nami w drugim kręgu, by modlitwa wieczorna przed snem umysły ich oczyściła z płochych i niegodnych myśli.

*

Tyle co któregoś letniego dnia do ceny zasiadałam, kiedy wszystkie przy stole odwróciłyśmy się w stronę drzwi, bo ruch jaki na dole kto uczynił.

– Pani, barwniki i farby do zamku zwieźli! – zawołał *custos*, nie wchodząc na górę.

– Och, nareszcie!

Panienki zerwały się z krzesel i pobiegły do pustych komnat starej królowej, by co na podjeździe z jej okien obaczyć.

– Och! Niechaj wnoszą! – Poderwałam się.

– Tutaj?

– Tutaj, tutaj!

– Ale tego dziewięć wozów!

Zasłoniłam usta zaskoczona i uradowana.

– To jeno na pokaz wnieście ze trzy flaszeczki! Potem wozy obaczę!

Po chwili trzech pachółków, rozglądając się ciekawie po zastawionym stole, wniosło drewniane dwie skrzynki. Zaraz rzuciłam się do wyjmowania spomiędzy słomy flaszek i puszczech.

Zygmunt sam chyba ciekaw nowości zajrzał do domu mojego.

– Spójrz! – zawołałam. – Złoto, srebro, błękit górski, azuryt, ultramaryna, grynszpan, ochra czerwona, biel, malachit, ziemia zielona⁵³! – Wymieniałam głośno cudowne pigmenty do dekorowania komnat i sal. – Teraz zwieźli!

Dawno nic mnie tak nie ucieszyło! Podnosiłam szkło pod światło, podziwiając mocne kolory cieszące oko. Uśmiechnęłam się do brata, podciągając na ramiona stary szal, bo mimo lata zimnica trzęsła Krakowem.

Ponury, jakby mnie nie słuchał i nie widział, zasiadł w starym fotelu ojca. Regina porozumiała się ze mną spojrzeniem i wyszła.

– Złota latorośl na grynszpanie w sypialni twej przyszłej małżonki wyglądać będzie pięknie... – mówiłam niepewnie.

Zacisnął dłonie na poręczach.

– Małżonki jeszcze nie mam, ale u papieża Bogdan upomina się o swoją – powiedział, nie patrząc na mnie.

Zdało mi się naraz, że lato zniknęło i zima nastała! Papież... Jeśli papież wolę mieć będzie, bym za mąż poszła za Bogdana, to nawet Zygmunt nie poradzi!

– Cóż zatem uczynisz? Co odpowiedzieć każesz papieżowi? Dlaczego Mołdawianin upomina się teraz? Wasyl go namówił? – pytałam przerażona.

– Z dawna mówiłem tobie, że spokojną być możesz. Ożenek ten po myśli żadnego Jagiellona nie był.

– Przecie Aleksander...

– Ani po myśli Aleksandra.

– Ale po myśli panów senatorów. Po myśli papieża.

– Ale nie po mojej. Odpuść Aleksandrowi winy, jakich się nie dopuścił.

On ci dom darował, on w układ wszedł, ale nigdy za mąż wydać cię za Mołdawianina nie chciał. Oko trza mieć na granice, ale Bogdan nie tak silny, co by go polski król miał się bać.

Otuliłam się ściślej chustą i przysiadłam przy bracie.

– A papież? Mołdawianin sprytny, przyjęciem nowej wiary go mam.

– Papież daleko.

– Ale ręce długie ma.

– Nie lękaj się. To nie Juliusz II mordować zacznie na Pokuciu, jeno Bogdan.

– Ruszy?

– Ruszył.

Zasłoniłam rękami twarz.

– Właśnie doniesiono, że wielkie działa ciągnie pod Kamieniec – mówił łagodniej już król. – Trza listy słać. – Powstał i zmierzał do drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze do mnie, odjął me ręce od buzi i posłał mi uśmiech!

Na drugi dzień o wieści chciałam wypytać, ale spod Kurzej Nogi zawróciłam, kiedy usłyszałam jego krzyk:

– On miał być *contra Turcorum!* Mołdawianin winien to *regno Hungarie, Polonis confederato!*

Usłyszałam czyjś cichszy głos i Zygmuntove:

– Co?! Nie! Jakże pod Lwowem?! A Władysław? Był kto dziś z Budy?! Rano? Jak to wstrzymać się? Radzą wstrzymać się?! Nie!

Prawie biegłam do domu, a pomyśleć kto mógł, że uciekłam. Przemknęłam przez większą salę i wsunęłam się do sypialni. Usiadłam pod piecem wystraszona.

Regina przestała układać kwiaty na stole i zapytała:

– Wojna?

Objęłam się rękami.

– I to z mojej winy.

*

Zygmunt zwołał pospolite ruszenie i z początkiem sierpnia wyjechał z Krakowa. Przeze mnie. Dla mnie.

– Piękne... – powiedziałam smutna do medyka Koszyrskiego, kiedy jak mówił, rozweselić chciał mnie strofami własnymi. Oddałam mu kilka arkusików, ani na nie patrząc.

– Pannę naszą smutki zjadają. Ale nie trzeba się smęcić – powiedział łagodnie, rozsiadłszy się wygodnie na ławie, między moimi dwiema dwórkami. Zawstydzone panny odsunęły się na brzegi twardego siedziska.

– Mnie zjadają?! – obruszyłam się.

– O! Wszyscy to wiedzą.

– Co niby?

– Że panna, siostra pana naszego, jeno ciągiem w domu siedzi, życia nie zażywa.

– A to niewieście życia zażywać wolno?

– Niektóre nie pytają, jeno żyją.

– Poradzić co możecie? – zapytałam, bo i zdało mi się, że choroba jakowaś mnie nachodzi i nic mnie rozbawić nie może.

– Mogę, ale nie wszystko dla panienki.

Uniosłam hardo głowę.

– A skąd wam to wiedzieć?

Rozparł się naprzeciw przy stole, ręce założył za kark i gapił się prosto w me oczy, z drwiną jakowąś, że wzroku jego znieść nie mogłam.

– Powiedzmy, że na czytanie do starych komnat królownę zaproszę. Przyjdzie?

– A kto będzie?

– Wszyscy! A wam czas niewinnej zabawy użyć.

– Kiedy?

– Dziś! – Roześmiał się i wyszedł.

Rabsztyńska patrzyła za nim z niechęcią i chyba coś rzekła, ale nie słyszałam.

Dzień cały rozmyślałam, czy pójść, czy nie pójść na zamek. Niepokój radosny, jakiego nie czułam od dawna, rósł w mej piersi. Wstawałam, siadałam... Ochmistrzyńni zerkąła na mnie czujnie, nie opuszczając mnie ani na chwilę.

Po południowej modlitwie wymknęłam się do sypialni, otworzyłam małym kluczykiem szkatułkę z cenniejszymi noszeniami, wyjęłam szmaragdowy naszyjnik. Nie pamiętałam, że tak piękny był. Nie pamiętałam, bym co cennego nosiła od koronacji Zygmunta i nie pamiętałam, dlaczego nie nosiłam. Nie pamiętałam nawet, kiedy gdzie byłam. Zawczoraj do lasu jeno na sarny poszłam z dwoma psami, bo Zygmunt mięsa nie przysyłał. Dotknęłam lśniących kamieni i postanowiłam, że pójdę na czytanie.

Ciemno już było, kiedy ułożyć sobie kazałam długie włosy, które jeno od dawna w warkocz gruby splatałam i wpiąć zezwoliłam w nie trochę szmaragdów. Na nowo przy tym odkryłam, że mam zielone oczy. Suknię

karminową, prawie czarną, w złote liście haftowaną, na siebie nałożyć umyśliłam.

Regina dopinała mi czarny kształcik.

– Chciałaś co rzec? – zapytałam na jej znaczące westchnienia.

– Ja? Nic... Może jeno...

– Co?

– Żeś piękna, Elżbieto.

– Głupiaś...

– Może. Ale uważaj.

– Tyś z Rabsztyńską się zmówiła!

– Koszyrski...

– Och, zamilknij!

Wymknęłam się bez panien. Kiedy pod dom bramny wchodziłam, obejrzałam się i ujrzałam w świetle otwartych drzwi zaglądającą na mnie Rabsztyńską. Ta wszystko widzi! Dziwnie ciemno było na zamku, nie widziałam, kto mi dłonie podawał na schodach. Wprowadzono mnie do sali ledwo rozświetlonej kilkoma świecami. Ludzie jeno cieniami się zdawali. Ktoś tknął mych pleców i wskazał miękką poduchę. Nigdy tak nie siedziałam, może na twardym podeście, u stóp matki! Usiadłam skonfundowana. Może jaka alchemia się zacznie? Raz, za króla Olbrachta, huk rozsadził jedne drzwi i dym żółty wyleciał z komnaty, a z nim weseli panowie i panie. Teraz jeno po śmiechu rozpoznałam, że w środku niewiasty siedzą. Muzykanci przygrywali niezgorzej. Dolano mi wina, upiłam łyk i czekałam, aż kto z tajemniczych deklamować zacznie.

Naraz zdało mi się, że muzycy w fałszywe tony wpadli, mocno zakręciło mi się głowie. Duszne aromaty kadzideł zamorskich mąciły zmysły. Zdało mi się, że kto ogień jaki na środku pali, zdało mi się, że skóra moja płonie, że nie wiem, gdzie sufit, gdzie podłoga. Śmiech niewiast

i mężów zlewał się w czarci rechot. Suknia paliła tak, że myślałam, iż ją sama zedrę. Niewiastom też chyba gorąc dopiekał, bo rozdiewać się zaczęły. Tchu mi brakło, chciałam dźwignąć się, ale nie mogłam. Członki ciężkie, leniwe i bezradnie trwały, jakby nie moje były!

Nagle ręce cudownie chłodne objęły mnie w talii i chyba dźwignęły w górę! Ścisnęły tak mocno, boleśnie, że sufit zawirował i zwymiotowałam. Chciałam wołać ratunku, ale głosu wydobyć nie mogłam! Wywłókł mnie z komnaty, targał po schodach w dół. Zimno rozkoszne ogarnęło me rozpalone członki. Trzeźwość mi wracała. Nie! Zostaw! Po chwili dźwigał mnie w górę. Dom! Rabsztyńska jazgotała, człek rzucił mnie na moje łóżko. Zamknęłam i otworzyłam oczy. Twarz surowa, brzydka marszczyła się nade mną. Kościelecki!

– Król dowie się o niegodziwych czynach ludzi swoich. Koszyrski to diabeł! – powiedział.

Ze złością odwróciłam się od niego i od lamentującej ochmistrzyni.

– Nie dowie się. – Parsknęłam śmiechem. – Nie powiesz mu, panie, boś tak czystego serca, że o plugastwie mówić wzdragać się będziesz. Odejdź. Ożenić się miałeś z tą... Ożeniłeś się? – Spojrzałam w surową twarz nade mną. – A kto ci pozwolił mnie tykać, panie? – Rabsztyńska zaczęła szlochać. – I skąd wiesz, że ja tam zostać nie chciałam?

Wyszli. Opadłam na plecy, zerwałam ciężki naszyjnik, bo zdało mi się, że mnie dusi. Nie wydawał mi się już taki piękny. Nie lśnił nawet.

– Tyle starczyło, bym się skusić dała...

Wypuściłam go z ręki. Złość jakaś we mnie rosła, zaczęłam z włosów, jako wszy, wyrywać błyszczące ozdoby, by w końcu opaść na poduszki do wiedzy podobna. Obudziłam się o świcie i usiadłam. W zwierciadle ujrzałam swoją postać i zapłakałam nie wiem za czym.

*

Przeze mnie Bogdan spalił i ograbił Lwów. W odwecie Zygmunt w proch obrócił miasta i wsie na ziemi Bogdana. Brat pisał do mnie:

Zemsta ludźmi naszymi rządzi i zaciężnych nie strzymasz. Hetman Kamieniecki każdy łeb na swej drodze ścina, za hańbę na swej małżonce poczynionej przez Bogdanowych pohańców. Ludzie jego krwawej zemsty dokonują za pięćdziesięciu żołnierzy, co ich kiedyś nie po rycersku Stefan, ojciec Bogdana, kazał ściąć w przeklętych Podhajcach. Krwi wołają i w morze czerwone zamieniają ziemię, co nam, pamiętaj, prawie brata pochłonęła w lesie bukowińskim.

Dzikość serca Kamienieckiego nie opuściła i kiedy Bogdanowi ludzie zasadzkę nad Dnieprem chcieli zastawić na nasze wojsko, jeno rozjuszyła duszę hetmana tak, że pył został z pohańców i jak przysięgę z dawna złożył, pięćdziesięciu Mołdawian ściąć kazał nad pięćdziesięcioma grobami dawnych druhów.

– Przeze mnie to biją się i jeden na drugim pomsty szuka – powiedziałam do Reginy, kiedy złożyłam list. – Potarłam zmarznięte ramiona. – Zimno jest. Czas w piecach zacząć palić – zwróciłam się do cichej Rabsztyńskiej.

Ochmistrzyni podniosła się z krzesła, nie patrząc na mnie. Ciągle obrażona była za moje nocne czytanie na zamku.

– Dopiero jesień, nie czas – odezwała się cicho i wyszła z sali.

Regina poczekała, aż Rabsztyńska wyjdzie i panny odesłała w zakątek do głośnego czytania. Dosiadła się do mojego stołu z misą winogron, ułożyła równo stos papieru zawsze trwający w nieładzie, na brzeg blatu odłożyła moje pióra.

– Może pycha przez ciebie przemawia? – odezwała się wreszcie i winne grono wrzuciła w usta.

– Jak to pycha?

– A tak. I tak by się bili. Wasyl zawsze przyczynę znajdzie. A jeśli mąż chce pomsty, to i tak dokona.

– I beze mnie?

– I bez ciebie. Czy nie przypochlebiasz sama sobie, myśląc, że z imieniem twym do bitki stają?

Patrzyłam przez chwilę na przyjaciółkę.

– Myślałam, że to вина jeno moja. Że pychą się unoszę, owszem, ale *matrimonii*⁵⁴ odmawiając.

– *Matrimonii* odmówiłaś zgodnie z wolą matki. Gdybyś na ślub się zgodziła, sprzeniewierzyłabyś się woli królowej. A to byłby grzech prawdziwy.

Uniosłam podbródek.

– Ano, właśnie! Od dziś czynię cię mym doradcą!

Przyjaciółka uśmiechnęła się.

– A to nim nie jestem?

*

Rabsztyńska nie pojawiła się następnego dnia rano w domu! Rzecz to niezwykła u niewiasty, która jako pierwsza, ustrojona, wymodlona i gotowa do posługi nasłuchiwała pod moją sypialnią każdego dnia, czy już się nie przebudziłam. Potem z oka nie spuszczała panien, chłopców i służby. Żaden niegodny postępek, żaden chichot, krotchwila niezaplanowana, oszustwo, nie uszło jej uwagi i nie umknęło surowej karze. Jako traktowała podległych jej ludzi, tak traktowała siebie. Nigdy w garderobie czy

uczesaniu nie uchybiła. Co raz dotykała czepca i chowała włosy, jakby nikt dowiedzieć się nie mógł, jakiego koloru były, tykała gorsu i piersi, czy co nie przekrzywiło się lub nie daj Panie, odsłoniło! Nigdy nie słyszała, by o kimś mówiła, czy to źle, czy dobrze. Zresztą nigdy nie widziałam, by z kim w ogóle mówiła. Jakby jeno powinności się liczyły i dla powinności jeno u mnie była.

Dlatego dziwnym zdała mi się jej nieobecność i posłałam pannę do jej domu. Mała, chuda Gorczyńska wróciła posmutniała.

– Pani Barbara leży.

– Leży? Chora? – zapytała, niedowierzając, Regina.

– Jaka niewiasta jej bandaże zmienia.

– Bandaże?! – zapytałam ja.

Fraucymer wystraszony jął siebie wzajem wypytywać o Barbarę.

– Tak, na piersiach – szepnęła Małgorzatka Gorczyńska.

Wstałam z krzesła.

– Boże Miłosierny, cóż jej? Chodźmy! – powiedziałam do Reginy.

Pochwyciłam chustę i wyszłyśmy z domu. „Piersi?! Bandaże?“, myślałam w drodze do okazałego domu Rabsztyńskich upchanego między innymi na wzgórzu.

Weszłyśmy cicho na drewniane piętro. W niskiej komnacie blada Barbara, leżąc, krzywiła się pod dotykiem starej służki. Podeszłam ostrożnie. Obok chorej leżał zwój krwawego cuchnącego płótna, świeże, na oczach moich nasiąkało krwią i ropą lejącą się z lewej piersi ochmistrzyni!

– Barbaro, medyka ci trzeba... – przerażona powiedziałam cicho. – Czemuś nic nie mówiła?

– Nie trzeba. Cóż mnie mówić. Wiedziałam, co mnie czeka. Matka moja na to samo... – powiedziała hardo i odwróciwszy głowę, jęknęła z bólu.

Nic nie powiedziała! Nie poskarżyła się. Nie zdradziła słowem!

– Barbaro... – Nie wiedziałam, co rzec więcej.

– Nie potrzebuję. Nie chcę... – Zamilkła, ale zobaczyłam, że ramię jej drzeć zaczyna i nagle zapłakała cicho.

Podbiegłam i pochwyciłam jej rękę. Była taka jak dłoń z dawna zmarłej zamtużowej dziewczeczki! Taka sama! Drżąca i dotyku pragnąca, jakby tylko dotyk ukoić mógł strach albo jako jedyny świadczył o tym, że chory czuł jeszcze życie i innego człeka wokół siebie.

Regina stała zmartwiała.

– Czegoś nie mówiła...? Czegoś zataiła...? – szeptałam.

Płakała z głową wspartą o moje ramię. Tuliłam ją i patrzyłam na pokój nieznaney mi po prawdzie niewiasty. Na wprost w zakątku, na stole, po ścianach, jeno konterfekty małżonka rozstawione albo zawieszono trwały, jakby jako zwierciadła dla niej były albo samotność zabijały. Ni kwiatów, ni materii, ni ozdób, ni figur. Pod ścianą jeszcze kołyska mała stała, wypełniona cudnie haftowaną białą pościelą i wypchana stosami równo ułożonych ubranek dziecięcych. Dziwnym mi się to zdało, bo Rabsztyńscy dzieci przecie nie mieli... Regina podeszła do łóżeczka i ujrzałam, jak jej twarz wykrzywia się z bólu. Pochyliła się i uniosła w moją stronę uśmiechnięte szeroko dziecię z gałganków.

Utuliłam chorą bardzo mocno. Nauczyłam się tamtego dnia, że nie poznamy człeka, póki nie odwiedzimy jego domu.

*

Barbara zmarła w cierpieniu, bo niewiasta inaczej nie umiera, dwie niedziele później. I zaraz odwiedził mnie Sieklucki ochmistrz, bo musiałam naznaczyć nową ochmistrzynię.

– Kogo, panie, umyśliliście? – zapytałam ochmistrza, bo za jedno mi było, którą matronę wyznaczył.

– A wy pani, kogo macie?

– Mnie za jedno – powtórzyłam swe myśli.

– Może Ciechanowska? Najstarsza, ucieszy się.

– Niechaj będzie Ciechanowska. Jeśli zechce.

Pokiwał głową.

– Powiem jej.

– Powiedzcie.

I od tej chwili nikt już Rabsztyńskiej nie wspomniał. Panny jeno cieszyły się, bo przy prawie ślepej i głuchej Ciechanowskiej wszystko im uchodziło.

53 azuryt, ultramaryna – intensywne odcienie niebieskiego; grynszpan – ciemny turkus, malachit – ciemny odcień zieleni

54 *matrimonium* (łac.) – małżeństwo

1510

Radość wielka w Królestwie nastąpiła, bo król po roztopach lutowych w triumfie do Krakowa wracał. Wcześniej pisał, że wiezie co dla mnie, ale myślałam, że to łakocie, jakie zwykł mi posyłać, jeszcze namiestnikiem Śląska będąc.

Trzy dni gotować kazałam ucztę w domu moim. Ludzi pragnęłam widzieć, z ludźmi mówić i śmiać się! Zimę przecie sama przesiadywałam, jeno modląc się, rozpamiętując śmierć ochmistrzyni i troskając się o brata. Teraz kazałam pierwiosnkami sale zdobić, tłusto krasić mięsa, mocno opiekać półgęski, suto cynamonem przyprawiać, sosów gęstych stawiać, wszystko tak jak lubił król.

W ramiona mu wpadłam, kiedy zawitał wreszcie w moim domu. Gęba mu schudła i starszym mi się widział. Za nim weszli uroczyście kanclerz Łaski i hetman Kamieniecki. Łaski ode drzwi się nie ruszał, czapy nie zdjął. W oczach wielkiego wojennika, hetmana Kamienieckiego, mimo że zemsty na pohańcach dokonał, ulgi żadnej nie ujrzałam.

– Zobacz, siostrze – szepnął król z dumą i zza obszernej szuby wyjął kilka rulonów pergaminowych z ciężkimi pieczęciami.

– Co to?

– Wolnaś, siostrze. Nic żeś już nie jest winna Bogdanowi mołdawskiemu. Oddać musiał i oddał umowy ślubne.

Patrzyłam w oczy płonące i wychudłą twarz umęczoną trudami wojny. Porwałam pisma i jak w gorączce wodziłam po literach.

Wolną byłam! Wolną od winy, od grzechu, od obmowy, pogardy i potępienia! Mogłam wreszcie przestać się bać, że którą nocą Władysław naśle ludzi i zawłoką mnie po jego woli albo woli cesarza do łoża Bogdana! A wtedy nikt by mi pomoc nie mógł!

– Zygmuncie! – Przypadłam mu do stóp. Brat dźwignął mnie zaraz i uściskał. Łaski wyszedł i Kamieniecki też zamierzał.

– Panie... – zwróciłam się do wojennika poruszona.

Hetman zatrzymał się. Prosto był ubrany, w znoszony skórzany dublet, spodnie wypłowiałe i wytarte buty. Pewnie jeno myślał, by do żony czym prędzej dojechać.

– Wdzięczności mej nie umiem wyrazić... – szepnęłam. – Wolna jestem... Dzięki wam to...

– Dobrze... Dobrze... – Skonfundowany skłonił się niezgrabnie i miał zamiar wyjść.

Podeszłam, chwyciłam jego szorstką dłoń i złożyłam na niej pocałunek.

Panny, matrony, wdowy, sługi tłoczące się w drzwiach za kanclerzem rozrzewnieni uderzyli w płacz.

*

Od czasu gdy brat mój królem został, nie było dnia, by kto z polskich panów czy papież, cesarz, czy brat, do ożenku go nie namawiali. Kraków i Korona stale szeptali o viperze Telniczance, pono sklepikarskiego rodu, co Zygmunta najpierw zwiodła, potem dziećmi króla zatrzymać przy sobie chciała i wyszarpać co dla siebie albo w ślubie z godną niewiastą przeszkodzić.

Razu jednego wiosną, kiedy świat wiedział już z dawna, że król porzucił metresę i za przyjaciela swego ją wyda, pod dom mój prawie nocą podjechał jakiś wóz.

– Któż to? – zapytałam Zosię, która przez okna spojrzała na podjazd.

– Nie wiem... Nikt nie wysiada. Ale to niewieścia kolebka.

Z ciekawością oczekiwałyśmy gościa, tym bardziej że pokojowiec szedł wolno, a głośno po schodach. Jak żaden z mi znanych.

– Pani de Telnitz – odezwał się posłaniec z wysoko zadartą głową, ubrany we wszystkie odcienie złotogłowiu.

Panny z fraucymeru, jak jedna, wydały cichy jęk i strwożone spojrzały na mnie.

– Niech wejdzie – odpowiedziałam głośno, próbując strzymać konfuzję.

– Nie może... – odparł chłopiec, patrząc w sufit.

Znowu westchnienie oburzenia obiegło salkę.

– Zejdę – powiedziałam i mimo protestów Ciechanowskiej wyszłam na bruk między domem a katedrą. Dworski w lśniącym stroju odsunął grubą, brokatową oponę w małej, nowej i altembasem królewskim obitej kolebce. Cofnęłam się od odoru wina! Niewidoczna w ciemności, wciśnięta w kąt, bełkotała pijana niewiasta.

– Myślisz... Że co? Że on? Żeś ważna, co?! Że jesteś? Ważna... On? On nic dla mnie! I wy! Wszyscy! Wynoś się? Tak? Wynoś się!

Odsunęłam się. Z dawna przecie ślub jej był z Kościeleckim ustalony. Stać się co dziś musiało. Panna od Węgrów zgodziła się zostać żoną Zygmunta? Pewnie jakiś list przyszedł... Westchnęłam i powiedziałam cicho do dworskiego w perłami wysadzonym dublecie:

– Odwieź panią do domu.

Było mi prawie żal dziewczki w złotej kolebce.

*

Dwa dni nie minęły od smutnego spotkania, kiedy do brata szłam powiedzieć, że nową tkaninę na baldachim do łoża nieznaney mi jeszcze małżonki króla wybrałam. Szłam po szerokich nowych schodach i wyszłam na krótkie kruzganki domu przyszłej królowej. Kiedy mijiałam duże okno, stanęłam rażona widokiem. Telniczanka krzyczała coś zapłakana i biła pięściami w nieruchomą pierś Zygmunta. Mimo że ból wykrzywił jej twarz, dziwnym było, że urody jej to nie odbierało... Może prawdę mówili, że czarów zażywa? Król nagle przygarnął ją do siebie i utulił jak dziecko.

Wolno zawróciłam do domu. Zygmunt trójkę dzieci po niej miał. Jan pięknym chłopcem i mądrym był. Stara królowa przecie przyprowadzać go pod dom kazała, by ukradkiem patrzeć na wnuka. Córeczki jeszcze z Katarzyny miał, ale nigdy danym mi nie było ich zobaczyć.

Ze spuszczoną głową, zamyślona weszłam do swojej sali, w której płonął jeno kominek. I kiedy rzuciłam rękawiczki, dopiero ujrzałam w oknie stojącego Kościeleckiego. Pana podskarbiego wielkiego koronnego. Mówili, że za rychły ożenek nowe nadanie dostał. Nie poznałam go z razu, bo nie jak zwykle w koszuli stał, jeno ubrany był, jak na magnata przystało, w czarną aksamitną szubę, grubo złotą nicią w jakie węże czy winorośl haftowaną. Buty czerwone, lśniące, dodawały mu powagi i wzrostu.

Zapaliłam nową świecę i wstawiłam w srebrny kandelabr.

– Jutro żenię się z panną Katarzyną – powiedział, nie odwracając się do mnie. – Dziś za to na mszy bracia moi wyszli na mój widok. Panowie senatorowie plują na mnie, że dziewczkę królewską za żonę biorę.

– Panie, jeśli nie po sercu...

– Serce zawsze nie po właściwej stronie wschodzi – powiedział i odwrócił się do mnie. – Król najlepszym mnie nazwał, to takim okazać się muszę. Dzieci swoje umiłowane mi powierzył pod opiekę. Jak odmówić mogę? – Oczy mu lśniły, jakby wina się opił.

Usiadłam na skrzyni i słuchałam go uważnie.

– Ani jej lubię. Ale może starego synaczką obdarzy, o którym już zamyślać przestałam i umiłowaną żoną przezywać ją zacznę? – Zaśmiał się krótko.

Objęłam się, bo jakby mi kto jaki kamień na brzuchu położył. Czy to Bóg drwi z nas, pozwalając, by afekt wzrastał tam, gdzie nie powinien, a gdzie powinien być, to go nie ma? Cóż ona winna, że umiłowała Zygmunta? Cóż winien on?

Kościelecki wyszedł wreszcie. Wyjęłam ostrożnie trzy ostatnie listy po Fryderyku, bo rozpadały się od wiecznego składania i rozkładania. Dotknęłam krawędzi wytartych i po raz nie zliczę który rozłożyłam jedną kartę. „Jak Bóg da...” odczytałam, złożyłam znowu i ukryłam w rękawie. Przeszłam do cichych i z dawna pustych komnat matki, usiadłam na jej łożu i zapłakałam cichutko z bezradnej tęsknoty, która nijak nie chciała minąć.

*

Niedługo potem, w dwie niedziele może, Regina wbiegała zdyszana po schodach.

– Jezusie, toż mówią, że człek ten zabić się chciał!

Poderwałam się znad modlitewnika.

– Kto?!

– Kościelecki! Żupy się paliły wielkie! Na dół się spuścił, ludzi poratował i całą kopalnię! Ogień zgasił!

– Szalencie! – Serce tłuło się we mnie jak oszalało. – Cóż z nim?

– Żyw! Cud jakowyś! Że głupi mówią! – Usiadła, by oddech złapać. – Że żywota chciał tam stracić, bo panowie tak mu dojedli tym nieszczęsnym ożenkiem, że wyjść z domu nie może, by go wprost nie rugali i nie pluli pod stopy.

– Psy! – Złość mnie wzięła.

– Toż mówiłam, że szlachetniejszego pana nie spotkałam. Przecie nikt prócz niego nie ratował! No, jeden z nim zszedł na dół, ale i jego ratować pan Andrzej musiał! A wiesz, co plugawcy na to? Że dla splendoru jeno żywota naraził albo że mu z dziewczką po królu sromota żyć.

– Kto wie... – szepnęłam.

– Kto wie?! Kto wie? Toż nie niewiastka, by go kto przymusił do ożenku. Pan wielki! Ale zdaje się, że jeszcze większy głupiec!

– Barbaro, ja muszę do niego! Lektykę każ podstawić! – zawołałam.

– Po cóż tam? Ludzi pełno i gapiów. Kto mówić będzie, że królowna po mieści się wozi.

– Niech mówi!

Zarzuciłam czarny rańtuch i wybiegłam przed dom.

Zmrok już zapadł, kiedy stanęłam przed domem Kościeleckich i odchyliłam oponę w wąskiej lektyce. Na schodkach przyziemia ujrzałam siedzącą zgarbioną postać. Jakże ucieszyłam się na widok Koszyrskiego! Pachołkowie postawili skrzynię ze mną na ziemi i wychyliłam głowę z pojazdu.

– Panie, żyw on?!

– Żyw – burknął medyk. – Gębę ma oparzoną i wygląda, jakby ją robaki jadły... Na sen tyle mu dałem, że mógłby się nie obudzić, ale ból co raz wygrywa i dla cierpienia jeno przywraca tego człeka do żywych.

Czułam, jak włosy na karku mi się jeżą, kiedy dla świadectwa słów Koszyrskiego wrzask nieludzki doszedł naszych uszu. Narastał i wzbierał, by w bezradny, pełen szaleństwa charkot się zamienić.

– Obudził się – powiedział Koszyrski, splunął w rynsztok i zawrócił do domu Kościeleckich.

– Trza czegoś? – zapytałam, ale chyba nie słyszał mnie. Za drzwiami jął donośnym głosem wydawać rozkazy biegającym po sieni sługom.

Znowu zwierzęcy krzyk rozorał ciszę na nocnej ulicy. Skuliłam się w kącie i powiedziałam do dźwigających lektykę:

– Na wzgórze wracajmy.

Posyłałam co dzień, za nic mając, co ludzie mówić będą albo jego niewiasta. Słałam ja, słał król z lekami, pchałam z domu dziewczki i chłopców do jakiej pomocy, by choć trochę ulżyć temu, który żywot niejednen uratował od śmierci w płomieniach. Dziwnym mi było, że jeno ja, król i Koszyrski, przez chorego niegdyś diabłem zwany, troskaliśmy się o szlachetnego męża. A gdzież oni, ci zratowani byli? Też mówili po komnatach, że dla splendoru ich jeno ocalił? Modliłam się stale za nim, póki nie zwiedziałam, że rany straszne goją się i Kościelecki do zdrowia wraca.

*

Rzeński, letni wiatr znad Wisły przyjemnie chłodził skórę na szyi i piersiach. Nowe, kwadratowe, głębokie dekolty lamowane wstęgami, perłami, drobnymi klejnotami i ciasne staniki nie tylko zdobiły, ale dodawały nowych wrażeń matronom, pannom i mężom. Siedziałam na płóciennym krzeselku nad brzegiem rzeki, łowiąc ostatnie promienie zachodzącego słońca, dźwięki delikatnego fletu i śmiechy bawiących się dwórek, kiedy ktoś podszedł do mnie i musiałam otworzyć oczy. Młodzian

ze starannie utrefionymi jasnymi włosami podał mi bez słowa zalakowany list od brata, w którym to król pisał:

Ucztę zapowiedz na wieczór siostrze swoim sługom, ale nikogo nie spraszaj. Muzykantów weź. Nie chcemy, by jaki szpieg z zamku doniósł, żeśmy naradę zwołali. U ciebie się ukryjemy. List zniszcz.

Musiało to być co ważnego, kiedy arcychrześcijański król, który ufa wszystkim i wszystkim wierzy, bo tak miłość powszechna mu nakazuje, nagle tak ostrożnym się staje. I czyich szpiegów wszędzie węszyć?

Powstałam i nakazałam rozbawionym piłką, grą w kości i karty dworzanom pakować kobierce, naczynia, lekkie meble i jadło na małe dwukółki. Ku uciechu panien służebnych i szlachetnych, dla fantazji, iuniores zapakowali je do wózków i taki roześmiany towar pociągnęli do zamku. Ja poszłam piechotą, do ostatnich chwil chłonąc dzień i myśląc o tym, co podam na ową ucztę wieczorną, uprzednio podarłszy list na drobne kawałki i wrzucając go do rzeki.

Król sprosił wszystkich znacznych panów, ale nie jadł ani nie pił nikt, jeno dwóch lutnistów pod ścianą smętnie wygrywało fałszywą melodię.

– *Puerillia, ludibrium*⁵⁵... – burczał Zygmunt, tłukąc o kant stołu zwiniętym pergaminem. – Sromota i śmiech! – zakrzyknął.

– Trza było na zjazd się nie godzić – odrzekł odważnie Łaski.

– Nie ja w Poznaniu siedziałem, ale wy. – Zygmunt spojrział surowo. – Hołd Krzyżak miał jeno złożyć, nic więcej! A tymczasem papież i Habsburg po ich stronie staje.

Łaski już nie odezwał się, bo i po co? Lato całe arbitraż odbywał się na oczach wrogów i przyjaciół, kto komu co winien: Krzyżak Królestwu Polskiemu czy Królestwo Polskie Krzyżakowi.

– Sto lat temu dziad rozniósł ich na mieczach, ojciec życie strawił na wojnach z nimi, a ci wciąż kłają i za ofiary się mają! – ciągnął król. – Jakże to? Co to znaczy? Odłożenie sporu na piętnaście lat?! Gdzie trudność, że spory trza toczyć i jeszcze hołd odwlekać?

Wstał zza stołu i przeszedł po sali.

– Chciałem po prawdzie pokoju, ale tak drwić sobie?!

– Nigdy spór nie będzie rozwiązany, panie – odezwał się inny mąż, obecny na rozmowach w Poznaniu.

Zygmunt zatrzymał się.

– Ano prawda! Jakże może rozwiązaniem być... – Zaczął rozwijać pergamin. – Skoro Habsburgi w listach tajnych piszą sobie instrukcje... – Odczytał głośno. – „Życzliwej myśli być dla Zakonu!” – Rzucił na stół rulon i usiadł z powrotem ze zmarszczonym czołem.

Podkanclerzy Maciej Drzewicki poruszył się raz i drugi na skrzypiącym krześle. Zygmunt podniósł na niego oczy.

– Mówcie panie podkanclerzy, co wam na duszy leży – powiedział spokojny już król.

– Mówią ludzie moi, ale to jeno plotka...

– Prawdę okazać się może, mówcie – zachęcał Zygmunt.

– Mówią, że wielki mistrz niedługo żywota dokona.

– Pewni to ludzie? – zapytał Łaski.

Drzewicki ramionami wzruszył.

– Jako kaźden.

– Umrze, nie umrze, nie wiemy. I kto mu w tym dopomoże... – zaczął król – ale pewnym jest, kto po nim będzie.

Łaski podniósł wzrok na króla i powiedział ponuro:

– Olbracht Hohenzollern.

– Nasz siostrzeniec. Z siostry naszej Zofii – dopowiedziałam, siedząc w kątku, teraz dopiero zauważona przez mężów. Podniosłam się i zaczęłam rozlewać wino do kubków i kielichów nielicznych gości.

Łaski westchnął głośno i mocno odchylił się na krześle do tyłu.

– A podług myśli Habsburgów król polski dla Albrechta łaskawy okaże się i hołdu wymuszać na siostrzeńcu nie będzie.

Zygmunt wzniosł palec.

– A obaczym jeszcze.

*

W grudniu wieści spodziewane wraz ze śniegiem nadeszły: Fryderyk Wettyn, wielki mistrz, dokonał żywota.

Opatulona futrem, opatrzona w woniejące słodko łakocie i duży dzban grzanego wina, siedziałam wtedy w starej różanej altanie. Zdało się, że jeno płatanina bezlistnych, giętkich witek i grubych gałęzi trzyma w kupie zmurszały domek.

Usypiał mnie widok wolno opadających płatków śniegu, które za sprawą boskiego zrządzenia albo magii jakowejś pokrywały brzydką, nagą ziemię i stare mury skrzącym, białym i czystym kobiercem. Rękawiczką zgarnęłam dużą gomółkę puchu i z radością cisnęłam nią w stronę nadchodzącego króla. Uchylił się ze śmiechem. Szedł do łaźni przez zadaszoną ścieżkę w starym hortusie. Zatrzymał się przy mnie, a cały orszak muzyków i innych zabawiaczy puścił przed sobą.

– Dziesięć dni temu mistrz pomarł, a teraz dopiero wszem ogłosili – oznajmił.

Wstałam, przytrzymując futro i przystanąłam uśmiechnięta pod wąskim daszkiem obok brata.

– Jest sposób jeden, by Albrecht wielkim mistrzem nie został.

Przypatrywał mi się z uniesionymi brwiami.

– Jaki?

– Ty nim zostań.

Zaśmiał się głośno.

– Ale przez to małżonkiem nie ostanę! A który król bez żony siedzi? –
Pociągnął mnie za warkocz. – Albo królowa bez męża?

Odwrócił się i rażno ruszył w stronę łaźni. Usłyszałam cichy melodyjny
świst. Gwizdał?!

1511

Nowe rzeczy zacząć się zaczęły z nowym rokiem. Jan Łaski prymasem ostał, a Maciej Drzewicki po nim kanclerzem. Nie wiedzieć, czy to przez rychły ożenek króla te nadania poszły. Szydłowiecki, jako podkanclerzy już, wraz z Tomickim wreszcie kanonikiem po święceniach i dobrodziejem moim, który przyczynił się do zawarcia pokoju z Bogdanem mołdawskim, wyjechali do Wrocławia, do króla Władysława w materii ślubu Zygmunta.

– Więc córka zmarłego palatyna Węgier, Stefana Zapolyi i Piastówny Jadwigi cieszyńskiej – wypowiedziałam na głos do brata, gdyśmy w nowym hortusie ogrodzonym niskim murem siedzieli. Drewno na pobudowanie wzniesionych rabat dopiero co zwieziono i leżało naprzeciw nas przykryte woskowanym płótnem.

Zygmunt trwał z zamkniętymi oczami, rozparty na wymoszczonej poduchami ławie. Ustrojono go dziś w piękną amarantową szubę złotem haftowaną w owoce granatu z czarnym kołnierzem i do tego podbitą gronostajami.

– Zapolyowie bogatsi niżli cesarz. Siedemdziesiąt miast w ręku dźierzą i kopalnie złota... – ciągnęłam, patrząc w jego spokojną, szeroką twarz.

Odezwał się wreszcie:

– Syn Stefana, Jan, Habsburgów przeciwnik. O koronie węgierskiej zamyśla.

– Cóż na to brat nasz? Ciągle przecie to król Węgrów i Czechów... – dopytywałam.

– Do brata posłałam Szydłowieckiego i Tomickiego.

– Wiem. By go pytali o Zapolyów czy przekonali do Zapolyów?

– Jedno i drugie.

– Na cóż to posyłać, skoro król obieca posłom zgodę na ślub, a po nich inny wejdzie i przekona go, by był przeciwny twemu ożenkowi z małą Zapolyą. – Podciągnęłam popielicowe futro pod brodę. – Władysław zawsze taki?

– Jaki?

– Że kto zechce, wszystko z nim przeprowadzi, choćby na co innego przed chwilą się zgodził?

Zygmunt otworzył oczy i patrzył przed siebie w zamyśleniu. Zdało mi się, że mi już nie odpowie i zaczęłam sposobić się do opuszczenia nowego ogrodu. Nałożyłam rękawiczki, które tyleż co mi darował, chwyciłam modlitewnik... W końcu odezwał się:

– Olbracht raz mówił, że kiedy Długosz im piastował, za coś wtedy psotnego Władysława w lochu zamknął. Na dzień i całą noc. Ten inny, cichy i prawie niemotą stamtąd wyszedł. – Westchnął. – Mówił, że zamykał ich za wszystko, za źle odczytany tekst, za jabłko zjedzone nie w czas... Przestał dopiero, kiedy Kazimierz kaszleć zaczął i medycy nic zaradzić nie mogli. Milczeń wychowawca nakazał Olbrachtowi i Władysławowi, że brat nasz kaszle od piwnic. Nikt nie doniósł rodzicielom, bo przyzwolenstwo było i nakaz na surowe chowanie królów. Ojciec nasz kiedyś powiedział, że głodny chodził, póki się nie ożenił. Jako i stryj, i naszego ojca ojciec. Kazimierzowi się pomarło, Olbracht nigdy nikomu zamknąć się nigdzie nie dał, a Władysław już we wszystkim każdego słucha...

– Pamiętasz Kazimierza? – zapytałam cicho.

– Cóż mam nie pamiętać... – szepnął, jakby wspomnienie ból mu sprawiło. – A ty pamiętasz, żeś na Litwie porodzona? – Próbował się roześmiać.

– Tak, ale Kazimierz... – nie ustępowałam.

– Kazimierz... był najgodniejszy z nas. Dobry i mądry. Do pana ojca we wszystkim podobny.

– Święty?

Zaśmiał się.

– Może i święty... Z modłów nie wstawał. Zwłaszcza kiedy wiedział już, że choroba go zabierze.

– Siostra moja wtedy pomała...

– Tak. Dzika dusza. Ona jedyna sercem Olbrachta władała.

Zdało się, że nadto go żal ogarnął i by go stłumić, naraz zapytał roześmiany.

– Olbracht! Czasami śmiał się tak, że nikt w powadze przy nim nie mógł usiedzieć!

Zacisnęłam usta. Ja pamiętałam go innego...

– Każdy z nas chciał być jak on! – zawołał.

– Dlaczego? – Spojrzałam zaciekawiona na brata. – On był... On jak... – Słów mi brakło. – Czasami jakby szatan nim przewodził!

– Czasami jeno. Ale na jedno jego zawołanie armia szła za nim niczym w ogień. Na gest jego każdy żołnierz, każdy ciura, życie oddały po pięciokroć... Za niego.

– Nie pojmuję. I nie pojmę.

– Nie.

Patrzył przed siebie z uśmiechem, jakie własne wspomnienia wążąc.

Wiedziałam już po chwili, że o braciach mówić więcej nie będzie. Wróciłam więc do jego ożenku.

– Jakże Tomicki i Szydłowiecki zdołają tak przekonać Władysława, by słowa danego nie zmienił zaraz i innych nie posłuchał?

Poprawił sute szaty.

– Fortelem. Przekonają go, że sam to umyślił.

– Możliwe to?

– Znam brata naszego.

– Obyś znał... Skoro Władysław dowie się o planowanym ożenku, to i cesarz. Nie spodoba mu się, że polski król za żonę biorąc Węgierkę, Węgrom drogę do tronu w Budzie otworzy. Maksymilian już wie?

– Wie, oczywista.

– Więc kogo rai tobie zamiast Zapolyówny?

– Annę Mekleburską. I dla ciebie, siostrze, ma znowu kogo.

Spytałam, choć ciekawa nie byłam żadnych italskich książąt czy niemieckich albo czeskich.

– Kogo zatem ma dla mnie?

Wychylił się w moją stronę i uśmiechnął się szeroko.

– Siebie, siostrze, siebie. – Pochylił się do mnie. – Cesarz Maksymilian chce się z tobą ożenić.

*

Cesarzką narzeczoną, w mniemaniu Maksymiliana, byłam do chwili, gdy zwiedziało się, iż bez jego pozwolenia umowa ślubna z Węgierką niemal już podpisana, a Władysław wydał zgodę na ślub brata ze swoją poddaną za cesarskimi plecami. Zagroził Maksymilian nawet zerwaniem

narzeczeństwa swej wnuczki i małego Ludwika Władysławowego, i rzecz jasna nie chciał się już ze mną ożenić.

Wawel huczał o imperatorskim gniewie, kiedy ja w nowych komnatach królowej właśnie podziwiałam malowidła na nową latyńską modę. Nad drzwiami poczynając, pociągnięto grube wici roślinne, ciężkie od owoców granatu, rajskich jabłek i pomarańczy, które jak żywe, wstęgami splecione, biegły wzdłuż ścian, na granicy ze sklepieniem.

Jolenta Ciechanowska, jak ja, wysoko zadzierała głowę.

– I znowu nie ma narzeczonego. A królowa nasza mogła zostać cesarzową. Szkoda wielka.

– Nie będę zatem, Jolento, wojsk prowadzić do boju, królom żon podsuwać, żywota im darowywać lub na śmierć ich skazywać rękami innych.

– A mogłabyś, pani.

– Ja? – Spojrzałam zdziwiona.

– Wszyscy to mówią i wszyscy wiedzą. W mieście i na wzgórzu, że wyście z dawna Kraków od powodzi wyratowali, ducha w ludziach podnosząc. Że posłuch macie i u brata, i u panów. Że jak między lud wchodzicie, to ukryć się w prostych szatach nie zdołacie, bo jagielloński majestat z was bije jako z króla.

– Ja? Ze mnie? – powtórzyłam głupio.

Pokiwała głową z przekonaniem. Podeszłam do niej.

– Pani... – Pochwyciłam jej dłoń. – Żadnej szkody nie ma. Nijak nie cierpię, bo przecie każdy wiedział, że jeno *diplomatica* zwodniczą propozycją Maksymiliana rządziła.

– Ale cały dwór mówił...

– Dwór zawsze co mówi. Bo na wszystkim zna się albo z nudów plecie, czy nie wiem z czego jeszcze.

– Ja tam nie wiem...

– Ale ja wiem i król, że do Maksymiliana nikt mnie zamiaru wieźć nie miał. Ani od cesarza nikt zamiaru nie miał po mnie przysyłać.

Spojrzała na mnie.

– Prawda to?

– Prawda. – Objęłam starą ochmistrzynię i wróciłyśmy do naszego domu.

W nocy zasnąć nie mogłam, w końcu głośno wymówiłam w sufit wciąż zadziwiona słowami ochmistrzyni:

– We mnie? Majestat?

*

Tyle co dla żartu kazałam zwać się cesarzową i ucztę z tego powodu wyprawiałam pannom moim i sługom, posłowie i przyjaciele, Szydłowiecki i Tomicki, wreszcie wrócili z Wrocławia, potwierdzając wieści krążące o zgodzie Władysława na ożenek Zygmunta z Zapolyą.

– Jakoście to przeprowadzili?! – pytał rozradowany król w Kurzej Nodze, w rękę każdemu wciskając kubek z winem.

I mnie sproszonej do komnatki wcisnął trunek.

– Pracy niemal żadnej – zaczął Tomicki. – Zawczasu Hammel, lekarz króla, sakiewkę dostał. Z królem zaraz potem gadałem, o tym, że pan mój Węgierki szuka na żonę, by za wysoko nie sięgać i nikogo nie drażnić. I z tym go ostawiłem, jeno na jedną zdrowaśkę. Po mnie medyk zaraz wszedł, spytał, czym troska się Władysław, a kiedy król mu wyłuszczył – odpowiedział mu Zapolyankę. Kiedy z Szydłowieckim wszedłem, długo nie zwlekając pode drzwiami, radosny król ogłosił nam, że znalazł już najszlachetniejszą narzeczoną dla brata!

Tomicki skończył i mężowie wybuchnęli śmiechem.

– To na wesele czas panięta spraszać! – Zygmunt poderwał się.

Panowie powstali za nim i wszyscy zaczęli poklepywać się wzajem po ramionach.

– Biedny Władko – szepnęłam i wyszłam z komnatki niezauważona.

*

Brnąc przez kopne śniegi, bogaty orszak od Węgrów na Wawel rychło zawitał. Serdecznie dwór przyjmował gości, z zaciekawieniem oglądał węgierskie krągło strzyżone włosy, dołomany⁵⁶, delie⁵⁷ bez kołnierzy, ale za to z szerokimi pętlcami⁵⁸ i piękne kuczmy futrzane z czaplím piórem i zaponą, które zdobiły każdą męską węgierską głowę.

Uczta dwa dni trwała wesoła, ale godna, syta i bogata. Węgrów upito srodze, otrzeźwiono szybko, by ugoszczeni mile i zadowoleni wielce, w sprawie, w której przybyli, stanęli wreszcie przed królem Polski.

Pośród znacznych gości polskich i węgierskich wuj przyszłej królowej, księżę cieszyński Kazimierz, zmyślny doktor Michał Hammel, co do wyboru Zapolyanki króla Władysława namówił, Szydłowiecki, biskup poznański Jan ze swoim ulubieńcem młodym Krzyckim i król, w skupieniu i zadowoleniu w nowo pobudowanych komnatach już, w sieni między letnią izbą a salą wielką, słuchali głośno odczytywanego przez Drzewickiego upoważnienia do zrękowin z Barbarą:

Treścią niniejszego dokumentu podajemy do wiadomości, że (...) wyznaczaliśmy ojca księdza Jana, jako też Krzysztofa ze Szydłowca kasztelana sandomierskiego wicekanclerza Królestwa naszego (...) do zaręczenia z nami najjaśniejszej Barbary, córki sławnego i wielmożnego świętej pamięci pana Stefana Zapolyi, wieczystego hrabiego spiskiego

i wojewody Królestwa Węgier, zrodzonej z najjaśniejszej Jadwigi księżnej cieszyńskiej i traktowania o tych zaręczynach w naszym imieniu z samą panią matką (...) i sławetnymi panami Janem wojewodą siedmiogrodzkim i Jerzym Zapolyą, wieczystymi hrabiami spiskimi, braćmi najjaśniejszej panny, dając tymże posłom pełną władzę zawarcia w naszym imieniu z samą najjaśniejszą panną Barbarą narzeczeństwa i według traktatów (...) tęzę pannę z nami zaręczyć.(...)⁵⁹

Kanclerz pismo odczytał i skłonił się dwornie. Nagle młody Krzycki poderwał się z krzesła i na środek wystąpił. Wszyscy spojrzeli z życzliwością, bo niebywałych darów umysłu był to człek. Dumny z wychowanka biskup Lubrański skinął na niego z uśmiechem, dając mu przyzwolenie, by co powiedział.

– Anna Meklemburska lwy ma w herbie? – zapytał zebranych Krzycki, zacierając dłonie.

– Taaak! – odpowiedziała sala ciekawa zmyślnej krotochwili.

– A panna Barbara wilka? – pytał dalej.

– Taaak! – krzyczał i niecierpliwił się dwór.

Krzycki, nie tylko biskupi ulubieniec, ale i siostrzeniec Tomickiego, który jeszcze sekretarzem królewskim był, odchrząknął i uniósł ręce.

O biedne lwy złóżcie teraz swoją koronę!

Wasza chwała ustępuje teraz węgierskiemu wilkowi!

Tego jednak nie dosyć. To orzeł wznosi się do gwiazd...

Zygmunt opadł na oparcie zadowolony.

...aby na ziemi wilk otrzymał królewskie znamiona!⁶⁰

Krzycki skończył i pokłonił się. Huraganem braw nagroził Wawel i posłowie słowa młodziana. Wiedziałam, że to jeno mądry fortel, który przyjaciół po stronie króla i królowej pozwoli zyskać poecie, ale strofy i mnie rozrzewniły.

Zygmunt bił długo brawa poruszony, jakby dopiero do myśli jego dotarło, że narzeczonym jest, a wkrótce małżonkiem zostanie. Powstał, znak dając, że ostać pragnie sam. Do mnie wyciągnął ręce i przeprowadził do letniej izby. Pochwycił me łokcie i powiedział cicho:

– Do pana Górki napisałem, kasztelana poznańskiego, by w sześćdziesiąt koni zjechał pannę przyjąć i także pomyślałem, żeby małżonkę swoją zwiózł dla asysty królowej. Zobacz, siostró, czy dobrze napisałem.

Dłonie mu się trzęsły, kiedy list spod szuby wyciągał.

– Och, pewne jest, że dobrze. – Uśmiechnęłam się, ale z ciekawością czytałam pismo:

Ale, że nam przychodzi na myśl, iż potrzeba znakomitych niewiast dla przyjęcia narzeczonej i uczczenia na pierwszym wstępie, chcemy, aby, żonę swoją tu na dzień świętej Doroty sprowadził, aby ku czci naszej i narzeczonej Naszej czyniła jej assistencyą; coby nam wielce miłym było.⁶¹

Uśmiechnęłam się na dopisek.

– Dobrze jest? – pytał zaniepokojony.

– Któżby odmówić mógł na tak piękną prośbę?

– Poślę jeszcze do kasztelana krakowskiego Spytka Tarnowskiego i do małżonki jego Jadwigi. Do Jana Odrowąza wojewody buskiego i żony jego Anny z Jarosławia córki kasztelana krakowskiego, do Mikołaja Gardziny z Lubrańca wojewody poznańskiego i jego małżonki, do kasztelanowej

przemyskiej wdowy, aby na wesele wszyscy przybyli i przywitali królową – wyliczał na palcach. – Do Anny mazowieckiej już posłałem.

Aż przysiadłam.

– Do Anny... Toż ona... Zgodziła się?

– Napisałem, że najświetniejszych dam potrzebuję w tym dniu.

– Ach, napisałeś, że jej potrzebujesz... Nie dziw, że przyjedzie.

– Żłem zrobił?

– Żle. Ale dawno temu.

– Nie pojmuję.

Podeszłam do brata, wspięłam się na palce i ucałowałam go w czoło.

– Ożeń się. Z najlepszą.

Ostawiłam go samego i wyszłam na krużganki pogrążone w morzu światła bijącego ze wszystkich wielkich okien w nowym zamku. Oparłam się o purpurową kolumnę, tyłem do dziedzińca i spojrzałam przez jasne okno w głąb Zygmuntowej izby, na pierwszą noc nowożeńców przystrojoną już w suto upięty, aksamitny złotolity brokat i czerwone sukno na podłodze. Zygmunt usiadł do stołu i zaczął pisać ze zmarszczonymi brwiami. Podeszłam do lśniącej, czystej szyby i dotknęłam zimnego szkła. Jeszcze latem zwieziono dziesięć tysięcy szklanych gomółek, barwione szybki weneckie i prawie pięć tysięcy małych tafli szklanych. Za staraniem moim i Kościeleckiego wszystko to wprawione zostało, przycięte i ułożone na chwałę domu jagiellońskiego...

Pan Kościelecki, małżonek Telniczanki, nie nawiedzał mnie już. Synaczek, którego pragnął, jeszcze nim się ożenił, odumarł go niedawno. Widywałam Andrzeja czasem, gdy zamek obejrzeć chciałam. Mówił mało, a i twarz poparzoną i lewą dłoń chował przed ludźmi, jakby winien czegoś był, a nie chwały godnym. Pewnie nie chciał sam widzieć nikogo, bo byli tacy, co wciąż drwili i szydzili, że mężem jest metresy i do kompaniji

Kościeleckiego nie dopuszczali. Raz nawet mówiono, że gdy do panów na jaką radę chciał dołączyć, to oni na znak pogardy noże z pochew wyjęli i zaczęli obrus na stole rznąć na pasy, póki nie wyszedł. Rzucił się tedy w pracę jak jaki sługa i nie raz widziałam, jak wolnym krokiem na noc dopiero do domu wracał, nie trudem pracy złamany, a zdało mi się, bardziej mocą złych języków.

– Chodź. – Drgnęłam na głos Zygmunta.

Pochwycił mnie pod rękę i poprowadził do komnat niewieścich. Znałam je dobrze, bo za moja sprawą zyskały malunki barwne po ścianach i zakątkach, zasłony cienkie i grube do okien i ścian, moszczenia mięciuchne do ław i poduch, tkaniny złote do łoża, futra, jedwabie, meble nowej mody, panny, matrony do posług i zabawy z najlepszych rodów, i służbę najprzedniejszą.

Przeprowadził mnie z drugiego piętra, przez izbę, salę wielką i jadalną królowej, potem w dół po krętych schodach. Znałam każdą salę i komorę. Brat prowadził mnie do łaźni. Na parterze przeszliśmy do szatni i sionki prowadzącej do pokoju kąpielowego tuż za katedrą z drugim, osobnym wejściem od strony małego dziedzińczyka. Dla innej to miejsce przysposobiłam i piękno tego właśnie pomieszczenia zachwycało mnie nieustannie. A najbardziej tryskająca do wanny z rur woda!

Weszliśmy do środka. Zgotowane zapewne na królewski rozkaz ciepło, świece i miły aromat spowodowały, że rzewność chwyciła mnie za serce. Kąpielowa sprawiła, że woda wesoło biła w miedziane dno jednej z dwóch wanien. Łaziebna w białej płóciennej sukni, w małym czepku, zabarwiła na niebiesko wodę, dołała gorącej, druga narobiła piany mydlnicą. Król odebrał z rąk jeszcze innej wielki słoć i sam niezdarnie, a hojnie nasypał do wanny suszonych kwiatów i ziół.

– Cóż robisz? – zapytałam rozbawiona.

– Siostra moja ze zbytku jako pierwsza pani tego miejsca skorzysta.

Zasłoniłam usta.

– Mogę?

– Tyś dom ten pobudowała. Niech teraz rozkoszą ci się odwdzięczy.

Wzruszona otarłam cisnące się do oczu łzy.

– Ja?!

Wyprostował się ze słojem w rękę i spojrzał na mnie poważnie.

– Ty.

– Dlaczego?

– Bo bez ciebie ani murów, ani czasów trudnych nie dźwignąłbym.

Spuściłam głowę i nie mogłam już wstrzymać łez kapiących na suknię. Przecie mnie nawet na Wawelu nie widziano, nie poważano, mężowie nie spoglądali nawet, kiedy przemykałam po krużgankach bez królewskich znaków, w taniej sukni... Żaden majestat! Przecie gdybym nie była siostrą króla, nie chadzałabym na przedzie niewieściego orszaku, jeno na końcu. Za dziećmi jako ta, co męża wciąż nie ma.

– Cóż ty mówisz, Zygmuncie, ja niewidzialna. Na mnie nawet nikt nie zważa... – odpowiedziałam.

– Oprócz tych, co miłością cię darzą.

Spojrzałam na brata z wdzięcznością, wzruszona.

– Niechaj ta panna Barbara Zapolya wie, że męża najlepszego z najświetniejszych dostanie – szepnęłam.

Uśmiechnął się ucieszony pochwałą.

Założyłam za ucho kosmyk włosów skręcony od wilgoci.

– Zygmuncie... – Chciałam zapytać o coś, o czym bałam się nawet zamyślać... Fryderyk przecie z Ziemi Świętej dawno wrócił i jak inni

panowie zjechać może do Krakowa. Zygmunt sprosił go zapewne. Przecie to królewskie wesele!

Oddał słój łąziebnej.

– Cóż tobie?

Patrzyłam na miękki kobierzec pod stopami.

– Czy kto... Czy kto na ślub twój ze Śląska zjedzie?

– Tak.

Myślałam, że upadnę!

Podszedł.

– Ale tylko Jerzy. Brat jego. Tylko brat... – szepnął, próbując zajrzeć mi w oczy. – Dobrze będzie?

– Dobrze...

Po chwili powiedziało:

– Tylko nie siedź tu, panno, za długo.

Otarłam mokry nos wierzchem dłoni.

– Bo grzech jaki do głowy mi przyjdzie?

– Nie, bo i ja chcę wanny owej popróbować.

56 dołoman – ubiór męski do kolan, zapinany na guzy z wąskimi rękawami

57 delia – ubiór wierzchni, zapinany na guzy

58 pętlice – ozdoby z taśmy lub plecionki, ze sznureczka jedwabnego lub metalowego, umieszczone po obu brzegach ubioru przy guzach do zapinania

59 Ks. Bolesław Przybyszewski, *Barbara Zapolya. Królowa Polski 1512-1515*, Łańcut 2000, s. 26-27.

60 Ks. Bolesław Przybyszewski, *Barbara Zapolya...*, Łańcut 2000, s. 25.

61 *Jagiellonki polskie w XIV wieku. Obrazy rodziny i dworu Zygmunta I Zygmunta Augusta Królów Polskich* przez Aleksandra Przeździeckiego, Kraków 1868, s. 11.

1512

Kraków drżał z radosnej gorączki w oczekiwaniu na młodą królową. Stroił się, jakby sam był oblubienicą, chcąc okazać się najpiękniejszą, godną uznania i umiłowania. Domy, domki i kamienice czyściły się, szorowały, malowały i sprzed oczu nowej pani usuwały to, co zdało się brzydkie, stare i zniszczone od sklepienia po podłogę. Gospody i karczmy co najlepsze pierzyny na słońce wystawiały, kwiecie w nie wonne wbijając dla znamienitych gości z Korony i Węgier. Jadło najprzedniejsze zwożono starym traktem z zachodu i z północy. Już pierwsze wędzonki czuć było, słodkie bigosy i kwaśnie flaki.

By radość wzmożyć już i tak dużą, Zygmunt kazał wielkie beczki wina wytaczać na ulice dla dostojnych gości zaproszonych i tych, co po własnej woli zjechać mieli, ślub i pannę młodą uwidzieć. Nakazał, by na czas zaślubin i wesela nigdy kadzie z winem puste stać nie mogły, by jadła wszędy i zawsze dawano tyle, by każdy nie płacąc, najeść się mógł i króla za to potem chwalił.

To i ściągać zaczął do miasta nieprzerwaną strugą lud wszelaki od panów znacznych z całymi dworami, po dziadów i kaleki ze wszystkich stron świata jeszcze dziesięć dni przed weselem. Budowano karczmy, na szybko klecono stajnie, budki i wychodki. Każdy dom, każda kamienica najmowała sale i komnaty, nawet opłatę brano za wyglądanie przez okno na Grodzką i na dachach siedzenie, by z góry drogę królewską lepiej widzieć.

Przedawano sukno, igliwie woniejące, figurki i łakocie na kształt króla i królowej, kogutki grające na powitanie, kiedy człek na trakcie królewskim umyślił stać i pannę młodą pieniem witać. Zdało mi się, że wszystko to niepotrzebne było, bo i tak radował się opity Kraków i cała najedzona Korona, że przecie to nowa królowa nastanie prawie po sześćdziesięciu latach! Na dworze powtarzano i w mieście, że śliczna, bo inaczej być nie mogło, skoro lat jej ledwie szesnaście było i zapewne wywyższać się nie będzie, bo nie z królewskiego rodu, choć zacnego.

Ostatni krzywy fałd poprawiłam przy baldachimie królowej, na kształt wschodniego namiotu rozpościerającego się nad szerokim łóżem. Aromat pieczonej dziczyzny z jałowcem, kwaśnych jabłek, słodkich miodów przypomniał mi, że choć wieczór szedł, nie jadłam od rana. Panowie trzeci dzień przepijali do siebie za nowymi stołami, na dobrą podróż po narzeczoną i na dobrą wróżbę.

Szydłowiecki, niezgorzej odziany od króla, ledwo poślubiony Zofii Targowickiej, rej wiódł między możnymi i najwięcej gardłował, by Kościeleckiego, jako męża ladaczniczy, między siedzącymi na weselu przy królu nie było. To i nawet przed ślubem nie widziałam tego, który najwięcej zasłużył się królowi...

Muzyka i zabawa towarzysząca pierwszym zacnym gościom trwała nieprzerwanie i w dzień, i w nocy. Psy, pijani śmieszkowie i karły gonili się po krużgankach, ku uciechu gawiedzi spoglądającej z dziedzińca.

Przysiadłam delikatnie na diasperowej⁶², żółto-amarantowej narzucie w złote pączki róży. Grzeszna miękkość posłania kusiła, by zlec i zasnąć wreszcie, bo od dwóch niedziel oko na wszystko mając, sen niepotrzebną zawadą jeno był. A to przecie dopiero wszystko zacząć się miało... Poderwałam się, bo koszula dla Zygmunta jeszcze rąbków nie miała, a chciał, bym to ja je zrobiła, nim o świcie ruszymy po Barbarę.

W domu moim zastałam dwór Anny mazowieckiej i ją samą. Przenieść kazałam zawczasu swoich ludzi i sypialnię moją na dół, by gość w jaśniejszych komnatach i liczniejszych bawił.

Nie wiem, czy ja zjechałabym do kogo, patrząc, jak mój umiłowany ślub bierze... Ale czy nie chciałabym ostatni raz go obaczyć? Może co rzekłby, by dusze ukoić? Może za nic miała, co inni powiedzą, gdy ją ujrzą? Może za nic miała pogardę i sama gardziła pijącym i plotkującym zamkiem? Może to nie afekt ją przywiódł, a dobro jej synów i córek?

Zdało się, że zgadywała me myśli, bo ustrojona, jakby sama narzeczona była, powiedziała, powstając z krzesła na me wejście:

– Gardzą mną i ty mną gardzisz.

– Nie, Anno!

Spuściła wzrok, postąpiła tak chwilę i jakby nagle sobie co przypomniała, wyjęła białą atłasową koszulę z małej aksamitnej, zielonej sakwy.

– To koszula ślubna dla Zygmunta. Rąbek złoty zrobiłam. Mówił co o mnie? – zapytała, nie podnosząc oczu.

Wyciągnęłam ręce po podarek.

– Że na powitaniu najzaciejszą panią przy sobie mieć pragnie.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Gardzisz mną, Elżbieto – powtórzyła.

– Nie! Może... Może sama zjechałabym na zawołanie umiłowanego?

Spojrzała wreszcie na mnie.

– Ty?

– Ja. Przecie wiesz. Pono wszyscy wiedzieli. Ja...

Nie skończyłam, kiedy synowie Anny, Janusz i Stanisław, wpadli po schodach do sypialni matki na górę. Pacholeta jeszcze, a już opici winem. Janusz porwał kawałek słodkiego ciasta ze stołu i wepchnął sobie w usta.

Wepchnął zaraz drugi i zwymiotował na jedwabny obrus, ku uciechu Stanisława.

– Och, zabierz ich, Albercie! – zawołała rozzłoszczona księżna do opiekuna chłopców. – I zamknij w jakiej stajni. Wieczna z nimi sromota!

Posłuszny Albert bez słowa wyprowadził pijane dzieci.

Opadła z powrotem na krzesło. Widziałam, że na płacz się jej zbierało, ale potarła jeno zmarszczone czoło i spojrzała na mnie.

– Masz co do jedzenia? Od rana jadła nie widziałam – powiedziała cicho, łagodnie uśmiechnięta.

*

– Ruszymy wreszcie? – burknęła Anna znudzona oczekiwaniem i postojem za sprawą Zygmunta, co najpierw rozważał, czy konno po pannę ruszać, czy kolebką, bo śnieg w nocy spadł na męża wysoki, a Barbara już dwa dni stała w Morawicy, na spotkanie czekając. Kiedy postanowił, że kolasą jechać będzie, to zaczął sprawdzać wszystko wokół naszego orszaku – każdy pas i popręg. A że syropu swojego się opił, to i mu nieśpieszno było...

– On zawsze taki! – Roześmiałam się. – Nie ruszy, póki osobą własną wszystkiego nie zbada.

– Ja nie dość, że sprawdzić bym kazała wszystko jeszcze nocą, to i w pół drogi do panienki bym już była – mruknęła.

– Nie upomnę go, bo od nowa zacznie.

Anna spojrzała na mnie ze zgrozą. Poklepałam ją po dłoni i wyjrzałam z kolebki. Słońce już wysoko stało, a przecie o świcie jeszcze zasiadłyśmy wśród miękkich futer. Za nami w szerokim wozie, zatopieni w niedźwiedzich futrach, siedzieli legat papieski Stafileus, a obok niego

Łaski, prymas. Zamknawszy oczy, rozparci wygodnie, z dużymi dzbanami parującego wina między nogami, poddali się woli bożej i w spokoju wyczekiwali chwili wyjazdu.

Ruszyliśmy, by niemal zaraz za miastem stanąć w Łobzowie pod wielkim namiotem, gdzie na białym śniegu rozłożono purpurowy kobierzec, po którym stąpać miała wyczekiwana przez wszystkich przyszła królowa, Barbara Zapolya.

Kiedy już zamróz dawał się wszystkim we znaki, naraz dało się słyszeć coraz bliżej heroldów węgierskich. Ziemia drżeć zaczęła, kiedy Jan Zapolya, brat przyszłej królowej, w asyście tysiąca pięciuset koni, siostrę swą przywiódł w srebrnym okutym i zadaszonym wozie, darze od króla węgierskiego, a brata naszego. Kolebka koło zatoczyła wokół namiotu, by w końcu cztery pary pięknych karo-srebrnych ogierów zatrzymało wóz u szczytu długiego kobierca.

Ja i Anna strzymałyśmy oddech w wyczekiwaniu, wpatrzone w nieruchomą złoto-srebrną oponę przysłaniającą wejście do kolebki. Naraz zasłona poruszyła się, by jednak znowu znieruchomieć. Królewscy tubatores zagrali jakby na zachętę do wyjścia. Dwóch raców z orszaku Jana zajechało pod kolebkę, odsunęło oponę i oczom Zygmunta, legata, arcybiskupa, moim, Anny i innych zebranych ukazała się pochylona postać wyłaniająca się z wozu w ciężkiej, złotej sukni. Jadwiga Zapolya, Piastówna cieszyńska, matka Barbary, nie patrząc na nikogo, mimo krągłej figury, zeszła zgrabnie po schodkach kolebki i stanęła w oczekiwaniu na swoje dziecię. Zaraz po niej wysypały się jeszcze dwórki, tworząc liczny szpaler dla swej panny.

Anna przestąpiła z nogi na nogę. Zygmunta widziałam jeno tył głowy. Nie poruszał się.

Wreszcie panna wyszła. Drobna, jasnowłosa, wielkooka i ze sromoty purpurowa na twarzy jak leśna poziomka. Zdało się, że ledwie dźwiga złotą biżuterię i aksamitną suknię w kolorze szafranu. Prawie chłopięca jeszcze kibić zdradzała, że więcej lat mieć nie może niż oczekiwane szesnaście.

Anna z nieskrywaną drwiną westchnęła, prężąc obfitą pierś.

Król ruszył ku Barbarze i widać było, że panna z wysiłkiem unosi ku niemu oczy pełne strachu i wzruszenia. Zygmunt objął na chwilę mocno wybranek, na co zdziwiła się i zmusiła do nieśmiałego uśmiechu. Ależ była ładna!

– Ile ci odebrał? – Okrutnym pytaniem Anna oderwała mnie od Barbary.

– Co? Kto?

– Zygmunt. Ile odebrał tobie, żeby dać jej.

Skonfundowana jej zachowaniem, poprawiłam welon, nim odpowiedziałam:

– Oprawa królowych nigdy do mnie nie należała. Jenom z łaski dostała ziemie na czas, aż królowa nie weźmie, co jej się należy. Ale Zygmunt wszystkiego mi nie odebrał. Za to, co ja wzięłam z oprawy, dał jej Biecz i Sochaczew.

– I co w tej oprawie dostanie? – pytała wpatrzona roziskrzonym wzrokiem w pannę młodą, słuchającą cierpliwie przemów legata i Łaskiego.

Zrobiło mi się żal Anny. Już usta otwierałam, kiedy Boner, stojący za mną, pochylił się ku nam i z uśmiechem ją wyliczać księżnej, jakby smagać ją chciał nadaniami.

– Królowa zrzeknie się praw do majątku Zapolyów, ale weźmie Korczyn, Wiślicę, Żarnowiec, Radom, Jedlnię, Kozienice, Stężycę,

Radoszowice, Łęczycę, Przedecz i Kłodawę – mówił powoli. – A król za nią schowa w kieszeń sto tysięcy czerwonych złotych.

– A ile wy z tego weźmiecie? – Ukrzywdzona przez los Anna rozdawała razy bez upamiętania.

– Tyle, ile mnie winien – syknął z jakimś upodobaniem i schował się znowu za nami.

Król po kolejnych powitaniach znowu objął Barbarę poufale i wprowadził do swojej kolebki. Orszak pomnożony o dwór węgierski ruszył ku Krakowowi.

Miasto, rajcy i akademicy okrzykami, mowami, muzyką wesołą, biciem dzwonów witali Barbarę. Gwarna pijana ulica prawie wniosła kolebkę narzeczonej do katedry, gdzie biskup Drzewicki tymi słowy odezwał się do pobladłej ze wzruszenia i zmęczenia Barbary:

Najjaśniejsza królowo, pani najmiłościwsza! Ksiądz biskup krakowski z prałaty i z kanoniki kościoła swego krakowskiego Waszą Światłość wita, radując się zdrowiu i szczęsnemu przyjechaniu W. Kr. Mości, za które ze wszystkim zebraniem duchowieństwa kościoła tego Pana Boga prosili. Abowiem są tej zupełnej wiary i nadziei, iż W. Kr. Mość tak łaskawą dobrodziejką i obrońcą będzie tego kościoła i wszego zebrania, jako i pierwsze tego królestwa królowe Chrześcianańskie były (...) A Wasza światłość też nie będzie raczyła być inakszej łaski na ten kościół i na zebranie jego duchowne; i owszem nie będzie raczyła tem upośledzić, aby dobrodziejstwa Waszej Światłości sławna pamięć była w tem kościele niemniejsza jako innych Królowych Polskich; a łaskawemi przyczynami do Króla Jego M. Pana naszego miłościwego, Wasza Światłość ze swojej obrony tego kościoła i wolności duchowieństwa jego raczysz nie opuszczać. A Ksiądz Biskup z Prałaty i Kanoniki i ze wszem zebraniem duchownem

*biskupstwa swego, ustawicznie chcą prosić Pana Boga i Stanisława patrona naszego za szczęsne i w długiem zdrowiu łaskawe panowanie z Królem Jego Miłością.*⁶³

Po mszy król nieodstępujący przyszej małżonki powiódł ją do jej nowego domu. Westchnienia zachwytu wyrywały się raz za razem z ust pani na Trenczynie, jej córki i dworu, kiedy Zygmunt wiódł panny i matrony przez niewieście komnaty nowego Wawelu. Podziwiały portale jaskrawo malowane z czarnymi napisami, kraty w oknach purpurowe, szmaragdowe i szafirowe, drzwi blachą zdobione i kutymi kwiaty. Na piętrze komplementowały się dla dwórek z herbami, wyżej, w komnatach Barbary, wielką sień malowaną na obraz marmuru ze złożonym piecem, w którym rozpalano od strony kruzganków, by rano nie straszyć albo nie przeszkadzać królowej. A w jadalni zachwyty wzbudziły, prócz wielkiego nowej mody kredensu z szafranowej barwy kratą, malowane wici nad oknami z medalionami na kształt pięknych twarzy. W końcu zawróciliśmy przez sień i izbę i Barbara przysiąść mogła w sypialni z kominkiem, wyłożonej jedwabiem i obitej brokatem. Gdyby zechciała spojrzeć na drewniane sufity swych nowych komnat, ujrzałaby wszędzie laticyńskiej mody złożone rozety. Wszelkie kandelabry, szafy, skrzynie z poręczami, stoły i świetne krzesła lśniły pięknie w blasku lampek i świec, głodne pochwały swej nowej pani.

Dwórki polskie i węgierskie, chętne nowych znajomości, przysiadłszy na wielkich, miękkich poduchach, uśmiechały się do siebie. Matrony skłaniały się sobie nawzajem, córki i wnuczki przedstawiały.

– Panna Barbara śliczna jako kwiatusek, a uśmiecha się, jakby nam wiosna już nastała – przemówiła głośno młoda pani Zofia Szydłowiecka.

Ujrzałam, że Barbara siedząca na podwyższeniu szepcze co matce na ucho. Ta skinęła głową, jakby dawała przyzwolenie.

– Mowa polska mi znana i sercu bliska, dzięki panie matce – nieoczekiwanie po polsku i ku radości wszystkich przemówiła Barbara.

– A z niej taki kwiatusek, co piegi ma! – Roześmiała się głośno i serdecznie Jadwiga cieszyńska.

– Siostró... – zwróciła się do mnie przejęta Barbara. – Podarek mam dla was – mówiła ze lśnjącymi oczami. – Król pisał, żeście wy dla mnie zgotowali komnaty... – przełknęła ślinę – i wszystko...

Skłoniłam się poruszona.

– U was w Trenczynie pewnie nie takie cudowności macie.

Matka Barbary machnęła niedbale ręką, ale nie zaprzeczyła. Barbara poruszyła się na krześle.

– Ja mam coś, co spodobać się wam musi. Kazałam jeszcze z dawna zbierać pisma polskie. Przecie Polaków u nas było i jest od dawnych czasów. Listy nawet mam po polsku pisane. – Wyciągnęła rękę do sługi po mały mahoniowy kuferek i podała go mnie.

Otworzyłam ciekawością wiedzioną skrzyneczkę pełną starych pożółkłych, ale i białych pergaminów, skrawków papierów ze śladami pisma i pieczęciami nawet. Czytałam cicho wyrazy pełne tęsknoty, radości i żalu: *matko... niedługo zjadę... dziecię do was podobne... jak wiosna nastanie... jesień... tęsknica... dusza... nie ujrzę... żegnać... Panno Niebieska...* i ludzie jak żywi stawali mi przed oczami, co z dawna zapewne pomarli daleko od domu i umiłowanych.

– Pani, dziękuję. – Trudno mi było łązy strzymać.

Dwory oba siedziały w cichości jakąś powagą zdjęte.

– Mój podarek dla was... – odezwał się wreszcie.

– Ale ja wiem, czego chciałabym najbardziej! – zawołała Barbara z szeroko otwartymi już i tak wielkimi czarnymi oczami.

– Czego zatem pragniesz, siostrze? – Uśmiechnęłam się.

– Zatańcz. Król pisał, że najpiękniej na świecie tańczysz!

Jakoś miło mi było z tą panną, bo z nią wesołość nowa wstąpiła w mury Wawelu, tak że z ochotą odrzekłam:

– Zatańczę, z radością zatańczę.

– A zaraz? – zapytała z nadzieją dziecięcia.

– Zaraz! – roześmiałam się.

Na gest królowej zlecieli się czujni muzykanci i uderzyli w proste tony.

Gdym popis skończyła, ujrzałam, że salę wypełniają starzy i nowi dworzanie, którzy zbiegli się na dziwowisko. Owszem, dawno nie tańczyłam, dawno radości mi to nie dawało. Nic mi radości nie dawało od dawna... Do dziś. Dziś, wraz z przyjazdem tej pani, znowu poczułam, że chcę tańczyć, jeść i pić. Że ona mi siostrą, dziecięciem, które opieką objąć muszę, nie z przymusu, jeno z woli własnej.

Jak na moje życzenie wnosić zaczęto jadło do wysokiej jadalni i zeszli się król szczęśliwy, polscy i węgierscy panowie. O świcie dopiero wróciłam do siebie, goszcząc u Barbary, która jeszcze przed nadchodzącym południem miała zostać królową.

Anna nie weszła do nowego zamku z powitalnym orszakiem ani nie zastałam jej w moim domu. Nocą, przed zaślubinami, odjechała z synami na Mazowsze.

Modliłam się w pustym domu, kiedy obok Wawel tętnił ciągle jeszcze od radosnej muzyki i zabawy, nie mniej głośno niżli miasto. Wdzięczna Bogu byłam za cichy zakątek, w którym choć myśli skupić mogłam na miłych wspominkach. Rozdziewać już się chciałam z niewygodnej sukni, kiedy zapowiedziano z dawna niewidzianego przyjaciela.

– Panie Kościelecki... – zaczęłam i chciałam podać dłonie do ucałowania, kiedy omal nie krzyknęłam. Pół twarzy okrutnie zeszpeconej przysłaniał wełnianym kapturem. Blizny jeno sine ostały w miejscu niegdyś bujnych brwi, czyniąc spojrzenie jego gorejące dziwnym i strasznym.

– Przyjmiecie pani? – zapytał.

– Cóż to pytacie? Usiądźcie! Kiedyście to u mnie byli? Tak dawno, że grzech to prawie... – Podałam ręce i próbowałam się uśmiechać.

– Praca. Ta dobra, co zapomnieć złe pozwala, i ta zła, co niemoc w członkach potęguje, chęci starcowi odbierała.

Wiedziałam, że prawdy nie mówił. Bał się zapewne, że jak inni, nie przyjmę go, bo się z ladacznicą jednak ożenił. Albo sam czego się wstydził, choć sama nie wiem czego.

Podać kazałam nam świetne wino, które Węgrzy ze sobą przywieźli. Upił łyk i zapytał, patrząc w kielich:

– Jakaś banda morduje panów w Krakowie. Ponoć przewodzi im młodzian.

– Nie słyszałam.

– Każe zwać się „Szlachcicem”.

Poderwałam się.

– Jam chłopca znała, ale on z dawna miasto opuścił, Akademię ukończył. On nigdy by...

– Mnie nie o tych mordowanych idzie. Wszyscy na sumieniu złe mieli i sam bym im gardła rozpruł...

– To o co idzie? – Strwożona odstawiłam wino. Po prawdzie nic nie wiedziałam o Baltazarze... Może w mieście został? A jeśli mścił się, to... może i miał za co!

– Młodziana szukają. Myślałem, że powiem wam. Ci co z nim, pierścienie w kształcie węży noszą.

Podstawiłam mu dłoń pod nos.

– Ja nie mam. No i przecie mordercy. Miałabym ich ostrzec?

Przeszył mnie swoim srogim spojrzeniem.

– Niewieście myśli obce mi są.

Odwrociłam się do ściany.

– Pójdę już – powiedział z westchnieniem.

– Och, nie! Powiedzcie, jak panna Barbara się wam widzi.

– Niewinna. Bywa co piękniejszego?

– Mądrość?

Uśmiechnął się i podniósł z krzesła.

Kiedy do drzwi zmierzał, zapytałam cicho:

– Jak wam jest?

Przystanął na mgnienie, ale nie rzekł nic i wyszedł.

Usiadłam i zawołać kazałam Łęczyckiego, co z dawna opiekunem był Baltazara. Teraz w kancelarii króla przydatnym był do posług pisarcom. Przyszedł niedługo. Wino podać kazałam, ale odesłałam, bom myślała, że upadnę na widok nowego pierścienia dworzanina.

– Uciekaj z Krakowa! – powiedziałam, ledwo dech łapiąc.

– Pani...

– Wiedzą o was i znaki wasze znają. Wynoś się! – Zadrżałam.

Patrzył chwilę na mnie, jakby jakiej odpowiedzi szukał w mej twarzy, odwrócił się i wybiegł z komnaty.

Przeżazona ciężką głowę wsparłam na oparciu krzesła. Nigdy mi do głowy nie przyszło morderców bronić! Nowy grzech na barkach moich!

Radość z przyjazdu królowej czmychnęła tak szybko, jak się pojawiła.
Czyż znałam Baltazara, tego chłopca, co siłą się w serce me zakradł?

*

Słońce już było wysoko, kiedy zbudziła mnie Ciechanowska.

– Pani, królewska narzeczona prosi do swych komnat. Rady pragnie.

Nie mogłam unieść ciężkich powiek.

– Rady? Ode mnie?

– Widać nasza królewna dla niej jak matrona...

– Och, dziękuję ci, pani.

– Rzekłam co złego? Panienska w was jak w obrazek wpatrzona.

– Tańce jej się pewnie moje spodobały...

– Wszystkim się podobają! A już Węgrom! – Wzniosła oczy
w uwielbieniu.

– Mówią, że babka moja pięknie tańczyła.

– Ale wy też pięknie, a może piękniej.

– Ty wiesz? Skąd?

– A wiem. – Uśmiechnęła się, co prawie jej się nie zdarzało. – I jak za
mąż wyjdziecie... – mówiła, zdziwając ze mnie koszulę.

– Och, pani!

– Wiem swoje. Nic dobrego w samotności człek nie znajdzie. Rok wam
trzydziesty idzie. – Przeżegnała się ze zgrozą. – Niewieście zda się, że
nawet piękna, czas mija, rodzą się inne, a ona już dla nikogo widzialną
nawet się nie zdaje. Tylko strach jej mężem i kochankiem... – Przysiadła
w zamyśleniu, ale zaraz poderwała się. – Ale spieszyć się trza! Ślub
i koronacja!

Wbiegłam na piętro wejściem od strony katedry. Barbara w sypialni jeszcze, dziecięcym gestem wsparta o ramiona matki, przywdziewała bardzo drogie, jedwabne ponczoski⁶⁴. Reszta dwórek i służ stała w kręgu, przypatrując się, jak Jadwiga cieszyńska klęczy przed córką w niewygodnej sukni.

– Elżbieto, siostró... – Na mój widok szepnęła Barbara i nadepnawszy na przydługą koszulę, niemal się przewróciła. – Nikt powiedzieć mi nie może, jaką ubrać mam do namaszczenia suknię i co mi każą obnażyć do tego. Plecy? Piersi?

Usadziłam strwożone dziewczę. Matka dopadła jej długich, jasnych włosów i na gorąco zaczęła je sama fryzować w fale.

– Jenó plecy i rękę do łokcia obnażyć musisz – powiedziałam.

– Plecy? W katedrze? – jęknęła Barbara.

– Nic to. Matka moja musiała jeszcze piersi i ramiona namaścić. A ciało miała... niepospolite.

Jadwiga skrzyła kilka jasnych kosmyków przyszłej królowej i odłożyła gorące, ciężkie żelazo na stół.

– Córka moja płócha jak koza młoda. Co zrobić trzeba, zrobić musi. Nie grzech to. Z innych przyjdzie jej się niedługo spowiadać. – Jadwiga zachichotała, a z nią Zosia Szydłowiecka.

– No niech będą te plecy... – westchnęła Barbara.

– Jenó cięćie zrobimy w sukni, którą i tak włosami przysłonimy – pocieszyłam narzeczoną.

– To tak można?

– Niewiasty radzić sobie muszą. Jak lud uwidzi jenó rozcięćie, to wszyscy uznają, że tak być musi.

– I nikt ci sukni w katedrze zrzucac z siebie kazał nie będzie – dopowiedziała matka. – Choć pewnie niektórzy by chcieli, żeby tak się

stało.

Znowu zachichotała Szydłowiecka.

*

W niedzielę ósmego lutego nastąpiła uroczystość zaślubin i koronacji królowej. Katedra mimo zimna na zewnątrz woniejąca kadzidłem, rozgrzana była kwaśnym oddechem dostojnych gości, duchownych, panów i gawiedzi.

Po dwóch błogosławieństwach i dwóch oracjach legata Barbara z rozpuszczonymi włosami, leżąc krzyżem, wysłuchiwała Litanii do Wszystkich Świętych, po czym lekko zaróżowioną do klęku ułożono. Namaszczający duchowny tak zasłonił królową, że nikt ni skrawka pleców nadobnych nie uwidział. Jeszcze tylko król donośnym głosem o koronacje małżonki poprosił i wśród dźwięków *Te deum laudamus* Barbara otrzymała koronę wysadzaną rubinami, szafirami i perłami. Do tego berło. Wreszcie odprowadzono ją na tron pod *thalamus*⁶⁵ obok siedzącego króla. Wiedziała już, że to koniec straszliwych uroczystości i spojrzała przed siebie spod długich czarnych rzęs, obdarzając zebranych nieśmiałym uśmiechem, co kupiło jej uwielbienie ludu, zapewne na wieki.

Trębacze, surmacze, bębnistowie i piszczkowie po uroczystości powiedli nowożeńców na zamek, na wesele. Krzycki drogę królestwu zastępując, na nowych kruzgankach wystąpił z tymi słowy:

Panno nowo poślubiona królowi Zygmuntowi

Czy wiesz, jakiego Bóg dał ci małżonka

Którego niezwykła sława dotarła do krainy

Czarnych Indów

Któremu Wenus żywicielka dała piękne oblicze,

*Który w drugiej wyprawie zwycięskie odnosi triumfy
Junono, bogini uświęconych małżeństw,
Junono, wspomagająca trudny poród
Junono, najwyższego boga siostrą, także drogą
Małżonko Grzmiącego
I ty, który płaczącą dziewczynę
Umieszczasz młodzieńcowi w łożu i zrywasz przepaskę,
Sławny potomku Cypryjskiej pani
I Bromiusa
Hymenie, Hymenie.
Dalejże, szczęśliwym pospieszajcie krokiem,
Wielkiego króla świętować wesele
Aby z dobrego stąd drzewa
Dobry nam wyrósł owoc.⁶⁶*

Zachęceni pięknymi strofami, małżonkowie i goście ruszyli do komnat. Aromat imbiru, gałki i kwiatu muszkatu, anyżu i szafalii wisiał nad wawelskim wzgórzem. Zdało się, że małe kuchnie rozpalone i gorące rozgrzewają zamek nie mniej niż piece w komnatach! Warzono, krajano, siekano, smażyono, gotowano, pieczono wszystko, co kupiono, zabito, upolowano, wyrwano z ziemi i zerwano z drzewa, zamieniając na królewską ucztę w smakowite i oko cieszące jadalno. Paw we chrzanie i śmietance szafranowej nie mniej cieszył niż jego ogon na chwałę geniuszu Pana stworzony. Wielkie, w łuk wygięte pieczone grzbiety żubrów zdobione kulami pomarańczy nad stoły i insze jadalno się wznosiły niczym płetwy bestii wodnych nad taflą oceanów. Nad wszystko wystające wielkie rogi jeleni i kozic w całości kładzionych ze łbami i kopytami, sprawiały, iż zdało się, że bażanty, kuropatwy, jarząbki i łabędzie ze wzniesionymi

w górę skrzydłami pokłon składały, jakby wyższość uznawały rogatego jądła nad latającym.

Gdzie jeszcze miejsce było na stole królestwa i na pomniejszych, wśród świec w kandelabrach i inszych ozdób, na obrusach długich i jedwabnych, pachniały słodkie serki śmietankowe z orzechami i miodem, marmolady brzoskwińowe i malinowe z cynamonem i pieprzem, białe ciasteczka ryżowe, placki ze słodkiego sera, karmelki z kwiatu muszkatołowego, cynamonu, kubiby⁶⁷ pieprzu gwinejskiego i anyżu, ciasta marcepanowe i cynamonowe z cukrem. Miejsce dla siebie znalazły w maleńkich kieliszkach, kubeczkach, srebrnych rożkach, galarety barwione mięsne i owocowe, sosy pieprzne, z muszkatu i gorczycy i inne słodkie albo kwaśne.

Do jądła dawano wino przednie jasne i ciemne, miody żmudzkie, kowieńskie, tomaszowskie zaprawiane sokiem z wiśni, malin i korzeniami. Piwa wszelakie z orkiszem i owsem, z jęczmienia, chmielu, pszenicy z żytem, czarne gdańskie i wareckie szczypiące.

Nim do jądła przystąpiono, wielki korowód z królestwem na czele ruszył w takt „chmielowego”⁶⁸. Taniec znany na świecie całym radość wielką sprawiał, bo każdy tańczyć go mógł, uszczerbku na zdrowiu i godności nie ponosząc. Nie zmęczył nikogo i ten, kto chciał jeszcze, a prawie wszyscy chcieli, ruszał dalej do „gonionego” i „płsnego”. Kto żyw był, jeszcze wirował w „gniewusie”, „dorobuszcze”, a odważni w „wyrwańcu”.

Ujrzałam w tańcu Jerzego, brata Fryderyka. Podobny był tak, że od razu pewną byłam, że to on. Mocno czerwony od płasów i napitków, przystanął niedaleko mego stołu i przekrzykiwał muzykantów, mówiąc do kogo stojącego do mnie tyłem:

– Fryderyk? Nie, nie ożenił się! Czasu u niego nie ma! Latarnie w Legnicy po ulicach stawia! Tak! Złoto? Nie, nie w Złotoryi! Teraz w Złotym Stoku dobywa!

Regina razem z małżonkiem opuściła radosny korowód i dosiadła się do mnie. Jan skłonił się roześmiany i z ochotą zaczął wyjadać słodki serek ze srebrnego kubeczka, ostatnim kęsem dzieląc się z małym Zbigniewem, zgrzanym od tańców, najstarszym, ośmioletnim synem jego i Reginy, już pokojowcem Zygmunta. Zbigniew połknął kęs i ku zadowoleniu dumnych rodziców pobiegł zaraz służyć przy królewskim stole na podwyższeniu. Roześmiali się w głos, kiedy to król nalał piwa do kubeczka szczęśliwego Zbigniewa.

Jerzy co mówił jeszcze do krągłego biskupa wrocławskiego Thurzo i chudego biskupa Watzenrode. Zdaje się, że obok biskupa warmińskiego stał jego siostrzeniec, który jak pamiętałam, na zamku dawno temu pokazywał gwiazdki. Kopernik się nazywał, a teraz o co wypytywał Jerzego.

– ...A tak. Miedź też... – dochodziło do mnie.

Nagle do Watzenrodego i jego siostrzeńca dołączył Dantyszek i razem odeszli, a Jerzy spojrzał wprost na mnie. Patrzył tak, że wątpić nie mogłam, iż wie co o mnie od Fryderyka. Znaczący tamten nie zapomniał! Wzniósł Jerzy nawet kielich w moją stronę, lekko się kłaniając. Podniosłam napitek do ust i odskłoniłam się jeszcze delikatniej, skromnie opuszczając wzrok. Kiedy podniosłam oczy, brata Fryderyka już nie było.

– A cóżeś taka uśmiechnięta? – zapytała Regina, ogryzając przepiórcze udko.

– Bo jadła znakomitego popróbowalam.

*

Szóstego dnia wszyscy umęczeni tańcami, znudzeni krotoczwilami rozmaitych wesołków, ogniomistrzów, żonglerów, szpilmanów⁶⁹, chwistów⁷⁰, wiłów⁷¹, mimów i aktorów, obdarowani podarkami za śpiewy, strzelanie z łuku, wyścigi wszelakie i wierszy deklamowanie, czekali czego innego, co dać im mogli jeno świetni rycerze. Wszyscy wiedzieli, bo dzień drugi zapowiadane było, iż rycerz Jan Rechenberg, dawny druh króla jeszcze ze Śląska, na kopie potykać się będzie z panem Tarło herbu Topór.

Rycerze wyczekiwani stanęli wreszcie do bitwy pośrodku dziedzińca. Kropierze końskie dwóch panów szlachetnych lśniły w lutowym słońcu od klejnotów nabitych na ciężkie kapy. Dwa razy starli się mocno, nie na pokaz jeno jak w inszych krajach, gdzie wiersz ważniejszy był w szrankach⁷² niżli starcie. Drugim razem za siłę podziwiany i dużość, Jan Tarło zrzucił z konia Rechenberga, a ten kopię na pół złamał. Ale król, zanim pachółkowie dźwignęli Ślązaka, zszedł z podwyższenia na krużgankach i wraz z Janem Zapolyą, jego matką i młodą królową udali się w stronę Kurzej Nogi. Patrzyłam w ślad za nimi, domyślając się, że o sprawy pieniężne pewnie idzie. Posag bogatej Zapolyanki wart był posagów Habsburżanek, a mój, gdyby kiedy miał być wypłacony, liczył jeno dwadzieścia tysięcy złotych, prócz oczywista klejnotów i nadań od matki. Prawie połowę mniej niż kosztowało wesele Zygmunta i Barbary. Ma się rozumieć wyprawione za pieniądze od Bonera.

Do sali wielkiej na tańce znowu dwór zdołał się przenieść, kiedy wrócił Zygmunt. Od razu zdało mi się, że nie o posagu z dawna ustalonym rozprawiali, bo jasnowłosa jak siostra Jan, nadto szczęśliw do sali wkroczył, krzycząc, by wina mu podali, matka jego z szerokim uśmiechem weszła, a królowa zaróżowiona z jakowymś strachem zasiadła. Po Zygmuncie, jako zawsze, nigdy nic poznać nie można było, co myśli. Zwłaszcza jeśli twarz swoją gawiedzi miał ukazać.

Muzycy jeszcze nie uderzyli w tony, kiedy wystąpił jak zawsze czujny Dantyszek i jakby w szranki na słowa stawał z Krzyckim, głośno jął wołać do króla:

*Przybywa do ciebie z krainy
Węgierskiej przepiękna małżonka
Otwórz jej swe podwoje (...)
Ona jest godną ciebie małżonką
Godną jest być żoną Króla
Godną jest być matką królów
Tylko ona jest tego godna,
Między wszystkimi dziewczętami świata,
Tę tobie jako Twoją Małżonkę
Przeznaczyli niebianie.⁷³*

Król z wdzięcznością skłonił się w podzięce za strofy i na znak uznania wznosił kielich, na co z sali gruchnęło wielkie „Niech żyją! Niech żyją!”, a Barbara pochyliła się w moją stronę.

– Pochlebstwo to grzech chyba?

*

Kiedy ostatni goście wyjechali razem z rodziną Barbary, a ja wróciłam właśnie ze mszy, tumult i popłoch uczynił się wśród służby i panien, bo po schodach na górę wbiegła królowa! W gorseciku bez rękawów na białą koszulę nałożonym i w sutej spódnicy z fartuszkim, znaczy w stroju podług węgierskiej mody, wyglądała jeszcze młodziej niż na weselu. Nie zważała na pokłony zewsząd i podsuwane przez pokojowców wygodne krzesła.

– Na prandium siostrę moją zapraszam! – zawołała radośnie, odrzuciwszy prosty warkocz na plecy. – Król małżonek mój już jest! – Zasiadła na prostej ławie w sieni, by zwyczajnie czekać, aż gotowa będę.

Nie śmiałam przebierać się, by na niewygodę królowej nie narażać i powiedziałam do Barbary:

– To idźmy, skoro król czeka!

Chwyliła mnie za rękę i omal nie spadłyśmy ze schodów, zbiegając jak głupie pacholęta!

– Stój, nie godzi się! – Roześmiana pociągnęłam ją w tył, kiedy przed dom wybiegłyśmy. – Wolniej, pani. Kto pomyśli, że łakomstwa pohamować nie potrafimy!

– A same dobroci mam na stole! – Zaczęła wyliczać na szczupłych palcach: – Precliki, grzane piwo dla króla, marmoladę dla ciebie i kaszę manną. Wszyscy marzą po weselu o prostym jadle – mówiła, idąc.

– To prawda! Od nadmiaru tłustego i słodkiego głowa wszystkich chyba bolała.

– Król z bratem moim podpisał umowę przeciw Habsburgom – powiedziała nagle.

– Zygmunt?

– Jeszcze na weselu. Wspierać będzie brata mego, gdyby królem Węgrów chciał zostać. Bo mówił król, że jeśli raz Niemca do Czech i Węgier dopuścisz, to im z łap ich nigdy nie wyrwiesz.

Zatrzymałam Barbarę, wspinającą się już do zamku od strony łaźni.

– Mówiłaś o tym komu prócz mnie?

– Nie! – zaprzeczyła, robiąc swoje wielkie oczy. – Król mówił, że jeno wam powiedzieć mogę.

– Och, dobrze...

– Jam nie taka głupia.

– Wybacz, pani.

Weszłyśmy przez sień do jadalni, gdzie oczekiwał nas już oprócz z cicha przygrywających lutnistów, klawicymbalistów i fletnistów uśmiechnięty król i Andrzej Krzycki, sekretarz królowej, który pieniarni i strofami o Barbarze godność ową sobie wystarał.

Barbara przysiadła się do Zygmunta, mocno wczepiając się w jego ramię i patrząc mu w twarz jak jakie wierne szczenię. Król z zadowoleniem uniósł podbródek i powiódł wzrokiem po zebranych dworzanach i dwórkach, czy aby wszyscy to widzą.

*

– Teatrum z królem urządzamy! – zawołała radośnie królowa na drugi dzień, kiedy ledwo co wyszłyśmy z katedry po wieczornej mszy. – Tło będzie malowane! I ruchome! – Chwyciła mnie za ramię.

– Och, chętnie zobaczę! – ucieszyłam się.

– Ja też! – Szarpała mi rękę. – Bo nie tylko aktorzy zjadą, ale każdy dworzanin wystąpić może i o laur pokusić się potem za talent największy! Wyobraź sobie pani Łaskiego jako Herę! Albo króla jako Afrodytę!

Chichotałyśmy, idąc do mojego domu, zachwycone wizją sztuki. Rozprawiając wesoło, weszłyśmy do sali na piętrze. Kazałam podać nam piwo czarne gdańskie i owoce.

– Zagramy w karty? – zapytałam Barbary, która z czułością dźwignęła i przygarnęła do piersi zaspanego starego i ciężkiego kocura mej matki.

– Z rozkoszą – odpowiedziała z uśmiechem, tuląc zadowolonego piecucha.

Zasiadłyśmy do gry, bym, jak okazało się potem, przegrała wszystkie partie.

– Oszustka! – zawołałam zrezygnowana, kiedy wieczór nastał, plecy mnie piekły od siedzenia i kolejny raz to Barbara wygrała. Opadłam na oparcie krzesła. – Gdzie teatrum wystawisz, królowo?

– Na dziedzińcu – odpowiedziała, podśpiewując i odkładając zgrabnym ruchem karty do kuferka. – Scenę zbuduję.

– Podest?

Wychyliła się do mnie.

– Scenę! Z machiną, co obraca obrazami!

– Jak to „obraca”?

– Widziałam kiedyś taką na jarmarku w Budzie. Wielką! – Rozłożyła długie, chude ręce. Piwo gdańskie chyba za mocne było dla młodej królowej...

– A kto obrazy namaluje?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Ja.

*

Już na drugi dzień prace ruszyły. Młotki i piły tłukły i rznęły od samego rana. Kiedy weszłam do sieni królowej, ona rysowała coś na papierze majstrowi. On i Zygmunt przypatrywali się z powagą rysunkowi.

– Ja nie wiem... Ale to tak wyglądało. – Pokazywała coś palcem. – Trzy różne obrazy na trójkątnej ramie. I tym ktoś kręcił... i przesuwano się... to. Raz jeden obraz, skręt, potem drugi, skręt i trzeci.

Cieśla skinął głową.

– Nic trudnego. Jeszcze lepsze zbuduję, niżli najjaśniejsza pani w Budzie widziała! – chełpił się.

– Jakże się cieszę! – zawołała Barbara. – A płótno do malowania naciągnięcie? Dziś jeszcze? – dopytywała.

– Naciągnijcie z dziesięć kompletów, jakby królowej zamiast konia kura wyszła albo z niewiasty mąż – naigrywał się Zygmunt.

– Wstyd tak boleśnie drwić z królowej – upomniałam króla i pociągnęłam go za zdobny rękaw, kiedy cieśla wyszedł.

– Ja nie drwię, jeno nie chcę, by widzowie uciekli na widok dzieł, bo nie będzie miał kto pienia Krzyckiego oglądać.

– Nie uciekną. Nie będą śmieli – odpowiedziała hardo Barbara. – Choćbym i kurę zamiast konia namalowała, to ją w zachwycie pegazem nazwą.

Zygmunt ujął w dłonie drobną buzię królowej i głośno pocałował ją w usta.

– Dla ciebie pani i pegazem na scenie stanę.

– Staniesz?! – zawołała zachwycona Barbara, złożwszy ręce jak do modlitwy.

– Nie – odparł spokojnie król.

Zdało mi się, że większy szum był na Wawelu za sprawą teatru niżli wesela! Wszyscy, od Krzyckiego, przez grajków, po stajennego o występach mówili! Kto i gdzie grać będzie? Dla kogo? Co to znaczyć może? W co ubrać się? Skąd stroje? Czy tekst pisany będzie, czy drukowany dostaną? Wszyscy nagle znali się na grze aktorskiej i sztukach wszelakich! Niejeden pokłócił się z drugim o rolę, obraził, wyjechał, fortunę wydał na strój, schudł albo przytył.

Wreszcie dzień nastał, kiedy obaczyć miałam *Roztropność Ulissesa mimo przeszkód* i *Iudicium Paridis*. Sztuki dwie, bo chętnych tylu było, że

w jednym dziele nie zmieściliby się. Scena wyglądała pięknie i malunki Barbary równie doskonale. Na jednym płótnie widniały same mury obronne zamku, na drugim jeno brunatna kreska jako droga wśród dwóch zielonych kresek, znaczy wśród zielonych traw, a na trzecim niebieska kreska jako rzeka i zielone, pionowe kreski jako trzciny. Pasowały wyśmienicie do obu sztuk.

Mnogość aktorów zatrwazała, bo kłębili się na scenie jedni z drugimi, nie chcąc czekać na swą kolej. Gorliwie podpowiadali słowa deklamującym, a innym dla jakiej zemsty przeszkadzali, rzucając w nich jadłem czy odzieniem. Najdoskonalszym widowiskiem okazał się sam mechanizm kręcący płótnami. Wszyscy bawili się wyśmienicie, wznosząc na koniec niekończące się toasty na cześć młodej, zachwyconej teatrum królowej.

*

Całą wiosnę bawił król małżonkę turniejami, gonitwami, cennymi podarkami, a ona jego młodością i radością. Razu jednego do Barbary szłam, ale jeszcze na dole z łaźni najpierw uwidziałam kłęby pary unoszące się spod drzwi, a potem usłyszałam królowej radosny śmiech i rechot króla. Zawróciłam, życząc im szczęścia i potomków Jagiellonom. Bo dlaczego nie miałabym im życzyć, sama nie doświadczając tego, co mieli? I dlaczego łzy ocierałam, modląc się w kaplicy rodzicieli o ich powodzenie?

Dźwignęłam się modlitwą pokrzepiona i kpiąc sobie z głupich łez, wyszłam ze świątyni. Próg domu prawie przekraczałam, kiedy ujrzałam Barbarę zbliżającą się od zamku. Jej krucha sylwetka mocno odróżniała się od figur polskich i węgierskich dorodnych panien. Poczekałam, aż się zbliży.

– Powiedziano mi, że widzieć mnie chciałaś – odezwała się cicho.

– Ależ zawsze mi miło widzieć cię, siostrze. Nie musiałaś porzucać króla. – Uśmiechnęłam się.

– Powiedziano mi też, żeś do kaplicy rodzicieli poszła, chciałam i ja wreszcie.

– Nie byłaś pani jeszcze u starej królowej i ojca mego?

Zarumieniła się.

– Nie.

– Chyba się nie lękasz... – Nie mogłam uwierzyć.

– Trochę tak.

Pochwyciłam jej dłoń.

– Ojciec mój najczulszym z mężów był, jako twój małżonek, a matka moja sprzyjałaby tobie, wiedząc, że następcę dasz Jagiellonom, a jej wnuka. Niczego już chyba bardziej nie pragnęła. Nie lękać się tobie ich majestatu, a modlić się u nich o wstawiennictwo do Pana Boga, Barbaro.

Uśmiechnęła się delikatnie i spojrzała nieśmiało.

– Głupiam. O wstawiennictwo będę się modlić. – Skinęła posłusznie.

– Chodź, pani. Okażę ci rodzicieli twego króla.

Chwyciła bardzo mocno moją dłoń i jak zagubione dziecko dała się powieść do kaplicy Kazimierza Jagiellończyka i małżonki jego Elżbiety.

– Puść – szepnęłam, kiedy drżąca stanęła przed tumbą mej matki.

Jakby nie słyszała, sama musiałam uwolnić dłoń z jej uścisku śliskiego od potu. Uklękłyśmy, a Barbara drżała przez całą modlitwę. Odwagi, młoda królowo, pomyślałam, kiedy trzęsącej się powstać pomagałam.

*

Na maj szło, kiedy król chadzał po Kurzej Nodze jako lew w ciasnym zwierzyńcu. Panów senatorów wołał i innych. Wieść runęła na Wawel, że

orda ruszyła wygłodniała znad Dniepru, mordować i grabić! Jeszcze w roku jedenastym Zygmunt, mając ordyńców na względzie, sprzedał księstwo głogowskie i najął wojska do obrony Podola. Zobowiązał też podolską szlachtę do stawienia się w razie potrzeby pod dowództwo Jana Tworoskiego, jakby Tatar ruszył na nasze ziemie. Zygmunt sam jechać chciał na wschód, ale nie miał z kim! W Krakowie sejm jeno potwierdził zaciąg na trzy tysiące zbrojnych z podatków ustalonych jeszcze w Piotrkowie. Król wiedział, że Tatar ruszy, kiedy pierwsza trawa wszędzie, i kazał gromadzić się wojsku już od marca. Słusznym to było, bo pokazało się, że pohaniec ruszył, ledwo ziemia obeschła i szedł jako zaraza, śmierć po sobie ostawiając!

Zygmunt tłukł pięścią w stół.

– Jeno stałe wojsko na granicy wschodniej da jakowąż obronę! Dobrzem zrobił, siły tam pchając! Dobrzem wiedział! Teraz tylko ruszać trza Kamienieckiemu i marszałkowi wielkiemu koronnemu. Jeno hetman wielki i marszałek wielki co z tym zrobić mogą! Ptakiem dołączyć mają do najemnych! – krzyczał król.

Trzy dni potem, kiedy Kraków zwiedziało się, że hetman i marszałek już ruszyli, król wielkie wzburzenie przeżywając w te dni, ataku doznał i siedział u mnie, kiedy ból mu już minął, rozparty z odchyłoną do tyłu głową.

Chowałam złoty płyn do kuferka między inne Zygmuntowe mikstury.

– Jeno Kamieniecki co tu działać może. Mengli Girej, zdrajca. Trzech jego synów grabieżom dowodzi – mówił pobladły. – Pono nasi idą... Po pięć mil nocą robią przez dzikie ostępy... O, jakżeby sam pojechał!

– A królowa z tobą miałyby jechać? – zapytałam, bo nie chciałam ostać sama na wzgórzu.

– Kociątko? Przyznaję, przywiązane jako powolnej żonie przystało. Pocieszna... Pewnie by i jechać chciała. – Spojrzał na mnie. – A tobie tu nie smętno? Też ruszyć byś chciała na ordę?

– Z radością niewysłowioną!

Jakże mu powiedzieć, że mi smętno? Przecie ani odwiedzić jego ni królowej bez zgody ich nie mogłam... Jeno w domu snułam się z kąta w kąt. Jeszcze trosk mało ma? A może zaraz narzeczonego szukać mnie zacznie!

Siedział z przymkniętymi oczami, kiedy konny o szybkie posłuchanie prosił. Oboje zerwaliśmy się z krzesel.

– Panie, Tatar rozбитo pod Łopusznem! – zawołał posłaniec. – Wielka chwała panom Kamienieckiemu, Ostrogskiemu, Sampolińskiemu i Potockiemu. Jeno stu ludzi stracili, a uwolnili jasyr na szesnaście tysięcy, co też bić się potem zaczął. Wzięto dziesięć tysięcy koni. Synowie Gireja padli. Girej kaja się. Jego ludzie wiodą wnuka chana dla ciebie.

– Co, nie spodziewał się ordyniec, co? – warknął król z zadowoleniem.

Ktoś już w dzwony na radość kazał bić w mieście. Wieść rozchodziła się po ulicach i kamienicach.

Zygmunt wstał i podszedł do okna z widokiem na ponury, wysoki mur.

– Mengli Girej dziwny człek, który naraz napada i o pokój staje od razu.

Do sali mojej wszedł rozradowany Szydłowiecki, w nowej krótkiej szubie z tak mocno wypchanymi ramionami, że czyniły sylwetę męża niemal kwadratową, co przy cienkich, w obcisłe pończochy obleczonej nogach wyglądało śmiesznie.

– Wielka chwała i zwycięstwo! – zawołał.

Zygmunt nie odwracał się od okna.

– Trza pisać do Gireja, że wnuka jego w czci i łasce chować będę, a staremu zdrajcy trza posłać podarek. Jako zwykle.

– Z piętnaście tysięcy złotych? – zapytałam.

Zygmunt pokiwał głową.

– Piętnaście. By na jakiś czas ludziom swym kazał siedzieć w namiotach i końskie mleko pić. Na sułtana oko jeszcze mieć trzeba, a do Gireja ustnych posłać, czy na Moskwę ruszy, kiedy potrzeba będzie i wola moja zajdzie, skoro taki przyjaciel. Trza nam stałą armię mieć w pogotowiu! Trza! – Znowu uderzył pięścią, tym razem w ścianę, kiedy z komnat królowej doszły nam pierwsze radosne dźwięki na chwałę zwycięstwa.

U Barbary stoły jadłem zastawiono, muzycy przygrywali, a niestrudzony Krzycki wiersz o victorii pod Łopuszną już mówił. Królowa brawa biła mężowi i sekretarzowi swemu ulubionemu. Świątowano. Zygmunt krzywił się lekko, ból chyba mu nie mijał, kiedy pijany Szydłowiecki ryczał:

– Malowidło trza zamówić na wieczną chwałę zwycięstwa! Do królów inszych wieści posłać!

Zygmunt w wieńcu złotym na głowie, darowanym przez małżonkę, jak cesarz łatyński, łaskawie przytakiwał i w końcu szepnął coś do szczęśliwej Barbary, po czym ta zawołała:

– Król oznajmia, że jeszcze ołtarz ofiaruje.

Rozległy się wiwaty i zaczęła nowa pijatyka. Zygmunt rękę podniósł na znak ciszy. Wszyscy z ciekawością zwrócili się ku królowi.

– Ja pomodlić się za zwycięstwo pójdę, a wy byście mniej w brzucha lali. O modły nie proszę.

Wyszedł, a ja konfuzji większej na twarzach panów i pań nigdy nie widziałam. Powoli, by dźwięku nie wydać, odstawiali kielichy. Na koniec Barbara zerwała się i wybiegła za królem.

*

Stałam w drzwiach Kurzej Nogi i z uśmiechem przypatrywałam się Zygmuntowi. Nie widział mnie. Duży, pochylony nad małym stołem, sam ostrzył pióra, mruczając do siebie:

Wino, wino!

Daleko po ciebie jeżdżono

do Węgier!

Do Węgier!

Z Węgier zaczepił

o węgieł!

O węgieł!

Postronki się urwały,

Konie padały,

Och, przez pień!⁷⁴

...I z upodobaniem układał ostre pióra równo obok siebie. W dobrym był usposobieniu, więc może co wygram. Helena nie była mi życzliwą od dawna, ale los jej po śmierci Aleksandra nie był takim, który dawał jej szczęście. W końcu Zygmunt ujrzał mnie i roześmiany wyciągnął do mnie rękę.

– Powiedz, że nie słuchałaś mych pieśni, proszę!

– Słuchałam, pięknie śpiewasz.

– Przychodzisz z czym? – zapytał, gdy zobaczył, że nie siadam, jeno ściskam oparcie krzesła. – Mówże, siostrze.

– Helena do mnie pisała – wyrzuciłam z siebie.

Uśmiech zniknął z jego ust.

– Skarży się, że jej do Moskwy puścić nie chcesz... – mówiłam dalej.

– Nie jest uwięzioną.

– Pisz co innego.

– Elżbieto, zgodnie z wolą brata opiekę nad małżonką jego, księżną, ja sprawuję. Ziemie po jego śmierci za moim nadaniem powiększyła. Dostała Bielsk, Suraż i Briańsk. Cóż jeszcze chce ta niewiasta, że myśli śmie siostrze mojej zajmować i jej rękami własne interesa popychać?

– Pozwól jej wyjechać z Litwy.

Rozparł się na szerokim krześle i westchnął głośno.

– Nie. Czy w liście owym uciśnionej do ciebie napisane było, że raz już wyjechała bez mej zgody i spod granicy została zawrócona? A ludzie jej brata Wasyla, z którym w stanie wojny jest Korona, w lasach na nią już czekali?

Przysiadłam.

– Nie... Pisała jeno, że Radziwiłł rozpowiada, że jakie skarby Helena chowa.

– To Radziwiłł zawrócił ją spod granicy. Gdybym nawet chciał, to jej uwięzić nie mogę, bo Wasyl larum podniesie. A kto wie, czy tego nie pragnie... Księżna w Trokach siedzi.

– Ona się boi.

Powstał i pochylił się nad moim krzesłem.

– Dobrze, Elżbieto. Puszczę siostrę do brata ukochanego, a jeśli się okaże, że on pytać ją zacznie, co na Litwie? Kto i gdzie po zamkach? Kto, z czym i kiedy do Troków jeździ albo do Wilna? Co mówi? Gdzie wojska polskie, gdzie litewskie? Dźwigniesz to, Elżbieto? Bo to z twojej namowy, z twojej przyczyny zajdzie. Mam ją zatem puścić?

Milczałam. Matka nasza od razu wiedziała, co zrobić... Odezwałam się po chwili:

– Nie, nie puszczaj.

– Napisz, że nic poradzić nie możesz.

– Bo to prawda – odpowiedziałam posmutniała.

– A jeśli Helena kogo obawiać się może, to jeno brata swego. Pierwej on siostrę otruje i na mnie winę zrzuci, by spór zaognić.

– Nie napiszę jej tego.

– Nie, tego nie.

*

Późnym latem cały Wawel huczał od wieści szczęśliwej. Młoda królowa była brzemienną! Biegłam do brata uściskać go, szczęścia życzyć i radować się wraz z nim. Nie słyszałam radosnych pokrzykiwań, chyba w ogóle nie było u króla nikogo. Minęłam pustą sień i weszłam do wąskiej Kurzej Nogi. Pisał co i ani na mnie spojrział.

– Szczęśliwa Korona... – zaczęłam.

– Tak. – Przeczesał włosy krótko przycięte zgodnie z nową modą. – No niechże co z tego będzie.

Usiadłam.

– Nie pojmuję.

– No niechże to będzie warte tego, czego się wyrzec dla niej musiałem – powiedział z jaką złością i zaczął pisać dalej.

Zadziwiona przeszłam do komnat niewieścich. Stamtąd też nie słyszałam ni śmiechów, ni muzyki. Kiedy szłam przez sień, jeno pomruk cichej modlitwy dochodził do mych uszu. Zastałam skupione i jakieś

przestraszone panny wokół modlącej się Barbary. Klęczała pochylona przy małym ołtarzyku. Na mój widok poderwała się i przyłgnęła do mnie mocno.

– Elżbieto, ja boję się! Ja się bardzo boję! Ja nie chcę! – Rozszlochała się.

*

Barbarę co dzień ciężkie spazmy chwytały, a tego dnia Zygmunt wezwać mnie kazał, bo od rana trzeci już raz w rozpacz jakowąś popadła. Zastałam brata w sypialni królowej, który w gorączce ze szkatuły swej pełnej syropów i proszków wyjmował naczynka i usiłował napój jaki sporządzić.

Barbara szlochała głośno, siedząc skulona na ławie. Dwórka jej wieku siedziała obok i przemawiała do niej łagodnie, sama w nie mniejszej rozpaczki będąc. Suknia ciemna, z bardzo wąskimi rękawkami czyniła drobną królową jeszcze bardziej szczupłą i nie znać było nawet, że dziecięcia się spodziewa.

– Ja nie chcę płakać, nie chcę, ale przestać nie mogę! – zawodziła.

Przysiadłam przy niej na ławie z drugiej strony, ale spytałam Zygmunta:

– Stało się co?

– Zwiedziła się od jakiej głupiej dziewczki, że dziś kogo wieszać mają na pokaz. Ratować chce biec. O zmiłowanie gawieź prosić – mówił i coraz szybciej mieszał co w małym kubku. – Iść nie pozwalałam. Niedorzeczne pomysły! – Oblał się w końcu tym, co mieszał i burknął coś do siebie.

– Król na mnie gniewa się... – wyjęczała królowa.

– Wypij. – Zygmunt podał jej napój.

– Dziecięciu nie zaszkodzi? – zapytałam.

– A do czarta z wami wszystkimi! – zawołał i wyszedł szybkim krokiem z sypialni.

Barbara ukryła twarz w dłoniach. Delikatnie odsłoniłam jej buzię.

– Nie płacz. Król nie na ciebie gniewa się, jeno na to, że ulżyć w smutku ci nie może.

Podniosła na mnie wzrok pełen nadziei.

– Nie na mnie?

Wyjęłam z dłoni nieprzydatnej dwórki jedwabną chusteczkę i otarłam nią mokrą twarz królowej.

– Nigdy na ciebie, Barbaro.

– Mówią, że młodzian, którego wieszają mają, niewinnym jest, Elżbieto.

– Zawsze tak o złoczyńcach mówią. A że wieszają, to dobrze.

– Jakże to, dobrze?

– Dla niego dobrze. To łaska. Mogli tortury takie zadać, że długo i w boleściach by umierał.

Nie chciałam królowej mówić o ćwiartowaniu, przypalaniu, topieniu w worku nieszczęśnika zaszytego z jakim dzikim zwierzem w środku.

– I tak pewnie truchło na postrach ostawią – wtrąciła Szydłowiecka. – Pono u nas w Koronie więcej szubienic z obwieszonymi niżli mostów.

– On jeno pomsty sprawiedliwej szukał na innych, co go ukrzywdzili. Ludzie co za nim stoją, ratunku po mieście dla niego szukają – siąkając nosem, powiedziała Barbara.

Gorąco jakieś oblało mnie w środku.

– Jak go zwą?

– Jakiś... szlachcic bez imienia.

Tchu mi brakło.

– Barbaro, spocznij teraz. Śpij. Panny i pani Szydłowiecka przy tobie czuwać będą. Potem na cenę króla zaprosz i wesołą bądź.

– Tak zrobię – odparła cicho.

Ucałowałam królową i zbiegłam na dół. Chustę jeno ciaśniej na głowie i ramionach splotłam i pobiegłam co sił na rynek. Samą mnie niósł szloch i trwoga niewysłowiona. Czy to Baltazar? Czy to Łęczycki? Boże, nie mógłbyś przecie! A może po sprawiedliwości tam jest? Może zabijał albo innym kazał?

Tłum już czekał, widoku śmierci głodny. Radość panowała, jakby circus przyjechał! Jedli, tańcowali i śmiali się pod naprędce zbitym podestem! Barbarusy, krwi spragnieni! Mężowie, pacholki, matrony i ladaczniczki! Dzieci! Na podwyższeniu z workiem brudnym na głowie i ze splątanymi dłońmi stał człek. Chudy. Może stary, może młody! Nie mogłam wiedzieć, przecie nie mogłam wiedzieć, czy to on! Dzieckiem go widziałam. Szeptając słowa modlitwy, ocierałam łzy, czułam mdły smród ulicy i kwaśny odór potu. Czy to on?! Na miły Bóg! Czy to on? Mnie widzieć nigdy nie chciał! Nie poznawałam! Ktoś ty! Ktoś ty?

Katów dwóch jak cerbery z takóŜ jak on zasłoniętą twarzą pilnowało złoczyńcy. Przebijałam się bliŜej do przodu, krzyczałam, rozpychałam! By obaczyć, czy to on, a jeśli on, to pokazać mu, że wybaczam! Ja wybaczam, jeśli nawet co złego zrobił! Jakaś niewiasta krzyczała zrozpaczona do skazanego. Przyciskała chustę do głowy i płakała bezradnie. Nagle kat zdjął brudny worek z głowy męża i ujrzałam gęste, czarne mocno skręcone włosy. Ręce złożyłam i zapłakałam głośnie! Łęczycki! Jezu, Łęczycki!

Wracałam wolno do domu bez sił, trzymając się ścian mijanych domów. Moja to wina! Człeka na szafot wysłałam. Z mojej to winy, bo przecie ja posyłałam go do Baltazara. Za niego żywota oddał? Dlaczego nie uciekł? Ostrzegałam go! Gdzie Baltazar? Czy to on powinien wisieć? Za jakie

winy? Gdzie ten chłopiec? Zbrodniarzem jest? Jak inni, co pierścienie noszą? Dlaczego Baltazar nie przyjdzie do mnie? Szłam coraz wolniej, aż zatrzymałam się, rażona myślą: zabiłam człeka, bo chciałam z piekła niebo uczynić... Pycha na mym żywocie ciąży i zbrodnia!

Wspięłam się do komnat na górze, zrzuciłam z siebie odzienie i zarządziłam cicho:

– Kąpiel.

Regina rzuciła słowo do dwóch panienek, a te zbiegły, by rozkaz posłać dalej. Wróciły i na linkach pod sklepieniem rozwiesiły przesłonę, za którą wsunęły miedzianą wannę. Po chwili zanurzałam się w balii pełnej gorącej wody, ocierając z twarzy ciągle płynące łzy. Regina odesłała dziewczki, szybkimi ruchami umyła mi włosy, potem dłonie i stopy. Pomogła wstać i okręciła miękkim prześcieradłem. Posadziła mnie na krześle i rozczesała długie włosy.

– Spal odzienie – powiedziałam.

O nic nie pytając, wrzuciła koszulę, nogawiczki i cenną suknię w ogień, nim wyszła.

Nocą myślałam, że zemrę! Zdało mi się, że jaka rosła postać w mroku stoi przy piecu. Zamknęłam oczy, pomodliłam się i zniknęła. Zmora! Zimny pot oblepił moje ciało w jednej chwili, a mokra koszula przyłgnęła do mnie tak, że myślałam, że mnie zadusi!

Wreszcie za świt podziękowałam Bogu i ostrożnie wysunęłam się z pościeli. Drżałam jeszcze po śnie wstrętnym. Wypowiadać się przyjdzie, by ciężar strachu zrzucić, bo bałam się wciąż okrutnie i złego nie mogłam odpędzić.

Pochyliłam się, by światła sobie dodać, do małej łojowej lampki na stoliku, kiedy ujrzałam zwinięty kawałek papieru. Nie ja go ostawiłam! Nie

mój był on! Pochwyciłam papier, rozłożyłam i pod małym rysunkiem węża odczytałam polskie równe, ładne pismo:

Nie troskaj się o nic pani.

Strach w jednej chwili mnie odszedł, ale złość niewysłowiona kazała cisnąć mi przed siebie skrawek.

To wchodzi tu, kto chce! Tu był Baltazar! Albo który jego z węzowych kompanów! Porwałam chustę i wybiegłam z komnaty. Przed drzwiami jako zawsze dwóch ze straży zamkowej pilnowało mego spokoju i bezpieczeństwa. A przynajmniej tak miało być! Już usta otwierałam, by gniew swój wyrzucić, kiedy na palcu każdego z nich ujrzałam pierścień ze złotym splotem! Patrzyli przed siebie, ni drgnęli. Zesztywniała wróciłam do siebie. Dziwnym mi było, że strach mnie mija, a spokój otula mnie jak jakie ramiona.

– Jeśli nie on zbrodniarz, to pokój z nim. Pokój... – szepnęłam.

Usiadłam za stołem i powiedziałam do pacholika:

– Sprowadź pana ochmistrza.

Kiedy przyszedł Sieklucki, podałam mu kilka złotych monet.

– Łęczyckiego trza zaraz kazać zdjąć i godny pochówek sprawić.

– Z czyjego to nakazu? Pytać będą.

– Z mojego.

Skłonił się i wyszedł wolno.

*

Lato minęło i na jesień Zygmunt odjeżdżał do Piotrkowa i Poznania, by co ustalić w sprawie stałego podatku na wojsko, ma się rozumieć,

zabierając przyrośniętą do niego jak trzecia noga królową. Nie chciałam ostać sama!

– Wyjeżdżacie? – pytałam Zygmunta, gdy odwiedził mnie, by się pożegnać.

– Tak. Barbara ze mną jechać chce.

– Brzemienna.

– Ale zostać nie chce. Nie dziwnym mi. Rodziciele nasi zawsze razem wszędzie bywali. Chociaż ona siły ma mało. Sama dziecię jeszcze.

Pochwyciłam go za dłonie.

– Wola jej jeno o przywiązaniu do ciebie świadczy. Radować się trzeba.

– A tobie źle nie będzie? Jechać z nami możesz.

Mocniej otuliłam się starą chustą matki.

– Lubię ciszę. Przywykłam.

– Nie wierzę, ale skoro wola twoja taka... – Odsunął mnie od siebie i przyjrzał mi się uważnie. – Może jakich sukien nowych ci trza? – zapytał.

– Mnie? Na co?

Ucałował mnie i odjechali.

Stałam przed dużym zwierciadłem darowanym przez królową. Spojrzałam na kibić, której już dawno nie dało się objąć, tak by złączyć dłonie, dotknęłam poszarzałej twarzy i suchych ust, które szpeciły dwie ponure zmarszczki ciągnące kąciki ust w dół, nadając im po prawdzie smutny wyraz. Suknie? Na cóż suknie, kiedy w sercu wieczny ból jakowyś i tęsknota nie wiedzieć za czym?

*

Któregoś dnia, po wyjeździe królestwa, przeszłam do hortusa z zamiarem odczytania listów. Mimo że październik już, to ciepło było

i słońce ładnie przyświecało. Cieszyłam się na list od Zofii, bo nie dość, że własnych trosk jej nie brakowało, to potrafiła dobrym słowem i innych weprzeć, jako nasza matka. Rozłożyłam zgrabny arkusik i zaczęłam czytać:

(...) Ja zdaję mi się dziewiętnaste dziecię utraciłam, bo krwawić przestać nie mogę. Głowa mnie boli i żywot, ale to pewnie dlatego, że i mąż mój też choruje, a syn mój nieprzyjacielem się staje brata naszego... Módl się za mnie, bo mnie jakaś słabość nachodzi.

A względem tego, co brat nasz mówi, śmieję się z tego! Jak co dzień patrzę na twój wizerunek, o błogosławieństwo dla ciebie prosząc, tyś równie piękna jak Jadwinia nasza i podobieństwo kaźden ujrzeć może do babki naszej, choć ty jasnej urody. Jeśli suknie blade nosisz, nie zdobione, to jeno urodę twą podkreślają i o cnocie skromności świadectwo dają. Zygmunt pewnie chciałby, byś w purpurze chadzała i siostrą chwalić się chce. Nie dziwota.

– Lekarza jakiego trza posłać i za dziecię nienarodzone się pomodlić – westchnęłam i sięgnęłam po drugi list. Zmarszczyłam brwi, bo dziwnym mi zdało, że drugi z Ansbach do mnie przyszedł. Margrabia brandenburski, Fryderyk Hohenzollern, małżonek Zofii do mnie pisał? Po cóż do mnie? Pismo datowane później niż to od siostry... Złamałam pieczęć niespokojna i im dłużej czytałam, tym bardziej drżały mi ręce.

Porzuciłam pismo krzywymi literami sklecone, jakby trucizną trąciło, podkurczyłam nogi i zaczęłam kiwać się w tył i w przód w starej altanie. Nie mogłam przestać! Fryderyk Hohenzollern donosił, iż jego małżonka, a siostra moja nie żyje. Boże miłosierny! Zofia! Zofia nie żyła!

Dopiero na drugi dzień mogłam co napisać Zygmuntowi, ale on zapewne wiedział już o śmierci siostry naszej. Modliłam się od świtu do

południa w kaplicy rodziców i kiedy powstałam, czułam, jak kolana mi drżą i puchlina je rozpiera. Dobrze to było, bo do żywych przywracało.

Wróciłam do domu, kazałam znowu wyjąć ze skrzyń i przysposobić czarne suknie. Zasiadłam do listów, w których żal po wielokroć wylałam, co jakowąś ulgę mi dało. Ilu nas pozostało, smocznych dzieci? Ja, Władysław, Zygmunt i Barbara. Czwooro z trzynaściorga...

Skończyłam pisać i podeszłam do skrzyni po babce, wyjęłam konterfekty braci i sióstr: ciemnych i o długiej twarzy Władysława, Aleksandra i Kazimierza, rozrosłych i jasnych Olbrachta, Fryderyka i Zygmunta, ślicznych moich sióstr Jadwigi, Zofii, Anny i krowiookiej Barbary, którą pamiętałam najwięcej. Nie znałam nikogo, kto by wyrażał się piękniej, śmielszą był do mężów i bawił się głośniej. Małżonką szczęśliwą została Jerzego Wettyna i margrabiną miśnieńską. I matką dziesięciorga dzieci. Jenemu listów pisać nie lubiła...

Jeszcze jeden maleńki wizerunek na deseczce wyjęłam ze skrzyni. Dziewczynka o bujnych cytrynowych włosach trzymała inną, maleńką, w pieluszki zawiniętą. Dwie zmarłe siostry moje, Elżbietki. Siedmiorga z trzynaściorga rodzeństwa nigdy nie poznałam albo nie zapamiętałam, bo albo pomarli, albo wyjechali, nim pamiętać się ich nauczyłam. Przygarnęłam do piersi wszystkie konterfekta i zasnęłam z nimi ukrytymi pod poduszką.

List od Zygmunta nadszedł szybko.

(...) Ale ponieważ stało się to z rozrządzenia Boskiego, a Zofia umarła, przyjmąwszy Sakramenta wedle obrzędu katolickiego, jako Chrześcijańska Pani, nie zdaje się nam, że jej żałować trzeba; ale raczej modlić się do Boga za zbawienie Jej duszy. Dla tego egzekwie Jej tutaj sprawimy. Do krakowskiej zaś Kapituły i do Rajców krakowskich piszemy, ażeby i tam solenne egzekwie za Nią odprawili (...)⁷⁵.

62 diasper – tkanina o dwubarwnym splocie

63 *Jagiellonki polskie w XIV wieku. Obrazy...*, tom 1, Kraków 1868, s. 11-12

64 ponczoski – pończochy

65 *thalamus* (łac.) – komnata ślubna: tutaj dwa ozdobne trony pod baldachimem

66 Ks. B. Przybyszewski, *Barbara Zapolya. Królowa Polski 1512-1515*, Łańcut 2000 s. 23.

67 kubeba – substytut pieprzu

68 taniec chmielowy – prekursor poloneza

69 szpilman – wędrowny śpiewak lub komediant

70 chwist – kuglarz, błazen

71 wiła – błazen

72 szranki – ogrodzenie miejsca potyczki lub samo miejsce, na którym odbywał się pojedynek

73 Ks. B. Przybyszewski, *Barbara Zapolya...*, s. 35.

74 Łukasz Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym lub niektórych tylko prowincjach*, Warszawa 1831, s. 19.

75 Przeździecki, s. 23.

1513

Zmarła i Helena z nowym rokiem. Zygmunt pisał nie po chrześcijańsku, że nie ma kłopotów naszymu domowi przez to ubyło. Zmarła, owszem niespodziewanie, ale każdemu mogło się to przydarzyć. Niby majątek wielki przy sobie trzymała, który bratu swemu Wasylowi chciała darować, ale tylko Radziwiłł to rozpowiadał, co niby sam na jej ziemię czyhał. I pono to on życia ją pozbawił. Na marzec szło, a Wasyl od dnia jej śmierci roznosił, że to Polacy nieszczęsną jego siostrę zamordowali.

(...) Pod Smoleńsk podszedł, ale zdobyć miasta mu się nie udało – pisał Zygmunt. – Zapewne znowu czego popróbuje. (...) A my walkę prowadzimy o podatek na stałe wojsko (...) Szlachta ma płacić pięć florenów na obronę ziem ruskich. Za co zwolnieni będą od pospolitego ruszenia. A i na to zgodzić się nie chcą! Prośba nie działa, to groźbę o odbiorze ziemi panowie radzą stosować za niepłacenie. Ja i tak wiem, że niejednemu z nich już pachnie taki majątek buntownika... Królowa nasza zdrowa i pociechą mi jest w tym złym czasie. Tobie jedynej napisać mogę, że myśl o następcy jedynej słodką myślą jest mi w tym czasie. Ale z pokorą przyjmujemy, co Bóg da.

Złożyłam list i schowałam do zamykanej na kluczyk skrzyneczki. Regina nie przyszła rano, bo dziecię czwarte od wieczora na świat wydawała. Wszystkie niewiasty matkami ostawały i te mojego wieku,

i młodsze. Postanowiłam, że dziś modlić się będę cały dzień w intencji królewskiego potomka i potomka mojej Reginy, a także zdrowia brzemiennych. Ucałowałam paternoster i zesłałam, jako miałam w zwyczaju, do kaplicy rodzicieli.

Wróciłam ze mszy, zjadłam trochę ryżu z masłem i rodzynekami, przeczytałam pannom, haftowałam koszulki dla przyszłych chrześniaków, znowu zjadłam, kiedy wieczór nastał, i pomodliłam się. Z kolejnej mszy wróciłam o ciemnicy zupełnej, ale nadal wieści z domu od Reginy nie miałam. Posłałam pacholika, ale wrócił, że ciężko jest i lekarza trza.

– Biegnij po pana Koszyrskiego! – rozkazałam chłopcu.

Nadzieję żywiłam, że jeszcze nie dość pijany, by poród odprawić, bo wszyscy wiedzieli, że Bóg wielkim medykiem go uczynił, ale on wołał w rozpuście żyć.

Paznokcie już ogryzałam z lęku, kiedy chłopiec wrócił. Podniosłam się.

– Jest pan Koszyrski?

– Do pani Reginy poleciał.

– O własnych nogach?

– Trzeźwy – odpowiedział chłopiec, co za swego krótkiego żywota widział już pewnie wszystko.

– Cud chyba... – szepnęłam.

– Sługi mówili, że go małżonka zawczoraj w komorze zamknęła, to i nie pił.

Uklękałam do modlitwy i czekałam na wieści.

Nocą, po modłach ułożyłam się na chwilę w pościeli. Nasłuchiwałam dźwięków miasta. Skrzypienia bram, cichych rozmów niosących się od rzeki, śmiechu z karczem... Naraz uczułam, że kto wchodzi cicho do sypialni. Serce, nie wiedzieć czego, zaczęło się głośno we mnie tłuc. Bałam się poruszyć. Nasłuchiwałam. Usłyszałam szelest sukni. Odwróciłam się.

Regina?! Podeszła do stołu i zaczęła układać kwiaty. Potem ułożyła listy, złożyła w kuferku moje rękawiczki i wyszła. Zerwałam się.

Usłyszałam, że jakie dziecko biegnie po schodach, zawodząc.

– Pani matka pomarła! – krzyczał syn Reginy.

Zamarłam z żalu. Drżałam z trwogi. Przecie była tu... Kwiaty układała! W głowie mi dudniło tak, że nie słyszałam, co chłopiec krzyczy. Nagle szarpnął mnie mocno za rękaw.

– Pan ojciec was wzywa! Biją się z medykiem!

– Jezusie! Muszę do niej! – zawołałam i wybiegłam z sypialni wśród lamentu matron i panien. – Ciechanowska poderwała się za mną. – Nie – powiedziałam. – Ostańcie. Modłom przewodźcie. Słyszeć was chcę.

Ochmistrzyni skinęła jeno głową i zaczęła głośno:

– *Ave, Maria, gratia plena.*

Na zawołanie święte zeszyły się wystraszone kucharki, podkuchenne i posługaczki. Uklęły przy innych niewiastach i naraz wszystkie zawtórowały:

Dominus tecum.

benedicta tu in mulieribus

et benedictus fructus ventris tui, Iesus...

Przeżegnawszy się, pobiegłam w mrok, wąską ścieżką między wawelskimi budynkami. Mocny, spokojny i ciepły głos niewiast unosił się nad wzgórzem, odpędzał złe i to, co niepojęte. Przecie widziałam ją! Widziałam!

Stałam u progu domu Reginy, a nogi mnie dalej nieść nie chciały. Prędzej zdało mi się, że upadnę.

– Pani, chodźcie, chodźcie! – płakał i ciągnął mnie za rękę Zbigniew.

Grozy takiej nigdy nie widziałam, jaką ujrzałam w izbie rodzącej. Twarz mej przyjaciółki zastygła w bólu, z wytrzeszczonymi oczami i wyszczerzonymi zębami, jakby złość w sobie miała niewysłowioną za ból i śmierć. Siną, prawie czarną była, jako jej dłonie i nogi. Wokół niej leżały rozrzucone cuchnące ryby, pióra, potłuczone skorupy jajek i trzewia jakiegoś zwierzęcia. Krwi morze czerwonej, lśniącej jeszcze i gęstej mieszało się z zastygłą brunatną, w sztywne plamy zamienioną. Naga leżała jak pohańbiona. Brzuch olbrzymi, czarny, zdało się, że wypełnia komnatkę!

Usiadłam, żalu nie mogąc zdusić w sobie. Łzy kapały mi na dłonie i suknię.

Jan, mąż Reginy, poderwał się z kolan przy łożu zmarłej. Straszny, z dzikim wejrzeniem wrzasnął mi w twarz:

– Kroić chce! Moją Reginkę! Pohańbił! Nagą ostawił! Jam jej nigdy nagiej nie widział, a leży ona biedna jak śmierci rab! – Chwycił się za głowę i skulony opadł na ławę.

Wstałam, chwyciłam wełnianą kołdrę i jednym ruchem okryłam udręczone, martwe ciało.

– Zbigniewie, ojca wyprowadź... – szepnęłam do chłopca. – Księdza zawołaj.

Spojrzałam na siedzącego pod piecem Koszyrskiego. Unurzane do łokci w zakrzepłej krwi ręce próbował obetrzeć szmatą.

– Nic nie mogłem. Nic uwidzieć nie mogłem. Gdybym choć wiedział, co robić, jak dziecię leży. Opuchnięta była. Nic żem nie mógł! – Odrzucił brudne płótno. – Mówić chciałem z tym ojcem, by zajrzeć do ciała zezwolił, dziecię bym obaczył! Może je uratował! – warknął i chciwie sięgnął po dzban wina, obalając jego zawartość w mgnienie. Oderwał się i oddech łapał.

– Ciało otworzyć mogę? – nie ustępował.

Przed oczami stanął mi Olbracht, z trzewiami oglądanymi przez gdańskich medyków. Zgrozą przejęta, podniosłam się.

– Męża pytajcie o zgodę – rzekłam z ulgą, że to nie ja muszę odpowiedzieć lekarzowi. – W cierpieniu jest... Pewnie się nie zgodzi.

Ostrożnie zajrzałam do męskiej komory. Trójka dzieci Reginy zawodziła wtulona w pierś ojca.

Jan znowu zawołał na mój widok:

– Kroić chciał! Gadał, żeby kiedy pomóc innym niewiastom w potrzebie! W środku ją obaczyć! Cóż mnie inne obchodzić mogą i jego czarcie sztuczki! Machiny jakieś sprowadził! Kleszcze jak do konia! Nie zezwoliłem!

Skinęłam jeno i wyszłam. Koszyrski towarzyszył mi do domu. Powłóczył nogami złamany porażką.

– Pomóc, a nie hańbić chciałem. Cóż to po ciele zmarłym? Zgnije. Głupcy... Umierają... Zawsze umierają. I matrony, i karczmarki, i dziewczki po zamtuzach. Śledziami okładają. Baby sprowadzają. ... Tfu!

W sali sam z kredensu wyjął kubek i z małego dzbanka nalał sobie wina. Usiadł i zapatrzył się w płonącą świecę. Smutny fraucymer w ciszy przysiadł się do Koszyrskiego medyka. Naraz Koszyrski poeta odezwał się:

(Kiedy zemrę) z nosa niech lampka nocna będzie dla nierządnic

A priap niechaj wisi sobie na ich drzwiach.

Z czerepu czaszki zrobić garnek do zamtuza,

W który by się po fakcie mógł odlewać gach.

Z reszty gnatów polecam zrobić do gry kostki,

By się kosterem zdała jakaś ze mnie część.⁷⁶

Podniósł się, machnął zrezygnowany ręką i wolno opuścił mój dom.

Chciał pomóc. Pomóc, pomóc, huczało mi w głowie. Zajrzeć w ciało, by mu powiedziało, jak pomóc kiedy innym... Pomóc, nie hańbić... Z szuflady stołu wyjęłam drżącymi rękami drukowany obraz niewiasty-nieniewiasty. Ręce drżały mi coraz bardziej, łyż ciężkie zaczęły kapać na jej spokojną twarz, jakżeż inną od zmarłej! Ciechanowska weszła cicho i usiadła obok mnie. Opowiedziałam jej wszystko. I że Regina przyszła do mnie też.

– Jakby księdza wezwał, nie medyka, toby nie przyszła. Sakramentów nie przyjęła i błąkać się będzie. – Przeżegnała się.

Siedziałyśmy pochylone ku sobie jako na spowiedzi. I jako na spowiedzi wyszeptałam:

– Wdzięczna Bogu jestem, że mnie nie kazano mówić, czy ciało otworzyć czy nie. Bo ja... Bo ja zezwoliłabym otworzyć.

Ciechanowska spojrzała na mnie ze zgrozą. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo nagle posłyszaliśmy dzwony w mieście, a posłaniec konny zawołał z dołu:

– Ja od króla! Ciesz się, Krakowie! Królowa Barbara powiła w Poznaniu zdrową córkę!

*

Kwiecia kwitło morze w Łobzowie. W ulubionym dworze mojej matki wspominałam przyjaciółkę mą umiłowaną. Zawitała na Wawel, kiedy królowa chowała swoją przyjaciółkę, ochmistrzynię Koniecpolską, a jej krewne, dwie dziewczki z tego rodu, które na pogrzeb zjechały, bardzo zmarłą przypominały. Jedną z nich była Regina. Tutaj, w Niepołomicach, serca nasze zawiązały swe dusze, gdyśmy biegały pod chłodnicami, tutaj wykradałyśmy zabawki starszym dwórkom, tutaj o miłości swej do Jana mówiła. O strachu, że on nikim na dworze i królowa na ślub nie zezwoli.

Zezwoliła przecie mateczka i urząd Janowi dała. Mnie też na ślub zezwoliła lat temu osiem...

Nagle wszystkich ich ujrzałam. I matkę śpiącą pod starą lipą, Fryderyka, co zjeżdżał dla Zygmunta i śpiewającą młodą i piękną Helenę do wtóru z radosnym i zdrowym Aleksandrem. Ale ich obojga też już nie ma. Jerzy ujawnił, że Fryderyk nie ożenił się dotąd. Ale cóż obchodzić mnie to dziś może?

Córki Reginy niepewnie stapały po alejkach, do tego żałoba dławiała je mocno i pobyt chyba nie był dla nich miłym. Słońce zachodziło i czas był do Krakowa.

Kiedy zjechałam, ucieszyłam się, gdy ujrzałam, że pod domem moim do chłodnych piwnic znoszą żubrze mięso. Zapewne od króla! Dochód z nadań moich mniejszy był z każdym rokiem, nie upominałam się, by dochody pomnożyć, a ludzie w należnych mi domenach też nie palili się, by więcej słać, niż starosta wyszarpał.

Na stole w komnacie oprócz listu ujrzałam kosz z królewską wstęgą i górę złoconych karmelków. Czytać zaczęłam, że król i królowa na Litwę duchem jadą, bo wojna z Wasylem nowa zaczęta i nawet nie zapytałam, kto zajechał, kiedy kolebka, zdaje się, w cztery konie zaprzężona stanęła pod domem.

– Pani... – przerwała nieznana mi matrona z niemowlęciem na ręku. Stała w progu mej sypialni otoczona pannami i zbrojnymi. – To córa Jego Królewskiej Mości i jej Królewskiej Mości. Królowna Jadwiga Jagiellonka.

Wypuściłam list z dłoni. Wysoka Litwinka podeszła do mnie ostrożnie, dziecięcia z oka nie spuszczać. Wstrzymałam oddech. Podeszła bardzo blisko i dopiero na mnie spojrzała.

– Prawnuczka wielkiego Jogajły i Sonki Holszańskiej. Wnuczka Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety cesarskiej krwi Habsburgów. Z woli króla pod waszą opieką teraz.

Dziecię, jakby zgody swej na rozdzielenie z rodzicielami nie dawało, rozkrzyczało się mocno, zdrowo i głośno.

Nie mogłam oddychać ni się ruszyć!

– Weźcie... – szepnęła matrona.

Ostrożnie, mimo że mrowie jakieś przesywało mnie od stóp po czubek głowy, wyciągnęłam ręce po dziecko. Krzyczała coraz głośniej i prężyła się, gdy ją do siebie przygarniała. Czułam jej ciężar i ciepło. Objęłam ją mocno. Wrzeszczącą trzymałam, myśli żadnej nie znajdując w poruszonym umyśle.

*

Nocą siedziałam nad kolebką maleńkiej, próbując zebrać, poskładać to, co umyślił dla mnie brat. Zerkałam to na list, to na dziecko bez trwogi wpatrujące się we mnie ogromnymi oczami swej matki.

(...) do Wilna nam jechać. Pani Nasza Barbara ani słyszeć nie chce, że bez niej jedziemy. Jej zdaje się dobrze jeno z nami. I wiemy, że najlepszym będzie dla córy Naszej, kiedy ty mądrością Swą i sercem Swym, siostrze, skarb nasz największy otoczysz. Mamki posyłam i dwór dla królowny, byś Ty wsparcie miała w opiece. Nie wiemy, kiedy zjedziemy. Prośbę mamy jeszcze jedną: aby się Wasza Miłość z Nami cieszyła i złożyła szaty żałobne, które przez wzgląd na Nas nosiła, po siostrze naszej Zofii; albowiem Wszechmocny dawne odejmuje, a nowemi obdarza łaskami⁷⁷. Nagrody dla Ciebie za opiekę żadnej nie zdążyliśmy umyślić. Na ten czas posyłamy Waszej Miłości mięso i słodkie karmelki.

Odłożyłam list i z uśmiechem powiedziałam do dziecięcia:

– Tyś to największy karmelek.

Posłała mi szeroki, bezzębny uśmiech!

Wyprostowałam się wzruszona i zadziwiona.

– Do tego najśłodszy! – Zasłoniłam usta i zachichotałam razem z całym Wawelem uwieszonym nad srebrną kolebką Jagiellonów.

*

Dwór królowy tak licznym był, że w komnatach królowej Jadwige umieścić kazałam. Z czasem i sama się tam przenieśliśmy, by na dziecię patrzeć i dozór nad niewiastami mieć, bo król co dzień o wieści pytał, hojnym dla nas niezmiernie będąc. Owoców dziwnych a słodkich przysyłał, tkanin na szatki dla dziecka i dla mnie zamorskich, futer najmiększych i najgładszych, zabawek grających i ksiąg cennych.

Stałam z Jadwinią i wodziłam palcem po oknie. Pisk na szybie sprawiał, że i panienska piszczała z uciechy, nie mniej kiedy napałek na stole w ruch puszczony ją bawił.

– Noc przespała? – zapytałam Ałły, wysokiej, młodej Litwinki o siwych włosach prawie zawsze zakrytych wełnianą chustą.

– A jakże! – zawołała, odbierając z mych rąk dziewczynkę.

– Rzepy z miodem damy dzisiaj?

– Damy. – Ucałowała dziecko i oddaliła się, by przysiąść na szerokiej, miękkiej ławie.

Spojrzałam przez okno, w dół na mały dziedzińczyk wychodzący na tył katedry. Nic po prawdzie ujrzeć się nie dało, ale stary żelazny kur na niskim daszku przy szopce nie poruszał się.

Odwróciłam się do piastunki.

– Wiatru nie ma. Pójdziemy do starego hortusa.

– Tak, pani.

Uniosła nad głowę chustę na chwilę, by ją poprawić, i ujrzałam jej piersi zmienione sinoczerwonymi bliznami po wielkim oparzeniu.

– Cóż wam się stało? – zapytałam cicho, bo na sam widok ból w piersiach poczułam.

Podąła Jadwini kukielkę z gałganków i nie patrząc na mnie, odpowiedziała:

– Dziecięciem byłam, kiedy pohańcy dwór napadli. Matka i ojciec mnie w komorze ukryli, sami żywota oddając. Spłonęłabym, żeby mnie pies nie uwolnił.

Przysiadłam.

– Pies?!

– A taki zmyślny, łapą skobel odemknął.

Do komnaty królewskiej jęły wchodzić matrony dostojnym krokiem. Większość w czerń przybrana na znak żałoby po mężu, synu, wnuku lub córce. Za nimi panny ze wzrokiem skromnie w ziemię wbitym i barwne jak papugi ze zwierzyńca. Po nich lutniści i fletniści zawsze niewyspani i na końcu sługi. Każdy zajmował z dawna przynależne mu miejsce. Damy na ławach z oparciem, panny na poduchach albo w zakątkach dla światła do czytania pism nabożnych, muzycy na stołkach przy brokatem obitej ścianie. I wszystko to, by za chwilę zerwać się z miejsc na wezwanie dzwonów na pierwszą mszę tego dnia.

Ała mówić więcej nie chciała, ale odwróciła królową do siebie, pochwyciła jej pulchne dłonie i zaczęła cicho nucić:

*Soroka, worona,
dietiom kaszu waryła*

*Na poroziu studyła;
Tomu dała, tomu dała
a Tomu szyjku urwała
I poletieła...⁷⁸*

Mała znowu zaczęła piszczeć z uciechy, a dźwięk pierwszych dzwonów poderwał niewiasty jak stado barwnych ptaków do lotu. Przeżegnałam się i przeprowadziłam dwór przez wąskie nadziemne, zabudowane przejście wprost do katedry.

*

Anim się spostrzegła, kiedy mi lato z Jadwinią minęło. Maleńka lubiła śpiewy i muzykę, jako każdy Jagiellon. Rosła pięknie i tłuście.

Któregoś dnia, zasypiając, zastanawiałam się, czy i tutaj pilnuje mnie ktoś z węzowym pierścieniem, a jak mnie, to może i Jadwini? Tak mnie to drażyło, że rano wyszłam przed sypialnię moją i królowy, i niby chcąc z krążganków wyjrzeć na wjeżdżające wozy, odwróciłam się i spojrzałam na splecione dłonie straży.

Zadowolona wróciłam do łoża.

– Cóż tak cieszy dziś królowę? – zapytała jak zwykle czujna Ciechanowska.

– To, że Wawel grube mury ma.

Odłożyła koszulkę Jadwini.

– To nowa jaka wojna? Kto znowu?!

– Indianie.

– Znaczy Moskwa?

Westchnęłam głośno.

– Tak. Moskwa.

Przeżegnała się dwa razy, mruczając coś do siebie po cichu. Roześmiałam się pod kołdrą.

– A mówiłam, że za mąż wam czas! – zawołała oburzona.

– A to po co? – stężałam.

– Żeby nie śmiać się sama do siebie nad ranem!

*

Razu pewnego, gdy w komnatach królowej goliard francuski pieśń cudną wiódł za grosz niemały, ujrzałam, że jedna z matron nie wchodzi do sieni, jeno patrzy na mnie błagalnie od strony schodków do łaźni. Pani Gabriela Gorczyńska nigdy nie odzywała się niepytana, nigdy nie uchybiła obowiązkom, nie wyróżniała siebie ani dzieci swoich. Córy dwie godnie chowała, syn na małym majątku siedział, mąż pracą w kancelarii przykładem innym służyć mógł, skąd głos jego donośny i surowy niósł się co dnia po krużgankach.

Podeszłam do niej, patrzyła spłoszona i zmartwiała jakaś. Skubała rąbek rękawa.

– Cóż wam? Mówcie – zaczęłam cicho.

– Wyjdźmy – poprosiła.

Wyszłyśmy na dziedzińczyk i odwróciłam się do Gorczyńskiej trwożnie rozglądającej się na boki.

– Powiedz zatem, co stało się, Gabrielo?

– Pani, rzecz straszna taka, że nie wiem, jak powiedzieć!

– Nie pomogę, jeśli milczeć będziesz, pani.

Wychyliła się za mnie z ulgą jakowąś; też się odwróciłam. Nadchodził pan Gorczyński, regens⁷⁹ kanclerski.

Skłonił się i naraz broda zaczęła mu drżeć, ale szybko otarł dwie wstydlive łzy z jasnych wąsów.

– Mówcie, ludzie! – Strach mnie zdjął.

– Małgorzatka nasza... – zaczęła pani Gorczyńska.

Dotknęłam jej ramienia.

– Panienska lat trzynaście ma? Za mąż jej, pewnie. Czy chora?

– Dwanaście. I chora!

– Dziecię nosi – wyszeptał w końcu pan Gorczyński łamiącym się głosem.

– Och, to szybciej ślub się odbędzie. Pożyczę... – zaczęłam, bo i tak przecie zdarzało się, a Gorczyński teraz grosza może nie mieli i pożyczyć chcieli.

– Nie, to nie narzeczony. Ani inny w głowie zawrócił – szepnęła.

– Toż kto?! Toż co?

– Zbrodnia! – Gorczyńska ledwo szloch hamowała. – Małżonek na schodach ją znalazł, ledwo żywą! Mówiła, że nie wie, co stało się, że może to wielka belka ją przywaliła z sufitu. Siniaki miała... wszędzie. Modliliśmy się o zdrowie, by jakiej choroby nie było, ale to się... to się stało! – Szarpała ciągle rękaw.

– Kto to zrobił? – wyszeptałam.

– Nie wiemy. Jeszcze nie znalazłem! Jak znajdę, zadżgam! Choćbym miał do piekła na wieczne potępienie trafić! – charczał Gorczyński ze złością.

– Już umyśliliśmy, że w domu, na wsi jak Bóg dobry da, dziecię urodzi i ludziom dobrym się odda i sama do klasztoru pójdzie, ale co złego się dzieje. Mówi, że boli ją i w gorączce leży. Cuchnie, pani! – Spojrzała błagalnie.

– Ratować trza. Umyślić co! – Stałam, a serce tłukło się we mnie. Kto? Kto pomoże?

Po chwili wiedziałam.

– Wróćcie do niej. Ja po kogo poślę.

Chcieli rąk moich łapać się w podzięce, ale nie zezwoliłam, za to wróciłam do sieni i pacholika posłałam do Koszyrskiego. Po chwili wrócił.

Poderwałam się z krzesła.

– Przyjdzie? Mów! – Rozkazałam małemu.

– Nie. Pijany w zamtuzie.

Usiadłam. Przecie mogłam się spodziewać! Kto? Do kogo pójść? Kogo prosić? Naraz przez okno wychodzące na krużganki ujrzałam cień zbrojnego. Podbiegłam do stołu i skreśliłam parę liter. Drżąca wyszłam na zewnątrz i podałam kartkę stojącemu sztywno pokojowcowi.

– Zaraz. Do Szlachcica! O życie idzie!

Oderwał się od ściany i zbiegł na dół.

Czy co z tego będzie? Czy to bajka, majak z tymi węzami? Kogo jeszcze o pomoc prosić? Jeśli powiem komu znacznemu, to zaraz cały Wawel się zwiedzie i zmuszą Gorczyńskich, by innych swoją historią nie gorszyli i wynieśli się z Krakowa...

Zaprawdę, nie zdążyłam dobrze przysiąść w sieni, gdy kolebka jakiejś pani w cztery konie zajechała na dziedziniec! Anna mazowiecka? Po cóż mnie teraz Anna?! Jednak jakaś nieznana mi matrona w bogatym czepcu i gęstym welonie, który całą ją okrywał, wysiadła niespiesznie z wozu. Ciekawski fraucymer wyległ na krużganki patrzeć, kto taki zajechał.

– Pani Wilczyńska! – zakrzyknął „wielkorządowy”, ten sam, którego wysłałam po pomoc.

Kto?! Dama w szerokiej szubie pod welonem wspięła się do mnie po schodach, skłoniła, a pokojowiec wprowadził ją do sieni. Fraucymer wrócił do sypialni Jadwigi, myśląc pewnie, iż to jaka pani kupcowa udziela pożyczki królowi.

Uniosła jedwabny welon i zapytała:

– To nie leżysz, pani?

– Ja?! To nie ja!

– Mnie za jedno kto. Zatem niechaj kto mnie prowadzi do dziewczki – odpowiedziała wyniosłym tonem.

Pacholik wewnętrznymi schodami zaprowadził Wilczyńską do mieszkanek Gorczyńskich.

Zostałam w sieni. Stróż wrócił pod ścianę, zdało się, jakby wcale się stamtąd nie ruszał, nigdzie nie biegał... Cóż zatem te węże? Pomagają sobie wzajem? Nie szatański to wynalazek? Co ich wiąże ze sobą? Krzywda?

Wilczyńska jakiś czas potem szła wolno w moją stronę. Miała aksamitne rękawiczki, nie widziałam pierścienia. Stała przede mną, skłoniła się i odeszła bez słowa.

Zbiegłam do Gorczyńskich. Chora spała w czystej pościeli.

Rodzicielka ocierała łzy radości.

– Z Małgorzatką dobrze będzie – powiedział Gorczyński.

– Chwała Panu... – Przysiadłam.

– Samo zeszło, pono zawczoraj... Coś się napić teraz dała – powiedziała Gorczyńska. – Pod światło oglądała małą flaszeczkę.

– Co to? – zapytałam.

– Kora wierzby. Jakby gorączka nie schodziła.

– Powiedziała, że gorączce trza dać przejść. Jeno jakby sroga była, to wtedy... to coś. – Gorczyński przyjął swój zwykły surowy ton, jakby pamięć o swoich łzach niedawnych chciał tym przykryć.

Przystanął na chwilę. Spojrzał na mnie ze złością.

– Zepsuli ją. Jaki gad zepsuł dziewczkę. Ale dojdę kto on. Dojdę... – burczał.

– Dała to jeszcze... – z niepewną miną szepnęła Gabriela.

– Co? – Pochyliłam się do niej.

Pchnęła w moją stronę maleńkie puzderko z wizerunkiem węża.

Wstrzymałam dech. Gabriela wyjęła złoty pierścień.

– Powiedziała co o tym? – zapytałam.

– Zapłaty nie wzięła, ale zażądała, bym córce to dała. Kiedy kto z takim znakiem o pomoc ją poprosi, ma pomóc, o nic pytając. Bo jej nikt o nic nie pytał, życie ratując. Taka cena...

– Cóż tam mówicie? – zapytał Gorczyński, do kancelarii się sposobiący, jakby wstydził się, że był przy tym i wyjść chciał najprędzej.

– O gorączce! – zakrzyknęła do męża, patrząc mi w oczy, Gabriela. – Powiecie to komu? – zapytała cicho.

– Nie. Bogu jeno. To dasz jej to pani w czasie? – zapytałam.

– Dam. Przysięgę złożyłam. O dziecię targować się nie mogłam.

Uścisnęłam jej dłoń.

– Dobrzeście zrobili.

– Wiecie to, pani? – Spojrzała na mnie niepewnie.

– Wiem.

Podniosłam się do wyjścia, ale Gorczyńska złapała mnie za rękaw.

– Dziwna ta niewiasta... – szepnęła.

– Chyba nie czarownica? – wystraszyłam się.

– Nie wiem...

– Cóż to mówisz, pani? Urzekła dziecko? – Spojrzałam na śpiącą Małgorzatę.

– Nie... Wody nagrzać kazała i ręce długo myła, nim jej tknęła. Jakby się brzydziła... A potem jak już skończyła...

– To co zrobiła? – Już zaczęłam żałować, że nieznaną niewiastę sprowadziłam.

– Umyła te ręce drugi raz!

– Ufać Bogu trza. To nie gusła, jeno woda.

– Oby...

*

Na drugi dzień wrzask oderwał mnie i panny od pierwszej modlitwy. Ktoś krzyczał z głębi wzgórza.

– Mord! Mord! Ludzie! Gorczyński zadźgany!

Z hukiem drzwi otwarły się i wpadła do domu zdyszana podkuchenna, której matka służyła u Gorczyńskich.

– Jezusie, w sieni znaleźli dwóch bez ducha! Krew wszędzie!

Wybiegłam z sypialni za krzyczącym z trwogi fraucymerem i przysiadłam na schodach.

– Kogo znaleźli?! – zawołałam.

– Pana Gorczyńskiego i sługę jego, głupiego Radzimira! – krzyczała z dołu. – Dźgali się wzajem! Krew wszędzie! Matka zawsze mówiła, że to złodziej i z oczu mu źle patrzy!

– Komu źle patrzy?!

– Temu złodziejowi Radzimirowi! Ale pan go w domu trzymał, bo silny był wielce. Jezu... – Usiadła na progu.

– Ukradł co? – zapytałam cicho.

– No nie! Na schodach ich znaleźli. Jezu! Krwi jak na jatkach!

Panny jęczały i zawodziły z trwogi i obrzydzenia nad czynem. Zakręciło mi się w głowie.

– Nie krzyczcie już. – Pochwyciłam się poręczy, bo myślałam, że upadnę.

– A pani Gabrieli jakby kto co zadał – ciągnęła dalej służąca. – Chodzi jeno jak jaka błędna, słowa nie przemówi, nie płacze.

– A dziewczka Gorczyńskich, zdrowa? – zapytałam.

– Siedzi i za ojcem płacze.

Kilka dni później odwiedziłam nieszczęsne mieszkanie. Oddałam mante służącej i spojrzałam w górę, bo na schodach stała z dłońmi splecionymi w małdrzyk milcząca Małgorzatka. Na jednym z palców lśnił złoty pierścień z wężem. Skłoniła się, nie podnosząc na mnie oczu.

– Pani matka w ratuszu – oznajmiła mi blada panna w czerni. – Powiedzieć mam mateczce, że byłaś, pani?

– Nie trzeba, Małgorzato.

Pokiwała posłusznie głową z gładko przyczesanymi jasnymi włosami splecionymi w ciasny, cienki warkocz. Była taka drobna, trudno było wyobrazić mi sobie, że ktokolwiek... Stała, nie wiedząc, czy wrócić ma na górę, czy pozostać do mego wyjścia. Okręcała pierścień na palcu.

– Wydobrzałaś? – zapytałam.

– Tak, pani. Dziękuję za wyratowanie z choroby – odpowiedziała cicho. – Mogę jutro do królowny Jadwigi wrócić.

– Och, nie musisz jeszcze. Może po pogrzebie...

– Przyjdziesz, pani?

– Oczywiście!

Na chwilę spojrzała na mnie i uśmiechnęła się delikatnie.

– Dziękuję. Mateczka się ucieszy.

Już zwracała na górę, kiedy wzrok jej padł na nienaruszone sklepienie nad schodami. Drewniane belki łączone złotymi rozetami wciąż lśniły nowością. Zamarła.

– Stało się co, Małgorzato? – Struchlałam.

– Tato kochany szybko naprawił... – szepnęła.

– Tak! Od razu! – przytaknęłam ochotnie. – Odpocznij, Małgorzato, idź na górę.

– Tak, pani...

Kiedy wychodziłam, zobaczyłam, że panna ze zmarszczonymi brwiami nadal wpatruje się w drewniany sufit.

76 A. Krzycki, *Poezje, Testament Korybuta*, Warszawa 1962, s. 26.

77 s. 25

78 Ł. Gołębiowski, s. 16.

79 Regens – nadzorował pracę pisarzy i metrykantów kancelarii. Metrykant odpowiadał za przechowywanie dokumentów.

1514

Z Jadwinią na ręku z Kurzej Nogi patrzyłam na wschód. Tęskno mi było za bratem i jego młodą małżonką, a do tego wieści złe ścisnęły me serce.

Spojrzałam jeszcze raz na lodem skute lutowe kałuże w Krakowie, poprawiłam na ramieniu ciężkie dziecię i ponownie przeczytałam list od króla:

Siostrze Nasza, rzeczy wielkie i straszne się dzieją. Ludzie donoszą, że Wasyl w układy wchodzi z cesarzem. Koronowanym chce być, a Maksymilian zdaje się, że mu sprzyja. Listy przechwyciliśmy, co je cesarski poseł do Moskwy wiozł, w których Maksymilian zowie schizmatyka Wasyla bratem cesarzem i władcą całej Rusi. Cesarzem, zważ, go nazwał! Pocieszeniem jedynym jest, że Wasyl i Maksymilianowi niezadługo pokaże, co dla niego znaczy brat. Jako my, cesarz przekona się, że Moskwa, dopóty bratem jest, dopóki brata nie umyśli zgładzić.

Wiatr od wschodu szedł od nowego roku, jak zawsze na zły znak. Dziwna gorącość nocami nastawała na zmianę z zimnem, rosa zatruta tyleż co prawie całe bydło wytlukła. Smutek jakowyś, jak trujący opar, w zamku i w mieście wisiał, cisza chmurna taka, że i nawet wron słyhać nie było. Śmiechu, zabawy żadnej do snu nie słyszałam, a jeśli gdzie co było

w mieście, to kończyło się, nim słońce zaszło. Wszyscy czego złego czekali.

– Jak nic na zarazę idzie albo na wojnę – powiedziałam do Ciechanowskiej i oddałam jej dziecko.

– Musi. Dziś się na zezowatego i brzemienną natknęłam na drodze.

Zosia Szydłowiecka, dołączywszy do nas, przeżegnała się z trwożnym westchnieniem.

– A tak. Dziewki mówiły, że na zamku w kancelarii jeno na Akademię posyłają po horoskopy i te w horoskopy patrzą, i kłócą się potem między sobą.

– W horoskopy? To na wojnę się król szykuje – ze znanstwem dopowiedziała Ciechanowska i mocniej przygarnęła Jadwinę do siebie.

*

Na szczęście moje, króla i królestwa Jadwinia rosła zdrowa i rumiana, otoczona opieką zdało się całego zamku. Choćby, by obaczyć dziecię, co chwila kto z podarkiem zaglądał albo prosił o powtórzenie miłych słów królowi, by tylko przypodobać się jemu. List zaraz taki gość o odwiedzinach kazał w swym imieniu Zygmunтови wysyłać. Gdybym tak czynić miała za rozkazem i wolą każdego, to osobną kancelarię musiałabym otworzyć dla pochlebców!

Jadwiga hołubiona bawiła się z paniątkami starszymi niewiele od niej, kociętami, gronostajami i najlepszymi szczeniętami. Nie wiedzieć czemu, bała się koni. Przecie każdy Jagiellon na koń siadał prędzej, niż chodzić zaczynał! I to płci każdej. Ale! W dniu swojego pierwszego urodzenia chodzić zaczęła! Trzy kroki zrobiła ode mnie do Zosi Szydłowieckiej, o czym zaraz doniosłam osobno bratu i królowej Barbarze. Jakże królowi żal było, że tego nie uwidział!

*

W maju deszcz spadł taki, iż bałam się, że rzeki znowu z brzegów wystąpią i że zaraza jaka znowu w brzuchy wejdzie. Na widok chmury czarnej jak ziemia pod stopami przeżegnałam się i zaczęłam czytać nowy list od króla.

(...) Z dawna musieli się wąchać z Wasylem, bo i w Rzymie Maksymilian nie próżnuje. Na odwieczny konflikt powołuje się, że w obronie Krzyżaka staje, bo jak sama wiesz, siostrze, dom Nasz zawsze mu najwięcej krzywdy wszelakiej zadawał... Albrecht Hohenzollern jeno klaska na Habsburgów słowa. To i do niego pisaliśmy, by sromoty oszczędził i przestał obrażać Orła i krewnych Swoich. Łaskiemu przed papieżem poskarżyć się kazaliśmy i do brata Naszego pisaliśmy na Maksymiliana.

Jakeśmy się spodziewali, wojska moskiewskie judzone przez cesarza ruszyły na Smoleńsk pod wodzą zdrajcy Michała Glińskiego. I jego obecności też spodziewaliśmy się z dawna.

W lipcu wkroczył Wasyl do twierdzy, którą komendant Sołłohub poddał, bijąc się dzielnie. Ale nie Gliński został nowym komendantem, jeno bracia Szujscy. Wiedzieliśmy, że Michał złość mieć będzie o to do Wasyla, to posłaliśmy Trepkę, jako węgierskiego posła, by to wykorzystał i namówił Glińskiego na stronę polską. Zwiedziało się Michał, że poseł to może nie być węgierski i na tortury go wziął jako szpiega. Przypiekał, drzazgi wbijał Trepce w głowę i pod paznokcie, ale Trepka nas nie zdradził. Za to zwiedziało się, że Sołłohub być może wpuścił sam Glińskiego do twierdzy i że on nie bohater, a zdrajca.

Wrześnieowe wieści były jeszcze gorsze.

Tak i w sierpniu pokój Wasyl i cesarz Maksymilian wieczysty zawarli. Módl się, siostró, bo wojna sroga z tego będzie. Dokumenty, listy i posłów niemieckich łapać każę. To i zawczoraj pismo dostaliśmy, którego Królowej ani pokażemy, bo znowu w spazmy wpadnie. Jest w nim, że Maksymilian niby za Krzyżaka, Prusy, Gdańsk i Elbląg chce się bić. Obrońca uciśnionych.

I jeszcze jedna rzecz o Glińskim. We wrześniu, kiedy pod Borysowem z Ostrogskim stanęliśmy w trzydzieści tysięcy wojska, imaginuj sobie siostró, Gliński jechał poddać się pod Naszą komendę. Na jego zgubę przechwycili go moskwianie i do Wasyla odesłali. Tam by w hańbie ostatecznie szesnając, przeszedł na prawosławie za obietnicą Wasyla, że życie mu za to daruje. Darował i do lochu strącił.

Wasyl z Maksymilianem, panowie co prawdę kłamstwem zowią, a kłamstwo, podług siebie, prawdą, w sojuszu z Krzyżakami, Duńczykami, Brandenburgią i Sasami stoją. Już dzielą się w tajnych pismach, co po Nas komu w udziale przypadnie. Nie wątpimy, siostró, że zmieść dom Nasz chcą z tego świata.

Straszny to był czas nie tylko w Koronie, ale i na świecie całym. U Węgrów hałastrą bawiąca się rozbojem ludzi tysiące szlchetnych wyrznęła. Niejaki Dozsa chciał strącić króla! Wybić szlchetnych i ziemię ich chłopom rozdać. Ale pan Jan Zapolya, brat królowej naszej, ukarał jeszcze latem buntownika – na głowę mu rozżarzoną koronę sadzając, jako że jej tak pragnął. Brata mego, Władysława, kto ubić chciał w Budzie! Nikt nie wiedział, czy to niecierpliwy tronu Jan Zapolya, bo kto to może wiedzieć, czy Maksymilian w złości. Bo co dziwne, Władysław nie stanął za nim przeciw Zygmuntovi, a nawet nakazał miłość cesarzowi wobec krewnego, grożąc utratą układów ślubnych między dziećmi Władysława i wnukami Maksymiliana. Dziwnym mi było, że brat mój zdobył się na taki

sprzeciw wobec cesarskich poczynań. Ale nawet Władysław wiedzieć musiał, że Maksymilian jawnie stanął przeciw Zygmuntowi i domowi naszemu.

Dni nabrzmiały od trosk, listów i wieści posyłanych jeno do uszu przekazania płynęły wolno i trwoźnie, bez nijakiej pociechy. Jadwiga chorowała długo ani bawić się chcąc, ani jeść.

Barbara też wreszcie do mnie napisała. Żaliła się, że boi się o króla i losy Korony. *Cóż mnie robić, kiedy zrobić jako niewiasta nic nie mogę?* – pytała.

Módl się, niechaj król wie, że Bóg z nim przestaje. Między ludem twoim przyklęknij i przykład daj. Módl się, Barbaro! – odpisałam królowej poruszona i takim samym strachem zdjeta.

Dnia zimnego, którym szatański wichur targał, co nawet ogień w kominach gasił, każąc drzeć ludziom z chłodu i strachu, zjechał posłaniec i rzucił do mnie jedno zdanie:

– Wojska stanęły.

– Gdzie?

– Pod Orszą.

Podniosłam się od stołu, gdzie listy nieustannie pisałam i czytałam, i zdało mi się, że ulgę jakowąś poczułam.

– Niech już się stanie, niechaj się biją, niechaj co ma się skończyć, niechaj się skończy.

Niewiasty w płacz uderzyły, umęczone trwogą i zimnem.

– Jeśli Bóg z nami, to kto przeciw nam? – Uśmiechnęłam się do Szydłowieckiej. – Odwagi.

Wycierała posłusznie łzy i kiwała głową na znak, że pojęła.

Wyszłam z za stołu i zwróciłam się do ochmistrza.

– Powiedzcie wszem, iż życzeniem moim jest, by wszyscy ze wzgórza, z domów i zamku stanęli na murach. Modlitwę rozpoczniemy tutaj i w mieście. Mówcie, by modlić się, póki wieści dobrych nikt z pola bitwy nie przywiezie.

W dzwony bić nakazałam, przywdziałam purpurową suknię i płaszcz, i jako królowna polska, i księżniczka litewska, weszłam na mury w otoczeniu znamienitych duchownych, by miasto strwożone mnie ujrzało i miastu mojemu strwożonemu ducha dodać, a także wojującym daleko. Jako ludzie ujrzeli mnie, wszyscy, co na ulicę wylegli z dziećmi i rodzicielami, na kolana padli. I ci co po domach i kościołach pochyleni przed malowidłami świętymi i krucyfikami na znak mój modły zaczęli.

Mocny, włos na głowie unoszący, szmer wspólnej modlitwy niósł się nad Krakowem, by z każdą chwilą wzbijać się wyżej i wyżej ku Bogu. Trzy dni stałam na murach, by schodzić jeno po to, by przysiąc na chwilę i sen krótki złapać.

Wspinałam się właśnie do komnat, mocno ściskając poręcz, bo zemdlone nogi dźwigać mnie nie chciały, kiedy płacz mnie doszedł z komory dla służek. Słuchałam chwilę, czy to nie zmęczenie majaki na mnie zsyłało, ale nie zdało mi się. Kto płakał żałośnie w pustym domu! Zawróciłam i lekko pchnęłam drewniane drzwi do małej izdebki. Podkuchenna Maryjka na mój widok szybko otarła łzy. Podeszłam do niej i uniosłam jej podbródek ku sobie.

– Cóż to tobie? – zapytałam.

Wstała, skłoniła się i chciała mnie minąć, by uciec. Chwyciłam ją za wąski, płócienny rękaw.

– Nie bój się. Odpowiedz.

– Pani, wybacz! Ja...

– Mów. Zmęczonam. – Przysiadłam na jej miejscu.

– Miły mój, Mikołaj, bić się poszedł za króla. Razem z królem.
– I teraz w tej bitwie?
– Tak zamyślam.
– Wróci, Maryjko – powiedziałam.
– On nie rycerz. Pieszką poszedł... Za wozem jako sługa. Nie pan.
Ubiją... – Rozpłakała się znowu.
– Nie płacz. – Podałam jej chustkę.
– Mam swoją – zachnęła się.
– Ale to podarek. Na smutki. – Uśmiechnęłam się i w rękę wcisnęłam jej błękitną, bardzo starą chusteczkę po babce.
– Miłowanie złe jest. Jeno wieczny smutek i chustka nic nie da – odezwała się dziewczka.

Zadziwiła mnie, bo lat jej może czternaście było, a myśli u niej zatrute jako u kogo doświadczonego w latach.

– Nie mówże tak, Maryjko. Młoda jesteś...

Włożyła rękę za fartuszek i wyjęła drukowaną modlitwę na lichym papierze.

– Zechcecie pani, to odczytajcie.

Prosta modlitwa dwie linijki zajmowała.

– Znam te słowa.

– Ale nie te, te z tyłu. – Skłoniła się lekko i delikatnie wyjęła mi z dłoni karteczkę, by ją odwrócić.

Czytałam:

Mój najmilszy, racz wiedzieć

Iż miłość to w sobie ma

I że rzadko albo nigdy

*W wiesieli bywa
Tylko zawsze a w smutku
W tęskności i też
W niewymownej serca boleści
Trwa i przemieszkiwa.⁸⁰*

– Po polsku! – zawołałam.

– Po polsku, bo po łacińsku nie umiem.

Spojrzałam na dziewczkę zdziwiona.

– Ty?!

Pokiwała głową poczerwieniała.

– Dziwicie się, pani?

– Ale... umiesz pisać? Czytać?

– Nauczyłam się tu... Przy wszystkich...

– Sama?

Wzruszyła ramionami.

– Nietrudne to wcale.

Patrzyłam to na nią, to na papier.

– Ale... Ale Maryjko! Piękne to jest!

Uśmiechnęła się. Ja powstałam.

– Chcesz pomagać mnie przy listach?

– Tam na górze? – Z jakim strachem spojrzała w sufit i wskazała poranionym od noża kuchennego palcem.

– Tam. Na górze.

– Chcę. – Uśmiechnęła się i oddała mi błękitną chustkę.

*

Miasto modłów nie przerywało, drżało od świętości jakiej. Wszyscyśmy się modlili i wierzyli coraz bardziej, że tylko dobre może przyjść. Ludzie mocą napełnieni, powstawali jeden po drugim, chwając Pana okrzykami, bo duch święty ich nawiedzał. To dobry był znak!

Dziesiątego września przybył posłaniec i ku uciechu Zofii Szydłowieckiej jej małżonek wprost od króla!

– Zwycięstwo! Zwycięstwo nad Moskwą! – krzyczał przed orszakiem herold, podrywając z kolan mieszczan i wrzawę czyniąc wielce radosną w mieście.

Jako było we zwyczaju, wszyscy rzucili się, by świętować radosną nowinę. Ja drżąca z podniecenia, bacząc, by nie upaść na mury ze zmęczenia i szczęścia, nakazałam gościa wprowadzić na zamek, jadła przysposobić i zacnego trunku. Od miasta już muzyka huczała, śmiechy po karczmach i domach, dziadów się już naszło, co nie wiadomo skąd już wieści mieli i za jadło obiecali o królu opowiedzieć.

– Mówcie, mówcie, panie! – wołałam do Krzysztofa, który przywitawszy się z zawodzącą ze szczęścia małżonką, jeść już zaczął i z pełnymi ustami zawołał:

– Pokonani! Wasyl pokonany! Przez Berezynę Ostrogski przeszedł jeszcze w sierpniu. Stał u ujścia Orszycy i Dniepru, na trakcie wiodącym do Mińska, Kijowa i na Moskwę. Woda ważna, jak wiecie panie, dla ludzi i zwierząt. – Rozejrzał się po dwórkach i matronach. Te ze znawstwem pokiwały głowami. – Nas przecie trzydzieści pięć tysięcy było.

– A moskwian? – dziecięcym głosem zapytała Małgorzatka Gorczyńska.

Szydłowiecki rozłożył ręce i wybałuszył oczy.

– Osiemdziesiąt tysięcy! – wykrzyczał. – Górki tam były i potoczki, co nie pozwoliły Iwanowi Czeladinowi rozwinąć jazdy w pełen szyk. My

wiedzieli, bo to przecie drugi raz bitwa była nasza w tym miejscu, do tego Iwan działa swoje zostawił pod obleganym Smoleńskiem. Ostrogski, żeby zmylić Czeladina, przeszedł w górę rzeki do Paszyna. Tam po moście z lekkich beczek pobudowanym szybko na drugą stronę przeszedł, ku zgrozie i zamętowi w obozie Iwana. – Szydłowiecki powstał, stanął pośrodku sali i zaczął wymachiwać rękami, pokazując coś dla lepszej imaginacji. – Lewą flankę obsadził hufcem litewskim, nad którym sam objął znamienite dowodzenie. Na prawo od Litwinów stanęły chorągwie polskie Sampolińskiego. – Fraucymer posłusznie i w skupieniu wodził za rękami Krzysztofa. – A w centrum... – Wskazał przed siebie. – Stanać kazał piechocie zaciężnej. Za nimi ustawił jazdę litewską Radziwiłła i ciężką jazdę polską Świerczowskiego, tworzące prawe skrzydło. Lewą flankę stanowiły oddziały posiłkowe lekkiej jazdy litewskiej i polskiej. Na wzgórzach osadził ostałą piechotę i artylerię. Czeladina pierwsza linia to straż przednia, pułk wielki, pułk przedni...

– Toż kiedy bić się zaczną? – zapytała znowu mała Gorczyńska.

Szydłowiecki długo przypatrywał się panience, aż ta spuściła oczy.

– Wtedy kiedy Iwan spostrzeże, iż źle swe wojska rozplanował. Pierwsze są zaczepki i jeńców się przejmuje w krótkich bitkach, co panna wiesz, skoro przerywasz... – Nabrał powietrza. – Bili nas już moskwianie, bili Litwinów, bo ich więcej było, ale pomylił się Czeladin, że myślał, że to wszystko wojsko, co mamy, a to była jeno pierwsza linia. Iwan nie wiedział, że Ostrogski szykuje zasadzkę. Jak to mówią, tatarską ucieczkę. Za symulującymi odwrót wojskami hetmana ruszył rozciągnięty moskiewski pułk wielki. Wtedy to nasze armaty walić zaczęły w jego prawy bok, do tego ruszyła polsko-litewska druga linia i do tego ciężka piechota. W tym samym czasie wracające z umyślnej ucieczki jednostki wsparły swoje prawe skrzydło, rozbijając moskiewski pułk. Przegrupowani,

z obu stron napadli główne siły moskiewskie, rozbijając je w puch i wymuszając ucieczkę! Czeladin ruszył na siły Ostrogskiego w ostatniej dzikiej szarży! Ale drogę jemu zastąpił ze swoją jazdą Jerzy Radziwiłł i Świerczowski. Armia Wasyla została rozbita i pokonana! I to drugi raz!

Dwór zaczął wiwatować, wzruszony Szydłowiecki wrócił za stół, a ja pochyliłam się w stronę opowiadającego, kiedy znowu jeść zaczął.

– A Smoleńsk? Odebrany z rąk braci Szujskich?

– Nie. Ale przyjdzie jeszcze czas. Przyjdzie...

Dolałam mu wina.

– Zwycięstwo zapewne nie tylko chwały królowi przyda, ale da Bóg, Maksymiliana wstrzyma.

– To i król mówi. Pisma dla was mam. Ja zaraz do Budy jadę za sprawą nowych układów z Maksymilianem. Cesarz nieskory, by w bój ruszać. Cesarz kaźden wiele furt lubi mieć otwartych, by mieć gdzie uciekać...

– Od zwycięzców – dopowiedziałam.

Zaśmiał się.

– Nie! Od pokonanych!

Wróciłam do siebie i Maryjka podała mi listy. Radość ją rozpierała ze zwycięstwa, ale wieści od Mikołaja żadnych nie miała, bo kto miał je słać? Sam pewnie zjedzie i dopiero wtedy dowie się ona, czy żyw ostał.

Zgrabnie rozpięła list, by pieczęci nie połamać. W jednym radość swą ze zwycięstwa król wyrażał, a w drugim pisała królowa:

Jakż że radość mam nie tylko ze zwycięstwa mego szlachetnego małżonka, ale i rada jestem z siebie, bo ludzie mówią, że to dzięki moim modłom zwycięstwo nastalo! Pan mój kiedy zwiedzial się, zem modliła się za niego i armie jego świetne, łzy wzruszenia ronił wprost na pergamin, czego świadectwo mam przed sobą.

*

O strachu lud szybko zapomniał, tym bardziej że ci, co do bitwy stanęli, łupów nawieźli takich, co i żaden nigdy nie widział.

I mojej Maryjki umiłowany Mikołaj wrócił! Ślub wzięli pierwszej niedzieli, jaka nastąpiła po jego powrocie i dwa dni potem stała przede mną młoda mężatka w drogiej sukni i złotych zausznicach lśniących i ciężkich, sięgających ramion. Stała i nie wiedziała, jak mowę zacząć.

– Chcesz odejść ze dworu? – zapytałam.

Podeszła do mego stołu.

– Tak! Nie tylko dworscy się pobogacili w bitwie! Zwykli ludzie, sługi, nawieźli złota! Kamieni drogich! – Dotknęła ucha. – Koni! Wozów! Karczmę Mikołaj kupił... – Zbrakło jej słów. Patrzyła błagalnie, jakbym miała jej racji nie pojąć. Cóż miałam nie pojmować? Do umiłowanego ją ciągnęło...

– Idź, Maryjko. Ale nie chcesz ostać? W karczmie znowu nożem robić będziesz. Mikołaj może kogo nająć do posługi.

– Wiem. Ale chcę. Z nim jeno.

Uśmiechnęłam się.

– Obiecuj, że smętnych strof pisać nie będziesz.

Roześmiała się i wyjęła coś z małej, brokatowej jałmużniczki.

– To dla was, pani. Od Mikołaja. Za to, żeście mnie pod opieką na piętrze mieli.

– Dla mnie? – Odebrałam z drobnej dłoni zmiądzony złoty biskupi pierścień z obłuzowanym kamieniem.

– Maryjko... – Zmarszczyłam brwi. – To przywiózł Mikołaj?

– Tak, to odebrane pohańcom – powiedziała z dumą.

*

Niedługo jak bitewny zamęt opadł, wracałam na Wawel z mojej Wiślicy pośród tęgiej śnieżycy nocą. Zmarznięta, bośmy już dwie msze czekali na mrozie. Ciechanowska wychyliła się na moje żądanie zza grubej opony ciężkiej od mokrego śniegu.

– Daleko do Krakowa? – zapytała prowizora⁸¹.

– Nie. Do świtu dojechalibyśmy.

– Ale cóż się stało?

– Wóz przewrócił się przed nami.

– To dźwignąć się go nie da?

– Mrozi. A po prawdzie nic nie widać.

– Ludzie jacyś ranni?

– Nie. Pan i pani siedzą w kolebce. Zdrowi. Konie odprzęgnięte w lesie stoją.

– Przyjdzie nam czekać?

– Do rana.

Panny i psy jęły lamentować w dusznej kolebce. Zamknęłam oczy i pomodliłam się o sen.

Zbudził mnie szloch jednej z panien.

– Czemuż to płaczesz? – zapytałam w ciemności. – Zimno ci?

– Nie – odezwała się Małgorzata Gorczyńska. – Nawet za ciepło, ale ja nie dlatego.

– A dlaczego?

– Wilki. Wilków się boję.

– Słyszysz je gdzie?

Przez chwilę nie odpowiadała, jakby nasłuchiwała.

– Nie słyszę...

– To i widzisz. Nie słyhać, znaczy nie ma ich.

– Śpią?

– Śpią, Małgorzato. I ty śpij.

– Kiedy boję się. Ciemno jest... Nie lubię, gdy ciemno jest... Zdaje mi się, że bestia jakowaś wypełza z ciemności. Wielka... I dech mi trudno złapać...

– Małgorzato, czy obok ciebie Maria śpi? – zapytałam ze ściśniętym sercem.

– Tak – odparła cicho.

– Pochwyć jej dłoń i wtul się w jej ramię.

Usłyszałam szelest sukni. Po chwili szepnęłam:

– Małgorzato...

Nie odpowiedziała, pewnie zasnęła.

Umęczona i strapiona weszłam do sypialni mego domu dopiero w południe. Od kuchni ciepło było przyjemne, ale im wyżej wspinałam się na piętro, tym chłodniej było. W sypialni dopiero służki rzuciły się do rozpalania w kafłowym piecu, jakby nikt wiedzieć nie mógł, że zjadę lada chwila! Dwórki jęły mnie rozdziewać ze wszystkiego do koszuli, nacierać członki i poić gorącym winem z cynamonem.

– Ostawcie mnie! – syknęłam, kiedy jedna zadrapała mnie, ściągając mi z nóg wełniane, mokre nogawiczki.

Urażone porzuciły oklepywanie poduch na wąskim łożu, układanie sosnowych gałązek po kątach dla aromatu, palenie lampek i świec. Ostała jeno mała Gorczyńska i Ciechanowska. Teraz dopiero ujrzałam, że Małgorzata czerni od śmierci ojca nie zdjęła. Nie nosiła ozdób, przepasek kolorowych. Czy z jeszcze innego powodu smutkiem się otaczała? Twarz

jej młodziutka już zaznaczona była głęboką, podłużną bruzdą na czole. Narzeczonej jej, a raczej rodzina jego, umowy ślubne zerwała zaraz po śmierci Gorczyńskiego, że niby to śmiercią haniebną zginął...

Westchnęłam głośno. Obie damy spojrzały na mnie czujnie.

– Poczytaj co, Małgorzato.

Panna posłusznie zdjęła z półki *Rozważania przemyskie* i głośno zaczęła czytać pierwszy ustęp.

Uwolniona od uwagi fraucymeru, pograć się mogłam w sprawach doczesnych. Jechać zimą musiałam do Wiślicy, bo o dochód mój chodziło. Najpierw wstyd mnie brał, kiedy upominać się musiałam po miastach swoich o to, co moje. Teraz wiedziona doświadczeniem bolesnym, że samemu trza wszystko wrywać dla siebie, bo inaczej każde ziarnko kaszy dworowi wyliczać będę musiała, mocno pilnowałam gospodarstwa. Gdzie złodziejstwo odkryłam – karałam, gdzie dobrze gospodarowano – nagradzałam.

Złość mnie wzięła, bo niektórzy wiśliccy Żydzi trzeci raz zwlekali z wypłatą należnego, zwodząc mnie i ośmieszając mój rozum. Wygnać ich kazałam dla przykładu dla tych innych, co Jagiellonkę za głupią mieli.

I nie to wzburzyło me serce najbardziej, ale to, gdym się królowi poskarżyła na oszustów, a ten zrugął mnie, jakbym to ja co złego uczyniła! Uwierzyć nie mogłam, czytając list od brata, już w drodze powrotnej będąc, który jaśnie oświeconą mnie dotąd nazywał i wiecznym dłużnikiem moim jeszcze w liście ostatnim się zwał! Trudno uwierzyć było mi w to, co czytałam po wielokroć. I znowu rozłożyłam papier.

Zrozumieliśmy, że Wasza Miłość na czyjąś prośbę poleciała wypędzić niektórych Żydów mieszkających w Wiślicy i odmienić dla nich termin zwłoki. Ponieważ mogło to się stać bez dostatecznego powodu, osądziliśmy

*słusznem upominać Waszą Miłość, ażebyś tych Żydów w Wiślicy cierpiała do naszego powrotu, a przewinienia ich, jeśli jakie się okażą, rozpoznawszy po wysłuchaniu samych Żydów, postanowimy, co nam się słuszne wyda.*⁸²

– Znaczy tak, dziecię upilnować to ja oświecona, ale już samej stanować we swoich sprawach mi nie wolno! Sama dla niego dziecięciem jeno byłam! Tym byłam! Słodyczą, którą słodyczą napcha, by głosu nie zabierała! – warczałam do siebie, gdym już przebrana i rozgrzana siedziała.

Posłaniec królewski wniósł duży kufer.

– Cóż to? – zapytałam ciągle rozzłoszczona. – Król czego chce?

– Nie wiem, pani. – Skłonił się do kolan.

Wyszedł, a ja uchyliłam wieko.

Uderzył mnie piękny zapach pomarańczy i zamorskich korzeni. Zaśniły w jedwab owinięte złote karmelki. Odsunęłam je z niechęcią.

⁸⁰ *Mój najmiłszy...* – wiersz z końca XV wieku, nieznaney mieszczeni

⁸¹ prowizor – logistyk, zaopatrzeniowiec

⁸² A. Przeździecki, *Jagiellonki polskie w XVI wieku...*, s. 27.

1515

Luty łaskawy okazał się tego roku, nawet słońce przyświecało powrotowi króla i królowej. Słysząc już było cały orszak heroldów, śmieszków, fletnistów wspinających się na wzgórze przed Zygmuntem i Barbarą. Stałam w nowej, czerwonej sukni z czarnym lamowaniem i z tej samej materii szacie wierzchniej podbitej gronostajami i obsypanej granatami. Jadwinia ubrana też w aksamitną, czerwoną sukienkę dociskała do uszu ciasną, czarną czapeczkę z naszytymi perłami. Wzięłam ją na ręce, kiedy przyjezdny dwór zaczął wlewać się na dziedziniec. Wraz z kolebką Barbary spod budynku bramnego wyłonił się Zygmunt na królewskim koniu w złotogłowiowej szubie z haftowaną na lewej piersi Pogonią.

Ujrzał nas i jakby nie wiedział, czy to małżonce ma służyć wychodzącej z wozu, czy to ku nam biec, zsiadłszy z konia. Nie spuszczał nas z oka, uśmiechnięty, podał dłoń Barbarze i razem stanęli przed swym dziecięciem.

Królowa w grubej amarantowej mante z czarnym kołnierzem futrzanym spiętym zaponą z wielkiej perły, bez uśmiechu, lekko skłoniła się przede mną i patrzyła na dziecko, żadnych innych gestów nie czyniąc. Teraz dopiero ujrzałam, że prawie białą jest, a pod czarnymi oczami nosi sine cienie. Jadwiga odwróciła się od matki i wtuliła we mnie. Na to król roześmiał się i dotknął delikatnie drobnych pleców córki. Powiedział coś do jej ucha i jakimś swoim sposobem sprawił, że Jadwiga odsunęła się ode

mnie i zawisła na szyi ojca. Utulił ją mocno rozrzewniony i ze słodkim ciężarem w ramionach pobiegł roześmiany po schodach na zamek.

– Pokaż, pokaż, gdzie to panna mieszka? Tutaj! Tak?! Oj, jak pięknie! – Zniknął na krużgankach z dziecieniem, za nic mając ceremoniał.

Barbara stała wpatrzona w miejsce, gdzie zniknął jej małżonek, a poruszyła się dopiero, kiedy Krzycki podał jej dłoń.

*

Kiedy na uczcie powitalnej Zygmunt zezwolił opróżniać drugi okseft⁸³ wina, uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Nigdy ci się nie odwdzięczę, siostrze, za to, żeś mi dziecię prawie dwa lata chowała. Nagrody żądaj każdej.

Rozejrzałam się po sali po nowych twarzach, które zjechały z Litwy. Pan Michał Wiśniowiecki dziwował się pomarańczy i dawał popróbować Czartoryskiemu, który przypijał do głośnego pana Radziwiłła. Wszyscy oni i pomniejsi za majątkiem do Krakowa zjechali i dla chwały.

– Im co musisz pewnie dać. Pan Piotr Kmita i bracia Pileccy też nowi, niedługo po zaszczyty się ustawią. Szydłowiecki, Dantyszek i Krzycki coraz wyżej. A co z Glińskim?

Król rozdzielał mięso na drobne kawałki i wkładał do ust.

– Cóż ci to do myśli przyszło? – zapytał.

– Bo pamiętam go takiego, jak oni teraz, za stołem siedział i gotów był ci Litwę oddać.

– Może to i prawda, że do mnie na powrót chciał przystać, ale ludzie mówili, że już sam nie wiedział, kto on jest. I za próbę zdrady w moskiewskich lochach przyjdzie mu szczeznąć, jeśli już ducha nie wyzionął. – Westchnął. – A wojenny to był pan...

– A ty byś mu darował?
– Też by w lochy poszedł.
– Za zdradę?
– Za zdradę.
– Toż komu służył?
– Wiatrowi. Raz słońcu... – Powstał i podał mi dłoń do tańca. – ...Raz burzy. – Uśmiechnął się i ruszyliśmy do korowodu po wielkiej auli.

Co chwila migąła mi w tańcu nieruchoma, blada twarz królowej za wysokim stołem.

– Cóż to Barbarze? – zapytałam brata, gdy mnie na miejsce moje odprowadzał.

– Brzemienną jest i znowu się boi.

Spojrzałam na chudziutką Barbarę, która pod moim wzrokiem dotknęła brzucha.

– Połogu się lęka?

– Wszystkiego się lęka.

*

Barbara, usadzona na miękkich materiałach w zakątku lśniącej od pozłoty sieni, patrzyła ze smutkiem na bawiącą się ze szczeniętami córkę.

– Ona mnie nie lubi – szepnęła.

– Cierpliwa bądź. Jadwiga cię nie pamięta. Przywyknie. – Pocięłam chciałam pchnąć w jej stronę.

– Ale Zygmunta miłuje już jak ciebie. Choć nie dziwota. Jego wszyscy miłują...

– To dziecię. Miłuje każdego, kto przy niej. Przywyknie – powtórzyłam.

– Prawdę mówisz? – Spojrzała na mnie niepewnie.

– Prawdę. Posiedź przy niej, do siebie zabieraj... Tak jak teraz.

Zygmunt siedzący na ławie dalej od nas powiedział coś do Krzyckiego, powstał i zmierzał do wyjścia.

Barbara poderwała się i przytrzymała za brzuch.

– Zygmuncie? Wychodzisz? Dokąd?! – Wybiegła za nim.

Jadwiga nie spojrzała za rodzicielami. Za to do mnie wyciągnęła rękę. Podniosłam ją, przytuliłam i wyniosłam na pierwsze, ogrzane przy roztopach powietrze.

*

Wróciłam właśnie z odwiedzin u Gorczyńskich. Pani Gorczyńska, gdy wchodziłam, wychodziła zawsze za czymś, jakby znieść widoku mego nie mogła albo obwiniła za to, co stało się w jej domu. Małgorzata do zdrowia wracała i paplała jak zawsze. Dobrej myśli będąc w jej sprawie, przekroczyłam próg własnej sypialni, gdzie zastałam królową Barbarę płaczącą.

– Elżbieto, Zygmunt wyjeżdża do Pożonia⁸⁴ aż! – Drżała i trzymała się krzesła, jakby przewrócić się miała. – Spotkać się z cesarzem i Władysławem. Po co ta wojna była?! Teraz jeździć musi! – Wyciągnęła do mnie rękę. Przeróżające było, że coraz szczuplejsza się zdała, zamiast krągłości nabierać, jako brzemienna niewiasta. Dekolt, który miękkie kształty u niewiasty miał ukazywać, u niej sterczał nieładnie za duży i żebra wskazywał!

Nagle porzuciła krzesło, podbiegła do mnie stojącej i objęła mnie za szyję. Niższa, wspięła się na palce i zaczęła szeptać mi do ucha:

– Ja tu nie zostanę. Ja nie chcę bez niego. – Coraz mocniej obejmowała mój kark. Nie wiedziałam, skąd ciało takie ma w sobie tyle siły! W końcu

zaczęła krzyczeć. – Ja już byłam bez niego! To przez dziecię! Ja go nie chcę! Ja się boję!

Siłą oderwałam ją od siebie, pochwyciłam za ręce i usadziłam obok siebie na ławie. Oczy jej straszne, poczerwieniałe, patrzyły na mnie w lęku niewysłowionym.

Zdjęłam jej czepek i przyglądałam spotniałe jasne włosy.

– Barbaro! Cóż mówisz?! Odpocząć ci, a jeśli na duszy ciężko, to wypowiadać się trzeba i ufać Bogu! Barbaro! – Strwożona trzymałam w dłoniach jej drobne pięści.

Ciało jej zdało się cierpieniem i strachem takim ściśnięte, jakby ją jakie diabły ścigały. W febrze jakiejś zęby zaczęły jej uderzać o siebie. Objęłam ją poruszona, bo drżała bardzo. Tuliłam i kołysałam jak jej maleńką córkę, kiedy płakała tak samo.

– Ja jestem, Barbaro... I Jadwinia czeka na ciebie... – mówiłam cicho.

– Ja wiem... ja wiem...

Po dłuższej chwili uspokoiła się, ale stała się tak ciężką, że ją ułożyć w pościeli chciałam.

– Nie! Nie do łóżka! – Naprężyła się jak nieposłuszne dziecię.

– Dobrze, dobrze – uspokajałam i tak siedziałyśmy blisko przy sobie.

Nikt nie śmiał wejść do komnaty. W smudze światła pod drzwiami widziałam cienie stóp dwórek królowej, przechadzających się tam i z powrotem, pode drzwiami.

– Elżbieto, a pomodlisz się ze mną? – zapytała nagle.

– Pomodłę. I do Jadwini pójdziemy, chcesz? – Ucałowałam blade czoło Barbary.

– Tak! Razem pójdziemy. – Uśmiechnęła się delikatnie.

Po modłach niedługich odprowadziłam królową do jej komnat w asyście obu fraucymerów i poszłam do Zygmunta. Siedział w nieogrzejanej Kurzej Nodze przy masywnym stole. Rozłożył się z papierem między dużą szkatułką z trociczkami dla zapachu, flaszeczkami z lekarstwami, a inkaustem z piasecznicą. Na mój widok wstał, podręcznik do matematyki odłożył na modlitewnik w aksamitnym woreczku, w jeden rulon zwinął szybko kalendarze, arkusze papieru, pergaminy i przepowiednie astrologiczne.

– Chyba mój anioł stróż cię przywołał na moje życzenie. – Uśmiechnął się.

– Wyjeżdżasz na spotkanie z cesarzem?

– I z cesarzem, i z Władysławem. Po prawdzie to Władko jeno zaprasza. – Wyciągnął z rękawa na dowód królewskie pismo. – A cesarz, przez Orszę zęby mając połamane i przez niechrześcijański układ z Wasylem, sroży się jeszcze nieco, by cesarski majestat zachować. Wiem, że i jemu pilno do Władka, by dzieci jego i swoje wnuki pożenić. Sam wolny jeszcze... – Spojrzał na mnie.

– Pokonany został, a sojusz z Wasylem jeno sromoty mu przydał – dodałam, by mego zamążpójścia nie tykał.

Zdjął z ramion ciepłą, aksamitną szubę i zarzucił na moje ramiona.

– Będzie chciał wiedzieć, co uczynić pragniemy z hołdem krzyżackim, Elblągiem i Gdańskiem. Nikomu nie dziwnym jest, że sam, płaszcz niby ochronny, na ziemie owe zarzucić pragnie. – Przerwał i pochwycił mnie za ramiona. – Dlatego znowu o baczenie na dwór, miasto, dziecię moje i małżonkę prosić cię pragnę. Nikogo innego nie mam, kto by umysł mój spokojnym uczynił na czas mego wyjazdu. Wiesz to.

– Wiesz, bracie, że radością i zajęciem najmilszym zawsze dla mnie opieka nad niewiastkami twoimi, ale Barbara jakby chora... – Ostatnie

słowa powiedziałam cicho.

Zagryzł wargę i usiadł z powrotem.

– Może... Może jak dziecię, następcę urodzi, to jej smutek minie? – Spojrzał niepewnie, tak jakby potwierdzenia u mnie szukał. – Jak myślisz, siostrze?

Przysiadłam naprzeciw niego.

– Stało się co tam w Wilnie, jak ciebie nie było?

Cofnął się, jakby bronić się musiał.

– Nic mnie nie mówiono...

– A w Poznaniu? Kiedy rodziła?

– Nie!

Rozłożyłam dłonie.

– Znaczy boi się jak każda białka narodzin jeno. Ja baczyć będę, by jadła, by rozrywek zażywała. Ja. I o syna dla Jagiellonów się pomodłę. – Uśmiechnęłam się do strapionego brata. – A jak Ludwik Władysława rośnie? Przecie on już król Czech i Węgier! – Śmiałam się, choć mi wcale do śmiechu nie było. Do jedzenia Barbarę najtrudniej będzie namówić...

– Jak Ludwik? Powiem ci, jak wrócę! – Pochwycił me dłonie i przeszył mą twarz swym wilczym spojrzeniem. – I jak ty z nimi ostaniesz, to się nie boję. I jak miły Bóg! Nagrodę zwiozę taką, która radość da tobie największą.

Roześmiałam się.

– Księgę olbrzymich rozmiarów? Psa niedźwiedzia wzrostem przewyższającego?

– Zająca wzrostu człeka, co na dwóch nogach skacze. – Podał mi rękę, siląc się na wesołość.

– A są gdzie takie?

– Pewnie są.

*

Król w marcu wyjeżdżał z Krakowa na zjazd pozoński. Stałam o świcie na schodach poniżej królowej, żegnając Zygmunta. Okazały królewski orszak ruszył wreszcie z wawelskiego dziedzińca.

Zygmunt zabierał ze sobą Kościeleckiego. Może pan Andrzej Jana, pasierba swego, zwiezie do domu, myślałam. Przecie syn już nauki w Bolonii na ukończeniu ma! Może Andrzej pasierbicę Katarzynkę uwidzieć pragnie? Może jedzie, by urząd starosty krakowskiego ugrać u Zygmunta? Nie, nie on... Prędzej Szydłowiecki. Przecie dla Zygmontowych spraw siedział teraz we Wiedniu. Mówili, że kanclerzem po Drzewickim nastanie, a Tomicki podkanclerzem. Pono Krzysztof już na szyi nosił kanclerską pieczęć w złotogłowiowym woreczku. A Kościelecki zawsze z tyłu... Szydłowiecki dostanie starostwo przeciw prawu *incompatibiliae*⁸⁵ – ciągnęłam myśli, wspinając się za Barbarą na krużganki, kiedy ostatni wóz zniknął pod budynkiem bramnym.

*

Trudno było uwierzyć temu, kto nie wiedział, że królowa brzemienną. Suknie nowe, a już na niej wisiały, miast coraz ciaśniejszymi się stawać. Barbara jeść nie chciała. Jak dziecię, fortelem musiałam przekonywać. Jeny groźba o tym, że król zwiedzie się, iż nie je i gniewać się będzie, do łyżeczki jadła ją przekonywała. Do tego w głowę sobie wbiła, że jeno post dobrą żoną i chrześcijankę z niej uczyni, za co Bóg Zygmunta do niej szybciej sprowadzi.

Jakby wytłumaczyć chciała swe zwątpienie i niecierpliwość z powodu nieobecności małżonka, dyktowała Krzyckiemu do niego:

Ponieważ zawsze większa jest siła miłości niżli rozumu, nie mogę tego sprawić, żebym nie była niespokojna i niezafraszowana. (...) Prócz tego zaś, ponieważ długie podróże bardzo często zwykły uczucia nieobecnych osłabiać, bardzo się boję, aby święty Majestat Wasz, podobnie jak ciałem, tak też i duchowo ode mnie nie odstąpił. (...)⁸⁶

Potem mnie co raz kazała sobie odczytywać ku pocieszeniu odpowiedź Zygmunta:

(...) Albowiem nasza wzajemna miłość nie jest tak słabo ufundowana, żeby jaka daleka przestrzeń mogła ja pomniejszyć⁸⁷.

Słowa, za które ja kiedyś oddałabym życie, jakby je mój miły napisał, nie skłoniły Barbary do trwania w chęci bycia zdrową. Jeno czas wszelki na modłach w zimnej katedrze spędzała. Lud, zwiedziawszy się o pobożności przyszej matki następcy, wspólnych modłów się napraszał i świętą Barbarą ją nazywać zaczął.

Dnie pełne troski o królową i królownę wypełniały mi dni. Nieraz wołano mnie i nocą albo do chorej Jadwini, by co uradzić, albo do Barbary, bo często żalność ją brała, której pokonać nie mogła. Zdało mi się, że dwie córy mam i samą mnie zmęczenie nachodziło. Ale to dobrze dla kogoś innego żyć, niżli samotnością dusze truć... A po prawdzie zdało mi się, że ważną i potrzebną dla nich jestem. Królowi też oczywista.

*

Barbara chodzić sił nie miała. Pokojowcy dźwigali panią pod ramiona z ławy na ławę i z ławy na ławę sadzali, bo do łoża wejść nie chciała. Układali ją twarzą do okna, bo nikogo widzieć nie chciała i nie mogła.

– Chcesz czego, pani? – pytałam ja i wszyscy.

– Nie – odpowiadała cicho, otulona futrem, bo jej stale zimno było, mimo że w piecach palić kazałam mocno tak, że niektóre matrony skarżyły się na poty.

– Może teatr urządzimy? – pytałam w desperacji.

– Nie – odpowiadała niezmiennie i z jednym jeno pytaniem się zwracała do mnie i matron:

– Król zjechał? Jakby zjechał, to powiedzcie.

*

Cudem jakowymś, modłami chyba tylko karmione dziecię w Barbarze rosło. Królowa, weselsza nieco na wiosnę, wyprowadzić na powietrze ciepłe się dała i plotła z pierwszych niezapominajek wianek dla Jadwini w hortusie.

Dzieweczka stała wsparta o kolana matki i uradowana wpatrywała się w drgające w szczupłych dłoniach Barbary niebieskie kwiatki.

– Babka twoja takie plecie, Jadwiniu – powiedziała królowa i gruby, szeroki wieniec założyła na skronie królewny.

Malutka podziwiana przez cały zastęp wzdychających z zachwytu dwórek przeszła wąską ścieżką między kwitnącymi ziołami, by w końcu odpuścić królewski ton i wskazując na głowę, zawołać w moją stronę:

– *Amita! Amita!*⁸⁸ Obacz! Mam ja!

Śmiałyśmy się z Barbarą, kiedy pokojowiec przyniósł list do niej i osobny do mnie od króla.

– Och! – Uradowana królowa zaraz złamała pieczęć. Patrzyłam, z jaką radością pochłania litery. Gdybyż tak samo chętnie pochłaniała jadło... – Weź Elżbieto – powiedziała, kiedy skończyła czytać. – Spójrz, jakże dręczy mnie pan. – Uśmiechnęła się, a ja przeczytałam:

Byłoby to nam dla miłości Waszej Królewskiej Mości przykrem, gdybyś żałobnem widowiskiem exekwii żałobę własną odnawiała⁸⁹.

A w liście do mnie stało:

A najbardziej tego pragniemy, abyś od wszystkiego, cokolwiek by Jej umysł trapić mogło, jak najdalej trzymała.

Nie wiedział, że to właśnie wielkie egzekwie za zmarłego w wodach Dunaju krewnego Barbary, które napraszała się urządzać, myśli do równowagi jej przywiodły i ją uzdrowiły.

*

Jednak dni mijały i wszelki smutek zdawał się znowu zalewać lepka trucizną myśli królowej, kiedy król nie wracał, a jeno listy smutne nadchodziły do Barbary:

Ta jedna powstała trudność odnośnie do spraw pruskich, że Cesarski Majestat (który z Mistrzem Zakonu związany jest pewnym najściślejszym związkiem układów), chciał, byśmy nie zmuszali Mistrza do należnej nam przysięgi. (...) Narzucał Nam ten niezwykły warunek (...) widziany przez nas jako zupełnie niezgodny z naszą godnością. (...) Po licznych zaś kontrowersjach (...) doszliśmy, że całą tę sprawę odłożymy do Braterskiego Majestatu i naszego z cesarzem spotkania. (...) Abyśmy pragnienie Waszego Majestatu (...) złagodzili i aby sama mogła Naszą poznać miłość, posyłamy do niej naszego posłańca, który zobaczy, jakie jest zdrowie. (...)⁹⁰

– Odłożymy... Znowu odkładają spotkanie – szepnęła smutna. – Nie wróci prędko... – Dotknęła ledwo widocznego brzucha. – Elżbieto – zwróciła się do mnie. – Poślesz umyślnego do króla?

– Tak – szepnęłam, nie odrywając oczu od pachnącego konwaliami listu od Anny mazowieckiej.

Zaraza naszła – pisała. – Siedzę z dziećmi w lesie. Zbieraj tę kruchą panią swoją i ratujcie się ucieczką. Zygmunt by pewnie wybrał Niepołomice. Nie zwlekaj. Guzy czarne ludzie już widzieli u niektórych.

Ręce mi się trzęsły, kiedy składałam list. Starłam się buzię pogodną zachować, ale ledwo strach strzymałam. Zerknęłam na Barbarę, która daleka od spraw doczesnych, przygarbiona, patrzyła w okno.

– Panie sekretarzu... – powiedziałam cicho i podałam list Krzyckiemu, który od przyjazdu z Litwy z królestwem nie odstępował Barbary.

Patrzyłam, kiedy czytał i jak skończywszy, odwrócił się od swej pani i powolnym ruchem pismo wsunął pod szubę. Skinęłam, by się do mnie pochylił.

– Trza dwór królowej przenieść, a i wy powiadomcie tych, których zabrać chcecie. Jeszcze dziś pierwszych puszczam, jeśli wy chcecie, dołączcie. Jutro nikogo nie przyjmę – mówiłam cicho.

Skinął głową i głośno powiedział w stronę Szydłowieckiej, siedzącej przy królowej.

– Do Niepołomic pojedziem. Drogi suche, powietrze lepsze.

– A czemuż to? – zapytała.

Barbara siedziała nieruchomo jak święta figura.

– Czemuż! Wiosna! – Roześmiał się.

– Gdzie jedziemy? – niespodziewanie odezwała się królowa.

– Do Niepołomic, pani.

Patrzyliśmy z Krzyckim na nią, bojąc się, co poczniemy, jeśli odmówi.

– Zatem jedźmy. – Zdało się, że pomysł spodobał się brzemiennej. – Każę przygotować Jadwinę. Danuto, Mario... – cichym głosem przywołała młode dwórki. – Danuto, Mario – powtórzyła. – Gdzież one? – Zofio, każ im przyjść.

Wychodziłam, by dopilnować wyjazdu, kiedy ktoś, kogo nie znałam, podał mi małą kartkę podobną do tej, jaką kiedyś zastałam na stoliku w sypialni. Odczytałam krótki zapis:

Uciekaj. Zaraza idzie.

– Baltazar... – szepnęłam i schowałam kartkę w rękawie.

Prędko dwór ruszał i pośpiech jął plotki tworzyć, tak że na noc dopiero szło, kiedy już Kraków biegał w trwodze i całe wzgórze wawelskie. Ruszać kazałam, kiedy niespokojna Barbara ciągle dopytywała o zaginione dwórki.

Zaciągnęłam oponę w wozie oddzielającą nas od królowej.

– Gdzie panny? W mieście się zawieruszyły? – zapytałam cicho Szydłowieckiej wystraszona, kiedy królowa słyszeć mnie nie mogła.

Zofia usiadła obok mnie, na głowę zarzuciła szeroki kaptur i wyszeptwała:

– Zmarłe je znaleziono w łózkach. Zaraza.

– W zamku?! – syknęłam.

– Tak – dodała płaczliwie i zaczęła drżeć ze strachu jak w jakiej febrze.

– Zofio, Danuta i Maria są już w wozie? – doszedł nas stłumiony głos Barbary.

Podniosłam oczy na Zofię.

– Tak, pani! Są w wozie! – zakrzyknęłam.

– Kiedy jej powiemy? – zapytała Szydłowiecka.

– Nie wiem... W Niepołomicach.

Wreszcie ruszyliśmy i w ciszy, związane tajemnicą nasłuchiwałyśmy coraz liczniejszych wozów mijających nas w pośpiechu, modlitw i skarg ludzi opuszczających miasto. Nie odzywałyśmy się, póki skrzyń nie zaczęto rozpakowywać na wielkim czworobocznym dziedzińcu w starym zamku, a ja nie kazałam królowej wprowadzić do niepołomickich komnat. Patrzyłam ze smutkiem, jak słabą bardzo wiedziono po kręconych schodach i nowych drewnianych krużgankach. Ujrzałam, że w najwyższej wieży zapalono już świece w kaplicy i poczułam, że w piekarni z pieców wyjęto świeże bochny chleba. Jeśli zaraza z nami nie przyszła, to przetrwamy, pomyślałam i uśmiechnęłam się do Zofii.

Barbara wieści o zmarłych dwórkach zniosła spokojnie. Po wizycie w łaźni przysiadła pod oknem przy pomocy Szydłowieckiej i Małgorzatki Gorczyńskiej. Inne panny otuliły królową gronostajowym futrem. Barbara prawie zniknęła w puszystej bieli.

– A król zdrow? – głos wydobył się z zawinięcia.

– Zapewne – odpowiedziałam.

– Słać konnego do niego?

– Och, nie!

– Ach, tak... Ludzie nasi zdrowi?

– Wszyscy dojechali zdrowi.

Wyciągnęła do mnie białą, chudą rękę spod futra. Podeszłam i pochwyciłam jej dłoń.

Spojrzała na mnie.

– Trza nam czekać. Na wszystko trza czekać... Czekać... Trza się pomodlić. Jest tu jaka kaplica?

Do kaplicy w wieży zaprowadzić na modły kazałam królową i zaraz zasiadłam do listu do króla. Już w pięć dni odpowiedź nadeszła.

Najjaśniejsza księżniczko i Pani Siostrze Nasza Najdroższa.

Dobrze zrobiła Najjaśniejsza Pani, że zmieniła mieszkanie po nagłej śmierci dwóch swoich panien: zawsze bowiem należy się lękać zarazy i unikać jej, zwykła bowiem uszkadzać ciała śmiertelników i często sprowadzać liczne niebezpieczeństwa. My tutaj jeszcze oczekujemy przybycia do nas cesarza. W czasie już długiego oczekiwania nie pozostajemy beczynni, oddajemy się takim zajęciom, jak ustanawianie należytego porządku w sprawach Braterskiego Majestatu oraz Jego dzieci, a także Królestwa. A ponieważ (...) wypadnie nam dłużej tu jeszcze pozostawać, bardzo prosimy najjaśniejszą Panią, aby zechciała często upominać Majestat Królowej, aby to tak długie pozostawanie Nasze w tym miejscu ze spokojnym zносиła umysłem. My zaś, jak tylko będziemy mogli, będziemy się starali nasz powrót stąd przyspieszać.

Życzymy Najjaśniejszej Pani szczęśliwego zdrowia.⁹¹

*

Kiedy królowa obecności mojej nie pragnęła, wymykałam się przez zachodnią bramę i snułam po lesie, wiosenne dźwięki i wonie chłonąc, umysł od trosk oddalając wszelakich albo odwiedzając zamkowe kuchnie, łaźnie królewskie, jadalnie, piekarnie i olbrzymie stajnie.

W mniejszej, czworobocznej wieży urządziłam swoją kancelarię. Z niej to spoglądałam na pobliski zamkowy folwark i zagrody rogatego zwierzyńca, który puchł od nadmiaru zwierza, bo dawno nikt zagród polowaniem nie przetrzebił. Nie tylko Barbara czekała Zygmunta...

*

Zaraza odeszła szybko, choć zdało mi się, że to najdłuższa była wiosna w mym życiu. W smutku do Krakowa wracałyśmy, kolebiąc się wolno, między idącymi albo jadącymi do miasta, gdzie większość w czarnej szacie parła, by dom obaczyć i co z niego ocalało od tych, co Boga się nie bali i pośród dobra gospodarskiego grasowali. Albo od tych, co ze złości i żalu niszczyli to, co innym pozostało.

Płakali nad świeżymi grobami i pustką na ulicach, nad pobitymi szybami i samotnością niezdną i bezbroną. Jedni w ciszy wchodzili do domów ponurych, by zaraz za drzwiami lament wznieść na wspomnienie zmarłych. Jeszcze inni przysiadali na progach, by ostać i umrzeć tam z żalu.

– Wielu na zamku pomarło? – Barbara przysunęła się do mnie.

– Odźwierny Jan mi pomarł na zamku. O innych nie wiem. Jeśli możesz, pani, to o wstawiennictwo ciebie prosić będę u króla, by na jego miejsce mego piekarza raczył nadać.

Wtuliła się w me ramię.

– Oczywiście, że poproszę.

*

Zesłam do hortusa, gdzie za zaleceniem króla Barbara „mniej poświęcała czasu sprawom Bożym, a więcej dla odpoczynku ducha i ćwiczenia cielesnego przechadzała się po ogrodzie albo jakim innym przyjemnym miejscu”⁹².

Nie przechadzała się, ale siedząc, twarz wystawiała do słońca.

– Elżbieto, król pisze, że ten twój piekarz to w Bochni mieszka.

– Tak...

– To jakże on drzwi twoje będzie otwierał z Bochni?

– Długie ręce nad podziw ma – odpowiedziałam strapiona i zła, że brat tak zawsze wszystko sprawdzać każe i plan mój chyba się nie ziści, by jeden chory co grosza dostał. – Jednemu pomóc chciałam. Nic nie ma, a dobry człek.

– To niech zjedzie do Krakowa.

– Chory.

– To znajdź mu co w Bochni. Niechaj bocheńskim odźwiernym ostanie.

– Ale grosz ze dworu tutejszego chciał mieć.

– Kto by nie chciał...

*

Barbara słała nieustannie posłańców do Bratysławy i listy pełne zapytań o rychły powrót Zygmunta. A król, ciągle czekający cesarza, odpisywał słowa pocieszające, a i co dzień przybywającym z Bratysławy na wawelski zamek sługom wkładał w usta słowa otuchy, ale i zapytania o zdrowie królowej.

Leżałam w parującej wannie królewskiej naprzeciw drugiej, w której, wśród pływających majowych kwiatów siedziała królowa z zamkniętymi oczami. Chuda jej buzia z głodu bardziej pyszczek jakiego zwierzątka przypominała niżli niewiasty.

– Zamyślasz o czym, Elżbieto? – nagle odezwała się.

– Ja? O niczym takim...

– Powiedz, siostró.

– Zaciężni, na zamku wieść niesie, że z ziem naszych ruszają, umowy nie dotrzymując o gotowości obrony granic.

Otworzyła wielkie oczy.

– Król wie?

– Zapewne zwiedził się.

– Mogę do nich napisać?

Usiadłam w wodzie.

– Tak!

– Z wody! Z wody! – wołała królowa do łaźiebnych.

Panny dźwignęły ciężarną.

Ucieszył mnie jej animusz, ale przeraził widok nie tyle zniekształconej brzemiennością sylwetki, ile sterczących żeber i piersi płaskich jak dwa brunatne guziki. I ja powstałam do osuszania, dźwigając swe krągłości. Barbara spojrzała z podziwem.

– Pięknaś...

– Bo jem. – Uśmiechnęłam się.

Czując jeszcze wilgoć na skórze, odprowadziłam Barbarę do sieni obsypanej świeżymi kwiatami. Barwy żywej jej lica nabrały, jakby ruch i misja dla króla sił jej dodały. Może co dla jej zajęcia wymyślać trza zacząć? Kłamać? Za cesarza się w listach podszywać? Desperacja!

– Panie sekretarzu, królowa pisać chce – powiedziałam, kiedyśmy stanęły na środku, przy dużym stole.

Jak zawsze czujny Krzycki, rad z jakowego ruchu, podał przybory i osobiście dosunął krzesło królowej do stołu.

– Co napiszesz do zaciężnych? – zapytałam, bo po prawdzie ciekawa byłam.

– Żeby wstrzymali się do powrotu króla z odejściem i że zapewne o zapłatę chodzi. Jeśli zaś tyczy się zapłaty, to ją od króla dostaną.

Krzycki skinął na znak aprobaty, a ja zawróciłam do siebie, gdzie czekały mnie nowe listy od króla. Z niepokojem złamałam pierwszą królewską, niekancelaryjną pieczęć.

(...) *kto podpalił dwór brata naszego, od tego spłonęło połowa Pożonia! Na szczęście ludzie bez szkód wyszli. Strach i złość była, bo przecie Władysław z dziećmi swemi bawi w mieście. Nasz dom uchwalał się, dzięki rozumowi ludzi naszych. Plotka w mieście gorzej smaga niżli ten ogień. Ludzie mówią, że to cesarz. A nam się zdaje, że to Krzyżak albo Wasyl być może. Nic to już. Najważniejsze, by królowa nie zwiedziła się.*

– A tak! Coś w Pożoniu... – usłyszałam za drzwiami. Niepojętym mi było, skąd sługi pierwsze wiedziały o tym, co wydarzyło się w mieście lub za miastem.

– Pani Ciechanowska... – przywołałam plotkarkę.

Niewiasta stanęła przede mną.

– W Pożoniu pożar był. Mówię, byście swoich domysłów nie snuli. Ale mnie nie o to idzie.

Patrzyła urażona.

– Jeśli to do królowej dojdzie, wam język urznąć każę – dokończyłam.

*

Cały gorący czerwiec listy i posłańce szły. A król nie wracał, bo cesarz jeno zwodził braci moich, a Zygmunt nie wiedział, kiedy Maksymilian na spotkanie wreszcie zgodzi się z Jagiellońskimi dziećmi.

Szczęśliw wielce był, że zaciężnych w Koronie utrzymać Barbarze się udało, ale nie przestawał troskać się o królową:

teraz bowiem nadchodzi czas, w którym opieką należy otoczyć Jej Majestat – pisał.

Albo znowu:

posyłamy naszego łożniczego, ażeby zobaczył, jakie jest zdrowie najjaśniejszej naszej małżonki.

*

O mamki mnie upominał, gdy nadszedł wreszcie czas rozwiązania.

– Miał na maj wrócić najpóźniej... Ze mną miał być... Następce podjąć... Nie chcę... Nie będzie syna... Miłować przestanie... Nie będzie syna... – jęczała, leżąc w łożu, Barbara, otuliwszy rękami coraz bardziej dokuczający brzuch.

Wstawała i siadała. Płakała, jęczała i krzyczała. Bezradni medycy i dworki to zsuwali ją na życzenie z łoża, to kładli z powrotem. W końcu akuszerka z bractwa Jedenastu Tysięcy Dziewic przy świętym Szczepanie na krześle do porodu sposobionym silnymi rękami ją usadziła. Szydłowiecka ledwo ze zgrozy dychająca, nie wiem czy bardziej siebie, czy położnicę wachlowała wielkim piórem. Siostry kanclerzyny w trwodze o rodzącą krzesło za plecami królowej ścisnęły, a ja jeno modlić się mogłam, więc głośno wszem słowa otuchy czytałam z modlitewnika.

Po długim dniu i jeszcze dłuższej nocy królowa pierwszego lipca tysiąc pięćset piętnastego roku wydała na świat Anusię.

Nim dziewczuszcze chudej i długiej, ale żywej, pępowinę na trzy palce ucięto i mocno związane wełną maczaną w oliwie, Krzycki już wrzeszczał:

– Do króla lecieć! Córka! – ryczał spod królewskiej sypialni, roztrącając rękami dworzan i sługi wystające pod komnatą.

Ruch zrobił się po beczynnych pełnych wyczekiwania i plotek dniach. Posłańcy biegali, siadali na koń, rozbiegali się i rozjeżdżali we wszystkie strony świata, głosić, że Jagiellon, choć potężny, ostaje wciąż bez następcy.

*

Przysłam do królowej, kiedy opatrzona, płakała odwrócona od wchodzących. Szłam w jej stronę, próbując minąć stopy podarków wielkich

i małych i nie stracić pęków kwiecia z ogrodu, ułożonych w naczyniach po wszystkich wolnych kątach komnaty i pachnących pięknie. Przysiadłam przy niej.

Odwróciła się i położyła mi głowę na kolanach.

– Och, Elżbieto! To kara! Ta córka to kara, zem nie jadła! Król mnie wini!

– Nie wini! Cóż to mówisz?!

– Zobacz! – Podała mi list.

Królewska Mość, dowiadujemy się nie tym listem i przez umyślnego posła; i z obowiązku, i dla powinszowania, i dla zaświadczenia najwyższej radości Naszej. Usilnie prosimy Waszą Królewską Mość na wzajemną miłość Naszą, aby najmniejszej podejrzliwości nie przypuszczała względem tego, aby nie miała pozostać zawsze Najmilszą dla Nas, pomimo tego, że wydała na świat córeczkę. Tak dalece żadnego to Nam nie sprawiło zmartwienia, że już złożyliśmy Boskiej Opatrzności za ten dar najpowinniejsze dzięki, a teraz Waszej Królewskiej Mości dziękujemy za doniesie Nam i Radom Naszym przez umyślnego posła o tej dla Nas obojga tyle radosnej wieści. Wkrótce zaś mamy nadzieję osobiście za to dzięki złożyć.⁹³

Złość mnie nagła wzięła na Barbarę za to jej szlochanie, za to, że za nic miała miłość, czułość, troskę i cierpliwość króla dla niej!

– Ja bym duszę oddała, by mnie ten jeden jedyny chciał tak winić! – Poderwałam się i ostawiłam osłupiałą królową i jej zawsze na nic zdatny fraucymer.

Wbiegłam do domu i zamknęłam się w komorze. Mnie już wiek uderza w umysł! Nakrzyczałam na królową! Cóż za sromota i hańba! Chwyciłam się za głowę. O wybaczenie prosić ją muszę.

Już po chwili usłyszałam kroki. Widać matrona jaka zaraz mnie znalazła.

– Mój fraucymer za to nad wyraz sprytny – mruknęłam.

– Pani, pan Krzycki przyszedł – obojętny niewieści głos powiedział prosto w dziurkę od klucza z drugiej strony.

Wyszłam, choć czułam, że pali mnie twarz ze wstydu obrzydliwego. Krzycki zasiadł tak, jakby go naraz wszystkie siły opuściły. Innym był mężem, niż jak go poznałam. Wtedy jeno za krotoczwilą, winem i zabawą gonił. Dziś, przy królowej jak rab siedział, wina nie tknąwszy od miesiący.

Spojrzał na mnie umęczonym wzrokiem.

– Królowa o wybaczenie prosi. Mówi, że samolubstwem się unosiła, aż boi się myśleć od kiedy. Panny też już wszystkie przeprosiła. I kuchty, i wozowych... I...

– Płacze pewnie – dokończyłam, przysiadłszy jak Krzycki.

Wzruszył ramionami bezradnie.

– Chodźmy, bo sobie zaszkodzi – szepnęłam.

Ku memu zdziwieniu w sypialni nie było nikogo prócz Barbary. Podarki kto uprzątnął, dzięki czemu kwiecie prawdziwie zdobiło salę. Królowa leżała ładnie zaróżowiona, w nowym czepku i uśmiechała się.

– Powiedzieć chciałam, że głupiam. Że radości mam tyle, iż niejeden by nie zdołał udźwignąć. I ciebie, i dzieci, i króla mam swojego. O wybaczenie proszę i obiecuję, że słuchać będę roztropniejszych i o szczęściu własnym pamiętać. Tym bardziej że... – Zza pleców wyjęła list. – Król wreszcie spotkał się z cesarzem! Wołaj muzykantów, Elżbieto!

Zabawa, śmiech radosny, choć niespodziewany, ożywiały komnaty królowej przez cały wieczór. Dwórki biegały w szaleńczej zabawie w „cztery kąty”, kiedy ujrzałam, że Barbara coraz czerwieńsza na buzi, do tego wzrok jej dziwnie błyszczący.

– Nic ci? – zapytałam przycichłej nieco.

– Nie... – odrzekła i z ulgą ułożyła się w poduszkach.

Gestem odesłałam poetów, dziewczki i muzykantów.

Rano gorączka zelżała, ale wieczorem znowu zaczęła straszyć. Medyk, którego Zygmunt jeszcze wyznaczył do opieki nad królową, gorączki zbić nie mógł.

– A z wierzbowej kory proszek? – zapytałam.

– Diabelskie sztuczki – warknął, zły, że mu niewiasta mówi, co czynić.

Wyprostowałam się.

– Ja chcę. Dajcie. Ja przed królem mówić o tym będę.

Gorączka po proszku pięknie zelżała, ale Barbara zaczęła skarżyć się na ból.

– Gdzie? – zapytał medyk.

Cały dwór pochylony nad panią czekał jej odpowiedzi.

– Tutaj... – wyszeptła, wskazawszy łono.

Nikt nie poruszył się, ale każdy wiedział, co znaczyć to mogło! Niektóre niewiasty płaczu strzymać nie mogły. Wyjść im kazałam. Medyk przysiadł poblady. Ja za nim. Cóż mnie było robić?! Kto od śmierci niechybnej królową uratuje? Co w ogóle uratować ją mogło?! Barbara wodziła za mną wzrokiem wystraszona. Poderwałam się. Wilczyńska! Jedyne człęk do głowy mi przyszedł, który pomóc potrafił! Wybiegłam do sieni i na krużganki. Zbiegłam po schodach i dopadłam pokojowców w moim domu.

– Spieszyć się trzeba – szepnęłam do chłopca z węzowym pierścieniem na palcu. – Zaraz... pismo... – Łapałam oddech.

Po chwili biegł do miasta, a ja do Barbary. Na przemian z Krzyckim uśmiechałam się do niej i co raz poklepywałam ją po dłoni. Zdało mi się, że

trzy razy dłużej czekałam na matronę niż ostatnim razem! A jeśli gdzie u kogo innego jest? A jeśli wyjechała albo nie żyje?! Nie mogłam spokojnie usiedzieć w miejscu. W końcu przyjechała! Jak ostatnio z wysoko uniesioną głową wkroczyła do wielkiej sypialni królowej. Naraz cofnęła się, zmarszczywszy nos.

Medyk poderwał się ze stołka na widok niewiasty.

– Co to jest?! Co ona...?! – krzyknął. – Tutaj?! Ona? Kat powinien ją witać, nie królowa! – wrzeszczał. Wyszarpał spod czarnej szuby list od Zygmunta i machał nim przed memi oczyma. – Ja od króla mam przykazanie przy królowej stać! – Rozłożył pismo i czytał, krzycząc:

Wielebny miły ukochany! Z rodzinnego poświadczenia tę o tobie opinię powzięliśmy! I w tych rzeczach, które wymagają w stosunku do nas twojej wierności, biegłości w sztuce i dokładności służbowej i sądzimy, że nie potrzebujesz naszych upomnień!

– Nie potrzebuję! – powtórzył, jakbym głuchą była.

Gdy jednak jesteśmy ogromnie zatroskani o zdrowie majestatu królowej, postanowiliśmy upomnieć się, żebyś w taki sam sposób, w jaki dotychczas zawsze sprawowałaś się, tak teraz dokładał wszelkiego pomysłu i troski, aby wszystko według naszego niewypowiedzianego pragnienia jak najpomyślniej się odbyło! Nie szczędź żadnych prac i czuwań w doradzaniu, co ocenisz za korzystne! My to wszystko przyjmujemy z radością i uznaniem!⁹⁴

– Uznaniem! – Potrząsnął listem i chciał dalej czytać.

– Panie, opuść nas – powiedziałam spokojnie.

Oburzony, porwał swą sakwę i wyszedł, prawie zrywając oponę w przejściu.

Wilczyńska, nie przejęta wybuchem medyka, do miski z wodą wsyłała coś i umyła ręce. Fraucymer obserwował niewiastę w ciszy. Przysiadła przy chorej. Pochwyciła jej bladą, bezwładną dłoń.

– Wymiotowała? – zapytała cicho.

– Tak – odparła Szydłowiecka. – Dużo.

Wilczyńska, ku zgrozie zebranych w sali, zadarła koszulę królowej do piersi. Odór spod materii uderzył wszystkich jak młot. Dotknęła brzucha i zaraz z powrotem opuściła gieżło. Wstała, podeszła do okna i wyraźnie poruszona rozejrzała się po zebranych.

Podeszłyśmy do niej z Szydłowiecką.

– Jest jakie wybawienie? – zapytała cicho Zofia, by nikt nas nie usłyszał ze dworu.

– Jest. Śmierć – powiedziała głośno Wilczyńska.

Panny uderzyły w płacz. Matrona wyszła, ja wybiegłam za nią.

– Stój, niewiasto! Cóż to mówisz! Z królowej drwiesz?! – krzyczałam. Byłam zła i płakać mi się chciało.

Zatrzymała się i odwróciła do mnie.

– Ona umrze. Będzie wymiotować więcej, krwawić i flegmą ronić. Łono będzie jej gniło, bolało tak, że módl się, pani, by szybko umarła.

– Podejdz. I na Boga, ciszej! – Złapałam ją za połą szuby, kiedy spełniła me życzenie. – To nic nie zrobisz?! Masz pomagać! Przysięgałaś. Jak wy wszyscy! – Dygotałam ze strachu i złości.

Spojrzała na mnie hardo.

– Jest jeden sposób, by ulżyć królowej w cierpieniu.

– Mów. – Pociągnęłam ją mocniej za drogą szatę.

Wyjęła z ukrytej kieszonki buteleczkę. Patrzyłam na nią jak na najcenniejszy klejnot.

– Co to jest? – szepnęłam.

– Trucizna. – Wcisnęła mi w dłoń fiolkę, szarpnęła szubę i wyszła na schody.

Mogłabym kazać łeb uciąć tej znachorce za samo mówienie o otruciu królowej! Sama nie wiem, czemu zacisnęłam dłoń na buteleczce i schowałam ją w rękawie, zamiast w ogień rzucić! Paliła mnie tak, że nie mogłam ruszać ręką. Sztywna usiadłam przy Barbarze. Ktoś podał list do niej od Zygmunta. Sama odczytałam arkusik:

(...) prosimy ją, żeby zechciała (...) najdokładniej o swoim zdrowiu nas upewnić. Jej wieczystej miłości wielokrotnie (...) się polecamy, pragnąc, aby cieszyła się szczęśliwym zdrowiem.⁹⁵

*

Barbara krzyczała. Skurcze trzewi tak były straszne, że wyrzucały z niej morze krwi i innych cuchnących flegm. Kiedy nie krwawiła, to znowu torsje i gorączka nią targały. Krzyczała, gdy kto nieostrożny brzucha jej tknął, kiedy prześcieradła zmieniał, by zakrwawione i brudne w ogień rzucić. Krzyczała we dnie i w nocy. Byłam przy niej, bo zdało mi się, że muszę, że jak mnie tam nie ma, to ona się boi i myśli, że jest sama... Ludzi tłum stale był przy niej. Ale bezradny, głośny i przykry. Raz spazm taki ją chwycił, że wygięła się w łuk i drżenia nóg zatrzymać nie mogła. Wpatrywała się przy tym we mnie bezradnie, słowa dobyć nie mogąc. Wtedy tylko raz ją opuściłam. Wybiegłam daleko, do Kurzej Nogi, opadłam pod stół między krzesła i gotowa byłam jej trucizny zadać, na własną zgubę, a dla jej ulgi! Wyjęłam buteleczkę spomiędzy piersi i patrzyłam otepiała na grzech swój w drżącej dłoni. Modlić zaczęłam się do mej matki, by ulgę na Barbarę spuściła, bo ja już nie umiałam nic zrobić! Płakałam pod stołem, póki znowu mnie doszedł pełen żalu jęk królowej! Poderwałam się,

otworzyłam okienko i wyrzuciłam daleko przed siebie pokuszenie! Zdało mi się, że zaraz kto najdzie truciznę, odkryje, kto ją w ręku miał i co chciał uczynić! I głowę mi zetną! Kolejny straszny jęk kazał mi wrócić do chorej i do przytomności jakiej. I jeno siedzieć i modlić się. Bo nic nie umiałam, nic uczynić nie mogłam!

Dzień jeden lepszy nastał, kiedy spała więcej, niżli krwawiła i płakała. Czytałam jej słowa króla, by pocieszyć, a może ulgę przynieść:

Wszystkie traktaty (...) według zamiarów naszych zostały ułożone (...) Gdy już prawie nic nie pozostało, co nas mogłoby zatrzymać, postanowiliśmy za przychylnością Bożą, w najbliższy dzień poniedziałkowy stąd wyjechać i prostą drogą do Waszego Majestatu się udać (...)⁹⁶.

– Słyszysz?! Słyszysz, Barbaro? Król zjeżdża! – mówiłam, ocierając spękane od gorączki usta cierpiącej królowej.

Odwróciłam się, bo kto machał do mnie. Podeszłam do przybyłego posłańca.

– Król szybko nie zjedzie. Na Dunaju powódź.

*

Sierpień nastał, król tęskne listy słał. Królowa leżała już tylko, jedzona gorączką tak straszna, że raz leżała jak martwa, raz siłę taką jej dawała, że zbiegała z łoża i uciekać gdzie na mury chciała. Żałość nas brała i rozpacz, bo zdało nam się raz, że lepiej i dla króla wstanie, a raz znowu, że pomarła.

Nie wychodziłam z jej komnaty, ni Krzycki, ni Szydłowiecka, ni Ciechanowska. Jakbyśmy co patrzeniem zrobić mogli... głupcy.

Straszne były te dni, gdy czekałam króla, a on nieświadom, jak źle jest, takie małżonce listy słał:

(...) albowiem szybko z Bożą łaską nadlecimy, aby się cieszyć najśłodszym widokiem⁹⁷.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy zjechał. Słyszałam już tubatores i heroldów, słyszałam już niespokojny, pytający głos Zygmunta na krążgankach i ryk jego zwierzęcy, kiedy zwiedziało się i kiedy jak ten ranien niedźwiedź w sieć złapany jął roztrącać dworaków, by dopaść łoża Barbary.

*

Matka powiadała, że jedno nieszczęście karmić się musi drugim, i tak też było. Królowa umierała, a szóstego września umarł pan Kościelecki, przyjaciel mój. Chory był jeszcze w Bratysławie. Prawie umarłego z Pożonia zwieźli i nie polepszało się. Ludzie z domu jego mówili, że testament w drodze już spisał. I nie choroba zwykła go zabrała, jeno jakaś... duszna. Gryzł się i marniał sieczony obmową i złymi spojrzeniami. Jako człek prawy nie wiedział, że to jeno zawiść języki złe szarpała, bo niejednen chciał ożenić się z Telniczanką, przez co majątek i wieczną wdzięczność króla by zyskał!

– To teraz plugawcy cieszyć się mogą! – zawołałam z żalu. – Szydłowiecki przecie w Pożoniu nawet przeciw niemu szczał tak, że cesarz najszlachetniejszego człeka w Koronie do stołu nie zaprosił, że Kościelecki niby mąż cudzołożnicy!

– Szydłowiecka mówi, że to jeno krotochwile, śmiechy były... – powiedziała Ciechanowska.

– I krotochwila, jak widać, zabić człeka może!

Przysiadłyśmy obie w smutku pogrążone. Po chwili wstałam.

– Pójdę, ostatni hołd przyjacielowi złożę.

Ciechanowska, która młodszą się nie stawała, poruszyła się ciężko.

– I ja z wami.

Nigdy nie była w domu, w którym mieszkał Andrzej z Katarzyną Telniczanką, żoną swoją. Weszłyśmy po krótkiej podróży kolebką do obszernej sieni bogato przysposobionego domu. Na ramiona zsunęłam chustę z głowy, kiedy sługa w czerni w cichości przeprowadził mnie do sali, gdzie leżał zmarły. Uderzył we mnie silny zapach kadzideł i widok zmarłego. Jak dziecko wyglądał. Mały, skurczony, biały na twarzy. Pokój dziwnie znajomy mi był, ale przecie nigdy tu nie byłam! Ujrzałam prosty drewniany stolik pod małym okienkiem, na nim nóż i resztki suchego chleba. Pod ścianą starą, wąską kawalerską ławę. Uklękałam do modlitwy. Cóż za życie wiódł? Kimże był ten człek niezłomnych cnót, a dający się łamać byle słowom głupich...

Nagle poczułam, że ktoś za mną stoi. Przygląda mi się. Odwróciłam się. Za mną stała śliczna panna w czerni. Każden rozpoznałby w niej córę Zygmunta. Regina najstarszą siostrę moją Jadwigę z konterfektu, jaki znałam, mi przypominała. Śniada, o oczach i spojrzeniu mego ojca, o włosach mej matki. Chciałam przemówić, Ciechanowska pomogła mi się podnieść. Regina wyglądała, jakby uciec chciała. Uśmiechnęłam się i podeszłam do odrętwiałej młódki.

– Podobna jesteś do dziadów swoich – powiedziałam cicho.

– Po prawdzie to mówicie, pani? – Spojrzała poruszona.

Pochwyciłam jej warkocz, gruby i bardzo jasny.

– Po prawdzie, to my obie...

Nie dokończyłam, bo zobaczyłam, że drzwi do sąsiedniej ciemnej komory, lekko uchylone, rozwarły się odrobinę szerzej. Matka jej nas słuchała!

– Jeśli panna zechcesz, to nawiedzić mnie możesz – powiedziałam do panienki.

– Chciałabym. Katarzyna młodsza, a już w Budzie siedzi, a kto wie, czy do Wiednia nie pojedzie z królową Anną – zdążyła się pozalić.

Uśmiechnęłam się i wyszłam za moją ochmistrzynią. Drzwi się za nami zamykały, gdy obie wyraźnie usłyszałyśmy:

– Dała ci coś?

*

Odwiedziłam króla, kiedy ciskać przestał wszystkim, co mu w rękę wpadło i nie bałam się, czy zelży którego z nas albo mnie samą. Siedział przygarbiony, zapatrzonego w podłogę letniej izby.

Stałam przed nim i złożyłam dłonie.

Westchnął głośno.

– Wdzięczy ci jestem za opiekę nad nią.

– Zygmuncie...

– Jestem. A może na dobre jeszcze odmieni się? Przecie królem chrześcijańskim jestem. Bogu ufam. Nic przeciw niemu nie robię. Trzeba jeszcze posłać gdzie po leki? Po medyków? Do Ameryki⁹⁸?

Podeszłam i objęłam jego głowę. Uścisnęliśmy się bardzo mocno.

*

Król umyślił pochować podskarbiego koronnego na Wawelu. Wielu z tych, którzy nie przybyli na pogrzeb Andrzeja Kościeleckiego, zęby gryzli ze złości i zazdrości, a z tych, co przybyli, zamyślali, co zrobić, by król na ich pogrzebie był i na Wawelu jako zasłużonego pochował. Jeszcze inni wzroku oderwać nie mogli od ladaczniczki królewskiej w czerni, brzemiennością do tego zmienioną.

Zygmunt stał w katedrze zapatrzony gdzie przed siebie. Może zamyślał, że niedługo przyjdzie mu drugi pogrzeb urządzić?

Na cichej konsolacji po uroczystości pochylił się do mnie Koszyrski.

– Słyszałaś, pani, że nasz zacny pan Kościelecki odmówił przyjęcia z rąk cesarza tytułu hrabiowskiego?

– Słyszałam. Cały Wawel o tym mówi.

– Może dlatego na wielką ucztę nie był zaproszony?

– Może.

– A Szydłowiecki przy stole cesarskim siedział.

– Cóż to powiedzieć chcecie?

– Że może przyjął co od cesarza...

– Dowiemy się w czasie. Zygmunt wie?

– Dziwne, żeby nie wiedział albo czego się nie domyślał.

– Czego?

– Że piękny pan w szerokich beretach to szpieg.

– Och, panie Koszyrski, król sam pokochał cesarza Maksymiliana i pono wzajemnie. Cesarz uznał pokój toruński, nakazał hołd złożyć wielkiemu mistrzowi przed królem polskim, a sam pożenił małych Habsburgów z jeszcze mniejszymi Jagiellonami z Budy.

– Znaczy to, że pan nasz skłania się ku Habsburgom?

Upiłam łyk wina.

– Znaczy to, że brat mój jest królem.

Odwróciłam się w stronę Zygmunta. Nie jadł, jeno rozglądał się po jedzących i pijących. Wdowa po Kościeleckim odsunęła z twarzy welon. Zaróżowiona i piękna mówiła coś do siedzących obok niej, przerw nie czyniąc. Zmarły mąż ostawił fortunę jej i dzieciom. Pamiętał nawet o tym nienarodzonym. Zresztą jak i król.

*

Jesień łagodna trwała, a z nią dni ciepłe i dla królowej tak łaskawe, że raz Małgorzata Gorczyńska wpadła do mnie rozpromieniona, a wraz z nią bicie dzwonów z miasta:

– Pani! Królowa dźwignęła się i ubrać się nakazała! Król na radość w dzwony bić każe!

Poderwałam się i wybiegłam za dwórką. Dźwignęła się?!

– Po prawdzie, Małgorzato?! Odzienie nałożyła? Suknię?!

– Nie dość, że ubrana, to do stołu zasiadła! Król woła, że na pielgrzymkę pójdzie dziękczynne pokłony przed Panną Niebieską za łaskę złożyć!

– Boże dobry!

Wbiegłam po wąskich schodkach, bo radość mnie niosła, do jadalni królowej. Zatrzymałam się w progu sali, bo jeno króla przy stole zastałam. Podniósł łyżkę srebrną i oglądał ją w blasku świecy. Wolno, bez nijakiego dźwięku odłożył na stół i spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Zdało jej się coś i mnie się zdało... – Wstał. – Każ, siostró, dzwonom zamilknąć.

Wyszedł. Na krześle królowej ujrzałam czarną, dużą plamę.

Paroksyzmy nią targaly. Trudno było można znieść jęk niosący się nieustannie z niewieścich komnat. I zapach... A bardziej jeszcze to, że nijak pomóc nie można było. Zygmunt najpierw zbudowany nadzieją ozdrowienia małżonki, a potem złamany całkiem pogorszeniem jej zdrowia albo przez ból głowy tkwił w pościeli, albo spał opity swoimi syropami. Jadwinę i maleńką, cichutką Annę wywiozłam do Niepołomic.

W drodze powrotnej pomyślałam, że ja wcale nie chcę wracać... Ani do domu, co jeno ze smętków znany, ani na zamek, gdzie śmierć i ból bałam

się zastać. Ponure niebo przyciągało ponure myśli. Co z królem będzie? Pewnie go ożenić zaraz zechcą. Przeżegnałam się na myśli przedwczesne i straszne. Wrócić trza. Bo gdzież indziej? Spojrzałam na starą Ciechanowską, która też niedługo pewnie mnie opuści. Wszyscy mnie opuszczali. Nawet kocur matki zaginął i bardzo źle fotel bez niego wyglądał... I ja zemrę w tych smutnych wspominkach, w tym domu po mej matce, w tym miejscu nieszczęściem znaczone, wmawiając sobie, że po coś, do czegoś komuś jestem potrzebna i to, co robię, jest ważne.

Wysiadłyśmy na wzgórzu, pod naszym domem. Podałam rękę starej ochmistrzyni, prawie do ziemi już przygiętej, jakby Bóg tylko tam zezwalał jej już patrzeć.

– Cisza. To dobrze. Znaczy żyje... – Zatrzymała się i mówiła zwrócona w stronę zamku Ciechanowska. – Ale... – Wsparta na ramieniu Gorcewskiej, wychyliła się z wysiłkiem w stronę budynku bramnego. – ... Kto zajechał? Kolebki zacne widzę.

– Wejdźmy. Zmęczona jestem. Napijmy się czarnego gdańskiego – ponaglałam kompanię. Ciche, zdrożone panny i matrony zasiadły w kuchni. Nikt sił ni ochoty nie miał do wspinania się na piętro, układania, drapowania sukien, śpiewania, czytania i trzymania pleców prosto.

W końcu sama poszłam na górę zdjąć mante. Odpięłam najsamprzód chustę pod brodą i sięgnęłam po list leżący na opróżnionym ze wszystkiego stole. Ktoś pochował moje karty, papier, pióra i inkaust. Usunął księgi. Jeno list bielił się na środku, przyzywając mnie do siebie. Wpatrywałam się w pieczęć, a serce tłukło się we mnie coraz mocniej. Nie mogło to być! Nie mogło! Fryderyk! Tyle lat czekałam tej pieczęci, aż wieczne prośby i modlitwy jak te listy zaczytane starły się w mych myślach w proch. Nie ostało po nim przecie już nic!

Przysiadłam. Umarł! On też?! Bałam się otworzyć pismo. W końcu zajrzałam do środka.

Czytałam i czytałam po raz wtóry, trzeci i dziewiąty...

Zwiedziałem się, że najcięższe terminy na dom twój i Ciebie spadły. Takem o tym zamyślał i troskać się zaczął, że już dłużej nie ścierpię i pragnę mieć nadzieję, że mnie jeszcze nie przekłęłaś i może głupim jestem, ale śmiać się możesz, bo afektu nigdy do Ciebie się nie wyzbył. Jeno mnie wstyd było, kiedym zwątpił i bałem się, że za Mołdawianina pójdziesz. Sromota nie pozwalała mi się odzywać. Nie ożeniłem się, bom sobie nie wiem co zamyślał. Teraz pytam, czy rękę swoją ponownie mi darujesz jako serce swe najczystsze? Zgodę brata twego, a ufam, że i wkrótce mego, już dostałem.

Siedziałam tak, futra nie zdjawszy, póki mi królewskiej barwy pokojowiec nie przerwał:

– Król prosi do siebie, bowiem posłowie swadziebni zjechali ze Śląską o zgodę na zamążpójście wasze za Fryderyka legnickiego prosić.

Nie wiem, kiedy fraucymer zjawił się na górze i wszystkie z rozdziawionymi ustami czekały mej odpowiedzi.

– Idę – odpowiedziałam. – Idę... – mówiłam do panien jak otumaniona. – Zdrajcy niechaj ode mnie pluną w twarz!

– Nie można tak! Jeśli odmówić chcecie, to godnie i rozumnie! – wołała za mną Ciechanowska.

Zbiegałam już po schodach. Odmówię! Dziesięć lat tęsknicy, sromoty i niewiary, zapomnienia. Za jeden list mam być wdzięczna? Za jeden list mam paść ze szczęścia u stóp zdrajcy! Biegłam przez podjazd, pod budynkiem bramnym, przez krużganki, trącana przez ciekawskich dworzan.

Jeden pytał drugiego: Kto to zjechał? Z czym? Do kogo? Do niej? Przepychałam się do komnat króla, gotowa byłam krzyczeć!

Zdyszana zastałam w sali rozrzewnionego Zygmunta, Szydłowieckiego, Krzyckiego i trzech gości, bogato odzianych panów. Jednego, biskupa Thurzo, jeno rozpoznałam. Poprawiłam rękawy i dotknęłam przepaski.

– Cóż zatem, pani? Wolę masz wyjść za pana naszego? – zapytał jeden starzec spośród gości.

Wszyscy wpatrywali się we mnie z najwyższą uwagą. I król, i Szydłowiecki, i Krzycki i obcy.

Chciałam krzyczeć: Nie wyjdę za mąż! Zdradził mnie! Opuścił! Ostawił samą! A miłowałam go! Miłowałam... Miłowałam...

– Odpowiedz, siostró – przemówił łagodnie brat i aż wychylił się w moją stronę.

Słabość mnie dziwna nawiedziła, myślałam, że nie ustoję! Członki zdały mi się dziwnie ociężałe...

– Ponieważ widzę w tym – usłyszałam własny głos – wolę Bożą i najjaśniejszych moich braci, zgadzam się na wszystko, co ich królewskie mości postanowiły w tej rzeczy⁹⁹. – Uniosłam na brata wzrok, roześmiałam się i łzy spłynęły mi po twarzy, wreszcie nietajone.

Zygmunt zapłakał wraz ze mną, porwał mnie w ramiona, a ja szlochałam mu w pierś:

– Miłowałam, miłowałam go zawsze! Miłowałam! Miłowałam! Miłowałam!

– Wiem, wiem... – szeptał mi do ucha.

*

– Jak to już? – pytałam niedługo potem poruszona na skromnej cenie w mym domu.

– W listopadzie. Na cóż czekać? – Zygmunt uśmiechał się. Pochwycił mnie za dłonie. – Szczęścia najwyższego siostrze umiłowanej życzę! – Zapłakał znowu tak, jak pijani już posłowie i Ciechanowska.

Fryderyk listy słał, jak kiedyś, co dnia. Odpisywałam, jakbym ze snu złęgo powstawała. Na nowo wypatrywałam listów od świtu, choć już wiedziałam, że z niczym kryć się nie muszę, a za niedługo wyjeżdżam do domu umiłowanego męża. Suknie nowe szyłam, ciesząc się i nie wstydząc mej płocności. Wszystko nagle zdało mi brzydkie i niezdatne w nowym domu, oprócz chusty mej matki i starego fotela pana ojca. Jechałam! By żyć od nowa!

Jedynie myśli o Barbarze i widok smutnej twarzy mego brata szczęście własne me mąciły. Zaszłam kiedy do niej nocą, dni zaledwie parę przed wyjazdem. Uderzył mnie mdły i ciężki zapach rychłej śmierci. Jakby za oponą ze złotogłowiu inny świat istniał, w którym żyli inni ludzie.

Krzycki siedział przy śpiącej pani. Łapała ciężko oddech, tak że głowa ciągle spadała jej z poduszki, a czuły kanclerz co raz delikatnie układał ją z powrotem. W końcu wziął królową w ramiona i trzymał jak matka dziecię, gotów tak siedzieć całą wieczność. Barbara poruszyła ustami.

Krzycki spojrzał na mnie.

– Wyjeżdżasz, pani – powiedział, by powiedzieć cokolwiek. – Ostawiasz nas. – Uśmiechnął się blado.

– Tak. Dni liczę.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Zawszem wiedział, co powiedzieć, a pierwszy raz nie wiem co... – Zaśmiał się krótko. – Śląsk bogaty.

– Tak mówią.

– Książę uczony, uniwersytet w Legnicy zamyśla. Pono ziemie jego dziurawe od kopalń złota i srebra.

– Też tylko słyszałam.

Krzycki chciał poprawić królową na rękę i co powiedzieć, ale zamarł wpatrzony w jej rozwarte oczy i w końcu spojrzał na mnie poblądły jak płótno.

– Jezusie, umarła. No, umarła!

Przerażona poderwałam się i opadłam przy łożu królowej. Pochwyciłam jej białą dłoń usianą niebieskimi żyłkami. Martwa patrzyła na mnie jakby zadziwiona tym, co nastąpiło. Opadł jej czepeczek z głowy.

– Zygmuncie! Zygmuncie!! Zygmuncie!!! – zaczęłam wrzeszczeć i wybiegłam z komnaty.

*

Lud rozpacział po świętej, modlącej się królowej, a król po małżonce nieodżałowanej. Krzycki snuł się po kruzgankach i jeno gadał nieustannie do siebie i ludzi, że go głowa boli, że ciągle go po tym głowa boli...

Znowu dom mój, miasto i zamek pokryły się czarnym kirem. Jakby śmierć ostatnia nie lat temu dziesięć opuściła Jagiellonów, ale nigdy stąd nie odchodziła.

Ja jak wtedy patrzyłam przed siebie na miasto i jak wtedy, dawno temu, za mąż miałam iść pośród śmierci. Czas było pochować Barbarę. Jej matka rozpaczliwe listy słała.

Modliłam się u rodzicieli, kiedy Jadwiga cieszyńska zjechała na pogrzeb i zażądała otwarcia trumny. Wyjrzałam, kiedy weszła do katedry wolno z wysoko uniesioną głową, obleczona w powłóczysty czarny, gęsty welon. Odtrąciła dłonie, które wesprzeć ją chciały. Nie widziałam jej

twarży, nie słyszałam płaczu. Barbara biała, ciasno otulona welonem leżała w kaplicy Wniebowzięcia, bardziej do gałganka podobna. Malutka i niemal przezroczysta. Nie patrzyłam już na księżną Jadwigę, ale wpatrzona w Chrystusa na krzyżu wiedziałam, kiedy ujrzała zmarłą córkę, bo usłyszałam jej krzyk. Ukryłam twarz w dłoniach. Krzyczała jak kiedyś moja matka, gniewnie, rozpaczliwie, bezradnie! Nie wychodziła z kaplicy o własnych nogach. Złamaną, rozkrzyczaną księżną cieszyńską z katedry synowie wlekli pod ramiona.

*

Kilka dni potem zebrałam czarną suknię i poszłam pożegnać Zygmunta, bo nastał czas wyjazdu mego do Legnicy. Żal świeży krążył po dziedzińcu, krużgankach i komnatach niczym zły wiatr. Ciągle ścisnął piersi i trzewia. Ciągle zmuszał wszystkich do szeptu, jakby mowy zwykłej nikt z siebie dobyć nie mógł, by zmarłej ze snu, który wreszcie jej ulgę przyniósł, nie obudzić. Kiedy weszłam do sieni, usłyszałam głos królewski dyktujący fragment listu:

...Weszła na drogę każdego bez wyjątku ciała... Wejdz, Elżbieto – dokończył na mój widok. – Egzekwie trza odprawić... Wszystko zarządzić...

Przystanęłam pod oknem i patrzyłam hen, przed siebie. Lśniąca, gruba wstęga Wisły niosła tratwy i flisaków, którzy dzięki nurtowi łaskawej rzeki mijali obojętnie ten grób za murami. I ja wiedziałam, że zaraz stąd odjadę i strasznym mi było, że cieszy mnie to. Miłowałam przecie Barbarę, to jego Kocię!

Za oknem wirowały, miast liści, papierowe skrawki z drukowanymi słowy Krzyckiego¹⁰⁰ na cześć królowej, rzucane raz za razem z dachów

kamienic. Krążyło ich tyle, iż zdało się, że to śnieg gruby z nieba leci.
Otworzyłam okno i pochwyciłam mocno jeden płatek.

Usiadłam i czytałam.

Także to pani nasza, zostawiasz nas w smutku?

Tak opuszczasz królestwo i zbolełe serca,

Małżonka kochanego i ten tu świat miły?

Płaczą po tobie biedni, płaczą i sieroty,

Których biedzie prawica Twoja ulgę niosła.

I zasmuceni słudzy, cały twój dwór płacze

Widząc, że swej największej pozbawiony chluby.

W zamęcie wszystko, w żalu upadają serca

(...)

Lecz cóż żale nieszczęsne me na wiatr rzucane,

Gdy Lachesis litości żadnej przystępna

I gdy boleści takiej też już i słów braknie?

Jednak, aby człek obcy wiedział o twym grobie,

Z gorzkim jękiem twój sługa tę pieśń ci poświęca.¹⁰¹

Odłożyłam papier na stół. Zygmunt odesłał pisarza.

– Wyjeżdżasz – oznajmił.

– Jeśli zechcesz, ostanę. Czekaj dziesięć lat, poczeka jeszcze...

– A jak nie? – Uśmiechnął się delikatnie.

– To drugi raz się niegodnym mnie okaże.

Nie roześmiał się.

Powstał i zaczął krążyć po komnacie.

– Jedź, siostrze. Choć ty opuść tę ponurą kaplicę. Chociaż ty...

Podszedł do wyjścia, bardzo blisko. Nagle wydał z siebie ryk i z potężną siłą wybił pięścią wielką dziurę w drewnianych drzwiach!

Patrzyłam wystraszona, ale Zygmunt, jakby nic się nie wydarzyło, dyszał chwilę, rozcierając poczerwieniałą pięść, by usiąść z powrotem i znowu zacząć co pisać.

– Jedź – powiedział. – Albo zaczekać możesz i ze mną w pół drogi ujedziesz. Mnie czas do Sandomierza. Córy muszę zabrać. Pono nowa zaraza idzie.

Powstałam, by na zawsze opuścić dom mej matki i Wawel. Ktoś za zniszczonymi drzwiami spojrzał ostrożnie przez wybitą dziurę.

*

W towarzystwie panien, panów, marszałka koronnego, wojewody poznańskiego, pana Latalskiego, dawnego kanclerza mej matki i biskupa wrocławskiego Thurzo opuszczałam o świcie moje umiłowane miasto. Dotąd odwlekałam pożegnanie z panią Ciechanowską, bo nie wiedziałam, co powiedzieć, by dobrze i godnie było. Zapis jej zrobiłam, by nikomu służyć nie musiała, nawet krewnym. Mogła jechać ze mną, ale nie chciała. Stałyśmy teraz naprzeciwko siebie przed kolebką, a ta głupia przestać płakać nie mogła! To stałam i też płakałam. W końcu wyciągnęła ramię po małą Gorkczyńską i pchnęła przed siebie. Małgorzatka podała mi mały koszyczek. W środku siedział bury kociak!

– Ja mam drugiego! – zawołała Ciechanowska i wreszcie wpadła w moje ramiona.

Mimo zimna i wczesnej pory lud gromadnie wystąpił na królewską drogę. Pozdrawiano Zygmunta, podziwiano jego córy i płakano rzewnie nad ich losem. Dobre słowa słyszałam od mijanych, szczęścia życzyły

postacie w czerni przybrane. Pochód mój zdawał się konduktem, bo taka była wola Boga.

Kiedy mijałam rynek, dech wstrzymałam, bo zdało mi się, że twarz znajomą widzę! Męża ujrzałam w godnym stroju o jasnych włosach... Baltazar! Chryste! Musiałam się obejrzeć! I obejrzałam! Chyba jako jedyna królewna w dziejach spojrzałam za siebie! To on! Uśmiechał się i uniósł rękę w geście pozdrowienia! Mój Baltazar! Śmiałam się do siebie, a łzy leciały mi po twarzy!

– Stało się co? – zapytała Szydłowiecka.

– Tak, Zofio. Mogę wyjechać. Wreszcie mogę odjechać, Zofio.

Uścisnęła mą dłoń i wyjechałyśmy za mury.

W połowie drogi pożegnałam brata. Umiłowanej siostrzenicy nie mogłam! Nie mogłam, bo umarłabym z żalu albo nigdy do Legnicy nie dojechała!

– *Amita! Amita!* – krzyczała Jadwiga za mną, wychylając się z wozu.

*

Szlak do Olkusza, mimo że handlowy, w błocie trwał takim, że dzień cały kolebki moje nie jechały, jeno sunęły nad mułem głębokim, podpierane ramionami pokojowców. Ruch prawie zamarł, uwięziwszy wielkie handlowe wozy, ciągnące ze wschodu na zachód i odwrotnie. Nocą, mimo lamp, nijak się jechać nie dało i razem z Bonerowymi wozami ciągnącymi do Kolonii stanęliśmy kołem, by w ciepłe zasnąć.

Świt, prowizorzy i serce kazało mi ruszać dalej. Droga lepsza, bo bardziej sucha cieszyła wszystkich, póki o zachodzie nie ujrzelśmy popiołów niedawno pochłoniętego przez ogień Bitomia¹⁰². Odór spalenizny ciągle otaczał pozostałe z zasobnego miasta kikuty kominów i nagie, czarne wzgórze świętej Małgorzaty z ruinami zamku. Jakiś ruch niemrawy toczył

się u domostw. Cisi i obojętni na nasz orszak ludzie pracowali, by co ocalić do nowego życia.

– Chyba tutaj nie staniemy – powiedziałam ze smutkiem do Latańskiego.

– Nie ma gdzie. Nawet zamek nie ocalał. – Wskazał na wzgórze.

Grupka brudnych dzieci z ciekawością podbiegła do konnych, napraszając się jałmużny.

– Zwiedzić się każcie, czy to pogorzelnice bez matek i ojców. Jak tak, to wybierać. Do parafii pójdą albo wezmę ja. – Spojrzałam w stronę zamku. – Jeśli pan ich nie będzie miał co przeciw.

Konny podał mi list. Spojrzałam w stronę słońca, znaczącego mą drogę ku Fryderykowi.

– I dziś spoczniemy w lesie.

Nocą dopiero, w wygodnym i ogrzonym namiocie przeczytałam pismo od ukochanego. Nazbierałam w podróży ich więcej niż dawniej, kiedy jeszcze matka żyła.

Naprawdę mnie miłował cały ten czas? Możliwe to? Możliwe, jeśli ja sama... Ale to nie niewiasta, która taić musi afekt, by potępioną nie zostać. To nie wyrostek, panek, wzdychający do białości. Zaprawdę wstydział się? Prędzej bał. A może ślub gdzie indziej planował! Prędzej to może być! I teraz zwrócił się tam, gdzie go zawsze czekali... Może nie powinnam była... Ale te listy... Och, zawsze pięknie pisał! Głupiaś, Elżbieto! Głupiaś! Wstałam. A co mnie lepszego spotkać mogło? Czy w ogóle co jeszcze spotkać mnie mogło? Dom mnie mierzył, zamek i duch jego ponury przerażał. Ułożyłam się na niskiej ławie. Zawsze przecie wrócić mogę... Że wstyd? I ze wstydem się znamy... Zamknęłam oczy.

Biskup wrocławski Jan Thurzo, syn burmistrza Krakowa, dawny rektor Akademii Krakowskiej, poseł swadziebny, dopiero pod Opolem, kiedy minęliśmy spichrza, ogrody i młyny, raczył się do mnie zwrócić.

– Lasy tu wycieli wokół miasta.

– Po cóż to? Na siedziby? Pożar jaki był?

– Pożar zawsze jaki jest, ale to przez ludzi. Las tak blisko murów był, że ludek tam pasjami na schadzki skakał! – Zachichotał jak dziewczka. Krągły jak kulka, kiedy śmiał się, dygotał cały. Dobrze, że miał sztywny i wysoki kołnierz ze złotogłowiu, bo uwięziony tam wielki podbródek trząsał mu się tak, jakby wylać się miał na szatę. – I przez rozpustników rada miejska las wyciąć kazała! – ciągnął drżący ze śmiechu. Nagle zamilkł. – Myślałem, że to pannę rozbawi.

– Po cóż mnie bawić?

– Panna do męża jadąca radosną być powinna. – Wbił we mnie czujne małe ciemne oczka.

– Jestem radosna.

Wydął usta.

– Zwątpienie to nie grzech, ale postaraj się je pani nieco ukryć.

Zimno mnie przeszło, jakby wypowiedział to, co pomyśleć nie śmiałam.

– Ja... – zaczęłam.

– Nie grzech. A teraz wy mi co zabawnego opowiedzcie.

– O wycinaniu lasu?

– Może być o wycinaniu.

– Nic nie wiem o tym.

– To co innego. – Patrzył wyczekująco.

– Duchowni to ludzie ubodzy.

Znowu zaczął chichotać.

*

Na noc dziewiątego dnia podróży stanęliśmy wreszcie pod Wrocławiem. Dzień wcześniej minęliśmy brzeski zamek z kwadratową, wpół zwaloną wieżą i nie zastaliśmy Jerzego pana brzeskiego, brata Fryderyka, któren jak zwiedziałam się, czekać mnie miał w Legnicy z nowo poślubioną Anną, córką mej siostry, też Anny.

Przed świtem już siedząc w siodle w orszaku, wpatrywałam się w parujące gęste mgły unoszące się powoli znad szerokiej rzeki. Ciekawa byłam Wrocławia, który pono bogaty był jak Toruń albo jeszcze bardziej. Usiedzieć spokojnie nie mogłam, bo prawie w nowym domu byłam. Koń podrzucał głową, pochrapywał cicho, jakby i jemu moja niespokojność się udzieliła.

Ptactwo wszelkiej barwy, mnogie i krzykliwe, wzbilo się do pierwszego lotu. Pierwsze flisy w ciszy przesuwaly się po Odrze, kiedy mgły się uniosły, ukazując nam wielkie osiadłe na wodzie miasto. Rzeki wielkie, jakby na wiec za pradawnych czasów zjechały, niczym węże oplatały miasto, tworząc tysiąc wysp i wysepek. Dech wstrzymałam, kiedy słońce załśniło na murach, na stromych, czerwonych, ceglanych dachach domów. Czerwień, zdało się, zawładnęła miastem. Budowle inne niż w Krakowie, wyższe, zdobniejsze, kościoły surowsze, smuklejsze, z nagimi przyporami wznoszącymi się nad strome poszycia kamienic niczym ostre kości wielkich bestii.

– Jedźmy – powiedziałam w zachwycie.

Przed wozami wjechałam przez potężną bramę z barbakanem, ulicą już rojną i głośną na wielki plac z ratuszem zdobnym niby w koronki i rzeźbami osobliwymi. Jakby ten, kto ratusz stroił, miłował ten dom i miłował to miasto!

Ledwo słońce wstało, a kramy bogate od północy i biedne od południa jęły się zapełniać wszelkim towarem i dobrem, jakie widywałam w Krakowie. Wielkie paki od zachodu zaścielały bruk za ratuszem, woźnicowie z wozów handlowych próbowali pośród pokrzykiwań ustawić budy na wyznaczonym placu i pilnować, by drudzy miejsca swego przestrzegali. Jedni witali znajomków wśród śmiechu, inni jechali dalej albo wchodzili już do piwiarni. Jeszcze tylko karczmarz w czystym ubraniu usunął ze środka ostalego po nocy pijańca i głośno zapraszał odzianych w futra i grube szuby mężów, niewiasty i młodzieńców. Fletnista z wieży ratuszowej zaprosił ludzi na pierwszy posiłek, a ja mijałam rynek.

Każden, kto przy mnie jechał, nie odzywał się, jakby chłonał to, co uwidział. Trakty szerokie, kramy niezliczone, kamienice ciasno jedna przy drugiej pobudowane. Wielkie! Dwa razy takie jak w Krakowie! Karnymi rzędami otaczające place i każdą mijaną ulicę. Trzy- czteropiętrowe, szerokie, równo tynkowane, o szczytach po nowemu już zdobionych złotem i różnymi dziwami.

Orszak nasz wjeżdżał w wąską uliczkę, kiedy na ulicy równoległej, po drugiej stronie rynku, na cmentarz za bramą, pod wielki kościół z drewnianym czubem, zajechała kolebka nie mniej strojna od dwóch moich, wioząca matronę w żółtej sukni ze spódnicą w dwieście fałdek ułożoną i czerwonym czepcu tak szerokim, że prawie nie zmieścił się w wąskiej bramie.

– Kto to być może? – zapytałam Latańskiego.

– Nie wiem. Pewnie kto od Bonerów.

– Toż oni wszędzie składy mają?

– Wszędzie.

Ulica z mostem nad fosą prosto na zachód nas prowadziła, do bramy zdało się potężniejszej od tej, przez którą wjechałam. Ogromna, z dwiema

bastejami wiodła do Legnicy. Nie dziwota, że ojciec mój miasta zdobyć nie mógł, pomyślałam, rozglądając się po budynku bramnym.

Wyjechałam za mury, minęłam kolejną wodę i mocno ściągnęłam cugle. Fryderyk! Nie wiedziałam! Siedział w koniu i uśmiechał się. Utył. Ale tylko troszkę.

Podjechał i przywitał się, jako obyczaj nakazywał. Zdjął śmieszna czapkę z piórem. Ubyło mu sporo włosów od ostatniego spotkania. Latałski wymienił podarki z jakim innym panem i księżę zrównał nasze konie.

– Spóźniłaś się.

– Nie posyłałeś.

Uśmiechnął się.

– Utyłaś.

– Wyłysiałeś – odparłam równie uśmiechnięta.

– Co teraz?

– Jedźmy do domu. – Spięłam konia i pognałam przez otwarte pola.

*

Dzień cały jechaliśmy szlakiem suchym, pośród wozów i niezliczonych pieszych ciągnących na handel i do miejsc świętych prastarą *via regia*¹⁰³, która w łańcuch swój wplatała ziemie mego przyszełego męża i jego brata. Podziwiałam głośno ziemie obfite w stawy rybne, kuźnice i huty ukryte po lasach bukowych i cisowych. Mijaliśmy osady każdą jedną z karczmą, kościołem nieopodal i drogą szeroką tak, by duże wozy mogły się minąć. Zostawialiśmy za sobą domostwa gwarków i hutników nierzadko murowane, obrosłe domami komorników i czeladzi, ze studnią kamienną z kołowrotem, oborą przy domu i pyszną stodołą. Do tego z parkanem albo rowem. Im bliżej domu Fryderyka byłam, tym droga, która nas wiodła,

stawała się wygodna, zasobna w stacje i duże place, zdobiona młynami nawet o pięciu i więcej kołach kręcących się głośno i miarowo pośród rozległych dolin i wzgórz pokrytych gęstym futrem sosnowej zieloności.

– Zwierza tu pewnie dużo... – odezwałam się do przyszłego męża, kiedy usłyszałam sowę w oddali i ciężkie kroki za ścianą lasu.

– Za żywota mego łośia już nie widziałem, bo bagien mało. A niedźwiedzia to jeno na tej górze uwidzisz, ale jako kamienną rzeźbę – odpowiedział z żalem i wskazał samotną górę pośród równiny.

– Rzeźbę?

– Dziwne to miejsce, niechrześcijańskie. Co klasztor, zamek albo kościół powstanie, to go piorun razi.

Ze zgrozą spojrzałam na wysoką górę. Fryderyk zaśmiał się głośno i na chwilę pochwycił mnie za rękę.

– Niedługo dom nasz.

Uśmiechnęłam się i w milczeniu dojechaliśmy przed zmrokiem pod mury Legnicy. Dzwony, barwne zawieszania trzepoczące w słońcu, widziałam i słyszałam z daleka. Mury srogie i grube zdały mi się jak we Wrocławiu. Wolno, pośród radosnego korowodu legniczan wjechaliśmy do miasta, którego trakty, owszem nie brukowane, ale na porządnym dylach ułożone nie ustępowały w szerokości wrocławskim, a kamienice, choć wiele drewnianych, dostawały urodą i masywnością tym z wielkiego miasta.

Fryderyk mówił nieustannie i co raz w innym kierunku rękami wskazywał, niepomny na witających nas rajców, składane u stóp znaki cechowe górników, złotników, białoskórników, odlewników i innych.

Dostałam złoty puchar, futro bieluchne, szklane kolorowe szybki i tyle serdecznych uśmiechów, że łzy lejąc poruszona, ledwo widziałam.

– Fosy podwójne, po brzegi wodą wypełnione! Strumień! Klasztor! Klasztor! Klasztor! Kolegiata! – Fryderyk przekrzykiwał tłum. Naraz pokazał w lewo. – Kościół Świętego Piotra! Brama Złotoryjska, wyżej Chojnowska!

Otarłam łzy i rozglądałam się ciekawie, kiedy wzrok mój przykuła budowla na lekkim wniesieniu, o dwóch smukłych wieżach.

– Zamek... – powiedziałam wpatrzona przed siebie.

Fryderyk powiedzieć co chciał, ale z zamku wypłynął drugi korowód stokroć głośniejszy od miejskiego. Człek bardzo podobny do mego Fryderyka, o długim wąskim nosie i gęstej brodzie, siedział na koniu i krzyczał z dala, rozłożywszy szeroko ramiona. Obok jechała młoda niewiasta z grubym jasnym warkoczem przewleczonym z pleców na pierś. Anna Pomorska i Jerzy! Oboje w ciemnozielonych strojach, złotem haftowanych. Radośni i młodzi, poślubieni w maju.

Uściskom i łzom nie było końca. Toż przecie Anna, córka mej siostry, zmarłej niedawno od oparów wapiennych! Mąż jej, wygodnym chcąc uczynić nowy dom, wypadkiem uśmiercił ją ku swej rozpacznej niezmierzonej.

Jerzy wprowadził nas na rozległy, prawie kwadratowy dziedziniec, a stamtąd do ceglanego palatium, po stromych drewnianych schodach na piętro do olbrzymiej, sklepionej auli o dużych czterech oknach z kamiennymi ozdobami w przytulnych zakątkach. Salę szeroką na całe palatium rozdzielały wzdłuż trzy smukłe kolumny i wypełniały już stoły, kuszące pachnącym jadłem. Senna i najedzona podziwiałam tańczących, grających i śpiewających całą noc.

Na spoczynek wreszcie panny mnie wiodły, kiedy Anna zaróżowiona od nadmiaru wina szepnęła:

– Jutro będzie ślub, w dzień twej patronki, ciotko.

– Nie pojutrze? Kto zdecydował? – Zmarszczyłam brwi.

– Kaspar Schwenkfeld¹⁰⁴.

Zatrzymałam się w sieni na schodach, kiedy przeszliśmy przez aulę.

– Ten kacierz?

– To wielce zajmujący człek.

– Kto tak mówi?

– Mąż mój.

Pozwoliłyśmy się powieść wyżej, by przez tak samo wielką aulę przejść z całym orszakiem grajków, śmieszków i pań do innej sieni, za którą były moje dwie komnaty z małą komorą. Dwie dwórki pomogły nam się rozdziać i wtulone w siebie zasnęłyśmy z Anną od razu.

O świcie, wśród śmiechu Annę ubrano w pomarańczową suknię, a mnie nałożono szafirową spódnicę ze stoma zakładkami u pasa, obcisły stanik z wąskimi rękawami i krągłymi bufkami. Z nową modą kształciki nasze lamowane były perłami, tak jak brzegi rękawów i doły spódnic.

Włosy ciężkie zebrano w złote siatki i każdej nałożono złotą czapeczkę zdobioną, a jakże, perłami.

Stojąc niedługo potem w krągłej zamkowej kaplicy o dwunastu bokach, przy ołtarzu Jadwigi Śląskiej naprzeciw tego, którego czekałam dziesięć lat, zdało mi się, że to sen. Widziadło szatańskie. Że zaraz obudzę się w domu naprzeciw katedry, a cały Kraków i Wawel drwić będzie ze mnie i z mych widziadeł.

W końcu podałam dłonie Fryderykowi, w cichości przed biskupem Thurzo przysięgi złożyłam i zostałam żoną.

*

Po zaślubinach powiedziano nas na ucztę weselną, gdzie wszyscy zaczęli kichać od nadmiaru aromatów korzennych, co wesołość większą niżli wino wywołało. Jednak nie zapachy smakowite a wykwintne uznanie i zachwyty wywołały, jeno jeleń pośrodku sali na podwyższeniu z rozłożystym porożem ustawiony tak, by kopytami tratować dzika olbrzymich rozmiarów! Blask tysięcy świec po kandelabrach umieszczonych i w wielkich polikandylionach pełgał po złoconych rogach, kopytach i świńskich szablach tak, że zdało się, że zwierza oba żyją i walkę zaciętą toczą na oczach gości! Na znak kuchmistrza dwóch kucharzy podeszło do figur i rozorało im brzuchy, uwalniając z trzewi jelenia pieczone zające i pardwy, a z brzucha dzika dwanaście maleńkich pieczonych prosiąt!

Biłam jako inni brawo, odurzona widowiskiem.

– Fortunę mnie owi kucharze kosztowali! – zawołał mi do ucha zadowolony z teatrum małżonek.

– Nie wątpię... – wyszeptałam.

– Patrz zatem dalej – powiedział i dał znak podstolemu, który ze stołu na podwyższeniu jednym ruchem ściągnął złotogłowiową tkaninę, ukazując gościom kolejne dziwy.

Stół wyglądał jako raj kolorowy pełen barw niezwykłych, lśniących i jaskrawych. Jakby sam Bóg na życzenie mego księcia stworzył zwierza o głowie byka, tułowiu lwa i ogonie pawia! Straszne i nowe bestie ukazywały się za każdym razem, gdy podstoli zrywał insze tkaniny z odkrywanych stołów. Były i ryby o jastrzębich skrzydłach albo jedna w drugą włożone na kształt węża, co końca nie miał, w jednej części smażony, w drugiej gotowany, z ogonem pieczonym na niebiesko!

– Fryderyku, to jeść żal! – wyszeptałam, gdyśmy zasiedli na wysokich krzesłach za niezwykłym stołem.

– Pewnie w Krakowie nawet takich nie widziałaś! – zaśmiał się zadowolony.

Sięgnęłam po złotą różę i rozwarłam jej płatki, które okazały się zajęczym pasztetem.

– Nie – odpowiedziałam w zachwycie. – Wszystko to... – Chłonełam wzrokiem jagnięta klęczące między złotymi kwiatami, odziane runem prawdziwym i złoconym, a skrywające w środku galarety i mięsa wykwentne. Podziwiałam z ciasta figury diabłów, mężów i niewiast ustrojonych jakby prawdziwymi szatami.

– Wszystko dla mojej małżonki – dokończył i złożył pocałunek na mej dłoni.

Na widok ten chór głosów mnogich, a patrzących na nas zza stołów jednym głosem zawołał: Niech żyją! Niech żyją!, racząc się z głębokich pucharów wybornym winem cypryjskim, włoskim, hiszpańskim i węgierskim.

Pochylił się do mnie biskup Thurzo.

– Wszystko to zacne.

– Och, osobliwe! – odpowiedziałam urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od żywych ptaszków uwolnionych spod warstwy ciasta szybujących świergoczącą chmarą pod sklepienie. – Nie mówcie, że wam się to nie widzi!

– Nie! – burknął.

– Jakże to? – zapytał, wychyliwszy się zza mnie, Fryderyk.

– Tyle tego, a wszystko nie dość, że malowane, to podpisane! Nawet głupi pasztet! Tak że zanim wszystkie inskrypcje odczytam, obejrzę dziwy, to z głodu zemrę. – Westchnął posmutniały. – Och, zawołał nagle i wyciągnął dłonie po wielką miskę. – Pirogi z bakalią! Wreszcie co zwykłego, czego nie strach zjeść!

*

O świcie, w łożu moim, Fryderyk gapił się na mnie uśmiechnięty.

– Jesteś... bardzo oddaną małżonką.

– Jeszcze parę lat temu pewnie spłoniłabym się na te słowa.

– Albo gdyby to był raz pierwszy...

Zasłoniłam mu usta.

– Zamilcz!

– W Niepołomicach. Pod okiem królowej...

– Grzesznik z ciebie. Ależ się potem bałam, że do piekła pójde!

– Bo pójdziesz. – Wsparł się na łokciach. – Niewiasty grzeszą? Z czego się spowiadają?

Patrzyłam w sufit, gryząc słodkie migdały.

– Z wachania nadobnych zapachów, z jedzenia kiedy mają ochotę, a nie pora jest...

– Po prawdzie?!

– Tak. A z czego spowiadają się mężowie?

– Mężowie spowiadają się z grzechów.

Roześmiałam się głośno, bo szczęśliwa byłam. Obce doznanie, ale prawdziwe. Splotłam dłoń z dłonią małżonka. Rozejrzałam się po mojej nie za dużej i nie za małej sypialni. Malunki starej mody na myśl przywodziły mi stary Wawel, w którym dobrze mi było z siostrami, braćmi i rodzicielami. Wici roślinne na sklepieniu, śliczny zakątek z dużym oknem, czyniły mi sypialnię miłą i przytulną. Za sienią, taką samą jak ta poniżej, stała wielka aula oddzielająca komnaty moje od Fryderykowych. Nie miała kolumn, stołów długich siedmiu jak ta pod nami, jeno jeden cisowy i inkrustowany, na kozłach. Do tego kobierce barwne dla wygody, ławy, zydle moszczone na toczonych nogach, ogromny trójdzielny kredens ze

złotymi i srebrnymi naczyniami, okna na obu dłuższych ścianach i wielki kominek w rogu sali.

– Podoba ci się tutaj? Chciałbym po nowemu, jak na Wawelu, nowe mury wnieść – odezwał się mój małżonek.

– Nie trzeba.

– Nie trzeba? To pokażę ci coś!

Poderwał się, na nagie ciało nałożył jeno koszulę i podał mi rękę. Wyskoczyłam ze śmiechem, też jeno w koszuli, i zarzuciwszy mante, wyszłam za mężem.

– Och, zatrzymaj się, Fryderyku! – zawołałam za nim, kiedy w zakątku wielkiej auli ujrzałam *morgengabe*¹⁰⁵ dla mnie. Podeszłam wzruszona i szczęśliwa do stosu futer białych, czarnych, lśniących i niezwykle cennych. Do pudzer, szkatulek i zwojów drogich tkanin. Ze szczytu zbytku zdjęłam proszkiem perłowym obsypaną kartę. Myślałam, że to list, ale to nie był list pełen wyznań. Nie rozumiałam... Podniosłam wzrok na małżonka.

– Fryderyku...

– Stało się co, Elżbieto? Czy to mało dla królowny? – zapytał, chyba wystraszony.

– Nie! Nie! – zaprzeczyłam. – Ale czy to... rachunek? – Jeszcze raz spojrzałam na równo zapisane w rzędach cyfry.

Wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że wiedzieć chciałabyś...

Odłożyłam skonfundowana dokładne wyliczenia wartości i wagi podarku.

Dłońmi z twarzy strząsnęłam dziwne doznanie i wyciągnęłam ręce do małżonka. Podał mi dłoń i za aulą wbiegliśmy na kręte, kamienne schody

i dalej w lewo, na wieżę. Wprowadził mnie do krągłej komnaty, a miałam wrażenie, że do lasu!

– Zielona Sala świętej Jadwigi – z dumą powiedział Fryderyk.

Rozglądałam się oniemiała. Cała komnata pokryta była malowaną wicią roślinną! Sklepienie i krągłe ściany razem z zakątkiem. W nim też, przez ostrołukowe okno, szklane zielone liście, przedzierały się pierwsze promienie słońca. Pośród listków, wici i pączków na ścianach dopiero po chwili ujrzałam malowanych mężów mojej wielkości!

– Dawid i Goliat... Macedończyk... – rozpoznawałam postaci.

– Karol Wielki – Fryderyk odczytał napis ukryty wśród listowia.

Roześmiałam się zachwycona.

– Jeśli zapragniesz, panie, odesłać mnie kiedy, to tutaj! Z radością poczuję się odsunięta!

Przypatrywał mi się przez chwilę.

– Dlaczego za mnie wyszłaś? – zapytał nagle.

Tchu mi zbrakło. Cofnęłam się o krok.

– Dlaczego? Pytasz mnie dlaczego?

Przytaknął rozbawiony.

– Nie wiesz, Fryderyku, dlaczego zostałam twoją żoną?

Usiadłam. On nie wiedział... Czułam, jakby to sklepienie zawało się na mnie, dech odbierając. Nie wiedział! Nie wiedział, że czekałam na niego, że wyglądałam go dziesięć lat, że tęsknota życie mi odbierała i wolę wszelaką, że wstawałam rano, błogosławiąc jego imię, że kładłam się spać z myślą o nim. Nie wiedział i nie wierzył! Przecie w każdym liście, słowie... Nic to dla niego? Słowo nic nie jest warte? Znaczy to, co sam pisał, błagą było? Zabawką jeno skrzącą?

Przełknęłam ślinę.

– Żoną twoją zostałam, bo twój zamek mi się spodobał – powiedziałam i spróbowałam się uśmiechnąć.

Zapytać, dlaczego on mnie poślubił, nie miałam odwagi.

Dzień zaczęliśmy wśród tłumu gości. Wesele... Tylko kto weselił się i z czego? Naraz wszystko stało mi się kłamlive, ludzie obcy i ja nie na miejscu. Myślałam, że nigdy już tego nie wypowiem. Westchnęłam i szepnęłam, siedząc za stołem:

– Głupiaś, Elżbieto, głupiaś.

*

Na dziesiąty dzień wesela, ku radości Jerzego, pojechaliśmy do Grodzieńca, by turniejem uczcić ślub mój i Fryderyka.

Zamek potężny i kamienny ugościł nas pieczystym na smalcu z rodzynkami i śliwkami w sosie cynamonowym albo migdałowym. Kto chciał na dziedzińcu, nim szranki wyznaczono, jadł młode barany, pachnące kiełbasy wszelakie, salcesony i szynki z musztardą. Popijał piwem i przepalanką.

Jerzy usiedzieć nie mógł, póki nie pokazał mi osobnej zbrojowni i tego, co w niej zebrał. Podziwiałam topory, sztylety, włócznie, łuki ruskie i wielkie węgierskie, kiedy Jerzy zniknął na chwilę, by pojawić się z sokolim pisklęciem na ręku.

– Wiem, że tak matrony polują. – Szedł ostrożnie wpatrzony w sokoła. – Moja Anna już takiego dostała. Szkolony, jeno powieki jeszcze ma zszyte ¹⁰⁶. To już sama komu każesz rozpruć. – Wniósł palec. – Ale nie szybciej niż za dwa dni! – ostrzegł mnie.

Przejęłam pisklę i pogładziłam po lśniących piórkach.

– Wiem, szwagrze. Ojciec mój wielce miłował ptactwo. Sam do szkolenia powieki szył, leczył i pruł. Dziękuję, bracie. – Naprawdę wdzięczna byłam za tak cenny prezent.

Wyszliśmy z wielkiej zbrojowni, kiedy herold dał znak do pierwszej potyczki, w której szlachetni mieli zmierzyć się w gonitwie do pierścienia.

Zasiadłam obok radosnego Fryderyka na drewnianej trybunie i patrzyłam uważnie, bowiem to ja rozstrzygałam, kto zwycięzcą zostanie! Panowie, zgodnie z obyczajem, udowodniwszy swe szlachectwo, co najmniej od pięciu dni przebywali w zamku, popisując swych umiejętności przed orszakami innych, mniej znacznych rycerzy, przybyłych z małżonkami. Synów i córki, zgodnie z nakazem, ostawiwszy w domu.

Kiedy pan Jan z niedalekiej Nysy zebrał wszystkie pierścienie, nie traciwszy ich, a koń jego co prawda przysiadł na zadzie, ale nie padł ani on, ani jeździec, to pokonał rycerza z równie niedalekiego Grodkowa, który tracił dwa pierścienie, a ja dzięki temu przekazać mogłam sędziemu, kto zwyciężył.

Zabawa pyszna trwała pośród ogłuszającej muzyki bębenków dudniących, fletów świszczących i dud dmących. Jeni pokonani rycerze, coraz to nowi, zasiadać za karę musieli na piasku i wieczór jeno wśród giermków spędzić. Ale nie zdali się smętni, takim samym jadłem się racząc co zwycięzcy i swobody więcej zażywając pośród stodół i stajni grodzieńskich...

*

Goście wreszcie rozjechali się i legnicki zamek opustoszał przyjemnie. Obudziłam się sama. Kazałam Ocie, młodziutkiej dwórcie o szarych włosach i oczach, przynieść czystą wełnianą suknię i ciepłe nogawiczki. Ani się spostrzegłam, gdy grudzień nastał. Mszę też odbyłam sama

i ucieszyłam się prawdziwie, kiedy wreszcie ujrzałam małżonka w naszej auli, przyjemnie rozświetlonej i rozgrzanej ogniem z ogromnego, narożnego kominka.

– Zjemy tutaj. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Jadłem już. – Ucałował je zimnymi i suchymi ustami, minął mnie i zniknął na schodach.

– Kucharz pyta, czy podać to, co jadł książę – zapytała Ota, która zmarznięta przybiegła bez szuby z dziedzińca.

– Tak... Nie marnujmy jedzenia.

Zasiadłam sama do jadła, jak to bywało przez ostanie zimy, wiosny, lata i jesienie. Jenó obraz za oknem się zmienił. Nic poza tym. Uśmiechnęłam się smutno do siebie. Ale nic to! Dobrą myślą trza umysł karmić, a nie smętkami!

– Gdzie książę? – zapytałam po śniadaniu dwórki.

– Mówią, że gdzie wyjechał.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Wstałam i uśmiechnęłam się, żeby jakowąż przykrość ukryć.

– Zatem my też wyjedziemy.

– My?! – spytała wystraszona Ludka, młoda Czeszka.

– Och, tylko do miasta. Przecie to moje miasto. Oprowadzisz mnie?

– Może jaki mąż...

– Nie bądź niemądra. Znasz te ulice?

– A jakże!

– To prowadź. – Odwróciłam się do okna i spojrzałam na ciasno upchane między ceglanymi murami drewniane dachy przede mną i rojne ulice.

*

Wyjechałyśmy w towarzystwie grajków ubranych w ciepłe peleryny i czapki z chwościkami. Grali ochotnie, by ręce rozruszać i dusze pobudzić, bo od wesela jeno spali. Od Garbarskiej rozdawałam jałmużnę ubogim i potrzebującym. Tłum otoczył mnie nie wiedzieć kiedy. Z tłumem przejechałam pod kościołem Świętego Piotra, aż na Złotoryjską usianą kramami i budkami złotników. Dziwna postać zniknęła w jednej z budek. Wstrzymałam orszak i zsiadłam z konia. Weszłam w ślad za przygarbionym człkiem. Zdziwiło mnie jasne pomieszczenie i do tego bardzo czyste, z ladą wysoką pod ścianą, krzesłami rzeźbionymi i wejściem prowadzącym w głąb budy. Człek za ladą, młody, ogolony, o miłej twarzy, godnie ubrany w czysty sajan, skłonił się głęboko.

– Czy tutaj kto klejnoty wyrabia? – zapytałam po łaćńsku.

– Tak, brat mój – odpowiedział po polsku młodzian. – Muszyński. Nasze nazwisko to Muszyński. Byłem w Krakowie. – Znowu się pochylił.

– Niezmiernie cieszy mnie wasza mowa polska. Czy można zamówić co ładnego u was?

Ktoś poruszył się za czarną oponą w drzwiach.

– Można. Brat mój...

– Z bratem powinnam mówić?

– Nie. Brat mój ma już co dla was.

– Ma? Już? Dla mnie?

Skłonił się, uśmiechnął i wyszedł na chwilę. Wrócił ze złotą fibulą w kształcie smoka! Patrzyłam zachwycona na cudo, gdzie każda łuska perłą świeciła, a szmaragdowe oko lśniło jakby żywe! Smok w szponach trzymał granatowe jajo. Zdjęłam rękawiczki, by dotknąć jaja. Okazało się pod światło, że na nim kwiaty, każdy o dziewięciu płatkach!

– Piękne! – szepnęłam. – Czy mogę podziękować bratu?

– On... Nie lubi... Nie chce...

– Co z nim? Widzieć mnie nie chce?

– Pewnie wy nie zechcecie.

Westchnęłam.

– Czy on kaleka? Bez nogi? Ręki? Głowy? Powiedzcie bratu, że znałam niewiastę, która podług niektórych człeka nie przypominała.

– Kto to był? – zapytał ciekawy jak dziecko.

– Nikt taki. Tylko matka moja. Królowa Polski.

– Pani wybacz. – Młody głos wybrzmiał zza opony i ukazała się twarz ślepa na jedno oko z drugim wielki, ruchliwym i wyłupiastym. Cofnął się i wpuścił mnie do izby.

Ujrzałam jeno duży stół, kilka tygielków, dłupek i nic więcej!

– To tylko to macie?

– Nie potrzebuję więcej.

Usiadłam za stołem, a Muszyński zapalił łojową lampkę. Zobaczyłam, że dłonie ma piękne, młode i smukłe jak u niewiasty. Przysiadł. Jego oko patrzyło na własne wyciągnięte na blat ręce.

– Panie Muszyński, fibula jest piękna, chciałabym zamówić podobną dla króla.

– Dla króla Zygmunta? – Wielkie oko spojrzało na mnie ze strachem.

– Tak! Nie widziałam piękniejszej.

– Nie widzieliście? Mam inne...

Poderwał się i wyjął spod stołu kuferek. Drżącymi dłońmi jął wyciągać zausznice w kształcie wici, kwiatów lilii z maleńkimi pszczołkami i róży w kroplach rosy. Zawieszenia misterne jak malowidła w Zielonej

Komnacie, łańcuchy z klejnotami, fibule na kształt zamków z oknami, ogrodami i bramami!

Wyprostowałam się i otworzyłam spoutniałą dłoń, w której ścisnęłam podarek.

– Tak, dla króla. Podobną do mojej. Ale skąd... Skąd wiedzieliście o smoku?

Oko zalśniło dziwnym blaskiem, a skrzywione usta jakby uniosły się w uśmiechu.

– Pójdę już – szepnęłam.

Po wyjściu z budy wsiadłam na koń, by jechać dalej przez miasto. Przy kościele Świętego Piotra ujrzałam duży ratusz, za nim ławy chlebowe, z których chłopiec i dziewczynka, para jasnowłosych, chichoczących bliźnięt, przyniosła mi słodką, białą bułkę. Minęłyśmy bramę Złotoryjską i skręciłyśmy do Chojnowskiej. Ludka i Ota, do tej chwili zajęte nowymi zausznicami od złotnika, zaczęły kręcić się niespokojnie w siodłach.

– Nie jedźmy dalej... – marudziła Ludka. – Tam jeno targ kamieniarski.

– Chcę zobaczyć targ – nie ustępowałam.

– Nic tam dobrego – wtórowała jej Ota.

– Jedziemy, chcę zobaczyć wszystko.

– Tam zamtuzy! – wypaliła Ota.

– Znam i zamtuzy, droga Doroto. – To, że ich nie zobaczę, nie będzie oznaczać, że ich nie ma. Pod opieką klasztoru czy miasta?

– Nie wiem.

Minęłyśmy, ku uldze panien, jeno ulicę z dziewczkami. Jako wszędzie, franą złamane i innymi chorobami stały i siedziały pod lichymi domkami, liczne chroniąc w ramionach chore dzieci.

Będąc prawie pod zamkiem, minęłyśmy jeszcze brudny targ węglowy i synagogę.

Oddałam wierzchowca, ugryzłam słodką bułkę i wbiegłam na moje piętro. Zastałam w sypialni Fryderyka leżącego na mym łożu z rękami pod głową. Z jałmużniczki wyjęłam podarek dla niego – fibulę z niedźwiedziem stojącym na dwóch łapach i podałam uśmiechnięta mężowi. Obejrzał zapinkę bez zachwytu i powiedział urażony:

– Czekałem na ciebie. Mów, jeśli wyjeżdżasz gdzie.

*

Następnego ranka po mszy zasiadłam do prandium znowu bez małżonka. Ani nalegać nie mogłam na wspólne śniadanie, bo zwyczajnie go nie było. Nawet czekałam pod jego komnatami z myślą, że kiedy się pojawi, skuszę go na świetne jadlo do mnie. Ale nie przyszedł. Pokonana przez głód i spojrzenia pokojowców wróciłam do siebie. Z ochotą do małej miseczki nałożyłam wystygłej białej kaszki z rodzynkami sobie i moim dostojnym gościom – Ocie i Ludce. Polałam miodem apetyczne porcje, ku zadowoleniu pańienek. Nagle usłyszałyśmy wyraźne wołanie za oknem:

– Elisabeth! Elisabeth!

Ota zerwała się i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

– Jakie dzieci, bliźnięta chyba.

Podbiegłam do okna. Pod ceglanym murem stała jasnowłosa para z jakim zawiniątkiem. Chłopiec sięgnął do worka i pomachał do mnie wielką bułką!

Roześmiałam się wzruszona.

– Oto! Daj szybko monetę! I ze stołu dwie brzoskwinie! – zawołałam. – I ze sznura zdejmij oponę!

Panny szybko wykonały zadanie i po chwili aksamitna jałmużniczka osuwała się po murze. Chichoczące dzieci odwiązały ze sznura podarek, przywiązały swój woreczek, po czym pomachały do nas i uciekły spod ściany.

Z ciekawością zajrzałyśmy do sakiewki. W środku było kilka białych bułek i jedna dziecięcymi rękami uformowana korona z ciasta!

– A jeśli zatrute? – zapytała Ludka, wpatrując się w podarek.

– To umrzesz szczęśliwa – odpowiedziała Ota, w dłoń wkładając jej pulchną bułkę.

*

Drugiego dnia rano pod mym oknem rozległo się dziesiątki dziecięcych głosów:

– E-li-za-beth! El-źbie-ta! E-lisz-ka!

Pod murem stały dzieci z koszyczkami z rzepą, jabłkami, piwem i chlebem. Kiedy wychyliłam się z okna, dziecięcy okrzyk radości roztopił moje serce.

– Spuszczamy co? – zapytała uśmiechnięta Ota.

– Spuszczamy! – zawołałam. – A potem pojedziemy w miasto.

Ludka złapała się za głowę.

*

Niedługo potem stałam w budzie u Muszyńskich. Obaj bracia wpatrywali się we mnie i obaj po równo czekali mej oceny dzieła Floriana. Z najwyższym zachwytem oglądałam w złotej zbroi króla na smoku, który to szmaragdowy smok w szponach z granatu trzymał jeźdźca na koniu, a perłowy orzeł szarpał ogon *raptora*.

– Nie widziałam, panie Florianie, czego równie pięknego za mego całego żywota. Cenę każdą zapłacę, ale czego byście chcieli jeszcze za to?

Florian cofnął się lekko i chwycił opony w przejściu do swej komnaty.

– Ja... Nic... Słowa dobrego... – powiedział i zniknął za zasłoną.

Zwróciłam się do Wawrzyńca:

– Czego pragnąłby brat pański?

– Brat mój? – Uśmiechnął się skonfundowany.

– Tak.

– On... Chciałby pewnie, by go za człeka mieli ci, co tu przychodzą po zausznice. – Spojrzał na panny stojące za mną i uniósł głowę. Oczy lśniły mu jakim buntem. – Chciałby, żeby go kto pozdrowił na ulicy, czapkę zdjął i zapytał, jak mu się wiedzie. Nie okradł nikogo, nie ubił, by trącać jak psa albo mijać jak przeklętego.

Pokiwałam głową i wyszłam na ulicę Złotoryjską z dziwnie milczącymi Otą i Ludką. Wróciłam niedługo do zamku.

– Szukałeś mnie? – zapytałam z nadzieją Fryderyka, kiedy zastałam go w auli czytającego jakie pisma.

– Nie – odparł swoim przyjemnym głosem.

Stałam, bo nie wiedziałam, czy zostać chce sam, czy ze mną.

– To dobrego dnia – powiedziałam z lekkim żalem, kiedy nawet oczu na mnie nie podnosił.

– I tobie również. I nie ściągaj tu tej hałastry z miasta. Gotów kto powiedzieć, że księżna jeść nie ma co albo więziona w swoich komnatach. – Zaśmiał się krótko.

– W Zielonej Komnacie.

Wreszcie spojrzał na mnie.

– Co w Zielonej Komnacie?

– Jeśli zapragniesz mnie więzić, to tam.

Powstał i rozłożył ramiona uśmiechnięty.

– Och, miła moja, ja nie gniewam się! Jeno nie pojmuję, skąd te plebejskie nawyki i znajomości. Choćby z tym garbusem?

– Skąd? Z królewskiego domu, miły mój. Sam przecie tyle co wczoraj mówiłeś głośno i wszem, że na akademii twojej wszyscy stanem równi będą...

Uśmiechnął się, objął mnie i swoim zwyczajem splótł mi ręce z tyłu.

– A może jednak dzień ostaniemy razem?

– Jak chcesz, panie szlachetny. – Uśmiechnęłam się szczęśliwa.

Puścił moje ręce.

– Drwisz ze mnie?! Przypominam, że matka moja jako ty też była królewską córą!

Struchlałam.

– Nie drwię! Cóż ty mówisz, Fryderyku!

Oddalał się ode mnie i krzyczał:

– Widzisz, co zrobiłaś?! Jak będę chmurny, to z twojej winy! Przykrym dla mnie dzisiaj widok twój.

Odźwierni otworzyli masywne, drewniane drzwi do jego sieni i książkę zniknął mi z oczu.

*

Na drugi dzień radość wielką sprawił mi pierwszy i jedyny do tej pory list od pani Jolenty Ciechanowskiej. Niecierpliwie rozkładałam solidnie sklejoną woskiem grubym pergamin. Na białej karcie pismo chwiejne, acz staranne ujrzałam.

W imię Ojca i Syna

Od wszystkich słowa ślę, bo nam ckni się okrutnie. – Uśmiechnęłam się. – Co dzień wspominamy, to jest Szydłowiecka pani i Zborowska wojewodzina, i odźwierny ten co z Bochni zjechał, i kucharz, i podkuchenna, i panny od posług. Mówimy, co panienka teraz by robiła i co raz na stolik pod oknem w sypialni patrzymy, bo jaki pusty jest, jak pani nie ma. A Jadwinia, kiedy tylko oczy z rana otworzy, to o ciotkę pyta. Król jeno ciągiem leży i nijak z nim mówić nie można, bo tylko płacze albo w sufit patrzy. Może by i jakiej wojny trzeba było z tymi Indianami z Moskwy, to by chociaż wstał. Odźwierny mówi, że mam napisać, że jak wam źle w tej Legnicy, to do domu wracajcie.

– Czegóż to płaczecie, pani? – zapytała wystraszona Ota, odrywając się od szycia.

– Nic, nic. Tak tylko...

List do serca utuliłam i do kaplicy zesłam, by pomodlić się za najbliższe mi dusze. Wracałam nie przez korytarze, ale wyszłam na dziedziniec, na powietrze. Cisza trwała na uporządkowanym placu, ni ruchu żadnego nie było. Nagle ujrzałam białą, skrzącą gwiazdkę na rękawie! Potem drugą! Wyciągnęłam dłoń i jęłam chwycić białe płatki. Śnieg! Taki sam jak tam daleko! W Krakowie... W domu.

83 okseft – dwustulitrowa beczka

84 Pożoń – Bratysława

85 *Incompatibilia* – niemożność łączenia urzędów kanclerskich i podkanclerskich z kościelnymi lub świeckimi, np. kasztelania i wojewody. Według tej zasady Łaski

i Drzewicki jako duchowni musieli ustąpić z urzędu kanclerskiego. Jednak Tomicki i Szydłowiecki łączyli owe urzędy.

86 Przybyszewski, s. 88.

87 Przybyszewski, s. 91.

88 *Amita! Amita!* (łac.) – Ciotka! Ciotka!

89 Przeździecki, s. 30.

90 tamże

91 Przybyszewski, s. 110-112.

92 Przeździecki, s. 53.

93 Przybyszewski, s. 156-157.

94 Tamże, s. 140.

95 Tamże, s. 161.

96 Tamże s. 163-164.

97 Tamże s. 171.

98 Ameryka (łac. *America*), nazwę „America” zaproponowano w 1507. Jednym z najstarszych globusów, na którym pojawiła się nazwa Ameryka, jest Globus Jagielloński powstały w 1508 roku.

99 M. Duczmał, *Jagiellonowie*, Warszawa 1996, s. 190.

100 Andrzej Krzycki – wybitny humanista, po śmierci królowej Barbary został sekretarzem króla Zygmunta, potem królowej Bony. Umarł w 1537 jako prymas Polski.

101 Przybyszewski, s. 76.

102 Bitom – Bytom

103 *Via regia* (łac.) – droga, szlak królewski, podlegający królowi. Szlak handlowy i pielgrzymkowy. W różnych latach ciągnący się od Hiszpanii po Moskwę.

104 Kaspar Schwenkfeld (1490-1561) – reformator religijny, doradca Fryderyka legnickiego. Pod jego wpływem książę przeszedł na luteranizm.

105 *Morgengabe* (niem.) dar poranny – w kulturze niemieckiej, prezent od małżonka, który otrzymuje kobieta tuż po nocy poślubnej. Nierzadko i dziś praktykowany, ale obdarowany bywa także mąż.

106 Pisklętom „zaszywano powieki, dzięki czemu stawały się bardziej posłuszne; jeśli był niespokojny i dziobał rycerza, podstawiano mu pod dziób twardą skorupę lub kamyk”. Szymon Wrzesiński, *Tajemnice rycerzy, życie codzienne śląskich feudałów*, Opole 2008, s. 104.

1516

Szłam przez aulę na poranną mszę do kaplicy, mante spięłam smoczą fibulą, a dłonie złączyłam i ukryłam w rękawach. Na stole paliła się jeszcze nocna świeca. Zdmuchnęłam ją i już miałam zamknąć okładzinę pisma, któremu przyświecała, kiedy wzrok mój padł na wielki drukowany tytuł: *Do chrześcijańskiej szlachty narodu niemieckiego* i niżej krzywo napisane czerwonym wyblakłym inkaustem: *Kaspar*. Obok leżały jeszcze *O wolności chrześcijanina* i *O niewoli babilońskiej Kościoła*, po znakach sądząc, powstałe w drukarni we Wrocławiu, kacerskie księgi.

Cała Korona mówiła o Lutrze i jego tezach przeciw odpustom. O luteranistach, co przeciw byli papieżowi i świętym. Niektórzy to i mówili, że matka Boska nie święta! Przeżegnałam się. Fryderyk czytał co od Lutra? Kaspar był na weselu, owszem. Łypał na mnie, ale nie przemówił ni razu. Fryderyka za to nie opuszczał. Księżę chwiejny w wierze? Przecie w Ziemi Świętej był! Ale dziadem jego Jerzy z Podiebradów, husycysta! A matkę jego moja matka zwała „kacerskim obżartuchem!”.

– Elżbieto... – Nie zauważyłam, kiedy nadszedł od swoich komnat Fryderyk.

– Czytasz pisma od Schwenkfelda? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Wszyscy teraz czytają. Chodźmy na tę mszę.

– Ja nie czytam... – szepnęłam do siebie.

*

Aula pode mną huczała od zabawy wieczornej. Bębenki dudniły i flety jazgot czyniły, zdało mi się, coraz głośniejszy. Słyszałam pokrzykiwania, piski, śmiechy i tłukące się szkło. Ot, jak co dzień. Jeny dzień ten marcowy nie był zwykłym. Umarł mi brat. Władysław, którego nigdy nie dane było mi obaczyć. Kolejny z trzynaściorga, pierworodny Rakuszanki i Kazimierza Jagiellończyka. Pan Węgier, Czech, Dalmacji, Chorwacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Kumanii i Bułgarii oraz księżę Śląska, Luksemburga, Moraw i Łużyc.

Przywdziałam czerń i zastanawiałam się, do kogo o tym pisać. Zygmunt pewnie wie, a i nowej żony szuka, to cóż mu donosić o rzeczach oczywistych i w wyborach przeszkadzać?

Fryderyk na chwiejnych nogach wszedł do mojej sieni i musiał wesprzeć się o ścianę. Pijany, nie zauważywszy nawet, że ulał nieco wina z pękatego kielicha na cenny kobierzec.

– Och, nie zejdziesz? Sam mam siedzieć? Nowi wierszokleci zjechali! Księgi nowe mam.

– Egzekwie trza za króla wyprawić.

– Dzwony spuściłem. Nie będę im jeszcze kabzy napychał! – wrzasnął i wytoczył się do sieni.

Wstałam z zakątka i zesłam do krągłej kaplicy. Nie zasiadłam na piętrze dla księstwa, gdzie w dół mogłam spoglądać na ołtarz, ale zesłam niżej, wsunęłam się między smukłe kolumny, które otoczywszy mnie swym majestatem, spokój na mnie przyniosły i w ciszy mogłam pomodlić się za duszę brata.

Kiedy wróciłam, w auli górnej czekał mój mąż. Siedział i próbował unieść ociężałą głowę.

- Pieniądzy wiecznie papieżowi mało! – warczał.
- To prawda.
- Czego więc chcesz, Elżbieto?
- Byś szacunek zmarłemu godny okazał.
- Czyli mam płacić!
- Inaczej się nie da.
- A właśnie, że się da! Właśnie, że się da!

Zatrzymałam się przed moją sienią i zawróciłam do męża. Pochyliłam się i ucałowałam go w usta.

- Nikomu do tej pory się nie udało – szepnęłam.
- Lutrowi się uda. I ludziom jego.
- Tyś już jego człek?
- Nie wiem.
- Nie wiesz... Ale egzekwie wyprawisz.
- Po co?
- By cię nikt nie pytał, czyjżeś człek.

Znowu go ucałowałam i zawróciłam do siebie. Poszedł za mną.

*

Na kwiecień już szło, kiedy dopiero pierwszy list dostałam od Zygmunta z Wilna. Na moje słane co tydzień nie odpisywał.

*(...) Umyśliliśmy i starą kaplicę Wniebowzięcia N. M. P. zamierzamy burzyć, by przy naszej królowej Barbarze położyć się, gdy zembrzemy.¹⁰⁷
(...) żaloba nam nie mija, a oni bezwstydni ciągle nam kogo rają. (...) Anna mazowiecka za nas wydać się chce tak dalece, że ziemie swoje z pieniędzy ogołociwszy dla przekupienia ludzi naszych, ziemianom naraziła się tak, że*

*omal jej syna nie ubili. Zapał niewiasty podziwiać byśmy mogli, gdybyśmy nie zwiedzieli się, że jak nie siebie, to córę swoją za nas wydać chciała (...)
Wasył znowu wacha się z Albrechtem.*

Wyszłam do małego ogrodu, by oddech złapać. Anna córę własną za Zygmunta gotowa wydać? To ona też fałszywe świadectwo dawała w listach do mnie? Dla korony czy ochrony gotowa była kłamstwem mnie karmić, siebie narażać na osąd i obmowę? Udawała afekt do króla? Przysiadłam i zmartwiała patrzyłam na list. Pewnie Zygmunt wiedział od zawsze...

– Anna Pomorska! – zawołał pokojowiec.

Dziesięć lat młodsza ode mnie żona Jerzego brzeskiego szła uśmiechnięta w moją stronę. Niedrogi strój dodawał jej urody, a jakowaś z ducha bijąca radość jaśniała w jej twarzy. Szczęśliwa była. Pochwyciłam jej dłoń.

– Anno, jakże się cieszę! Niczyje odwiedziny ucieszyć mnie tak nie mogły! Powiedz, że zostaniesz całą wiosną, bo inaczej każę koła odjąć od wozu twojego i schować tak, by nikt ich odnaleźć nie zdołał!

– Ach, schowaj, schowaj, ciotko! Zostanę jeno dwa dni. Jerzy wyjechał i nie chciał, bym sama w starym dworze tyle siedziała.

– Miłuje cię. – Uścisnęłam jej dłoń.

Roześmiała się.

– Tak mówią!

Objęłam ją i zaprowadziłam na górę. Za nami posłusznie dreptały cztery dwórki Anny. Czterech osiłków brzeskich dźwigających cztery ciężkie kufry księżnej poprowadzono do wieży świętej Jadwigi.

Podać nam zaraz kazałam zimnej szynki z chrzanem i pirogów gorących, na których widok Anna aż podskoczyła uradowana.

– Pamiętam! – Pochyliła się nad parującymi kluskami. – Kwaśne! Słodkie! – Śmiała się, a z nią ja i wszystkie dwórki. – Nie jadłam ich od czasu... – Zamilkła i opadła na ławę. – Od czasu śmierci mej matki. – Przełknęła ślinę.

Panny przejęte w ciszy wpatrywały się w księżną.

– Och, jedzmy! – zawołała i sięgnęła po łyżkę.

Wieczór w rozświetlonej auli był niezwykle przyjemnym. Wiosenny, ożywczy deszcz zaczął bębnić w duże okna. Podeszłam do zakątka, by wyjrzeć na miasto. Senna Anna stanęła przy mnie.

– Wtedy też tak padało – powiedziała.

– Kiedy?

– Kiedy zmarła matka. Mokro było i wilgotno w zamku. Tyle co wszyscy zjechaliśmy. Pamiętam, jak wysiadała z kolebki z dziecieniem na rękę. Z Ottonkiem. Pan ojciec pomagał jej wysiąść. Za nią wyszliśmy ja, Jerzy, Kazimierz, Zofia, Elżbieta i Barnim.

– Wszyscy w jednej kolebce jechali?

– Tak! A spróbowaliby kto nas rozdzielić albo nie daj Boże od pani matki! – Zaśmiała się.

– Miłowaliście się wszyscy...

Skinęła głową i zacisnęła usta.

– W komnatach matki w ten dzień było dziwnie ciepło i duszno. Kasłać zaczęła. Ojciec myślał, że w podróży zachorowała i kazał ją zaraz położyć w łóżu. Nas prowadzono do naszych komnatek. Do panińskiej mnie i siostry, do kawalerskiej braci moich. Ojciec co jeszcze powiedział do mateczki, na co roześmiała się i wyszliśmy, by obaczyć się z rana. A rano zbudził mnie krzyk niewieści, potem ojca mojego. Dwórka płakała i mówiła, że zdało się, jakby pani spała... Pono na boku leżała wtulona w poduszkę... pamiętam tylko, że wszyscy biegali, krzyczeli, a nas

wywieziono z zamku. Ostatni raz mateczkę widziałam tego wieczora, kiedy co ojciec do niej rzekł, a ona się śmiała.

– Mówiono, że to od oparów z wapna... – zaczęłam.

– Niby tak... Ale dla nas ważne było jeno, że jej nie ma. Zofia i ja ciągle zazdrościmy jednej Elżbiecie, że do matki podobna. Kiedyś jej w nocy włosy obcięłam.

Uśmiechnęłam się.

– A pan ojciec? Książę?

– Zamek, co dla matki pobudował, zburzyć chciał.

– Winił się?

Skinęła głową.

– Wesołym go po tym nie widziałam ani nigdy nic nie uczynił, by ktoś za jego sprawą się roześmiał.

Objęłam ją i w milczeniu patrzyłyśmy na deszcz.

*

Na drugi dzień wstało słońce i po mszy już chodziłyśmy po ogrodzie. Zieleń napojona poprzedniego dnia buchnęła kolorem i grzeszno-słodkim, odurzającym zapachem. Ptactwo kwieciami wszelakim uwiedzione swiergotało, kwiliło, gwizdało wśród drzew, wysokich traw i krzewów rozłożystych.

– Gniazda wiją... – zachwyciła się Anna.

– Jerzy mówił, że i wasze odnowić trzeba.

– O tak! Jerzy bardzo chce¹⁰⁸!

– A ty?

– Ja też bardzo! Jerzy mówi, że Wawel piękny, bo na weselu królewskim widział.

- Mnie też nowy zamek się podoba. – Uśmiechnęłam się.
- Wszyscy mówią, że piękny. I każdego taki chce mieć.
- Toż niech Jerzy buduje.
- Może?
- A pozwolenstwa mojego potrzebuje?
- Nie wiem...
- Niechaj wybuduje w Brzegu nawet taki sam, jeśli Wawel tak mu się podoba. – Zerwałam gałązkę bzu i podarowałam siostrzenicy.
- Odebrała ją z wdzięcznym ukłonem.
- I ja tak myślę.

*

Po Annę zjechał Jerzy, szczęśliw na widok ślicznej małżonki i za sprawą prezentu, jaki dostał od króla Zygmunta.

Wniósł do auli podarek na ramieniu ostrożnie, z miłością i podziwem.

– Orzeł! Spójrzcie Fryderyku, Anno! Szkolony! – krzyczał poruszony.

Fryderyk podniósł się z ławy i z roziskrzonymi oczami wpatrywał się w ptaka.

– Tobie darował? Nie dla mnie miał być? – zapytał.

– Dla mnie przysłano. Z listem – bronił się. – Od króla dostałem, za to, że w Brzegu Wawel drugi chcę budować.

Stali naprzeciw siebie jako dzieci, które zazdrosne były o piłkę czy inną zabawkę.

Fryderyk nie przestawał gładzić gładkich brunatnych piór.

– Spróbujemy go?

– Nie, jeszcze nie... Lęgi teraz u ptactwa... – mówił niepewnie Jerzy.

– Och, to po cóż go zwiozłeś?

Jerzy milczał, jakby żałował, że podarek bratu pokazał.

Fryderyk przejął na swoje ramię orła.

– Ciężki i majestatem płonie. Twój... – rzekł z uznaniem.

Jerzy roześmiał się, dumny, jakby mu kto dziecię czy konia pochwalił.

– Jaki czapliniec tu masz? – zapytał nagle pochwałą przekonany przez brata do próby.

– Teraz przecie łęgi... – trwożnie zauważyła Anna, ale nikt z mężów jej nie słyszał albo słyszeć nie chciał.

– Mam. Bród na Kaczawie się znajdzie i ze dwa wielkie czaplińce¹⁰⁹ tuż.

– Matki bronić będą jaj... – próbowałam odwieść ich od pomysłu. – Ptaka obcego czapla rozpruć dziobem potrafi. A ten cenny.

– Dar przecie... – dopowiedziała cicho Anna, z troską przyglądając się pięknemu zwierzęciu.

Fryderyk nie słuchał, kazał już wozy na świt sposobić i jadło na dzisiejszą ucztę. Nagle odwrócił się w stronę moją i Anny, jakby dopiero sobie o nas przypomniał.

– Panie z nami na łowy z rana?

– Nie! – odrzekłyśmy obie, bo polowanie na ptaki długodziobe okrutniejsze po prawdzie były niżli na tury.

Zaśmiał się i zbiegł za młodszym bratem w dół po krętych schodach do książęcej ptaszarni.

Następnego dnia w południe po polowaniu wrócili poruszeni i milczący. Bez królewskiego podarku weszli do auli.

– Co się stało? – zapytałam.

– Gdyby to mnie Zygmunt ptaka darował, nie zmarnowałbym go! – wybuchł Fryderyk.

Jerzy, nienawykły do unoszenia się gniewem przy starszym bracie, jeno spurpurowiał ze złości.

– Fryderyku, co... – zaczęłam.

Mąż mój stanął w rozkroku.

– Brał pięknie z początku. Z gniazd chwycił prosto! Przestać już nakazałem, to...

– Tyś jeno jeden ze wszystkich łowić chciał dalej – odrzekł poblady Jerzy. – Nie przestawać.

Anna słuchała posmutniała. Sługi z ociąganiem ustawiały zastawy i jadło, by historii wysłuchać ponurej do końca.

– Ostatni raz puścić chciałem jeno! – krzyknął Fryderyk.

– I puściłeś – burknął Jerzy. Zdało mi się, że łyzy szklą mu się w oczach. – Orzeł leciał nisko, kiedy czapla szyje zdradziecką z dziobem jak sztylet ku niemu wystrzeliła i nadziała ptaka jak na igłę. Krzyk jeno jak potępiony wydał i chyba wszystkie pióra na raz stracił. – Jerzy opadł na oparcie.

– Jedyna dobra rzecz z tego wyszła. – Wszyscy spojrzeli na Fryderyka, nawet sługi zamarły w wyczekiwaniu odpowiedzi. – Ja nie mam teraz tego orła ani ty nie masz.

Sięgnął po wino, ukrywszy lśniące, radosne wejrzenie w dużym kielichu.

*

Pożegnałam szybko Annę i po jej odjeździe cknęło mi się samej jeszcze bardziej. Do tego Fryderyk cała wiosnę gdzie jeździł, wracał albo zły, albo wesół i zamykał się przede mną ze swoją radą panów. W połowie kwietnia

dowiedziałam się, że przez bratanka mego, Ludwika II Jagiellończyka, został mianowany namiestnikiem Dolnego Śląska.

Drugi dzień świętował w niższej auli, kiedy zawitał do mnie ucieszony. Czytałam w zakątku sypialni *Powieść o papieżu Urbanie*, z modlitwami po polsku z hallerowskiej drukarni. Na widok księcia Ota i Ludka wyszły do sieni.

– Ty tu sobie jeno czytasz, małżonko moja, i nie wiesz, co zdobył twój małżonek! – zawołał Fryderyk.

– Skąd wiedzieć mam, skoro mnie do tajemnic swoich nie dopuszczasz. – Nie odrywałam wzroku od cennej księgi.

Rozparł się wygodnie na ławie.

– Nie wszystkie tajemnice dla ciebie są, a po prawdzie więcej mogłabyś się mną zajmować. Mogłabyś zapytać: Czy czegoś pragniesz, mężu? Czy kto ci trosk nie przysparza?

Spojrzałam na niego.

– Upiłeś się, Fryderyku?

– Tak... – odparł z jakąś rozkoszą, wpatrzony w sufit, jakby chwałę własną i splendor oczywisty tam uwidział.

Westchnął głośno, powstał i zbliżył się do mojego stolika. Chwycił garść rodzyneków i część słodkości wrzucił sobie w usta. Pochylił się do okna i czujnym wzrokiem objął miasto.

– Biskup Thurzo zaprasza do Nysy.

Ostrożnie obróciłam kartę w księdze.

– Z jakiej przyczyny?

– By ugościć nowego namiestnika i pokazać nowe odwadniarki do kopalni.

– Dobrej podróży zatem życzę.

– Ależ ty też jedziesz.

Spojrzałam na męża.

– Jakże to?

– Ciebie też zaprosił.

– Mnie?

Przyjrzał mi się czujnie.

– Pono go bawisz.

*

Kiedyśmy minęli Świdnicę, zapytałam małżonka jadącego obok mej kolebki konno.

– Czemuż nam u biskupa mówić o odwadniarkach?

Nabrał powietrza.

– Bo to dom Thurzo, a Thurzo to kopalnie. Bonerowie przy nich to uboga rodzina. Handel na szlakach wszelakich Thurzo objął. Towar – Thurzo, wozy – Thurzo, straż wozowa – Thurzo, kramy – Thurzo, kramarze do Thurzo należą. Ale to nic. Kopalnie złota, srebra i ołowiu są Thurzo. Sposób na dobyte miedzi do Thurzo należy. Maszynę do odwadniania głębokich szybów wymyślił jeszcze stary Thurzo. Niby oni Czesi, a niby Niemcy z Węgier. Z królami w przyjaźni. Stary Thurzo synów Jana i Stanisława wykształcił. Biskupami ostali, by ołowiem rąk nie brudzić. Inni z rodu fortunę pomnażają. Choć synowie też niezgorzej. Toż obaj Thurzowie koronowali małego Ludwika.

– Od Ludwika dostałeś namiestnikostwo?

– Tak. Przecie wiesz.

– Biskup Thurza ci pomógł? – przerwałam mu.

– Może.

Roześmiałam się.

– To jedźmy po te odwadniarki.

Pierwszy raz ujrzałam niechęć w jego oczach.

*

Księstwo biskupa Jana leżało w dolinie malowniczej Nysy i Białej. Nysa, rzeka szeroka, mętna, zielona, zdała się gęstą i tłustą. Leniwie pośród zieloności sunęła głębokim korytem, by nas zaprowadzić prosto do biskupiego miasta.

Ledwie zacne mury ujrzałam w oddali, kiedy powitał nas poczet konnych, przybranych znakami biskupa i nyskimi liliami na czerwonym polu na krótkich pelerynach. Powiedli nas na południowy wschód do niewielkiej bramy w miejskim murze za szeroką fosą.

– Cóż to za brama?

Prowizor zaśmiał się głośno.

– To biskupia brama! Jeno dla niego. Od miasta też swoim murem się oddzielił!

– Cóż mieszczanie na to?

– Ale nie on pierwszy to umyślił. Przed nim biskup też przebił mur dla swej wygody, ale mieszczanie na skargę poszli do kapituły i tamten zamurował dziurę. Ten nie.

– Nie uległ woli i prośbie mieszczan?

– Ten? – Szarpnął wodze. – Nie dość, że bramę w murze zrobił, to jeszcze i fosę drugą od miasta kazał wykopać!

Wjechaliśmy przez szeroki drewniany most, przy głuchym dźwięku końskich kopyt.

– Biskup nie wyjdzie po nas? – zapytał Fryderyk ze zmarszczonym czołem.

– W stajni jest, kazał powiedzieć – odezwał się prowizor.

Nie przeszkadzał mi brak honorów, kobierców i trębaczy. Zadziwiła jeno ceglana ściana, zza której nie widać było miasta, jeno słysząc było jego gwar i łoskot koła młyńskiego tuż za murem.

Rozejrzałam się z ciekawością. Na środku wielkiego placu stał wysoki zamek z dużym dziedzińcem w kwadracie, trzema wieżami, pękatą wieżą domową i resztą czystych i solidnych dworskich zabudowań. Po drugiej stronie podwórca do murów przylegały cztery duże domy z kamiennymi schodami prowadzącymi do wspólnego wejścia. Naprzeciw domów, do miasta prowadziła jeno wąska brama.

Zsiadłam z konia i mimo protestów małżonka weszłam do stajni. Biskup w słomianym kapeluszu i prostej szerokiej koszuli przemawiał do karego ogiera i karmił go suszoną gomółką koniczyny.

– Ojczy, księcia obrazisz, jeśli do niego nie wyjdiesz – powiedziałam cicho i uśmiechnęłam się do krągłego biskupa. Teraz dopiero spostrzegłam, że sięgał mi ramienia.

Zrobił zatroskaną minę.

– Och, nie może być! – Porzucił zwierzę, uścisnął mi rękaw i wyszedł na słońce z gestem tak serdecznym, że i Fryderyk gniewać się nie mógł.

Powiedziano nas w stronę starego pallatium o kamiennych schodach, potem do wielkiej sali o dwóch niskich kolumnach, wyłożonej ciemnym, laskowanym drewnem. Złoczone, gęsto drapowane, purpurowe opony na ścianach odbijały ciepły blask świec osadzonych w dwóch miedzianych, potężnych niby drzewa, świecznikach.

– Biskup prosi o zwłokę, bowiem przebrać się musi – sługa w duchownej szacie skłonił się i ładną łaciną przemówił.

Fryderyk opadł na oparcie krzesła niezadowolony.

– Powinienem stąd zaraz wyjechać!

Pochyliłam się do męża.

– Jesteście jako dwa psy. Minać się musicie na wąskim trakcie, ale to silniejszy może zęby okazać.

– Ja niby słabszy?!

Położyłam dłoń na jego ręce.

– To ty za czymś do niego zjechałeś. Nie on do ciebie.

– Przecie mówiłem, że odwadniarki...

– Nie kłam, Fryderyku. Zapłacić za poparcie namiestnikostwa przyjechałeś. To machaj ogonem.

Poderwał się ze złością, kiedy wszedł biskup, który jął przeproszać z wielką namiętnością. Potem pochlebstwem i świetnym jadłem udobruchał Fryderyka, w końcu pijanego odprowadzając osobiście do łoża.

Ostałam przy stole, kiedy biskup wrócił.

– Poduszki na książęcym łożu sam wybiłem. – Trzepnął w dłonie.

Roześmiałam się na cały głos.

– O, śmiejesz się wreszcie, pani! – zawołał z triumfem. Chwilę rozglądał się po smakołykach, chwycił pieczony przepiórczy kawałek i skierował go w moją stronę.

– Chodź, pani, pokażę ci co osobliwego.

Wyprowadził mnie na nocny plac rozświetlony pochodniami i puścił pierwszą w drzwiach do wysokiej wieży. Wspięliśmy się na piętro i weszliśmy do sali, w której od gorąca i od widoku dech mi zaparło! Pośrodku, między aż sześcioma dużymi otworami *hypocaustum*¹¹⁰ w podłodze, w olbrzymiej donicy stało zielone monstrum z kolcami grubymi na kciuk.

– Cóż to jest? – wyszeptałam.
– Dziw z Nowego Świata.
– Z Nowego Świata?! Ale jak... Toż fortunę...
– Tak... – odparł z dumą. – Moja ulubienica.
– Ale jak? – powtórzyłam.
– Siostrzeniec mi darował.
– Ach, wyście Thurzo... – Westchnęłam. – A ja biedną księżną przez was ostanę.

– Jakże to? Przeze mnie?
– Drogie prezenty lubisz.
– Nie pojmuję.
– Pojmujesz.

Rankiem, ustrojeni wszyscy, ruszyliśmy w stronę bramy prowadzącej do miasta. Minęliśmy mur, wąską, wartko płynącą fosę i brukowaną uliczką z bogatymi domami, dwu- i trzypiętrowymi, dotarliśmy pod kościół z różowej cegły o gładkim i niezwykle stromym dachu. Przy nim stała dzwonnica, której okładzina i kamienne ozdoby na myśl przywiodły mi kamień na kaplicy rodzicieli i kaplicy babki Zofii.

– Moja budowa. – Biskup wskazał palcem wysoko na szczyt dzwonnicy. – Czwarta cześć budowy. Ta najjaśniejsza.

– I najładniejsza. – Uśmiechnęłam się.

Zaciekawiona rozglądałam się po rynku, po licznych kramach pachnących świeżym chlebem, wędzonką, wyprawioną skórą, kapustą i jabłkami. Niewiasty w barwnych sukniach i czepcach wypychanych, mężowie w kolorowych szubach wskazywali sobie nasz orszak, drudzy towar rozstawiali i zachwalali głośno, inni ziewali za stołami albo wesoło o czym rozprawiali z sąsiadami. Liczne, skrzypiące od nadmiaru towaru

wozy kupieckie wyjeżdżały spod wielkiej wagi i ustawiały się przy bogatych kramach pod ratuszem. Spojrzałam w górę na ładną wieżę, wybijającą się ponad inne budowle i kościoły. Zaśmiałam się na widok mieszczańskich dzieci płoszących bure gołębie spod dzwonnicy. Dziw mnie brał, że Jan odgrodził się od tak ładnego miasta.

Fryderyk, chory od nadmiaru wczorajszego wina, nieczuły na wszystko wokół, zsiadł z konia i wszedł do świątyni.

Po mszy i powrocie do zamku, kiedy tłuste prandium zaczęliśmy, pokojowiec biskupa pochylił się do gospodarza.

– Ach, tak! – Jan ucieszył się, ocierając aksamitną chustką usta. – Już jest? Puść drogiego księdza! – Zwrócił się do mnie: – Księżno! Sprowadzić kazałem jednego akademika, co pismem polskim w druku jako ty się zajmuje.

Odkładałam sól w srebrnej solniczce w kształcie jaja, kiedy sługa wprowadził kogoś i wypowiedział głośno:

– Baltazar Opeć.

Odłożyłam delikatnie łyżkę, bo dłoń mi zaczęła drżeć. Bardzo wolno uniosłam wzrok. Chciałam zerwać się i uściskać Baltazara, a po chwili jednak podejść do niego i obić mu twarz! Chciało mi się i płakać, i śmiać! Nie zrobiłam nic. Mówił coś z uśmiechem, mówił też biskup. Czułam, że Fryderyk mi się przygląda.

– *Meditationes vitae Christi* chciałbym przetłumaczyć na polski... – mówił Baltazar głosem mi nieznanym. Po prawdzie człek obcy mówił do mnie i do mnie się uśmiechał. Morderca czy nie? Bandyta? Przez niego człek zawisł? Te same włosy – jasne i gładkie, oczy żywe. Ten sam dziecięcy uśmiech, ale mąż to nigdy niewidziany. Nie dziecię.

– ...nie wiem, co mógłbym do tekstu dodać? – Usłyszałam.

Nabrałam powietrza.

– Może *Rozmyślania przemyskie*?

Biskup aż podskoczył za stołem.

– Tak! Tak! Rozmyślania! Wiedziałem, do kogo, drogi chłopcze, cię sprowadzić. A księżna pewnie w Legnicy więcej ksiąg zacnych ma po polsku.

– Mam wszystko. – Uśmiechnęłam się do biskupa.

– No to już ci jesień w Legnicy, pani, nie będzie nudna! – ucieszył się biskup. – Z tak ciekawym gościem to już nie będzie! Książd skromny, a doktor! – zawołał.

Baltazar zwrócił się do Fryderyka.

– Nie zjadę nigdzie, jeśli mnie kto nie zaprosi.

Fryderyk jeno lekko uniósł brwi i splótł ramiona na piersi.

– Ależ oczywista, oczywista – wymamrotał.

*

Jeszcze tego samego dnia stałam w ładnym ogrodzie biskupa. Kwitły jabłonie i wszystko, co mogło i musiało o tej porze roku. Nie cieszyło mnie to, biskup mówił bez przerwy, a ja chciałam jeno mówić z Baltazarem! W końcu ostałam sama i po chwili wyszedł z wieży Baltazar, ocierając spotniałe czoło.

– Musiałem zapoznać się z ulubienicą Thurzona.

Ledwo powstrzymałam się od krzyku! Podbiegłam i z całej siły uderzyłam go w twarz!

Nagle zmienił się, spojrzał na mnie dziko, strasznie. Drgały mu usta w niewysłowionym gniewie! Szloch wydarł się z mej piersi.

– Mów! Dziecięciem mi byłeś! Cóżeś uczynił?! Mordercą jesteś?! Zbrodniarzem?! Przez ciebie obwieszono Łęczyckiego?! Człkiem

szlachetnym był! Hodował cię!

Dotknął twarzy, jakby nie wierzył, że go uderzyłam.

– Od dawna nikt poza mym przyzwoleniem mnie nie tknął.

– Do dziś. – Nie mogłam przestać dygotać. – Mów! Łęczycki?

Usiadł na ławie tyłem do mnie.

– Był przy mnie. Kiedy już nie musiał, odwiedzał mnie. Pomagał, a potem innym dzieciom razem ze mną. Potem sam. Razu pewnego wrócił od kogoś i płakał. Płakał długo i głośno jak niewiasta. Poszedł po tym sobie. Długo nie przychodził, aż kiedy pojawił się, powiedział, że robić będzie co trzeba ze świniami. Łęczyckiego złapali, kiedy dożył świnie Krentza. Nie uciekł w czas. Nikt go do tego, co robił, nie przymuszał. Nie chciał uciec z miasta. A my jeszcze zbyt słabi, by od stracenia kogo uchronić. Jenó tortur nie dostał.

– Kto to „my”?

– Wiesz, pani.

– Tyś to był wtedy w domu moim?

– Zawsze byłem.

– Zawsze?

– Blisko.

Westchnęłam głośno. Usiadłam na końcu ławy.

– Kto to Krentz?

– Dziewki coraz młodsze do posług brał. Każdą brzemienną czynił i z domu za to wyrzucał.

– Tyś też zabójcą?

– Nie znasz mnie, pani, i nic o mnie nie wiesz.

– Nie pojmem?

– Nie.

– Znachorka Wilczyńska jedną z ukrzywdzonych?

– Tak.

– Duchowną szatę nosisz.

– Wszyscy wiedzą, że wygodna.

Pokiwałam głową.

– Idź już, Baltazarze.

– Mogę odwiedzić cię, pani, w Legnicy?

– Możesz. – Spojrzałam na niego. – Jakże mogłabym nie chcieć odwiedzin twoich?

Ukląkł, ucałował brzeg mej sukni. Kiedy pochylał się, ujrzałam pod rozchyloną szatą, że piersi ma czarną barwą wyklute! W jakie geometryczne wzory, liczby i linie!

– Kimżeś jest? – szepnęłam.

Powstał i uśmiechnął się.

– Jeno prostym księdzem, co księgi miłuje.

Wyszedł z ogrodu i zniknął w ciemności. Wolno weszłam na dziedziniec, potem po kamiennych schodach do pallatium.

– Znowu mnie zostawiłaś. Ksiądz taki zajmujący? – gniewał się Fryderyk, siedząc w mojej komnacie na rzeźbionym krześle z wysokim oparciem.

Podeszłam do małżonka i ucałowałam go w usta. Patrzył na mnie zadziwiony.

– Obejmij mnie, Fryderyku – szepnęłam.

Nocą, czułam, że nie śpi. Przewracał się z boku na bok w jedwabnej pościeli.

– Kimże jest ten ksiądz doktor? – zapytał.

– Kimś, kogo zdało mi się od zła uchronię.

Milczał chwilę, w końcu gwałtownie odwrócił się w moją stronę na wąskim łóżku.

– A czemuż to księżnej miałyby być nudno jesienią?

*

Fryderyk milczał niemal całą drogę powrotną. Zamyślałam, czym go ułagodzić, gdy tymczasem sam na ostatniej stacji zawitał do mojego namiotu. Prawdziwie się ucieszyłam. Wskazałam mu najlepsze miejsce i najwygodniejsze krzeselko. Opadł jednak na moje posłanie i wyciągnął dłoń po wino. Cichy pokojowiec podał mu kielich. Fryderyk gestem odesłał chłopca.

– Kim był ten ksiądz? – zapytał znowu.

– Już mówiłam, miły mój. Życie mu odmieniłam za dziecięcia.

– Ty? – Zdziwiony uniósł się na łokciu i spojrzał na mnie siedzącą na ławie pod ścianą namiotu.

– Ja. Przez te lata oprócz patrzenia w okno przytrafiło mi się parę jeszcze rzeczy. – Poruszyłam się. Ława wydała ciche skrzypnięcie. – A czy ja mogę o coś zapytać?

– Pytaj. – Ze spuszczoną głową skubał sztywną złotą nitkę wystającą spod guzika.

– Biskup bardzo ogołocił skarbiec książeccy?

Przerwał i spojrzał na mnie.

– Nic ode mnie nie wziął.

– Nic?!

– Powiedział, że nic nie chce i tak tego, czego pragnie, dać mu nie mogę. Ale ma jeden warunek, który miłym mu będzie.

– Co takiego, Fryderyku?

– Byś ty odwiedzać go mogła – wycedził. – Co to jest, Elżbieto, czego spełnić nie mogę? Czego on chce? – Przypatrywał mi się podejrzliwie.

– Kaktusa.

– Kaktusa?! Elżbieto nie drwij ze mnie.

– Nie drwię.

– Ani niczego podług siebie nie układaj! Z nikim! Ani dla mnie!

– Och, Fryderyku... Nie zamierzam spełniać żadnych warunków. Jeśli mam go odwiedzać, to jeno z małżonkiem albo wcale.

Widziałam, jak twarz księcia się rozchmurza.

– Jeśli małżonek mój sam uprzednio terminy wyznaczy – dokończyłam.

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

Niedługo potem wyszłam przed namiot. Delikatnie obciągnęłam suknie. Przyskoczyła do mnie Ludka rozpromieniona. Podśluchiwała jak zawsze.

– Znaczy niedługo zaczniemy jeździć do Nysy? – zapytała.

– To znaczy, że nigdzie nie będziemy jeździły.

*

Gdy już mury Legnicy spostrzegłam, spięłam konia i szczęśliwa pognałam pod bramę, by tam oczywista zaczekać posłusznie na małżonka.

Fryderyk dołączył niedługo i radosna wjechałam w mury miasta, rozdając skinienia, uśmiechy i szczerze pozdrowienia.

Naraz ujrzałam przemykającego w podcieniach przygiętego Muszyńskiego, otulonego czarnym płaszczem z szerokim kapturem.

Wstrzymałam orszak i muzyków.

– Radością dla mnie jest widzieć pana, panie Muszyński – powiedziała głośno, zatrzymując w miejscu złotnika. Wolno podniósł na mnie przerażone oko. Skłonił się przed nami, na ile mógł. Fryderyk

odkłonił się godnie. Poruszeni legniczanie popatrywali to na książęcą parę, to na niego.

– Fibula ostatnia niezwykle ucieszyła króla Zygmunta, a śliczne zauszniczki jego córę, królownę Jadwigę. Panna szlachetna pozdrowienie śle i pyta o co nowego.

– Mam co nowego dla królowny – powiedział wzruszony Muszyński.

– Doskonale. Osobą własną nawiedzę was za niedługo.

Dałam znak, by ruszać dalej. Mieszczanie jęli podchodzić do Muszyńskiego. Usłyszałam za sobą niewieści głos:

– Panie Muszyński, a ma pan...

– Dla króla pan zgotował? – mówił jakiś męski głos. – A czy ja mógłbym...

Uśmiechnęłam się Fryderyka.

Lekko mnie wyprzedził pod zamkowym budynkiem bramnym i powiedział tak głośno, że i nawet zbrojni usłyszeli:

– Jak nie kaktusy, to garbusy. Ani młódce to przystoi, ani tobie, niewieście mocno już posuniętej w latach.

Radość opuściła ducha mego, jak za ciosem nahajki. Nie wróciła nawet na wspólnej cenie, którą niespodziewanie ogłosił książę. On za to śmiał się, deklamował Dantyszka i obłapiał mnie przy swoich gościach. Myśl straszna zawitała w mojej głowie. Że człek, do którego prawie modliłam się jako do świętego i najlepszego przez dziesięć lat, wcale takim nie jest... Możliwym to było, że mój ból jemu wesołość sprawił?

Tak przykrym i strasznym było to odkrycie, że nocą co raz wybiegałam do komory, by jadło i wspomnienia z niemiłej ceny z siebie wyrzucić.

Lato nad Kaczawą spędzałam na trawie pośród kobierców, dźwięcznych instrumentów, panien i paniąt grających w piłkę, pośród poduch pod baldachimem, objedzona wszelkim jadłem.

Czytałam list od brata, w którym pisał, że cesarz rai mu dwie panny do wyboru na małżonkę. Patrzyłam na Fryderyka skaczącego pośród młodzi i jak zwykle śmiejącego się najgłośniejszym. Nie zauważył, że zepsuł im zabawę, odbierając piłkę i przymuszając do słuchania jakiej swojej opowieści. Mnie zaś nic dziś zepsuć świetnego nastroju nie mogło. Uśmiechnęłam się do siebie, list złożyłam i w wielkim poruszeniu zaczęłam pisać do brata:

Wiedz to, że już pewna: jestem brzemienna.

Kiedy Fryderykowi powiedziałam dzień wcześniej, powstał, by dolać sobie wina i rzekł:

– Oczywiście. Spodziewałem się. – Wzniósł kielich w moją stronę. – Zapis dla ciebie odnowiłem. Dochód z posagu na wydatki dostaniesz nie dwa tysiące złotych, a dwa tysiące czterysta. Tylko wszystkiego nie wydaj na bułki. – Zaśmiał się po swojemu.

Teraz mąż stał z piłką pod pachą. Brzuch ciążył mu nad cienkimi nogami. Mówił co uroczyście ze wzniesionym palcem. Wydał mi się ucieszny. Tak żałośnie zabawny, że nie mogłam strzymać drżenia ramion. W końcu wybuchnęłam gromkim śmiechem.

*

Obudziłam się sama i było mi z tym dobrze. A właściwie nie sama... Z czułością pogładziłam coraz większy, doskonale krągły brzuch.

Dzieciątko rosło zdrowo, Fryderyk mówił co o następcy, ale ja chyba chciałam córkę. Chciałam Jadwini.

Pozwoliłam się ubrać, przyjęłam komunię świętą i zasiadłam jak co rano z Otą i Ludką do śniadania.

Od bratanicy mojej dostałam pierwszy list, napisany niewprawną rączką. Rozrzewniające:

*Ama te, ama me!*¹¹¹

– Pan Baltazar Opeć – oznajmił pokojowiec.

Otarłam dłonie i wstałam. Ludka nałożyła mi na ramiona lekki płaszcz.

– Zjechałem, jakoście chcieli – powiedział i skłonił się Baltazar ciągle w podróżnym, skromny stroju. Uśmiechnął się na widok mej brzemienności.

– Zjechałeś. Znać, że bardzo chcesz tłumaczyć ten *Żywot*. – Uśmiechnęłam się.

– Książę mnie nie wyrzuci? – zapytał.

Panny przyglądał się młodzianowi.

– Wyrzuci, ale może jeszcze nie dziś. Ota zaprowadzi cię, panie, do twoich komnat. Zejdź potem do auli.

Skłonił się, a Ota zadowolona przyskoczyła chętna do posługi.

*

Niedługo potem jadł ze smakiem kurczące udka z żurawiną i grzybami. Włosy jeszcze mokre po łaźni zaczesał gładko. Uśmiechał się do mnie nieśmiało i do milczących panien.

– Zapewne księgi chcesz obejrzeć, panie – odezwałam się głośno.

Przestał jeść.

– Mógłbym jeszcze dziś?

Skinęłam głową.

– Dzień jasny jeszcze. Pokażę ci księgi.

– Nie chcę nadużywać gościnności księcia...

– Moim gościem jesteś, panie. Ksiąg dużo. Zatem dziś zaczniemy.

Po mszy zaprowadzić nas kazałam do lochów w skale wykutych. Sługa sprowadził nas głęboko, tam gdzie prawie lód na ścianach się tworzył. Baltazar obaczył, jak mięso do lodowni przez wąski szyb spuszczano na grubych łańcuchach jeszcze niżej.

– Gdyby tak człek wpadł... – burknął na widok połaci jeleniny znikającej w czarnej jamie.

– To uważać musicie... – odezwał się człek Fryderyka, który nie wiedzieć kiedy pojawił się za nami.

Wszyscyśmy strwożeni odwrócili się w stronę wielkiego męża stojącego z założonymi na piersiach rękami.

– Chodźmy... – szepnęłam do gościa i panien.

Szliśmy chwilę wąskim, ciemnym korytarzem, aż sługa z pochodnią odsunął ciężkie żelazne wrota prowadzące do skarbcza. Cela, choć zimna, wolna była od lodu i wymoszczona trocinami, by wilgoć chłonęły. W tej akurat komnacie były jeno księgi. W skrzyniach, kufrach, na półkach, w zwojach, puzdrach i rulonach, a nawet w stosach na kamiennej podłodze.

– Panie w niebiesiech... – jęknął w zachwycie młody duchowny.

– Więcej ksiąg mamy. Wyże, w skrzyniach i szafach. Książę umyślił bibliotekę¹¹² dla dobra księstwa otworzyć. Na razie księgi co niektóre składać każe w kościele u Świętych Piotra i Pawła – powiedziałam z dumą i rozejrzałam się po komnacie. Wypatrzyłam te, których potrzebował będzie Baltazar. Zrobiłam kilka kroków w stronę słusznych rozmiarów skrzyni.

– Podejź, Baltazarze – powiedziałam i wskazałam przed siebie.

Podbiegł, jakby czekał jeno na zawołanie. Uniósł wieko i przykląkł przed kufrem, jak przed świętą figurą.

– Wyjmij tamtą i tamtą. I tę jeszcze! – rozkazywałam. – I tę z półki.

Ułożył wybrane na ziemi.

– To *Powieść o papieżu Urbanie* – mówiłam. – Ta w wiśniowej oprawie to *O przykazaniach i grzechach*.

– Tylko o niej słyszałem – szepnął. – A ta? – Podniósł z wysiłkiem wielką księgę.

Uśmiechnęłam się.

– *Agenda Latino et vulgari sermone Polonico videlicet et Alemanico illuminata*.

– Nie może być, że ją macie! – zachwycił się Baltazar.

– Tej też po prawdzie nie mogłeś widzieć. – Wskazałam pod jego stopy.

Pochylił się nad perlami wysadzaną okładziną i odczytał głośno:

– *Historyja barzo miła i wesola ku czcieniu, ktora jest rzeczona i wypisana o Szczęściu a o Swej woli, a zwłaszcza o żywocie dworskim*. – Zaśmiał się jak dziewczka radośnie. – I to tutaj jest?! Wdzięczen po grób będę, jeśli mi skopiować dacie! Poczytać!

– Księgi wdzięczne zawsze są za dobrych czytelników. – Skłoniłam się. – Darowuję ci ją zatem, panie.

Rzucił się jak w gorączce między inne. Panny znudzone przestępowały z nogi na nogę, aż w końcu Ludka ziewnęła rozdzierająco. Baltazar i ja spojrzeliśmy na nią z wyrzutem.

*

Baltazar wyjeżdżał z Legnicy szczęśliw z sakwami wypełnionymi cennymi księgami, goszcząc u mnie całe pięć dni, ale Fryderyka nie widziałam już sześć, bo urażony wciąż odwiedzinami Baltazara nie nawiedzał mnie.

Gość do ostatniej chwili przed wyjazdem pochylał się nad cennymi księgami. Przed nim wystawić kazałam jeszcze takie, które serce i oko ucieszyć mogły, w wielkich tekach i drewnianych okładzinach, a z którymi rozstać się nie chciałam.

Czytałam to, co sam napisał do swojego *Żywota*. Uznałam tłumaczenie za doskonałe! Cieszyło mnie, że księgi miłuje, ale były rzeczy, o które chciałam jeszcze zapytać. Jego pierścień ładnie łyśkał w blasku świec.

- Baltazarze... – Odłożyłam kamień do czytania¹¹³.
- Tak, pani? – Podniósł wzrok znad księgi.
- Pierścienie wasze piękne.
- A tak. Najlepszy złotnik je robi. Kaleka.
- Skąd jest?
- Tutaj mieszka, w Legnicy.

*

– Panie Muszyński – zwróciłam się do jednookiego Floriana w jego izdebce, kiedy już Baltazara pożegnałam. – Czy znacie męża, dla którego robicie pierścienie z węzami?

Nie patrzył na mnie.

- Nic od nich nie biorę. Pierścieni też niedużo...
- Ja nie sędzią waszym, panie Florianie. Ciekawa jestem jeno, bo znam... niektórych z nich.

Spojrzał na mnie z jakim lękiem.

– Wiem, pani, ale... Chyba wyście nie z tych, co... pierścienie noszą?

– Nie. Ja nie.

Siedzieliśmy przez chwilę bez słowa, kiedy Wawrzyniec odsłonił grubą oponę oddzielającą nas od kantoru.

– Pani, co nowego chciałem pokazać. Noszenie ze złotymi kroplami.

Wyszłam i młodszy z braci podał mi naszyjnik. Podeszłam do okna, by cudo obejrzeć. Zgarbiony Florian wysunął się z izdebki i razem z Wawrzyńcem przyglądali mi się w wyczekiwaniu. Nie musieli obawiać się mej oceny, albowiem dzieła rąk Floriana nie miały sobie równych w świecie. Znałam przecie najlepsze z Budy, Wenecji, z Pragi, dzieła stare i nowe.

Spojrzałam przed siebie przez czystą szybę, na dwórki moje na zewnątrz. Za oknem, między postaciami, mignęła mi twarz znajoma! Inna, starsza, ale to była ona! Wysoka i kształtna, w prostej czarnej, cienkiej szubie szła ulicą w skupieniu. Omal na ziemię nie opuściłam noszenia! Małgorzata Gorczyńska! Cóż ona tutaj sama robi?! Cóż w ogóle robi?

Oddałam naszyjnik Wawrzyńcowi i wyszłam na ulicę.

– Poproś Oto tamtą panienkę – powiedziałam do dwórki zajętej rozmową z drugą.

Zdziwiona Ota skłoniła się, pobiegła za chudą postacią w czerni i delikatnie dotknęła jej pleców. Ta odwróciła się wystraszona, ale kiedy ujrzała mnie, twarz jej rozjaśniła jakby wielka ulga. Zawróciła i do nóg mi padła, ciekawość wzbudzając na rojnym trakcie.

– Pani! Znalazłam cię! Matka do was mnie odesłała, bym wam służyła. Zdrowia życzenia śle i błaga was o opiekę nade mną.

Obaj Muszyńscy stojący za mną patrzyli w osłupieniu, by po chwili pomóc mi ją dźwignąć.

– U mnie zostać możesz, dobrze kogo z Krakowa przy sobie mieć.
A matka listów jakowyś nie podała? – zapytałam.

– Nie, ręce u niej chore... – powiedziała posmutniała.

Teraz dopiero ujrzałam, że jeno węzełek ze sobą miała.

– Jakżeś tutaj dotarła? Z kim?

– Piechotą. Z pielgrzymami.

– Piechotą?! Sama? – Struchlałam.

Stała przede mną ze spuszczoną głową i złączonymi układnie dłońmi, nie podnosząc oczu.

– Żadna dziwota. Ludzie pobożni i tak podróżują. – W obronie panny stanął Florian, nie spuszczając z niej czujnego oka.

Dygnęła przed nim z wdzięcznością.

– Ludko! Oto! Prowadźcie pannę do zamku – powiedziałam do moich dwórek.

Małgorzata podała węzełek służce i razem z niewiastkami posłusznie oddaliła się ulicą w stronę zamku.

Wsiadałam już do wąskiej lektyki, kiedy odezwał się Florian:

– Ona pierścień mój ma.

– Tak. Ale nic nie pamięta z chwili strasznej. – Nie widziałam przyczyny, by co przed wtajemniczonymi mężami ukrywać.

– Bóg czasem łaskaw... – szepnął Florian Muszyński, patrząc ze współczuciem za dziewczyną.

*

Cicha Małgorzata gościła już u mnie dwie niedziele do posługi każdej chętna, w modlitwie gorliwa, ale zdało mi się, że z każdym dniem coraz

smutniejsza. W miasto ją posyłałam, ku zabawom pchałam, ale jakby welonem się jakim otuliwszy, od ludzi sama stroniła.

Tyle co zjadła przy moim stole, z nikim nie mówiąc. Odesłałam ją do sypialni.

– Za matką jej tęskno? – zapytałam po cenie Ludki.

– Pewnie tęskno, ale nie mówi za kim. Nocami płacze długo.

– Pytałaś co jej?

– Wszystkie pytamy. Mówić nie chce. Raz jeno...

– Co?

– O tego Muszyńskiego kalekę pytała, czy on zawsze tak mało mówi.

– Mało mówi?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż żeś odrzekła?

– Że ja z nim nie gadam, to nie wiem.

Pokiwałam głową.

– Odejść możesz, ale już nie pytaj jej więcej o nic.

– Nie trzeba?

– Nie trzeba.

– Wiecie już, co jej?

– Dowiem się. Idź służby dopilnować w sypialni. Małgorzata nie wszystkie jeszcze legnickie obyczaje zna.

Skłoniła się i odeszła. Ja zasiadłam do stołu w auli. Z dawna powinnam była to zrobić, pomyślałam, kiedy list zaczęłam pisać. Skończony, pełen pytań, oddałam posłańcowi i poszłam do sypialni. Wyjść kazałam dziewczkom i dwórkom. Ostać kazałam jeno Małgorzacie.

Kiedy wyszły, odezwałam się do strwożonej stojącej przede mną panny:

– List do matki twojej napisałam z pytaniem, czemu to córkę męża szlachetnego, samą, bez sługi, bez wozu, piechotą, z węzełkiem jeno i bez listów puściła na wyprawę do mnie.

Upadła znowu do nóg moich.

– Uciekłam!

Aż przysiadłam, a dziecię we mnie zadrzało.

– Uciekłaś?!

– Nie odsyłaj mnie!

– Wbrew woli matki postąpiłaś! Grzech to.

– Wiem, potępiona jestem.

Wyprostowałam się.

– Och, nie jesteś...

– Pomóż mi pani. Nie chcę zamknięcia.

– Nie wiem jak, Małgorzato. Gniew, wola i lęk matki twej...

– Lęk? – Podniosła na mnie mokre oczy.

– Przecie nie wie, gdzie jesteś.

– Nie wie. Z winy mojej!

– Z twojej.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Życie sobie odbiorę, ale nie spełnię jej woli!

– Nie odbierzesz.

– Odbiorę!

– Jakbyś miała taką wolę, to po co uciekałabyś do mnie?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie.

– A ja wiem po co.

– Po co?

– By żyć. Dla życia uciekałaś. – Odjęłam jej ręce od twarzy. – Dlaczego?

Spojrzała na mnie nierozumiejąco.

– Dlaczego uciekałaś? – powtórzyłam.

– Do klasztoru mnie odesłać mateczka chciała i... ludzie...

Przysiadłam naprzeciw niej.

– Co ludzie, Małgorzato?

– Palcami pokazywali jako trędowatą, że to ojciec mój haniebnie pomarł. Panny stroniły, matrony trącały niby to wypadkiem. Miejsca w ławie kościelnej albo na ławie przy królownie brakować dla mnie zaczęło... Jakbym zadżumiona... – Spojrzała na mnie błagalnie. – Pomożesz mi, pani? Ostawisz przy sobie?

– Miałabym wolę matki twojej złamać i ojca zmarłego? Niepodobna. Ale pomocy nie odmówię.

Wstała uśmiechnięta i uwiesiła się na mojej szyi!

– Dziecię z ciebie jeszcze, Małgorzato! – zawołałam roześmiana.

*

Dziewięć dni potem wyglądałam przez okno, bo posłańca z listem od Gorcewskiej się spodziewałam albo bardziej czego innego. Ujrzałam ruch na dziedzińcu i znajomą postać. Powiedziałam do szyjącej w auli Małgorzaty:

– Twoja matka zjechała. Idź do komnatki.

Małgorzata poderwała się i zbiegła pod aulę. Ja też wstałam i kazałam przyprowadzić gościa do mojej sieni. Rozsiadłam się wygodnie i czekałam na szlochającą Gorcewską. Wprowadzono furię.

– Gdzie ona jest?! Zawsze z nią jeno hańba w parze! – Gabriela, w przekrzywionym czepcu, krzyczała. – Nie chroń jej, pani! Nie twoja to rola zawsze tę dziewczkę chronić! – sapała zmęczona krzykiem.

Wskazałam jej krzesło.

– Usiądź, pani.

– Tak... – Poprawiła czepiec. – Wybacz.

– Nie mam czego wybaczać. Sama bym ją teraz obiała.

– Toż sama widzisz, pani.

– Uciekła. Zła dziewczka.

Znowu dotknęła czepca.

– No, nie jest zła... Dobra i usłużna. Klasztor dla niej był przeznaczony. Narzeczony wziąć już nie chciał...

Pochyliłam się do niej.

– Klasztor z woli zmarłego.

– Z woli – przytaknęła.

– A z waszej?

Spojrzała wystraszona. Nie zdjęła szuby, na kolanach ścisnęła dużą sakwę podróżną.

– Cóż ja?

– Matką jesteś, pani.

– Woli małżonka nie złamię.

– A jej wola?

Popatrzyła znowu, jakby nie pojmowała, co do niej mówię.

– Jej?

Wstałam i przeszłam kilka kroków. Gabriela wodziła za mną wzrokiem.

– Tak. Jej. Winniśmy jej po własnej woli wybierać.

Chciała co rzec, ale gestem przerwałam jej.

– Innej dziewczki ani bym pytała, tym bardziej że ojca życzenie...

Pokiwała głową. Zbliżyłam się i chwyciłam ją za rękę.

– Ale córki twojej już kto raz nie zapytał, czy chce. Mamy zrobić to drugi raz? My, od których pomocy woła? Mamy być jak Radzimir? – szepnęłam.

Wyrwała dłonie i zerwała się z krzesła, tuląc do piersi sakwę.

– Nie wymawiaj imienia jego!

– Nigdy więcej tego nie uczynię, ale nie każ mnie i siebie z nim równać!

Patrzyła, jakbym zraniła ją boleśnie.

– Mnie z nim? Z nim równać? Z tym, co męża mi ubił i dziecko pohańbił? Wam krzyżeć, wam wiedzieć, pani, co w duszy mej trwa? – Wskazała na mój brzuch. – Dziecięcia jeszcze nie macie, nie wiecie...

– Nie wiem. Uczynisz, Gabrielo, co jako matka za słuszne uznasz. Córka twa w komnacie czeka. Odprowadzą cię. Zrobisz, co zechcesz. Wiedz, że ja jej nie ukrzywdzę. A jeśli małżonek zapis jaki obiecał klasztorowi, to zapłacę.

Skłoniła się i wyszła. Usiadłam w zakątku. Więcej zrobić nie mogłam. Ze złością przewracałam sztywne karty otwartej księgi. Ludka i Ota weszły po chwili, w ciszy zasiadając w kącie sypialni.

– Pani Gabriela zabierze Małgorzatę do Krakowa? – zapytała cicho Ludka.

– A chciałabyś?

– Nie. To szlachetna panna, lubię ją.

Spojrzałam na Otę.

– A ty, panno, co myślisz?

– Ja?!

– Ty. Czy Małgorzata szlachetna?

Pokiwała jeno głową.

– Musi jechać? – znowu zapytała Ludka.

– Jeśli matka zechce...

– Przecie ją tu przysłała. – Zmarszczyła brwi. – Toż po co ją zabiera?

– Wolę ojca Małgorzaty spełnić.

Jakby to dało im wszelką odpowiedź, nie pytały więcej.

Czas mijał, odkąd Gabriela wyszła. Nasłuchiwałam jakich spasmów, krzyków... Nic nie posłyszałam. Już chciałam posłać po jakie wieści, kiedy naraz weszła pobladła Małgorzata i opadła na drewniane krzeselko. Rozpłakała się, chowając głowę między chudymi ramionami. Pewnie pożegnać się przysłała... Smutno mi się zrobiło bardzo... Nie udało mi się.

Wreszcie spojrzała na mnie, uśmiechając się przez łzy.

– Pozwoliła mi ostać! Matka pozwoliła mi ostać!

Panny poderwały się, by z radości utulić Małgorzatę.

Usłyszałam, że wóz Gabrieli rusza z dziedzińca! Poderwałam się do okna. Nic uwidzieć nie mogłam, płócienny dach przysłaniał mi postaci. Nie pożegnała się. Małgorzata podeszła do mnie i nieśmiało wyciągnęła do mnie złożony skrawek papieru.

– Matka podać wam, pani, kazała.

Przeczytałam:

Prawdą jest, że zbrodniarzem ten, kto wolę odbiera. A w jakiej sumie na klasztor zapis małżonek obiecał, przyślę niebawem.

107 Dopiero w roku 1531 kaplica została ukończona, a w 1533 królowa Barbara Zapolya i zmarła w wieku pięciu lat królewska córeczka Anna spoczęły w podziemiach kaplicy Zygmuntowskiej.

108 Niestety Jerzy brzeski zmarł w 1521 roku. Zamek w Brzegu w stylu renesansowym wybudował syn Fryderyka, Jerzy II.

109 czapliniec – kolonia czapli, nierzadko licząca do kilkuset gniazd

110 *hypocaustum* – rodzaj ogrzewania podłogowego

111 *Ama te, ama me!* (łac.) – Kocham cię, Kochaj mnie!

112 *libraria* (łac.) – tutaj: biblioteka, księgarnia

113 kamień do czytania – szkło powiększające

1517

Nastały chłodne, samotne dni. Dziecię dokazywało, ból mi sprawiając od dwóch niedziel. Dziś jakby łaskawsze dla mnie było i listy zaległe czytałam w zakątku. Po prawdzie niewiele ich było, bo Zygmunt zajęty układaniem małżeństwa mało pisał, ze dworu też nikt listów nie słał, bo Ciechanowskiej się pomału, a z nowych ludzi na dworze królewien nikt mnie nie znał.

Odwróciłam się, kiedy weszła Ludka.

– Jesteście wreszcie – powiedziałam.

– Ja jestem. Małgorzaty z miasta odciągnąć nie mogłam – poskarżyła się panna.

– Małgorzaty? Przecie ona jeno ciągiem w zamku siedzi. Dobrze, że wychodzi.

– No nie wiem...

– Cóż to znaczy, Ludmiło?

Nalała sobie wiśniowego soku i dosłodziła go miodem, głośno objając łyżkę po ściankach szklanicy i zbadawszy, czy wszyscy już na nią patrzą, w końcu przemówiła:

– Od Muszyńskich musiałam ją wyciągać. Nie godzi się, by panna tyle z mężami gadała – odezwała się wreszcie.

– Jak to wyciągać? – dopytywałam.

– Tak. Miałyśmy zawieszenie odebrać, za łaską księżnej?

– Miałyście. – Słuchałam uważnie.

– To odebrałyśmy, ale ta stała jeszcze i tylko: A to panie, a tamto...

Ota zachichotała i dwie inne nowe panienki na dworze.

Podeszła do okna.

– A teraz, proszę! – Wskazała na dowód swych słów za okno.

Rozbawiona spojrzałam w stronę miasta. Panny rzuciły się za mną. Dwie postaci w oddali żywo rozprawiały rozbawione, stojąc naprzeciw siebie. Jednej szczególnej, przygarbionej nie mogłam pomylić z żadną inną.

Kiedy winowajczyni wróciła, usiadła cichutko i sięgnęła po Biblię. Patrzyłam na jej zaróżowioną twarz i ciągle szybki oddech.

– Małgorzato, matka do ciebie pisała? – zapytałam Gorczyńskiej. Przy jej drobnej twarzy ujrzałam nowe złote zauszniczki.

– Tak, zawczoraj list dostałam. Mogę przynieść! – Poderwała się.

– Och, nie! Nie trzeba. Cóż pani Gabriela porabia? Przy Jadwini i Anusi?

– Nie.

– Nie? – zapytałam zdziwiona.

– Do syna, znaczy do brata mojego wyjechała, kiedyście na klasztor, pani, ofiarę hojną złożyli. – Poprawiła się na poduszce. – Nie wiedziałam, żeście ofiarę za mnie... Dziękuję. – Skłoniła się.

– Miałaś nie wiedzieć – szepnęłam. – Ładne masz zausznice.

Spłonęła rumieńcem jak piwonia.

– Od Wawrzyńca Muszyńskiego? Piękny młodzian... – Przypatrywałam się jej uważnie.

– Nie. – Dotknęła uszu. – Od pana Floriana.

Ota i Ludka zachichotały nieładnie.

– Od Floriana? – Uśmiechnęłam się.

– Drwicie pani z niego? – zapytała cicho.

Podeszłam i ucałowałam ją w jasne czoło.

– Nie, nigdy. Jeno cieszy mnie, że szlachetne dusze się wzajem odnajdują.

Wtuliła się w mój wypukły brzuch. Uczułam niemiłe kłucie.

*

Przeleżałam dwa dni, prosząc dzieciątko o łaskę dla mnie, kiedy usłyszałam konie Fryderykowe z podwórca. Odczekałam chwilę, by usłyszeć męża w auli i tego, jak nikną jego kroki gdzie na schodach. Zdjęłam z kolan zaspanego kocura, dźwignęłam się i postanowiłam przywitać się z księciem.

Szłam do starszej wieży korytarzem kamiennym, długim i ciemnym. Szłam odwiedzić męża, bom go nie widziała trzy dni i dwie noce. Wiedziałam, gdzie jest, bo słyszałam, z kim rozmawiał i śmiał się głośno w starej komnacie w głębi pallatium. Przystanęłam przed uchylonymi drzwiami, by oddech złapać.

– Naprawdę! – zawołał do kogoś ksiązę.

– Toś szczęściarz, choć młoda nie jest – odpowiedział mu jakiś mąż.

Cofnęłam się i przylgnęłam plecami do ściany.

– Och... – Musiał wykonać jaki gest, bo usłyszałam syczenie i cmokanie na znak współczucia memu mężowi.

Osunęłam się na kamienną ławę.

– Błagał mnie, bym się z nią ożenił – chwalił się dalej Fryderyk.

– Kto? – zapytał jakiś młodzian ze śmiechem.

– Król. Listy słał do Pożonia, jak jeszcze na cesarza czekał, bym do niego ściągnął. Ratuj ją, pisał!

Nikt z panów się nie zaśmiał, prócz Fryderyka.

Myśli wirowały mi w głowie. Prawda, zaraz po powrocie Zygmunta ze spotkania z cesarzem, przed śmiercią królowej, posłowie zjechali ze Śląska... Znaczy prawda czy nieprawda, że Zygmunt go błagał? Listy! W listach prawdę obaczę! Poderwałam się i na ile dziecię mi pozwoliło, pobiegłam do sypialni Fryderyka. Dopadłam stołu i jęłam szukać listów Zygmuntowych. Pod księgami, papierami, w otwartych szkatułach... Są! Wiele... Dany kwiecień tysiąc pięćset sześć... Nie. Dany styczeń tysiąc pięćset dziesięć... Toż pisali do siebie cały czas? Dany marzec, kwiecień, maj, tysiąc pięćset piętnaście. Tak! W gorączce jakiej szukałam imienia swego w niemieckich listach. Znalazłam... „Dla dobra Elżbiety...” „W czerni chodzi” „I na jej wiek już dłużej bez winy naszej patrzeć nie można”¹¹⁴.

Usiadłam. Jednak prawda. Jeden sprzedał, drugi kupił. Coś ty zrobił, Zygmunco?! Dla mnie?!

Wszedł Fryderyk i cofnął się na mój widok.

– Wejdz, mężu – odrzekłam spokojnie. – Wszak to dom twój.

– Mogłaś poprosić, że chcesz czego. – Rozeźlony zaczął rozrzucone listy wkładać do skrzynek.

– Och, co chciałam, znalazłam. Czego nie chciałam, usłyszałam.

Wsparł ramiona o stół. Patrzył w ścianę.

– Dlaczego, Fryderyku? – wychrypiałam.

– Nie mam w zwyczaju tłumaczyć swoich czynów.

– Jestem dobrą żoną?

Spojrzał na mnie skonfundowany.

– Co? Tak!

– Zatem tylko prawdziwie, jak dobrej żonie, odpowiedz.

Znowu odwrócił się do ściany.

– Pytaj, o co chcesz.

– Nie chciałeś się żenić?

– Nie.

– Z nikim?

– Nie teraz.

– Więc dlaczego? – wyszeptałam.

– Bo honor to dla mnie.

– Fryderyku...

Spojrzał na mnie z niechęcią.

– Bo twoi „Miłuję Wszystkich” bracia mi zapłacili!

Wstałam powoli. Nie chciałam na niego patrzeć. Obejrzał się za mną.

– Wychodzisz? Nie możesz się poskarżyć Zygmuntovi. Jestem dobrym mężem, a on tego chciał!

– Nie bój się.

Zacisnął usta i zrobił dwa kroki w moją stronę.

– Nie boję się!

– Boisz się. Ale nie napiszę, jakoś mnie plugawie obraził na wszystkie możliwe sposoby i dom mój.

– Bo miłujesz mnie! – Rozciągnął usta w uśmiechu i podszedł do mnie.

Pozwoliłam się objąć i spojrzałam mu w twarz.

– Nie.

– To dlaczego nie napiszesz do Zygmunta? – Ciągłe się uśmiechał. Wyrwałam się z jego ramion.

– Żeby cię nie zabił.

Wyszłam, choć z żalu niewysłowionego drżały mi nogi i dziecię we mnie. Za progiem zawiroowało mi w głowie i upadłam. Dziecię? Nie!

Błagam! Za szybko!

*

Jasność jaka raziła mi oczy. Leżałam w swoim łóżu pusta na umyśle i w środku. Drugi dzień ból narastał, kłuł i wzbierał. Brzuch, miast opadać, puchł. Przysypiałam, by nowe cierpienie mnie budziło okrutniejsze każdego dnia, gorsze każdej godziny nocnej. Nie wiem, czy gorączka, czy strach sercem mym tłukły tak, że drżałam cała, by w niebyt coraz zapadać.

*

Niewiele widzę. Nocą nieznośną Ludka i Ota obmywają mnie, do jaźni mej dociera zapach, który na pamięć mi przywodzi królową w węgierskim fartuszk. Umrę! Strach każe mi zawodzić, nie mam sił. Tak bardzo się boję, tak bardzo mnie boli! Oblewa mnie chłód, zamykam oczy. Zygmunt?! Baltazar! Majaki jeno... Ludka śpiewa, Ota i Małgorzata płaczą.

Otwieram oczy.

– Gdzie moja córka? – pytam po raz nie wiedzieć który.

Ota mówi coś.

– Zmarła? – pytam cichutko.

– Tak.

Ból cięższy i straszniejszy niż gnijące trzewia każe mi wrzeszczeć, ale spotniałej i cuchnącej jeno łyzy wielkie ciekną. Dnie i noce biegną. Coraz szybciej. Zlewają się w jedno trwanie. Cuchną, bolą. Krzyczę ja, krzyczy kto inny. Opadam, wznoszę się. Znowu krzyczę.

Budzę się, by jeno zamknąć oczy. Zdaje mi się, że stoję na ukochanych północnych murach królewskiego miasta. Mętne wody Wisły unoszą się, sięgając mych stóp, piersi, ust. Nic mi nie zostało, prócz pustki i ciszy. Bo

widzisz Zofio, Regino, Barbaro, Jadwigo... odchodzimy nieważne. Po nas nic nie ostaje. Znikamy. Przepadamy. Jak oddech na wietrze.

114 Małgorzata Duczmal, *Jagiellonowie: Leksykon historii kultury polskiej*, Warszawa 1996, s. 190.

Epilog 1518

Baltazar Opeć¹¹⁵ siedział za stołem w małej komnatce taniej krakowskiej bursy. Owy stół, prosta ława, świeca i krzesło służyły za wszelkie wygody. Listy z ostatnimi nakazami do braci i sióstr w Pradze, Rzymie i Wiedniu rozesłał. Więcej ich, coraz więcej było cierpieniem złączonych. On pomsty dokonał, spokój odzyskał, dług spłacił, to niechaj nowego pana już sobie obiorą. Nieważne to i tak było, bo jeno jeszcze jednej rzeczy dopilnuje i na swoją parafię wyjedzie. Opuszczał Kraków, bo po cóż było mu tu teraz trwać?

Ostrożnie stawiał litery na białym papierze:

Najjaśniejsza Pani, Pani Elżbieta, królowna polska, a potym księżna legnicka, bacząc dla pospolitego dobrego i dla rozmnożenia pisma polskiego, w którym się osobliwie kochała, nakładu nie żałując, ten niniejszy żywot Pana Jezusów wypisać dała¹¹⁶.

Umówiony był w drukarni Vietora na dzień następny i na użycie porządnych nowo należionych czcionek do „Żywota”. Dla niej. Ucieszyłaby się. Skończył pisać i odłożył pióro. Uśmiechnął się na wspomnienie Elżbiety. Pamiętał, że w bursie jeszcze pacholęciem będąc, kiedy strachy nim poniewierały, wspinał się po północnym murze i roił sobie, że królowna mu matką. Kiedy zaś pierwszy grzech śmiertelny popełnił, patrzył w jej zawsze rozświetlone okno, gdzie cień Elżbiety

pochylonej nad stołem widział i zdało mu się, że ona mu zawsze sprzyjać będzie.

Spojrzał w okno, bo nagle niebo nad Wawelem, wśród głuchych wybuchów, rozjarzyło się zielonym światłem.

*

W szmaragdowym oknie domu naprzeciw katedry stały obie córki Zygmunta Jagiellona i Barbary Zapolyi; Jadwiga i Anna. Wpatrywały się w ciszy w kitajskie ognie na nocnym niebie. Zamek obok drżał od muzyki, zabawy i śmiechu, albowiem ojciec ich żenił się po raz drugi.

– Pan ojciec nawiedzi nas? – zapytała Jadwiga.

– Nie dziś – odpowiedziała matrona Szydłowiecka i pogładziła z czułością drobne plecy królowej.

Nagle od schodów usłyszały głośny śmiech i rozmowy w jakimś obcym języku. Obie odwróciły się od okna, kiedy najpierw poczuły zapach egzotycznych kwiatów i owoców, a na koniec ujrzały piękną panią o wielkich sowich oczach i sukni nabitej złotymi blaszkami.

– To córki Zygmunta? – zapytała Bona Sforza, wpatrując się uważnie w małe Jagiellonki.

¹¹⁵ Baltazar Opeć – prawdopodobnie ksiądz, autor dedykowanego królowej Elżbiecie Jagiellonce *Żywota Pana Jezusa Krysta*. Losy Baltazara opisane w tej książce są wytworem mojej wyobraźni. Fikcyjnymi postaciami są bracia Muszyńscy, rodzina Gorczyńskich, Łęczycki, dwórki Ota i Ludka.

¹¹⁶ K. Krzak-Weiss, K. Meller, W. Wydra, *Drukowane teksty polskie sprzed 1543 roku*, Poznań 2019, 20-21.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1505

1506

1507

1508

1509

1510

1511

1512

1513

1514

1515

1516

1517

Epilog 1518